

GREG BAXTER

LOTNISKO
W MONACHIUM

Wybitny talent!
„The Guardian”



GREG BAXTER

LOTNISKO
W MONACHIUM

przełożył Jędrzej Polak



Dla Jamesa i Andreei Monnat

Siedzimy tu od godziny albo i dłużej, wysoko w głównym hallu restauracyjnym lotniska, górującym nad sklepami – wolnoctwowym, odzieżowym, z elektroniką, akcesoriami i pamiątkami. Wyjątkowo przestronną przestrzeń wypełnia nienaturalna poświata, ponieważ za wysokimi szklanymi ścianami – tam, gdzie powinien być asfalt, pasy startowe i góry – jest tylko mgła, gęsta czarna mgła spowijająca port lotniczy i opóźniająca wszystko. Samolot, którym mieliśmy lecieć, wylądował gdzie indziej i nie opuści tamtego lotniska, dopóki mgła się nie podniesie. W Atlancie czas oczekiwania na następne połączenie miał wynosić sześć godzin – zarezerwowaliśmy przeloty zaledwie przed dwoma dniami, więc braliśmy, co się nawinęło – a teraz okazuje się, że może zabraknąć nam czasu. Możliwe, że nie zdążymy się przesiąść, ale jeszcze nie zaczęliśmy się o to martwić. My, czyli mój ojciec, ja i Trish – urzędniczka amerykańskiego konsulatu przydzielona do naszej sprawy, sprawy mojej siostry. Przyglądamy się w milczeniu tablicy odlotów wiszącej niedaleko

naszego stołu.

Mój nieszczęsny ojciec, moja nieszczęsna siostra. Odsuwam krzesło, wstaję i proszę o wybaczenie. Z powodu opóźnień terminal jest bardzo zatłoczony, więc muszę przechodzić przez mnóstwo nóg i walizek. Ale wszyscy są spokojni i uprzejmi. Podczas odprawy panowało wielkie poruszenie, za to teraz króluje wyjątkowy spokój – trwoga rozproszyła się w powietrzu i powidoku lotniska. Idąc, przepraszam, a ludzie, przez których przechodzę i których bagaże depczę, również przepraszają, że zagradzają mi drogę.

W toalecie czekam w kolejce mężczyźni opartych o ścianę długiego, prostego, pozbawionego okien i lśniącego niebieskawo korytarza. Po drugiej stronie stoi kolejka kobiet. Przepuszczamy ludzi z dziećmi. Nie proszą o to, sami ich ponaglami, wskazując im drogę. Kolejka do męskiej toalety przesuwa się szybciej. Mijamy przepraszając kobiety w drugiej, stojącej w miejscu kolejce. Wchodzę do pustej kabiny, choć nie muszę korzystać z sanitariatu. Po prostu stoję tam i odpoczywam, i zdaję sobie sprawę, że nie zdołam odpocząć, że brakuje mi sił, żeby odpocząć, że odpocznę dopiero wówczas, gdy wcisnę się w fotel w samolocie. Wydaje mi się, że zaraz się rozpłaczę, ale nie robię tego, otwieram drzwi, podchodzę do umywalki i powoli myję ręce. Potem równie długo trzymam je pod suszarką.

Jesteśmy tu z ojcem od wczesnych godzin

porannych, kiedy na dworze było jeszcze ciemno. Spędziliśmy noc w lotniskowym hotelu Mercure, wzniesionym pięć mil od portu lotniczego. Mogliśmy zatrzymać się w mieście w jakimś wygodnym hotelu, ale właściwsze wydało nam się spędzenie ostatniej nocy w Niemczech w miejscu mniej przyjemnym, a bardziej oficjalnym. Nie spałem do trzeciej czy czwartej. Do północy oglądałem telewizję, potem otworzyłem książkę. Ostatnio nic nie jem, więc coraz trudniej przychodzi mi normalnie zasnąć. Robiłem notatki z książki, bo zawsze podczas czytania notuję. W pokoju było coraz goręcej i nie zdołałem odszukać termostatu, więc otworzyłem okno. Odsunąłem zasłony i moim oczom ukazała się nadciągająca mgła. Zbliżała się szybko, kłębami. Odniosłem wrażenie, że lecę, a hotel unosi się w chmurach. Mgła gwałtownie gęstniała. Odłożyłem książkę i notes na okrągły stoliczek przy oknie, po czym oparłem się o parapet. Miałem wrażenie, że pilotuję hotel. Stałem tak przez długą chwilę. Na dworze było mroźno, ale powietrze odświeżyło mnie i uspokoiło. Hotel przypominał amerykański motel – niski i rozłożysty, z dużym parkingiem. Uliczne latarnie rzucały jaskrawomiedziany poblask na kilka samochodów, które po pewnym czasie zniknęły. Została tylko pędząca mgła, w której majaczyła niewyraźnie miedziana poświata. Odszedłem od parapetu. Zasunąłem zasłony, lecz nie zamknąłem okna –

zostawiłem w nim wąską szparę. Zdjąłem koszulę. Zdjąłem skarpety. Miałem je na sobie od niepamiętnych czasów, a kiedy je ściągnąłem, poczułem senność i spokój. Usnąłem w nogach łóżka, w spodniach, ze stopami spuszczoneymi na podłogę, jak pijak. Około piątej rozległo się pukanie do drzwi. Ojciec. Nie może spać, powiedział, i zastanawia się nad wyjazdem na lotnisko. Był przygnębiony. Przekonywanie go, że powinien się wyspać, nie miało sensu.

Kierowca mikrobusu jeżdżącego na lotnisko spał na kanapie w hotelowym lobby: nieduży człowiek w wielkiej czarnej kurtce z kapturem obszytym futrem. Budzenie go nie zapowiadało się przyjemnie. Staliśmy nad nim z ojcem przez minutę, przyglądając się, jak śpi. Można się było domyślić, że śni mu się żona albo ktoś, kogo kochał, i że to błogi sen, a ja domyśliłem się jeszcze, że rzadko miewa takie sny, bo zazwyczaj nawiedzają go koszmary, albo że zazwyczaj nie śpi. Wiedziałem, że jeśli go obudzimy, znienawidzi nas. Nic nie zrobiłem, podobnie jak ojciec, ale nasza obecność musiała wniknąć do jego snu niczym jakaś mroczna moc. Może jego żona zaczęła się nagle topić? Otworzył oczy w panice. Staliśmy przed nim, jednocześnie nad nim górując. W lobby było ciemno i pusto, choć w restauracji, gdzie podawano śniadanie, hałasowało już kilka osób. Kierowca okazał się niepokąźny, drobny, młodszy ode mnie, ale niedużo. Z pewnością

pochodził z Turcji. Miał czarne włosy, piwne oczy i delikatny zarost. Powiedzieliśmy mu, że musimy dostać się na lotnisko – mieliśmy ze sobą bagaże, wymeldowaliśmy się z hotelu i byliśmy gotowi do podróży. Przez krótką chwilę nie pojmował, że jesteśmy jawą, że sen dobiegł końca. Kiedy to wreszcie przetrawił, wyprostował się, zakasłał, pokręcił z niedowierzaniem głową i rozespany przełknął ślinę. Zaproponował, żebyśmy zaczekali. Warunki drogowe są niebezpieczne, stwierdził. Wy tłumaczyłem mu, że bardzo nam się spieszy, z czym już nie dyskutował. Wyszliśmy na dwór na mroźne, mgliste poranne powietrze. Powiedziałem kierowcy, że jego kurtka wygląda na ciepłą, na co odrzekł, że owszem, jest ciepła. Nie widziałem mikrobusu. Nie widziałem niczego na parkingu. Mężczyzna poszedł przodem. Usłyszeliśmy otwieranie drzwi i warkot silnika, a potem zapaliły się przednie światła – gdzieś daleko, choć były tuż przed nami. Kierowca wyskoczył, chwycił bagaże i wrzucił je na tył pojazdu. Ojciec ma starą ciężką walizę koloru burgunda: jedną z kompletu zamówionych u kaletnika neseserów, które dostał przed półwiekiem w prezencie ślubnym. Walizka taty jest w dość opłakanym stanie, ale zdaje się, że właśnie to mu się w niej podoba i z tej przyczyny przez trzy ostatnie tygodnie odrzucał ponawiane przeze mnie raz po raz propozycje, żeby unowocześnić ekwipunek do takiej postaci, która nie będzie wymagać noszenia.

Oprócz niej ma brązową skórzaną teczkę, która służy jako bagaż podręczny. Moja olbrzymia walizka ma czarny kolor, jest prostokątna, wysoka, bardzo lekka i toczy się na zmianę na czterech albo dwóch kółkach. Taka sama walizka w miniaturze stanowi mój bagaż podręczny. Kierowca zamknął tylne drzwi i otworzył rozsuwane boczne. Ojciec wsiadł pierwszy. Pomogłem mu. Ujął mnie za ramię, a ja poprosiłem go, żeby uważał na głowę. Wsiadłem po nim i kierowca zamknął za nami drzwi. Fotele w mikrobusie były zimne jak lód. Kierowca wyjął szmatkę z kieszeni kurtki i wytarł parę z przedniej szyby, a potem włączył nawiew na cały regulator, wypełniając wnętrze pojazdu lodowatym powietrzem. Ojciec naciągnął na głowę kaptur kurtki i wbił ręce w kieszenie. Wyjąłem rękawiczki i czapkę, włożyłem je, podniosłem kołnierz wełnianego płaszcza i otuliłem szyję. Kierowca bez wątpienia znał trasę i wiedział, że droga jest pusta, bo prowadził bardzo nieostrożnie. Przejechaliśmy po kilku krawężnikach i wysepce na rondzie. Widziałem jego oczy w tylnym lusterku. Był senny. Ojciec zapytał: Czy mógłby pan jechać wolniej? Kierowca odpowiedział: Widzę świetnie. Ale my nie, odrzekł tata.

Przed mniej więcej trzema tygodniami w skromnym, smutnym mieszkaniu w Berlinie znaleziono ciało mojej siostry Miriam, a ja i ojciec przylecieliśmy tu, żeby wszystko pozatwiać. Po raz ostatni widziałem

siostrę jakieś cztery czy pięć lat temu. Ojciec przyleciał z domu, a ja z Londynu, gdzie mieszkam od dwudziestu pięciu lat. Spędziliśmy trzy tygodnie w Niemczech, głównie w Niemczech, czekając na wydanie zwłok. Początkowo nie wiedzieliśmy, co począć z ciałem – pochować je tutaj czy zabrać do domu i pochować je tam. Kremacja byłaby tańsza i prostsza, a Miriam prawdopodobnie życzyłaby sobie właśnie takiego pochówku, ale po długich rozważaniach ojciec był niezdolny do podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Rzuciliśmy więc monetą: orzełek – inhumacja w Niemczech, reszka – pogrzeb w domu. Różnica między tymi dwoma ceremoniami miała kosztować na początek dwadzieścia tysięcy dolarów. Siedzieliśmy na ławce w parku, ojciec westchnął ciężko i powiedział: Wybacz nam, Miriam, po czym ja rzuciłem monetą. Teraz jej ciało spoczywa gdzieś w hangarze towarowym, wydane za pokwitowaniem przez niemiecki zakład pogrzebowy i czeka na wylot naszym samolotem.

Wracam do stołu i słyszę, że ojciec po raz kolejny dziękuje Trish za to, że jest z nami, że z nami czeka. Trish pracuje w amerykańskiej ambasadzie w Berlinie, ale jej mąż przeniósł się niedawno do Monachium, więc Trish spędza z nim większość weekendów. Wróci do Berlina wieczornym samolotem.

Ojciec pyta, czy wszystko w porządku. Wszystko w porządku, odpowiadam. Długo cię nie było, mówi.

Trish zerka ze smutkiem na nasze nietknięte śniadanie. Kiedy tylko przyjechała, zamówiła dla nas omlety. Trzeba jeść, powiedziała. Zgodziliśmy się z nią, ale niczego nie tknęliśmy. Ojciec przeciął omlet na pół – wylał się z niego ser i inne ingrediencje – i dyskretnie, żeby nie sprawiać wrażenia niewdzięcznika, odsunął się od stołu o pół cala. Powiedziałem, że mój omlet jest za gorący i chcę, żeby wystygł, a potem udałem, że o nim zapomniałem.

Pierwszy tydzień w Niemczech był surrealistycznie poważny i całkiem zwyczajny w kategoriach emocjonalnych, zważywszy na okoliczności. Nieustannie czymś się zajmowaliśmy, wiele zwiedzaliśmy, ale w gruncie rzeczy tylko czekaliśmy. Czekaliśmy z nadzieją, że w każdej chwili coś się wydarzy. Zakładaliśmy, że tutejszy lekarz sądowy szybko wyda nam ciało Miriam. Nie mam pojęcia, skąd powzięliśmy tego rodzaju przekonanie. Nie mieliśmy pojęcia, że w Niemczech nie grzebie się ludzi w pośpiechu. Nie wiedzieliśmy również, jak bardzo bezduszna jest niemiecka procedura biurokratyczna. Trish wydzwaniała codziennie do kancelarii lekarza sądowego, żeby dowiedzieć się czegoś o postępach w sprawie i każdego dnia – podczas tamtego pierwszego tygodnia – nie uzyskiwała żadnej odpowiedzi. Składanie skarg nie miało sensu. Mogliśmy czuć się pokrzywdzeni, ale to niczego nie zmieniało. Pod koniec pierwszego tygodnia udało jej

się wreszcie porozmawiać osobiście z lekarzem sądowym. Sprawa miała się toczyć jeszcze przynajmniej przez tydzień. Postanowiliśmy więc, że urządzimy sobie wakacje. Tata wynajął samochód i wyruszyliśmy w drogę. Mój ojciec urodził się w Niemczech, ale kiedy miał dziewięć lat, wyemigrował z matką do Ameryki. Uzgodniliśmy, że odwiedzimy miejsca, które chciał zobaczyć w ojczyźnie, gdyż istniało spore prawdopodobieństwo, że nigdy już tutaj nie wróci. Podczas podróży jedliśmy i piliśmy o wiele za dużo, zatrzymując się w drogich hotelach i zajazdach. Przypuszczam, że na pewien czas odebrało nam rozum. Kiedy po podróży wypożyczonym autem wróciliśmy do Berlina, wyszliśmy wieczorem do miasta, wypiliśmy po kilka drinków, a wracając do domu odśpiewaliśmy *Sto lat* jakiemuś mężczyźnie, który powiedział, że ma dziś urodziny. Siedział na krawężniku i wyglądał na nieco zagubionego, więc wdaliśmy się z nim w rozmowę. Zanim go opuściliśmy, odśpiewaliśmy mu *Sto lat*. Następnego dnia rozpoczęła się trzecia i ostatnia faza naszego pobytu w Berlinie – faza, podczas której aż do wydania ciała Miriam spędzałem niewiele czasu z ojcem.

Ojciec postanowił, że chce odlecieć do domu właśnie z tego lotniska i nie życzy sobie, aby zwłoki Miriam zostały przetransportowane z jakiegokolwiek innego portu lotniczego. Powiedział, że zdaje sobie sprawę, iż

zabrzmiałoby to dziwnie, ale pragnie, żeby ciało Miriam odleciało z Europy jednym samolotem, a nie dwoma łączonymi lotami, i chce, by znalazło się w tym jednym samolocie na lotnisku, które jest – szukał przez chwilę właściwego słowa – sztywne. W Berlinie są dwa lotniska – oba ponure i klaustrofobiczne – i z żadnego z nich nie ma bezpośrednich lotów do Atlanty, gdzie chciał wylądować tata. Przed trzema tygodniami przyleciałem na lotnisko Schönefeld i jeszcze tego samego dnia zidentyfikowałem zwłoki Miriam. Ojciec przybył następnego ranka od razu na Tegel, wykupiwszy bilet tylko w jedną stronę, a ja pojechałem po niego taksówką. Oba berlińskie lotniska nie należą do miejsc, w których chciałoby się utknąć na dłużej i jestem pewien, że nie zniósłbym ośmiogodzinnego opóźnienia odlotu na żadnym z nich.

Od przybycia Trish siedzimy w hallu restauracyjnym. Czas śący się leniwie. Półpiętro jest bardzo duże, ale stosunkowo wąskie w porównaniu z wielkim rozłożystym ośmiokątem niższego poziomu. Restauracyjny hall ciągnie się wokół niemal całego obwodu tego ośmiokąta, układając się w kształt przypominający podkowę, a my siedzimy tak blisko jej krawędzi, że widzimy sporo z tego, co dzieje się poniżej. W samym centrum, na typowym, być może nieco większym niż zwykle, lotniskowym targowisku, stoi wyścigowe auto, prawdziwy bolid Formuły 1, który, jak przypuszczam, jest nagrodą w jakiejś loterii.

Od środka ku obwodowi ośmiokąta bieżą setki foteli ustawionych w nieregularnych rzędach, a wszystkie z nich są zajęte, zarzucone bagażami i zasłane ciałami, podobnie jak każda wolna przestrzeń pomiędzy nimi, która również jest zarzucona bagażami i zasłana ciałami. Terminal ciągnie się dalej w dwu przeciwnych kierunkach, ku okrężnemu systemowi długich korytarzy, prowadzących do lotniskowych bramek.

Trish, jak przypuszczam, ma dobrze po dwudziestce lub jest tuż przed trzydzistką. Albo też – co niewykluczone – jest bardzo młodo wyglądającą trzydziestokilkulatką. Służyła w wojsku w Afganistanie. Wcześniej odbyła przeszkolenie wojskowe w Vanderbilt. Jest ciemnoskóra i mówi z delikatnym, ujmującym, południowym akcentem. Ma na sobie brązowe spodnie, białą bluzkę i brunatny żakiet. Jest przysadzista, ale ubiór sprawia, że wygląda na wysportowaną. Na oparciu krzesła wisi jej wełniany płaszcz. Widziałem ją w tym płaszczu przy wielu okazjach podczas naszego pobytu w Niemczech i muszę przyznać, że jest jej w nim bardzo do twarzy. Czy ma pan ochotę, pyta mojego ojca, na coś innego? Kawę? Filiżankę herbaty? Tata zastanawia się nad odpowiedzią, kręcąc talerzem w kółko, po czym stwierdza: W ogóle nie spałem, nie zmrużyłem oka, może jest tu gdzieś jakaś sala wypoczynkowa, w której mógłbym się położyć, jeśli to w ogóle możliwe?

Chciałby się pan przespać?, pyta Trish.

Tylko się zdrzemnąć, odpowiada tata.

Mój ojciec ma dobrze po siedemdziesiątce. Przeszedł na emeryturę jakieś siedem lat temu. Wykładał historię Europy w Kalifornii, ale zdarzało się, że przez krótkie semestry prowadził gościnne wykłady na uniwersytetach bliżej domu, czyli Południa. Przez trzy dekady redagował pismo naukowe – nieduże, ale poważane. Opublikował mnóstwo artykułów i napisał dwie książki. Pierwsza była wysoce specjalistycznym studium kodeksów prawnych z czasów Karola Wielkiego. Ukazała się nakładem wydawnictwa akademickiego i natychmiast powędrowała do bibliotek jako dokument źródłowy. Druga była powszechną historią średniowiecza. Ojciec pisał ją dla masowego odbiorcy, a nie dla bibliotek. Znalazł wydawcę w Nowym Jorku i otrzymał pokaźną zaliczkę. Ale pisał to dzieło całą wieczność. Rozpoczął je sześć czy siedem lat przed śmiercią naszej matki, a kiedy umarła, na jakiś czas zarzucił pisanie. W końcu wrócił do pracy i dostarczył manuskrypt wydawcy, który był już kompletnie rozczarowany i nie spieszył się z oddaniem książki do druku. Nie przyłożył się także do nagłośnienia dzieła, ponieważ w okresie pomiędzy odebraniem przez ojca zaliczki a dostarczeniem manuskryptu ukazała się inna historia średniowiecza, pod dokładnie takim samym tytułem, jaki chciał nadać swojej książce ojciec, a mianowicie *Średniowiecze*.

Sądzę, że przed odejściem mamy porażka książki byłaby dla ojca druzgocąca. Za jej życia powodzenie dzieła byłoby czymś, co, jestem pewien, przyjąłby z otwartymi ramionami: mógłby wówczas mniej wykładać, poświęcać symbolicznie czas pismu naukowemu i bywać częściej w domu, gdzie polował, łowił ryby, obserwował ptactwo, chodził na mecze futbolu do małych college'ów i przesiadywał w swoim gabinecie, paląc fajkę, czytając i rozmyślając. Po odejściu mamy jego nastawienie zupełnie się zmieniło i porażkę książki przyjął z radosnym fatalizmem. Nigdy też nie zabrał się już za coś równie ambitnego, przynajmniej na taką skalę, a jeśli nawet, to uczynił to w tak wielkim sekrecie, że zapewne nic z tego nie wyszło i nigdy o tym nie napomknął w rozmowach odbywanych podczas każdego z naszych spotkań od czasu ukazania się książki – nawet żartem, nawet mimochodem, a co dopiero w szczerzej rozmowie na temat kolejnej małej porażki. Obecnie, kiedy dzwonię do niego z Londynu i udaje mi się zastać go w domu, ogląda w telewizji golf. Śledzi mecze golfowe na całym świecie o każdej porze dnia: golf w Japonii, w południowej Afryce i Szwecji. Nie mam pojęcia, czy dzień i noc cokolwiek teraz dla niego znaczą. Jedyłą narzuconą mu przez życie rutyną jest utrzymanie domu. Raz w tygodniu odwiedza go czyściciel basenów. Raz w tygodniu – lub dwa razy wiosną i latem – pojawia się ogrodnik troszczący się

o zieleń. Raz w tygodniu przychodzi kobieta, która sprząta dom. Nie ma zbyt wiele pracy, bo ojciec korzysta tylko z niewielkiej części domu. Kiedy rozmawiamy przez telefon, opowiada mi o cudach i rozczarowaniach związanych z załatwianiem spraw za pomocą książki telefonicznej. Nie jest w stanie, powiada, wpatrywać się w ekran komputera dłużej niż pół godziny, bo robi mu się słabo. Książka telefoniczna pełni więc funkcję jego Internetu. Mówi na przykład: Znalazłem rzemieślników, którzy naprawdę tanio wybudują mi werandę. Albo: Prawdopodobnie zamontuję na dachu panele słoneczne. Ale do tej pory ani nie wybudował werandy, ani nie zamontował paneli.

Odpowiadając ojcu, Trish stwierdza: Jestem pewna, że znajdziemy jakieś miejsce, w którym będzie pan mógł się zdrzemnąć.

Na co tata reaguje: Może nie ma tu niczego takiego.

Trish: Muszą coś mieć.

Spróbujmy zajrzeć do saloniku dla VIP-ów, podpowiadam.

Doskonały pomysł, cieszy się Trish. Pójdę tam.

Nie, ja pójdę, mówię.

Trish uważa, że to nie najlepszy pomysł. Jest przekonana, że ma większe szanse powodzenia. Jestem tylko zwykłym podróżnym, a ona pracuje w ambasadzie Stanów Zjednoczonych. Wiem, że ma rację i powinna pójść tam sama, ale jeśli odejdzie,

utknę tu, na tym krześle. Ojciec zaśnie, a mnie pozostanie samotne wpatrywanie się w bałagan, jaki zrobiliśmy na stole: duże talerze z jedzeniem, którego nie tknęliśmy, serwetki, w które wycieraliśmy nosy. Jestem zbyt zmęczony, by zająć się czymś konstruktywnym, takim jak czytanie czy praca.

Idźcie razem, mówi tata. Nic mi nie jest, posiedzę tutaj i zmrużę oczy. Wolę być sam.

Oboje z Trish zerkamy na ojca, żeby przekonać się, czy mówi poważnie. Przymyka powieki. Ktoś powinien tu z tobą zostać, stwierdzam.

Nic mi nie jest, to tylko zmęczenie. Jeśli któreś z was zostanie, będę zmuszony dotrzymać mu towarzystwa i nie usnę.

Otwiera oczy. Sięga do teczki i wyjmuje z niej dźwiękochłonne słuchawki, które wiesza sobie na szyi. A potem mówi: Skończył mi się tylenol. Nie masz przypadkiem tabletki? Boli mnie głowa.

Nie mam, odpowiadam, ale kupię. Przesuwam w jego stronę szklankę z wodą i każę mu się napić. Upija łyk – być może po to, by dowieść, że zachowuje się racjonalnie i że naprawdę chce zostać sam – po czym znów zamyka oczy i mówi: Jeśli zgodzą się, żebym położył się w saloniku, jedno z was może tu po mnie wrócić.

Ojciec ma na sobie granatową flanelową koszulę w kratę z wplecionym wzorem w odcieniach brązu, a pod spodem biały, ciasny pod szyją podkoszulek.

Koszulę wpuścił w podciągnięte bardzo wysoko džinsy, a na nogach ma odblaskowe buty do biegania w jaskrawożółtym kolorze. To jego zwykły strój podróżny. Lubi podróżować wygodnie, czemu służą również dźwiękochłonne słuchawki i poduszka pod szyję. Jednak w Berlinie i podczas naszej wyprawy nad Ren, w Ardeny, do Luksemburga i Brukseli nosił stare garnitury – te, w których wykładał jako profesor i które teraz są na niego za duże. Nie wiem, jak nosi się w domu, kiedy wychodzi do miasta. Kiedy do niego dzwonię i nie zastaję go w domu, zazwyczaj jest w jakimś hipermarkecie z narzędziami lub produktami spożywczymi. Towary ułożone są tam na półkach po obu stronach do trzydziestu stóp wzwyż, a ojciec rozgląda się za śrubkami, porównuje ceny makaronu lub rozważa zakup nowego odchwaszczacza, który zastosuje tylko raz, może dwa, a następnie odda ogrodnikowi. Poza tymi miejscami nigdzie indziej, moim zdaniem, nie wychodzi. Nie sądzę, żeby chodził do kina, nie przypuszczam, by spacerował, nie jeździ, jak myślę, nad morze – nad zatokę – jak miał kiedyś w zwyczaju, gdy byliśmy mali, a on wracał do domu po wykładach. O ile wiem, nie ma żadnych przyjaciół. Rozmawiamy mniej więcej raz w miesiącu. Kiedy zastaję go w domu, rozłączamy połączenie telefoniczne i korzystamy z laptopów, żeby się widzieć, a wtedy zazwyczaj ma na sobie biały podkoszulek treningowy, choć z jego ramion zostały

same kości, i jest nieogolony. Po jakichś dwudziestu minutach każdej rozmowy stwierdza: Robi mi się słabo, muszę kończyć. Czasem, jeśli jest gorąco, chodzi z gołym torsem. Ma zwiotczałą skórę i wystające żebra.

Wstajemy z Trish jednocześnie. Zostawiamy ojca samego przy stole. Wygląda na to, że niemal natychmiast zapada w sen. Osuwa się na krzesło. Ziewam od samego patrzenia na niego. Mam nadzieję, że się nam uda, mówi Trish. Ja też, odpowiadam. Zjeżdżamy ruchomymi schodami przez obszerny, nieważki, poruszający się w zwolnionym tempie terminal. Nie przychodzi mi do głowy żadna myśl, którą mógłbym podzielić się z Trish. Spędziła dużo czasu z ojcem, nigdy natomiast nie była sama ze mną, a jeśli nawet, to tylko raz czy dwa razy i przez tak krótką chwilę, że to się w ogóle nie liczy. Postanawiam nie otwierać ust. Chwila jest w końcu poważna i rozmowy nie są konieczne. W jej telefonie rozlega się krótki sygnał. Podczas godziny, którą spędziliśmy w hallu restauracyjnym, jej komórka brzęczała wiele razy: jej prywatny telefon, bo ma też starą, niezgrabną, służbową nokię. Wiem od ojca, że Trish przeżywa z mężem trudny okres. Nie znam jej na tyle dobrze, by o to pytać czy choćby wyrazić współczucie. Ale ojciec powiedział, że jej małżeństwo dobiega końca i wcale bym się nie zdziwił, gdyby właśnie dobiegło. Czyta wiadomość w telefonie. Kończy, podnosi głowę

i wtedy uświadamiam sobie, że się w nią wpatruję. Uśmiecha się rozbrajająco. Przepraszam, mówię, zamyśliłem się.

Jak długo zostanie pan w domu?, pyta.

Obecnie moim domem jest Londyn, odpowiadam.

Oczywiście, mówi. Kiedy pan tam wróci?

Niedługo, odpowiadam. Nie mogę sobie pozwolić na dłuższe pobyty poza domem. Zaangażowałem się w pewien nowy projekt.

Z pewnością w tych okolicznościach poczekają na pana.

Być może, ale niezbyt długo.

A czym się pan zajmuje?

Jestem konsultantem do spraw marketingu.

To wiem. Zastanawiałam się tylko, co pan robi jako konsultant do spraw marketingu.

Opracowuję strategie marketingowe dla klientów.

Spojrzenie, którym mnie obrzuca, mówi mi: To też wiem, chodziło mi o to, jakiego rodzaju strategie pan opracowuje. Ale nie przyciska mnie do muru, oznajmia tylko: Pański ojciec mówi, że odniósł pan spory sukces.

Doprawdy?

Kiwa głową.

Nie komentuję tego. Tego rodzaju przechwałki nie brzmią jak coś, co mógłby powiedzieć mój tata. Przez chwilę nie jestem pewien, czy powinienem jej wierzyć – może usiłuje zmniejszyć rozdźwięk, który musiała dostrzec między moim ojcem a mną, i za który we

własnym mniemaniu ponosi pewną odpowiedzialność. Ale nie jest niczemu winna, a ja nie odniosłem prawdziwego sukcesu, co oznacza, że nie powodzi mi się tak, jak kiedyś uważałem, że powinno. Ukończyłem handel zagraniczny w Princeton, gdzie studiował również mój ojciec, i byłem dobrym studentem. Postanowiłem jednak nie zaczynać studiów MBA. Chciałem pójść do pracy. Wolałem nie marnować więcej czasu. Chciałem też podróżować. Zrezygnowałem więc z kilku całkiem intratnych ofert pracy w Stanach. Pojawiła się szansa na bezpłatny staż w Londynie i skorzystałem z niej. Nigdy nie miałem zamiaru zostawać tam na dłużej, ale wraz z upływem lat przekonywałem się coraz bardziej, że nie mogę wrócić do domu, że nie zdołam opuścić Londynu i odnaleźć jakimś cudem satysfakcji w takich miastach jak Tampa czy Dallas. Przywykłem i polubiłem sposób, w jaki ludzie wchodzą sobie na głowy w Londynie. Podejrzewam, że bardzo spodobała mi się świadomość, że jestem chłopakiem z kraju, w którym wszyscy jeżdżą wielkimi półciężarówkami po szerokich drogach, z kraju, w którym łatwo o przestrzeń i samotność, a obecnie mieszkam w mieście, w którym nikt, kogo znam, nie ma samochodu, a przestrzeń i samotność nie są cechami krajobrazu, ale właściwościami, które każdy sam musi sobie wypracować w głowie. Pozostawał jeszcze oczywiście Nowy Jork, który kilkakrotnie odwiedziłem

podczas studiów. Londyn jest oddalony od tego wszystkiego, oddzielony oceanem od miejsca, z którego pochodzę, a poza tym w byciu obcokrajowcem kryje się pewien urok. Mam ładne, chociaż małe, mieszkanie w Spitalfields, które podnajmuję od architekta. Prowadzę obecnie własną jednoosobową firmę konsultingową i zawsze mam co robić. Właśnie odszedłem od klienta, dla którego pracowałem przez wiele lat – sieci supermarketów. Była to dla mnie wygodna sytuacja. Przez trzy dni w tygodniu pracowałem w ich głównej londyńskiej kwaterze. Miałem identyfikator. Przez pozostałe dwa dni robocze pracowałem dla innych klientów. Ale tuż przed śmiercią Miriam opuściłem sieć supermarketów. Znalazłem coś nowego, niekoniecznie lepszego, ale innego.

Jesteśmy na miejscu, stwierdzam.

Drzwi do saloniku dla VIP-ów są półprzezroczyste. Nie mają klamki. Trish kładzie dłoń na szklanej tafli i popycha ją. Drzwi otwierają się i mamy przed sobą, co dziwne, kolejny korytarz, znacznie węższy i prowadzący do następnych półprzezroczystych drzwi. Korytarzyk przypomina służbę powietrzną, w której ludzie ważni, zamożni i obcy w świecie oczyszczają przez chwilę umysł, przygotowując się do przejścia z chaosu w luksus. Za tymi drugimi drzwiami kawowobrazowy salonik wydaje różne odgłosy. Sprawia wrażenie bardzo odległego i – przynajmniej

z tej strony drzwi – jest czymś na kształt nierealnego wspomnienia. Podchodzimy do drzwi, otwieramy je, wchodzimy do środka, a na spotkanie wychodzi nam kobieta. Jest atrakcyjna, opalona i ma na sobie szary kostium, nie mundurek, ale kostium. Za jej plecami widać duże skórzane fotele i sofy. W większości siedzą na nich biznesmeni – ci z Europy noszą dobrze skrojone garnitury z wąskimi nogawkami, ci z Ameryki mają na sobie luźne sportowe spodnie i koszule, a przy ich paskach wiszą różne gadżety – a także całe rodziny podróżujące klasą biznesową, dzieci bawiące się tabletami lub słuchające muzyki przez słuchawki. Generalnie panuje cisza. Idealne miejsce, żeby się zdrzemnąć. Fotele są głębokie i niewątpliwie miękkie. Duży tłok – Trish zwraca się do kobiety. Ta, choć bez wątpienia jest Niemką, odpowiada jej z brytyjskim akcentem: Zazwyczaj nie mamy tylu gości. Wszyscy wydają się usatysfakcjonowani. Czy można wyobrazić sobie lepszy moment na wykorzystanie przywilejów płynących z prawa wstępu do saloniku dla VIP-ów niż podczas gremialnych opóźnień odlotów? Wszyscy czują się tu jak w domu. Ten dobrostan narusza jedynie nasza obecność. Niektórzy obrzucają nas wzrokiem, szacując, czy zostaniemy wpuszczeni. Za skórzanymi fotelami i stoliczkami do kawy widać ciemny bar z lśniącymi niebieskawo, złociście i zielonkawo butelkami stojącymi na szklanych półkach, z olbrzymimi czerwonymi, nisko

zawieszonymi abażurami. Arażury te – szerokie i okrągłe – przypominają mi jakieś miejsce, ale nie pamiętam, jakie. Kobieta w szarym kostiumie prosi nas o okazanie kart pokładowych lub członkowskich. Zastanawiam się, jak przedstawić jej naszą prośbę. Przed chwilą miałem w głowie gotowy cały scenariusz, ale kiedy zobaczyłem salonik, kiedy w nim stanąłem, doszedłem do wniosku, że scenariusz ten jest bezwartościowy. Bo cóż stoi na przeszkodzie, żeby zjawiły się tu setki ludzi – tacy jak my pasażerowie klasy ekonomicznej – skarżąc się na skrajne wyczerpanie i błagając o miejsce do spania? Gdyby skrajne wyczerpanie mogło być pretekstem do zajęcia fotela w saloniku dla VIP-ów, wszyscy by tutaj przyszli. Nie mogę otworzyć ust. Czuję się, jak podejrzewam, przytłoczony oczywistością faktu, że nie znajdziemy tu dla ojca miejsca do drzemki, oraz własnym zażenowaniem i własną naiwnością, która kazała mi przypuszczać, że to w ogóle możliwe. Powinienem natychmiast wrócić do taty, kupić mu po drodze tabletki przeciwbólowe i przyznać się, że podjęliśmy idiotyczną próbę. Ale nie mogę się ruszyć. Podnoszę wzrok i dociera do mnie, dlaczego te nisko zawieszone abażury wydają mi się dobrze znane. Trish zaczyna coś mówić. Nie słucham jej, bo wiem, że to bezcelowe. Arażury przywodzą mi na myśl pewien zajazd w Szkocji, mieszczący się w małym dworze nad jeziorem w Highlands. W zajeździe tym mama z tatą

spędzili miesiąc miodowy, a później parokrotnie tam wracali. Po śmierci mamy ojciec pojechał tam dwa razy. Abażury tutaj przypominają mi klosze wiszące w restauracji tego zajazdu, w którym na środku sali jadalnej stoją duże osłonięte stoły rozstawione mniej więcej tak, by każdy gość widział jezioro, a nad nimi są te duże czerwone abażury rzucające słabą poświatę na blaty. Takie żyrandole kojarzą się z mafijnymi obiadami w Vegas. Albo tymi, w których uczestniczyli członkowie Rat Pack^[1]. Ojciec zawsze rezerwował jeden i ten sam stół. Siedzieli przy nim z mamą. Kiedyś zasiedliśmy przy nim we troje: tata, moja żona i ja. Potem, przy innej okazji, siedziałem przy nim tylko z ojcem. Całkiem niedawno pojechałem tam sam, ale wszystkie stoły były zajęte. Miriam nigdy nie była w tym zajeździe. Zapraszaliśmy ją, proponowaliśmy jej z tatą, że pokryjemy wszelkie koszty albo chociaż kupimy jej bilet, na co zawsze odpowiadała, że pieniądze nie stanowią problemu, ale jest bardzo zapracowana. Wiem, że ojciec wiele razy chciał przesłać Miriam pieniądze, ale nie sądzę, by je przyjęła. Tata i Miriam nie rozmawiali ze sobą zbyt często, a po jej wyprowadzce z domu przed dwudziestu laty nigdy już jej nie zobaczył. Tłumacząc Trish i sobie, dlaczego to ja, a nie ojciec, powinienem zidentyfikować ciało mojej siostry, powoływałem się na owe minione dwadzieścia lat. Ojciec nie wiedziałby, kogo identyfikuje.

Rozumiem, oczywiście, mówi Trish, zwracając się do kobiety w szarym kostiumie. Odwraca się do mnie i rzuca: Spróbujemy gdzie indziej. Dziękuję kobiecie, że zechciała poświęcić nam czas, choć nie słyszałem rozmowy. Odpowiada, że jest jej przykro, że nie mogą zaoferować ojcu miejsca w saloniku. Czekam przez chwilę na ciąg dalszy wypowiedzi, bo jestem pewien, że coś jeszcze doda, że znajdzie alternatywne rozwiązanie. Ale niczego nie proponuje. Uśmiecha się tylko. Pochyliłem się nieco do przodu, więc się prostuję. Oczywiście, mówię, to żaden problem.

Następnie postanawiamy kupić tacie tabletki przeciwbólowe. Trish masuje sobie skronie i oznajmia mimochodem, że i ją rozboleła głowa. Byłem tak skupiony na własnym niewyspaniu, że nawet nie zauważyłem jej zmęczenia. Ale nie skarży się, a przynajmniej nie mnie. Patrząc na nią, ciągle nie potrafię wyobrazić sobie jej w wojsku, w miejscach, gdzie toczył się prawdziwy konflikt zbrojny. Nie pytałem jej o to. Nie wiedziałbym, o co zapytać. Nigdy nie byłem najlepszego zdania o wojskowych. Nigdy nie byłem najlepszego zdania o patriotyzmie. Mój ojciec uważa, że losy Trish są fascynujące. Mnie bardziej interesuje jej praca w Departamencie Stanu. Co cztery albo pięć lat będzie przenosić się do nowego miasta i tak przez całe życie. Nauczy się kilku nowych języków. Pozna ludzi z całego świata. Nie wie jeszcze, gdzie dostanie kolejny przydział. Z Berlina wróci do

Stanów, prawdopodobnie na rok, a potem wyślą ją gdzie indziej. To wspaniały pomysł na życie, powiedziałem jej podczas pierwszego tygodnia w Berlinie i naprawdę tak uważałem. Jeśli to komuś odpowiada, to owszem, odpowiedziała.

Trish pokazuje aptekę przed nami. Jest zatłoczona. Jest zatłoczona jak każdy sklep i każdy cal kwadratowy terminalu. Choć pora roku sprzyja chorobom i na lotnisku z pewnością jest wielu ludzi bardzo potrzebujących syropu na kaszel, tabletek na przeziębienie i grypę lub czegoś na katar, „drugstore” – nie nazywam już aptek „drugstore’ami”, ale Trish i ojciec trwają przy tym językowym nawyku – wypełniony jest ludźmi, którzy w większości nie chcą niczego kupić. Przypominają mi turystów zwiedzających kaplice i świątynie – poruszają się bardzo wolno, zmierzając mimowiednie ku ołtarzowi, a potem wracają okrężną drogą, udając, że nie są ani obojętni, ani przesadnie głupi. Nie wiem doprawdy, gdzie zaczyna się kolejka. Przeciskam się przez parę osób, przystaję na środku i próbuję nawiązać kontakt wzrokowy ze sprzedawcami przy kasach, do których – jak się przekonałem – ustawiają się w kolejce Niemcy. W końcu zerka na mnie kobieta zza lady, do której zwracam się w moim szczątkowym niemieckim, że potrzebuję paracetamolu. Ostrzega mnie, że jest on substancją toksyczną, wywołującą uszkodzenia organów, a jego przedawkowanie może prowadzić do

śmierci. Trish, która w tym czasie zerka na telefon, podnosi na chwilę głowę, żeby sprawdzić, czy się nie przesłyszała. Niech ją pan poprosi o ibuprofen, podpowiada. Czy jest ibuprofen?, pytam. Sprzedawczyni odpowiada, że jest. Ma na sobie biały laboratoryjny kitel, jest bardzo opalona i nosi szylkretowe okulary, które sprawiają, że wydaje się miłsza niż w rzeczywistości. Ibuprofen, stwierdza, po trzech-czterech latach ciągłego zażywania zmienia strukturę nerek. A potem dodaje: Ból ustąpi do jutra tak czy inaczej bez zażywania leków, a uszkodzeń organów wewnętrznych nie da się naprawić. Zerkam na Trish. Nie wiem, co się dzieje i co powinienem teraz zrobić. Mówi mi: Niemcy nie biorą lekarstw, tylko cierpią. Mówię sprzedawczyni, że chcę ibuprofen. Pytam Trish, czy kupić jej oddzielne opakowanie czy wystarczy jej to, które dostaniemy. Odpowiada, że wystarczy jej jedna tabletką.

Kiedy wsiądziemy do samolotu, mówię, zażyję cztery tabletki, żeby usnąć. Chciałbym usiąść w fotelu, zapiąć pasy, zamknąć oczy podczas kołowania i obudzić się, kiedy podwozie dotknie pasa w Atlancie.

Kiedy był pan ostatni raz w Stanach?, pyta Trish.

Jakiś rok po przejściu ojca na emeryturę, czyli jakieś sześć lat temu.

I wtedy widział go pan z bliska po raz ostatni?

Owszem. Ale wcześniej spotykaliśmy się znacznie częściej.

Tu i ówdzie na szarych wysokich ścianach widać szare drzwi – mijamy ich z pół tuzina, wracając do hallu restauracyjnego. Drzwi są niemal niewidoczne na tle ścian, a obok każdych zamontowano klawiatury dla personelu lotniska. Drzwi są ponumerowane i nic więcej. Założę się, mówi Trish, że mają tu gdzieś pokój wypoczynkowy albo ambulatorium, założę się, że mają tam jakąś kozetkę albo sofę.

Pierwszy mężczyzna, którego zatrzymuje Trish, odsyła nas do lotniskowej kliniki, która jest prawdziwym szpitalem przy porcie lotniczym, ale ojciec nie jest przecież chory, tylko wyczerpany. Klinika mieści się bardzo daleko, w innym terminalu. Następną osobą, którą pytamy, kobieta, jest jeszcze mniej pomocna. To niemożliwe, zwyczajnie niemożliwe, absurdalne i ewidentnie pozbawione logiki – do tego sprowadza się sens jej odpowiedzi. Trish szturmuje ochronę lotniska, wyjmuje paszport dyplomatyczny, protokolarny dowód tożsamości i stwierdza, że jest amerykańskim urzędnikiem konsularnym i potrzebuje pomocy. Prowadzą nas do małej białej kłitki. Do pokoiku zaprojektowanego w taki sposób, żeby każdy, kto się w nim znajdzie, poczuł się nieswojo, więc kiedy tylko przestępuję jego próg, czuję się czemuś winny. Zaczynam się pocić, zalewa mnie fala mdłości – nadciąga głód i zmęczenie. W pokoju biurowym nie ma okien, telefonu, żadnych rupieci ani gratów, nic nie wisi na ścianach – jest tylko

biurko i kilka krzeseł. Prowadzą do niego trzy wejścia i wyjścia: drzwi, przez które weszliśmy i dwoje innych po lewej i prawej stronie, a kiedy w końcu pojawia się jakaś kobieta, przyjmuje nasze żale z obojętnością, która wskazuje, że w każdej chwili może wyjść przez któreś z tych drzwi bez słowa wyjaśnienia. Niczego ze sobą nie przyniosła. Przygląda się nam jak lekarz, który ma przed sobą dwoje hipochondryków. Siada po drugiej stronie biurka i pyta o szczegóły lotu. Zwraca się do nas po angielsku. Trish nie chce używać angielskiego. Podaję nasze karty pokładowe. Żąda paszportu ojca, na co Trish mówi: To nie jest konieczne, to absolutnie nie jest konieczne. Nie mam przy sobie paszportu ojca, stwierdzam. Kobieta bardzo powoli podnosi wzrok znad naszych kart pokładowych, jakby chciała powiedzieć: Jak mam panu pomóc, jeśli nie ma pan paszportu ojca?

Czy zdaje sobie pani sprawę, z jakiego powodu tutaj jesteśmy?, pyta Trish.

Kobieta nie odpowiada na to pytanie. Stwierdza natomiast, że jest tu po to, żeby zebrać o nas informacje. I właśnie wtedy uświadamiam sobie – a Trish uświadamia sobie to samo dokładnie w tym samym momencie, bo delikatnie ukrywa twarz w dłoniach – że pokój ten jest miejscem, w którym powoli, w mękach odmawia się spełniania próśb, że w tym pokoju absolutnie nic nie jest możliwe. Chodźmy, mówi Trish. Proszę o oddanie kart

pokładowych. Kobieta nie chce mi ich oddać i przez ułamek sekundy świta mi w głowie myśl, że zostaliśmy zatrzymani, co jest, rzecz jasna, absurdem, ale w tym pokoju właśnie tak należy się czuć. Kobieta oddaje mi w końcu te karty. Uśmiecha się, jakby wyświadczyła nam przysługę, po czym wychodzi bocznymi drzwiami, lecz nie tymi, którymi weszła. To każe mi przypuszczać, że obok są inne, podobne do tego pokoje, a ona przechodzi z jednego do drugiego, po kolei, i spotyka się z ludźmi takimi jak my, z ludźmi zgłaszającymi histeryczne żądania, które po kolei odrzuca. Gdy wychodzimy z pokoju, pytam: Kiedy nauczyła się pani niemieckiego? Kiedy tu przyjechałam przed dwoma laty, odpowiada. Bierze pani lekcje?, pytam. Mam lekcje z arabskiego i chińskiego, mówi, dwa razy w tygodniu z każdego języka. Ale niemieckiego już się pani nie uczy, stwierdzam. Znam niemiecki, odpowiada.

Wracamy do ojca. Siedzi wyprostowany na krześle, ma otwarte oczy, lecz nieobecny wzrok i wygląda na nieprzytomnego. Przez chwilę wydaje mi się, że będę musiał nim potrząsnąć, a potem przychodzi mi do głowy, że umarł. Zastanawiam się, czy nie podnieść jego rąk i nie sprawdzić, czy opadną. Zastanawiam się, czy nie krzyknąć: Obudź się! Ale zamiast tego stoję, czekam i obserwuję go uważnie. Jeśli naprawdę umarł, myślę – i wtedy przesywa mnie ostry niepożądany dreszcz – będę musiał pochować ich oboje, jego

i Miriam, i będę zmuszony wprowadzić się na stałe do jego domu. Przyjdzie mi wejść w jego skórę i odziedziczyć jego styl życia. Widzę siebie – trochę starszego i trochę grubszego – w basenie ojca, spalonego na raka, pijanego. Pływam po basenie w dmuchanym fotelu z tacką na szklanki. Od czasu do czasu dla ochłody chlapię się wodą i raz po raz zapadam w długą drzemkę. W tle słychać włączony telewizor, w którym nadają mecze golfowe lub wiadomości finansowe. Nikogo nie ma w pobliżu, czyściciel basenów przychodzi w poniedziałki, ogrodnik we wtorki, a sprzątaczką w piątki. Nie odbieram telefonów. Co pewien czas wsiadam do półciężarówki i jadę do sklepu z narzędziami, do ogrodniczego lub spożywczego hipermarketu. Jeżdżę tam najwolniej, jak się da i płacę kuponami. Ojciec mruga powiekami, świadomość wraca mu, jakby w głowie rozdzwoniły mu się dzwony, patrzy na nas i pyta: Poszcześnieście się wam? Trish odpowiada: Niestety, przykro mi.

Próbowaliśmy wszędzie, dodaję, oprócz szpitala.

Na co tata mówi: Wiecie, czuję się całkiem znośnie. Chyba usnąłem. Jak długo was nie było?

Jakieś pół godziny, co najmniej, odpowiadam.

Tak, mówi, musiałem zasnąć na dobre pół godziny i to mi pomogło. Ale strasznie łamie mnie w krzyżu. Więc chodźmy się przejść. Kupiłeś coś od bólu głowy? Ibuprofen, odpowiadam. Wypycham dwie tabletki

z listka i podaję je ojcu. Połyka, nie popijając wodą. Sam zażywam dwie kolejne tabletki. A dwie podaję Trish, która chowa je do torebki, do bocznej kieszonki, na później. Z przygnębieniem spogląda na nasze tace z jedzeniem. Nietkniętym. Jesteście absolutnie pewni, że nie zjecie niczego innego?, pyta. Nie mogę, przepraszam, odpowiada ojciec. Może później, mówię. Trish niemal niezauważalnie kręci głową. Ojciec wstaje. Chwieje się trochę na nogach. Siedział bardzo długo i niemal opada ponownie na krzesło. Podczas tej podróży częstokroć pomagałem mu wstawać, chodzić lub siadać, lecz ciągle wprawia mnie to w zakłopotanie. Kiedy widziałem go poprzednim razem, przed sześcioma laty, tuż po jego przejściu na emeryturę, był w dobrej formie, stał mocno na nogach i miał dość sił, by zdejmować ciężkie ładunki z półciężarówki. Teraz, po upływie zaledwie sześciu lat, stał się starcem. Słabowitym starcem. Nie jest w stanie unieść żadnego ciężaru. Szybko się męczy. Jest to zresztą zupełnie normalne dla ludzi w jego wieku. Zadziwiający jest natomiast to, jak dobrze się trzymał, mając siedemdziesiąt lat. Teraz prowadzałem go pod górę. Sprowadzałem po schodach. Przeprowadzałem pod ramię przez ruchliwe arterie. Kazałem mu obejmować się za szyję i wynosiłem go z taksówek. Któregoś wieczoru położyłem go do łóżka, bo zakręciło mu się w głowie i brakowało mu tchu, ale nie zgodził się pojechać do szpitala. Kiedy zgasilem

światło, powiedział: Dobranoc, synu. Dobranoc, tato, odpowiedziałem. Teraz, kiedy chwieje się na nogach i prawie znów siada, ujmuję go za ramię. Wyprowadzam z za stołu. Odzyskuje równowagę – powoli, co widać w jego oczach – staje pewniej i wysuwa ramię spod mojego łokcia. Wszystko w porządku?, pytam. Nic mi nie jest, odpowiada. Zwolnione przez nas przy stole cztery krzesła bez zbędnej gadaniny zajmują inni.

Kiedy przyjechaliśmy z ojcem rano na lotnisko, pożegnaliśmy się z kierowcą – Turkiem w obszernej kurtce z obszytym futrem kapturem – i odbyliśmy krótką sprzeczkę, czy dać mu napiwek czy też nie. W końcu nie daliśmy. Podziękowaliśmy mu zwyczajnie, a on życzył nam bezpiecznego lotu. Było jeszcze ciemno, ale jaskrawe białe oświetlenie wzdłuż wejścia do hali odlotów sprawiało, że mrok lśnił we mgle. Odprowadzaliśmy wzrokiem odjeżdżający mikrobus. Jakaś część mnie chciała zawołać do kierowcy: Posłuchaj pan, popełniliśmy błąd! Może zabrałby nas pan z powrotem do hotelu? Może zlitują się nad nami i pozwolą zająć na dwie-trzy godziny któryś ze zwolnionych przez nas pokoi. A jeśli nie, to przynajmniej przysiadzimy na sofie w lobby i zmrużymy na chwilę oczy. Nie wiem, jakim cudem jeszcze nie usnąłem, nie wiem, jakim cudem ojciec jeszcze nie śpi. Przez ostatnie dwie doby przespałem może ze cztery, najwyżej pięć godzin, a ojciec

prawdopodobnie jeszcze mniej. Przyjechaliśmy do Monachium wczoraj bardzo wcześnie, nocnym pociągiem, po czym złożyliśmy wizytę w domu pogrzebowym, żeby upewnić się, że ciało Miriam dowieziono bez problemów i że wszystko jest przygotowane do dzisiejszego odlotu. W pociągu mieliśmy dla siebie cały przedział. Kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że już nikt się do nas nie dosiadzie, zamknęliśmy drzwi na noc i doszliśmy do wniosku, że z pewnością zdołamy usnąć. Rozłożyliśmy fotele, zamieniając je w leżanki, które zajęły cały przedział. Leżanki były szerokie. Chociaż zarezerwowaliśmy miejsca obok siebie, to mając do dyspozycji cały przedział, rozłożyliśmy fotele po przeciwnych stronach, zostawiając między nimi miejsce. Położyliśmy się, oparliśmy głowy o poduszki, ale pękaty fotel pomiędzy nami uniemożliwiał nam obserwowanie własnych twarzy – widzieliśmy tylko swoje torsy, nogi i stopy. Przykryliśmy się białymi kocami. Były szorstkie i pachniały mydłem. Ojciec nie miał ze sobą żadnej książki, więc dałem mu pismo muzyczne, które przezornie zabrałem. Przejrzał je pobieżnie, westchnął i zapytał, czy może zgasić światło. Oczywiście, odpowiedziałem i włączyłem małą lampkę na konsoli za moją leżanką. Czytałem książkę o wojnie trzydziestoletniej w Europie – najbardziej ze wszystkich lubię książki historyczne, a ten tom kupiłem w angielskiej księgarni niedaleko

mieszkania Miriam w Berlinie. Przez godzinę czytałem i robiłem notatki, a potem zgasilem lampkę i zamknąłem oczy. Nie mogę zasnąć, odezwał się ojciec, nic nie pomaga, możesz włączyć tę lampkę, jeśli chcesz. To fascynująca książka, zauważyłem. Zawsze robisz notatki, tylko po co?, zapytał. *Nie zawsze* robiłem notatki, odrzekłem.

Ależ tak! Możesz już tego nie pamiętać, ale zawsze robiłeś notatki.

Naprawdę?

Robiłeś to, odkąd twoja matka była w ciąży z Miriam. Monitorowała rozwój ciąży, bo w ciąży z tobą miała wiele problemów, a ty monitorowałeś ciążę z Miriam wraz z nią. Potem już nigdy nie przestałeś. Kiedy Miriam miała cztery czy pięć lat, nauczyłeś ją sporządzać notatki.

Bez nich nie potrafię się skupić, odpowiedziałem.

Ze mną jest tak samo, a przynajmniej było, mruknął. Ale co z nimi robisz, kiedy już je zapiszesz?

Zastanawiałem się przez chwilę. Nic, odpowiedziałem. Przechowuję je w pamięci, jak przypuszczam.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, a kiedy stało się jasne, że szybko nie uśniemy, rozsunałem szeroko zasłony, żeby podziwiać krajobraz za oknem. Oparliśmy się na poduszkach i wpatrywaliśmy się w mknącą za oknem nocną okolicę. Pociąg w ogóle nie trząsł, jakbyśmy lecieli. Przebijaliśmy się przez

pojedyncze kłęby mgły. Widzieliśmy śnieg. Padał deszcz ze śniegiem. Co jakiś czas mijaliśmy coś rozświetlonego – jakiś most albo twierdzę w oddali. Od czasu do czasu pociąg zwalniał na zamglonej stacji lub w spowitych mgłą miastach. Czasem się zatrzymywał, sycząc i dysząc hydrauliką. Ojciec usiłował mnie przekonać, że kiedy wrócimy do Stanów, powinienem zostać w domu przez jakiś czas. Jego zdaniem było całkiem oczywiste, że powinienem wydostać się z Londynu, nawet jeśli wydostanie się z Londynu nie było oczywiste dla mnie, nawet jeśli w ogóle nie przyszło mi to do głowy. Tłumaczyłem mu, że świetnie daję sobie radę i że to niemożliwe. Że muszę wrócić do pracy. Po tej wymianie zdań zaczęliśmy przysypiać, ale noc już dobiegała końca. Kiedy znaleźliśmy się w Monachium w domu pogrzebowym, właściciel zapytał, czy chcemy obejrzeć trumnę, zamkniętą trumnę, na co ojciec odpowiedział zaskakująco, że nie jest to konieczne, że zaczekamy z tym do przylotu do Stanów.

Kiedy mikrobus zniknął nam z oczu, stwierdziłem, że napiłbym się kawy. Ja też napiłbym się kawy, odpowiedział ojciec, która jest godzina? Szósta, poinformowałem go. O której spotykamy się z Trish?, zapytał. Koło dziesiątej, odrzekłem. Na co ojciec westchnął: Och. Choć wiedział doskonale, która jest godzina i że będziemy musieli czekać na spotkanie z Trish do dziesiątej. Obawiałem się, że zacznie

narzekać, że nie powinienem był pozwolić mu wyjechać tak wcześnie z hotelu, że powinienem był zmusić go do snu, ale tylko ziewnął. Spojrzał za siebie w głąb wejścia i dalej na budowlę lotniska, która od tej strony – od strony odlotów – przypomina wielką szklaną skrzynię z czterema ułożonymi schodkowo poziomami w środku. Zastanawiał się pewnie, czy nie zabraknie mu miejsca na przeżywanie zmartwień i bólu. Wczoraj, kiedy przyjechaliśmy do Monachium, zostawiliśmy bagaże na stacji, ponieważ w hotelu mogliśmy się zameldować dopiero po południu. Wizyta w domu pogrzebowym rozstroiła ojca i wcale nie była konieczna, bo wszystko dałoby się potwierdzić przez telefon. Zapytał, czy trumna zostanie załadowana na pokład samolotu w sposób dyskretny i godny. Właściciel zapewnił nas, że tak. Co więcej, trumna znajdzie się w innym luku niż pozostałe bagaże. Spocznie w specjalnie wydzielonej części luku bagażowego i zostanie tam złożona przez pracowników zakładu pogrzebowego w pełen godności sposób, oczywiście przy pełnej współpracy personelu obsługującego załadunek bagaży. Pracownicy zakładu pogrzebowego zadbają o to, by odpowiednio zabezpieczyć trumnę. A co z naszą przesiadką w Atlancie?, zapytał ojciec. Właściciel zakładu pogrzebowego, który był średniego wzrostu, łysy, miał gęste wąsy i zwyczajowy czarny garnitur, białą koszulę i czarny krawat, odpowiedział, że

amerykański zakład pogrzebowy, który z mocy umowy odbierze ciało, zadba o to, aby w Atlancie wszystko odbyło się w najwłaściwszy sposób. Po tej rozmowie zostało nam jeszcze kilka godzin do zameldowania się w lotniskowym hotelu. Przed naszym wyjazdem z Berlina Trish zaproponowała, że spotka się z nami w Monachium, zaprosi nas na kawę albo drinka, ale ojciec odpowiedział, że nie byłoby to właściwe ani konieczne i że wystarczy, jeśli spotka się z nami w niedzielę na lotnisku. Lecz kiedy tylko wyszliśmy z zakładu pogrzebowego, przekonałem się, że bardzo żałuje jej nieobecności. Chciał ją zobaczyć. Miał nerwy w strzępach, pobladł, oczy nabiegły mu krwią i nabrały melancholijnego wyrazu, a ja doszedłem do wniosku, że stało się tak, ponieważ nie miał już nic do załatwienia przed naszym odlotem. Powiedziałem mu, że chcę się wybrać do muzeum, w którym znajdują się obrazy Klimta. Jest wśród nich płótno, które uwielbiałem przez całe dorosłe życie, choć widziałem je tylko w albumach lub na ekranie komputera: *Muzyka I*. Ojciec był zawiedziony moją postawą. Powiedziałem mu, żeby poszedł na spacer i spotkał się ze mną później.

Odwrócił się do mnie przodem. Ciągłe ziewał, więc i ja zacząłem. Było zimno, wietrznie i wilgotno. Niczego nie było widać. Zamiast wejść szybkim krokiem do środka, staliśmy we mgle. Zbyt dużo czasu spędziliśmy w różnych wnętrzach, wdychając

nieświeże powietrze. Staralem się nie myśleć o czekającej nas podróży. Staralem się myśleć tylko o jej celu, o lądowaniu i odbieraniu bagażu. W domu jest teraz upalnie, więc kiedy wysiądziemy nocą z samolotu, poczujemy na sobie ciężar ubrań. Pogrzeb odbędzie się za dwa dni, we wtorek. Doradzałem ojcu skromną rodzinną uroczystość, ale zaprosił wszystkich starych przyjaciół mamy, więc uroczystość nie będzie skromna. Podał Trish numery telefonów najbliższych przyjaciółek mamy – kobiet, z którymi prawdopodobnie nie rozmawiał od śmierci żony, od jej pogrzebu – a one wzięły sprawy w swoje ręce. Samochód ojca stoi na parkingu lotniska. Tata twierdzi, że zaparkował go na długo, ja jednak obawiam się, że o tym zapomniał i że będziemy musieli dopłacić za parking kilkaset dolarów. Pojedziemy do domu, opuściwszy szyby w samochodzie. Ja będę prowadził. Z lotniska do domu taty jedzie się jakieś czterdzieści pięć minut. Przejeżdża się przez długie połacie sosnowych lasów i bagien, a nad drogą międzystanową górują mrugające światłami rafinerie. Wszystko to leży bardzo blisko zatoki. Powietrze cuchnie ściekami, ropą i solą. Kiedy znajdziemy się w domu, tata zapali światła w kuchni i w salonie, nigdzie indziej, po czym pójdzie do łazienki i zażyje różne tabletki. Przejrzy pocztę, nie otwierając kopert. Może przejdziemy się po ciemku po tylnym podwórku. Może zamoczę stopę

w basenie. Usiądziemy przed telewizorem, znajdziemy jakiś film albo mecz golfowy i sprawdzimy pogodę. Ojciec parę razy zapadnie w drzemkę i stwierdzi w końcu, że czas się położyć. Wstanie z sofy, ziewnie, przeciągnie się, żeby pozbyć się zeszywnienia ramion, szyi oraz pleców, i ruszy sennie korytarzem do sypialni. Odwróci się, zaszaluje i powie: Do zobaczenia rano.

Kiedy przed dwudziestu laty zmarła moja matka, spodziewałem się, że ojciec, Miriam i ja przeżyjemy wspólnie krótką, ukierunkowaną do wewnątrz żałobę. Myślałem, że kiedy przylecę z Londynu na pogrzeb, zastanę ojca i siostrę pogrążonych w bólu i że zrodzi się między nami jakaś bliskość, wzmożone poczucie odpowiedzialności za dobro każdego z nas. Liczyłem na to, że spędzimy w domu razem kilka dni, że będziemy jeść wspólnie obiady, sprzątać, rozmawiać o tym, czy sprzedać dom czy raczej go odnowić. Mama przed śmiercią zalecała nam późniejszą sprzedaż i wyprowadzkę lub też, jeśli tego nie zrobimy, wyremontowanie domu, zburzenie kilku ścian, unowocześnienie wnętrza i wybicie świetlików. Kiedy mama się rozchorowała, Miriam powiedziała mi przez telefon, że chce rzucić studia i podróżować. Potrzebowała sporo czasu na zebranie punktów niezbędnych do zaliczenia trzech lat w college'u, w każdym razie poświęciła na to więcej niż trzy lata. Studia szły jej znakomicie, ale brakowało jej

motywacji, a chodzenie na zajęcia, zdawanie egzaminów, uczenie się i pisanie o rzeczach, które jej nie interesowały, trwało już, jej zdaniem, zbyt długo. Wiedziałem, jak bardzo zależy jej na wyjeździe z kraju – zależało jej na tym tak samo jak mnie, a im dłużej mieszkalem w Londynie, tym większe zadowolenie sprawiała mi decyzja o opuszczeniu domu. Miriam mogła wreszcie wyjechać. Zaoszczędziłem kilkaset funtów i zamieniłem je na czeki podróżne American Express z zamiarem podarowania ich siostrze.

Mama umarła w wieku pięćdziesięciu trzech lat. Poznali się z ojcem w Nowym Jorku. Tata studiował historię w Princeton. Mama przebywała w Vassar, gdzie studiowała antropologię. Pochodziła ze stosunkowo prominentnej i bardzo konserwatywnej rodziny z Południa i mawiała, że przyniosła jej wstyd, wybierając college na północnym wschodzie, spędzając mnóstwo czasu w Nowym Jorku i spotykając się z urodzonym w Niemczech studentem, który nie był ani przystojny, ani ujmujący czy choćby nawet krzepki – był za to cichy i spokojny, umiarkowanie inteligentny i nie miał, zdaje się, żadnej rodziny, gdyż jego matka mieszkała sama w Kalifornii i w ogóle się z nią nie widywał. Rodzice pobrali się po uzyskaniu przez mamę dyplomu. Tata napisał doktorat i zaczął wykładać w Kalifornii. Mama przeniosła się do niego. Czasami zdarzało mi się przeglądać album, w którym były fotografie małego zielonego domku, stojącego na

skrawku wyschniętej trawy. Na jednej z nich mama i tata stali w słońcu przed domkiem. Tata obejmował mamę w pasie. Mama uśmiechała się, a tata nie, choć uśmiecha się przez cały czas, ale nigdy na fotografiach. Nie wiem, czy rodzice mieli tam jakichś przyjaciół, ale wyobrażam sobie, że chodzili na przyjęcia i czuli się częścią pewnej społeczności. Wyglądali na parę, którą chce się poznać bliżej. Kiedy byłem nastolatkiem, fotografia ta kazała mi przypuszczać, że dla mamy – po czterech zakończonych sukcesem latach w Vassar – zamieszkanie w maleńkiej zielonej chatce stojącej na suchym kalifornijskim trawniku, u boku męża, który wykładał historię na liberalnym uniwersytecie, stało się jej małym triumfem nad ludźmi, wśród których się wychowała.

Nie było mi jednak dane zostać Kalifornijczykiem. Tuż po moim przyjściu na świat rozchorowała się matka mojej mamy – na tę samą chorobę, na którą później zmarła mama – więc mama i ja wróciliśmy do jej rodzinnego miasta. Przypuszczam, że założenie było takie, że tata wkrótce do nas dołączy. Spodobała mu się myśl, że jego dzieci będą się wychowywać w miejscu, w którym rodzina mamy głęboko zapuściła korzenie i miał zamiar znaleźć dla siebie porównywalne z kalifornijskim stanowisko na porównywalnej z kalifornijską uczelni w regionie. Chcieli mieć więcej dzieci, o wiele więcej. Ale kiedy mama zaszła w ciążę z Miriam, tacie zaoferowano

redakcję pisma naukowego. Nie mógł, jak twierdziła mama, odmówić, gdyż z zawodowego punktu widzenia było to wielkie osiągnięcie. Naturalną kolejną rzeczą powinien, jestem pewien, spakować żonę i dzieci, i przenieść nas na powrót do Kalifornii, ale nie zrobił tego. Przyjeżdżał do domu latem i w przerwach semestralnych oraz kiedy prowadził gościnne wykłady na położonych w pobliżu uczelniach. Jednak aż do emerytury pozostał pełnoetatowym profesorem w Kalifornii. W dzieciństwie nie miałem poczucia, że ten małżeński układ był przyczyną frustracji któregoś z rodziców czy nawet obojga rodziców. Przypuszczam, że ta sytuacja do pewnego stopnia im odpowiadała. Dla mamy z pewnością nie było to łatwe, a ojciec, który prawdopodobnie nigdy nie wyzbył się myśli, że układ ten jest tylko tymczasowy, z czasem nabawił się z tej przyczyny poczucia wstydu – tym większego, że żona i dzieci nigdy go o nic nie obwiniali.

Ojciec miał wiele miesięcy, żeby przygotować się na śmierć mamy. Ale kiedy umarła, oznajmił nam, że zabrakło mu czasu na zastanowienie się, co zrobić z domem – sprzedać go czy wyremontować. Miał mnóstwo na głowie i natychmiast wrócił do Kalifornii, do zajęć na uczelni, choć nie do pisania książki. Mama zostawiła spadek. Nie zapisała wszystkiego ojcu, lecz podzieliła całość równo, pomiędzy nas troje. Czeki podróżne, które chciałem podarować Miriam, wydały

mi się niepotrzebną dobroczynnością.

Wróciłem do Londynu. Poznałem pewną kobietę, prawniczkę. Bardzo szybko się zaręczyliśmy. Zaręczyliśmy się, zanim poinformowaliśmy o swoim istnieniu naszych rodziców. Mój ojciec uznał to za wielce niestosowne i zareagował odmową przylotu – z powodu braku czasu – na nasz ślub, choć nie wyznaczaliśmy jeszcze jego daty. Jej rodzice byli równie niezadowoleni. Więc pobraliśmy się po kryjomu, prawie nikogo wcześniej nie zapraszając. Jej rodzice ostatecznie obdarowali córkę olbrzymim posagiem w gotówce. Posag i mój spadek pozwoliły nam kupić eleganckie mieszkanie przy Fulham Broadway.

Dowiedziałem się o śmierci Miriam pierwszy, przed ojcem. Zadzwoiła do mnie berlińska policja. Szedłem właśnie na spotkanie w firmie – firmie kosmonautycznej – która wybrała mnie do pewnego projektu. Choć zachowałem oficjalny status konsultanta, miałem pracować w ich kwaterze przez pięć dni w tygodniu, a kontrakt opiewał na dwa lata. Spotkanie, na które się wybierałem, miało być czymś w rodzaju wprowadzenia. Przylecieli jacyś ludzie z Paryża – kwatera główna firmy mieściła się we Francji – a po spotkaniu przewidziano lunch. To wszystko wydarzyło się nieco ponad trzy tygodnie temu. W Londynie był chłodny ranek. Kiedy wchodziłem do sali posiedzeń, zadzwonił telefon.

Miałem zamiar go zignorować, ale numer nie był angielski, lecz niemiecki, więc pomyślałem, że to Miriam, a ponieważ nigdy do mnie nie dzwoniła, sprawa musiała być pilna. Poprosiłem o wybaczenie i odebrałem telefon. Oczywiście nie dzwoniła Miriam i początkowo nie miałem pojęcia, z kim rozmawiam i o czym. Stałem pod oknem, za którym biegła wąska alejka. Słyszałem w telefonie współczujący głos policjantki. Zapytała o moją tożsamość. Przedstawiłem się. Nigdy w życiu nie odebrałem telefonu od policji. Kobieta wytłumaczyła mi, że Miriam nie żyje. Nie pamiętam, jak na to zareagowałem. Pamiętam natomiast, że zapytałem w pewnym momencie, czy powiadomiono ojca. Policjantka nie odpowiedziała od razu, a ja uświadomiłem sobie, że gdyby go powiadomiono, to on by do mnie zadzwonił, a nie berlińska policja, więc zamieniłem pytanie w stwierdzenie, brzmiące jak głośnie wyrażanie myśli. Będę musiał poinformować ojca, powiedziałem. I znów cisza po drugiej stronie, jakby na coś czekano. Sala posiedzeń zapełniała się. Widziałem bez odwracania głowy – okno, przy którym stałem było dosyć daleko w wejściowym korytarzyku – że wszyscy zasiedli już przy stole konferencyjnym, że są przygotowani, że z zapalem przerzucają dokumenty. Słyszałem ciche, przytłumione rozmowy dobiegające ze wszystkich stron. Jak w biurze. Był koniec tygodnia. Jak mnie pani znalazła?, zapytałem

wreszcie policjantkę. Odpowiedziała i najogólniej objaśniła mi procedurę powiadamiania o czyjejs śmierci, a ja słuchałem jej bardzo uważnie. Doszedłem do wniosku, że powinienem o tym wiedzieć, żeby wyjaśnić wszystko ojcu. Przyszło mi do głowy, że ojciec wpadnie w histerię, z którą w żaden sposób nie zdołam sobie poradzić, więc zastosuję jako środek przeciwbólowy – żeby oderwać jego myśli od nagłej straty – informację o osobliwościach powiadamiania o zgonach w Niemczech. Doskonale pamiętam, jak wpatrywałem się w wąską alejkę podczas wyjaśnień policjantki. Tłumaczyła wszystko cierpliwie i uprzejmie, a ja w którymś momencie zdałem sobie sprawę, że będę musiał polecieć do Berlina i że będzie tam musiał polecieć również mój ojciec. Spotkam się z ojcem po raz pierwszy od sześciu lat, lecz tym razem Miriam w pewnym sensie także będzie z nami.

Podczas wyjaśnień policjantki zbliżył się do mnie na palcach jakiś człowiek, stanął w pewnej odległości za moimi plecami i szepnął na tyle głośno, że nie mogłem go zignorować: Czy wszystko w porządku? Odwróciłem się i wyprostowałem, chciałem unieść do góry kciuk i uśmiechnąć się, ale zauważyłem, że wskazuje palcem nadgarstek, zegarek na nadgarstku, i że jest poirytowany. Czy wszystko w porządku?, powtórzył głośniej. Nie uśmiechnąłem się do niego, uniosłem do góry dwa palce i powiedziałem bezgłośnie: Dwie minuty. Kiedy policjantka skończyła

objaśniać procedurę powiadomień o zgonach, przeszła do naszej sprawy, do Miriam. Znalezione ją w jej mieszkaniu. Podczas przeszukania natrafiono na mój numer telefonu. Procedura wymaga, aby przyczynę zgonu ustalił lekarz sądowy, a następnie ciało, ciało Miriam, zostanie wydane rodzinie. Jak długo to potrwa?, zapytałem. Niezbyt długo, odpowiedziała. Choć okazało się inaczej, nie sądzę, żeby policjantka kłamała. „Niezbyt długo” po prostu oznaczało dla niej coś innego niż dla mnie. Zapytałem ją, co się stanie po wydaniu ciała, a ona podała mi dane kontaktowe osoby z amerykańskiej ambasady, osoby wprowadzonej już w pełni w sprawę, osoby, z którą powinienem skontaktować się jak najprędzej. Osobą tą okazała się Trish. Rozłączyłem się. Podszedłem do stołu konferencyjnego i przeprosiłem wszystkich za opóźnienie rozpoczęcia spotkania. Nie zadano mi żadnych pytań na temat rozmowy, choć jedna z kobiet przy stole wyglądała, jakby chciała zapytać uprzejmie, czy nie powinienem pójść do domu. W sali posiedzeń siedziała dyrektorka marketingu, starsza menedżerka marketingu, dwaj starsi menedżerowie sprzedaży – to właśnie jeden z nich podszedł do mnie w korytarzyku, żeby mnie popędzić – oraz ta kobieta, która wydawała się inna od pozostałych i być może pracowała w kadrach, nie pamiętam. Sala znajdowała się w odrestaurowanej części wspaniałego starego budynku i miała szklane

ściany, przez które widzieliśmy ludzi pracujących w sąsiednich przeszklonych gabinetach, a oni widzieli nas. Już wcześniej wprowadzono mnie w projekt, którym miałem się zajmować, teraz natomiast zapoznano mnie z nim szczegółowo. Podsunąłem parę pomysłów, które opracowywałem. Dyrektorka marketingu miała francuskie nazwisko, ale mówiła z londyńskim akcentem. Była siwa i krótko ostrzyżona. Wybitnie inteligentna. Starsza menedżerka marketingu była młodsza ode mnie, jeszcze przed trzydziestką. Dwaj menedżerowie sprzedaży – jeden niski i rudy, drugi wysoki, o kruczoczarnych włosach – mieli identyczne garnitury i albo bali się, albo nienawidzili dyrektorki marketingu, bez której – co łatwo było poznać – nie daliby sobie rady. Kobieta, która mogła pracować w kadrach, wraz z każdym wypowiedzanym przeze mnie zdaniem wydawała się coraz bardziej mną rozczarowana. W efekcie byłem coraz bardziej rozczarowany sobą. Spotkanie dobiegło końca i wszyscy wydawali się usatysfakcjonowani, a ja z zaskoczeniem stwierdziłem, że moja prezentacja stała się bardziej przekonująca wskutek odrętwienia, w jakim ją przedstawiałem. Byłem więc dziwnie podekscytowany pokonaniem z takim powodzeniem pierwszej przeszkody, a jednocześnie doświadczałem bolesnych, acz krótkich paroksyzmów lęku i załamania. Lunch miał się odbyć we francuskiej restauracji, której nie znałem. Znali ją niewątpliwie

i lubili ludzie z Paryża. Ceny będą w niej zapewne niebotyczne. Wszyscy będą jeść, jeść i jeść. Wino, które zamówimy, byłoby dla nas nieosiągalne, gdyby nie karta na koszty reprezentacyjne firmy i choć będzie smakowało wyśmienicie, wszyscy będą udawali, że jest takie sobie i że pijali już lepsze wina o podobnym standardzie. To wszystko przemknęło mi przez głowę, kiedy podano mi nazwę restauracji – którą zapomniałem – i wszystko to okazało się prawdą. Objedliśmy się tak bardzo, że było nam niedobrze. Zamówiliśmy po kilka dań oraz deserów i upiliśmy się – szczególnie zespół z Londynu. Mężczyźni i kobiety z zespołu paryskiego byli niewiarygodnie atrakcyjni, a zespół londyński wyglądał przy nich wręcz odpychająco – jak zresztą wyglądałby zespół każdej innej narodowości. Byli to naprawdę najbardziej urodziwi ludzie, jakich w życiu widziałem. Anglicy, powiedział jeden z Francuzów w toalecie – stał przy pisuarze i rozpinał rozporek, a ja myłem ręce i przyglądałem mu się w lustrze – to zdeformowana i odrażająca rasa. Uśmiechnąłem się. Nie miałem pojęcia, czy wie, że jestem Amerykaninem, w związku z tym pozwala sobie na obrażanie Anglików czy może uznał mnie za Anglika i chciał w cztery oczy przekazać mi, jak bardzo zniesmacza go moje oblicze. Tak czy inaczej, powiedziałem mu, że nie będę z nim dyskutował, jeśli chce porównywać Anglików z Francuzami. Moja matka była piękna i wywodziła się

ze starożytnego szkockiego rodu. Szkoda, że ani Miriam, ani ja nie byliśmy do niej podobni.

Między spotkaniem wprowadzającym a lunchem wybrałem się na spacer. Dyrektorka marketingu chciała mnie oprowadzić po firmie, zapoznać z personelem, opowiedzieć, co i dlaczego każdy z nich robi, musiałem jednak zadzwonić do ojca i do ambasady w Berlinie. Przeprosiłem ją i wytłumaczyłem, że mam do przeprowadzenia bardzo pilną rozmowę ze Stanami Zjednoczonymi, obiecując jednocześnie, że przedstawię się wszystkim w restauracji. Na dworze było ciągle chłodno, ciągle wietrznie i ciągle pochmurno. Pomyślałem, że zacznie padać, ale – o ile pamiętam – nie zaczęło. Albo jeśli zaczęło, to była to tylko mżawka. Przeszedłem się znacznie dalej, niż się spodziewałem. Wyszedłem z budynku, w którym mieściła się firma kosmonautyczna, i wyjąłem telefon, ale nie zadzwoniłem. Schowałem go do kieszeni i ruszyłem w stronę Covent Garden, a potem jeszcze dalej, meandrując, zaglądając w witryny sklepów, kawiarni i małych firm. Kiedy wychodziłem, nie miałem świadomego zamiaru dojścia aż do Bedford Square. Zwyczajnie skręcałem, a droga prowadziła mnie w tamtym kierunku. Przyglądałem się wszystkim zacisznym miejscom, które mijałem – takim, z których mógłbym spokojnie zadzwonić – i odrzucałem je bez powodu. Bedford Square jest miejscem, które zawsze

dziwnie mnie pociągało, i jestem przekonany, że w którymś momencie spaceru jakiś głos w mojej głowie powiedział: No cóż, znów zmierzamy na Bedford Square. Nie byłem tam od mniej więcej roku – od mojej ostatniej randki z kobietą, z którą się wtedy spotykałem.

Do parku na Bedford Square wstęp mają jedynie mieszkańcy okolicy, ale przed czarnym, żeliwnym, otaczającym park ogrodzeniem stoi kilka ławek. Kobieta, z którą romansowałem, miała – co ciekawe – klucz do parku, prawdopodobnie dlatego, że pracowała w British Museum. Przysiadłem na chwilę na jednej z ławek, ale było tak zimno, że zaraz wstałem i ruszyłem wolnym krokiem wokół parku. Na placu panowała, jak zwykle zresztą, wyjątkowa cisza. Drzewa są tu olbrzymie i choć zrzuciły już liście na zimę, konary sięgały wysoko i przesłaniały niebo. Wpatrywałem się w nie przez chwilę. Mimo że bywałem tu wiele razy, wciąż nie potrafię wyjść z podziwu, że tak ładna i przytulna część Londynu położona jest zaledwie o kilka przecznic od Oxford Street i Tottenham Court Road, które w pewnych porach dnia przypominają piekło na ziemi. W całym Bloomsbury można znaleźć takie ciche zakątki. Placyki, których nikt nie zna albo uznaje za zbyt nudne do zwiedzania. Bedford Square był jednym z pierwszych miejsc, w którym usiadłem i tak naprawdę pomyślałem: jestem w Londynie. Zapewne

z tej przyczyny plac ten zyskał w moich oczach niemal sakralny wymiar. Wędrując powoli wokół obrzeży parku, wyjąłem telefon, powtórzyłem sobie to, co powinienem powiedzieć ojcu, i zadzwoniłem. Rozległ się pięciokrotny sygnał. Ojciec zazwyczaj natychmiast odbiera telefon. Nagle przypomniałem sobie o różnicy czasu. W domu była szósta rano. Rozłączyłem się. Po chwili zadzwonił mój telefon. Oddzwaniał tata. Nie odebrałem. Nie wiedziałem, jak mu to powiedzieć. Potrzebowałem jeszcze paru godzin. Przystanąłem, bo poczułem się naprawdę głupio, odmawiając dyrektorze marketingu oprowadzenia mnie po biurze. Stałem nieruchomo i zastanawiałem się nad szybkim powrotem do pracy. Ale wędrowałem tak długo, że zbliżała się pora lunchu. Mógłbym pójść już do restauracji, zjawić się tam kilka minut przed wyznaczoną porą i wypić drinka. Przyglądałem się szaremu mercedesowi, który bardzo, bardzo długo usiłował zaparkować w miejscu, które najprawdopodobniej było dla niego za wąskie. Wysiadł z niego mężczyzna. Nie widziałem jego twarzy, ale miał siwe włosy. Oceniał sposób, w jaki stanął, doszedł do wniosku, że nie zrobił tego właściwie, wsiadł do samochodu i znów zabrał się za parkowanie. Odszedłem dalej, żeby nie musieć na to patrzeć. Zadzwoniłem pod podany przez policjantkę numer urzędniczeki w ambasadzie amerykańskiej w Berlinie. Telefon odebrała Trish. Brzmiała

profesjonalnie, ale ciepło i zapytała, jak sobie radzę. No cóż, odpowiedziałem, to szok, choć nie widziałem jej od lat i przez ten czas rozmawialiśmy niewiele – mniej, niżbym chciał. Trudno jest utrzymywać kontakty, kiedy mieszka się w innych krajach, stwierdziła Trish. Nigdy nie odwiedziłem jej w Berlinie, powiedziałem, choć powinienem. Trish nie skomentowała tego, a ja zapytałem: Przepraszam. Niech pani posłucha, w tym szoku zapomniałem dowiedzieć się od policjantki, jak umarła Miriam? Chce pan, żebym to teraz panu powiedziała?, zapytała.

Tak sądzę, odpowiedziałem, jeśli zna pani przyczynę.

Trish powiedziała mi to, co usłyszała od policji: że Miriam zmarła z niedożywienia, że zagłodziła się na śmierć. Poinformowała mnie o tym bardzo rzeczowo, bez drżenia głosu. Och, westchnąłem. Czy wiedział pan o jej problemach?, zapytała. Nie, odpowiedziałem, nie wiedziałem. Ale nie była to prawda.

Pierwszego dnia po przylocie ojca do Berlina – mojego drugiego dnia w tym mieście – trzymaliśmy się blisko hotelu. Miriam wynajmowała tanie, liche mieszkanko w tureckiej dzielnicy, zdominowanej w tych czasach przez ludność nietureckiego pochodzenia. Mieszkaliśmy w innej części miasta, całkowicie zgentryfikowanej, pełnej butików z odzieżą i kawiarni. Poznawaliśmy okolicę. Tata był zmęczony zmianą czasu, więc zdrzemnął się przez godzinę.

Wysłałem maila do dyrektorki marketingu francuskiej firmy kosmonautycznej, informując ją o śmierci bliskiego członka rodziny oraz o tym, że będę nieosiągalny przez dzień lub dwa – choć pracę i tak miałem rozpocząć dopiero na początku następnego tygodnia. Wysłałem maile do paru innych osób, powiadamiając je, że będę nieosiągalny, lecz nie podając przyczyny. Włączyłem autoresponder w skrzynce pocztowej. Poszedłem z ojcem na spacer. Oglądaliśmy sklepy, dotarliśmy nawet do części muru berlińskiego. Było zimno, a tata marzł. Dałem mu swój płaszcz i kupiliśmy dla niego zabawną, kolorową, zimową czapkę w paski oraz czarne narciarskie rękawice. Trish umówiła się z nami na późny lunch. Poprosiłem ją, żeby nie wspominała przy ojcu o identyfikacji ciała, zapewniłem ją, że wiem, co jest dla niego najlepsze. Zakładałem, że będzie to nasze jedyne spotkanie we troje. Nie miałem pojęcia, jak ważna stanie się Trish dla ojca podczas tej podróży. Natychmiast zawiązała się między nimi mocna nić porozumienia. Powiedziała mu, że to wspaniałe z jego strony, że przyleciał tu z tak daleka. On wyznał jej, że zawsze marzył o rodzinie, która miałaby swoje miejsce na ziemi. To marzenie legło teraz w gruzach, powiedział. Domyślałem się, do czego zmierza. Nie powinienem był dopuścić do tego spotkania z Trish. Wzruszył się nieco, a Trish położyła dłoń na jego ramieniu, a on położył dłoń na jej dłoni. Tato,

powiedziałem, jesteś wyczerpany.

Następnego dnia postanowiliśmy z ojcem pójść do mieszkania Miriam, gdzie mieliśmy spotkać się z jego właścicielką i zająć się rzeczami siostry. Uzgodniliśmy, że Trish będzie nam towarzyszyła. Obudziłem się około dziesiątej. Ojciec, choć o tym nie wiedziałem, zerwał się o szóstej i poszedł do domu towarowego przy Alexanderplatz, żeby kupić sobie odpowiedni zimowy płaszcz. Wstałem, wziąłem prysznic, zszedłem na dół i zjadłem śniadanie w miłej kawiarence sąsiadującej z naszym hotelem. Był mroźny, słoneczny poranek. Właśnie miałem zamiar wstać od stołu i sprawdzić, co u ojca, kiedy pojawił się w oknie kawiarenki. Wyglądał jak ktoś, kto zagubił się w Arktyce. Ponieważ, jak przypuszczaliśmy, mieliśmy opuścić Berlin za dzień lub dwa, tata śmiał się sam z siebie i z ilości pieniędzy, jakie wydał na okrycie, którego już nigdy później nie założy. Mogłem wziąć większy rozmiar, powiedział, to zabrałbyś to do Londynu. W Londynie nie nosi się takich płaszczy, odrzekłem.

Po godzinie spotkaliśmy się z Trish i przekroczyliśmy próg mieszkania Miriam, jedno po drugim, z powagą, z nakryciami głowy w rękach. Znaleźliśmy się w ciasnym, zagraconym i przygnębiającym miejscu, w którym dokonała żywota. Ojciec wszedł pierwszy, ja za nim, potem Trish i właścicielka mieszkania. Kobieta ta okazała się

Dunką i przystanąła w progu, przyglądając się nam. Ściany miały bladożółty kolor. Okna były brudne. Dwa pokoiki łączyło otwarte, sklepione łukowato przejście, a obok znajdowały się mała kuchenka i łazienka. W większym pokoju stał stół, sofa i parę innych mebli. Łazienka była zapuszczona i pozastawiana. Badały ją władze sanitarne. Ojciec zatrzymał się i znieruchomiał. Skrzyżował ramiona. Trish podeszła do niego i stanęła obok. Ja szedłem dalej w kierunku przejścia do drugiego pokoju, w którym znajdowały się książki, pudła i graty. I miejsce, gdzie musiało stać nieduże łóżko. Duża szafa pełna ubrań. Całe mieszkanie – co dziwne – śmierdziało rdzą i czymś kwaśnym. Ogrzewania nie wyłączono, więc w pokojach było ciepło. Jest tu mnóstwo rzeczy, powiedziałem. Ojciec siedział przy kuchennym stole. Nie spojrzał na mnie. Przypuszczam, że nie dbał o rzeczy ani o to, co zrobimy z tym, co zostało po Miriam, i poczułem lekki wstyd z powodu tego pierwszego zdania wypowiedzianego w mieszkaniu siostry – zdania, które nikogo nie obeszło. Właścicielka oderwała się od drzwi wejściowych i – być może po to, by wydać się pożyteczna – odkręciła kurki z wodą, jakby sprawdzając, czy działają. Miałem ochotę gdzieś usiąść, ale nie chciałem siadać przy stole, bo żałobą w tej części mieszkania zawiadował ojciec, nie ośmieliłem się usiąść na sofie, bo nie wiedziałem, gdzie umarła, a jeśli nie zmarła w łóżku,

nie chciałem siadać tam, gdzie nastąpił zgon. Po kilku minutach kompletnej ciszy ojciec spojrział na właścicielkę i wydobywszy się z głębin życiowych wspomnień, wspomnień o latach dziewczęcych Miriam, z żalu, że nie żyje i po prostu z banalnego wstydu, że nie znał jej za dobrze jako osoby dorosłej, zapytał: Kto ją znalazł?

Ja, odpowiedziała właścicielka, i hydraulicy, znaleźliśmy ją w łóżku.

Od jak dawna nie żyła?, zapytał ojciec.

Od niedawna, odpowiedziała.

Ojciec odchylił się i spojrział na stół. Usiadłem na sofie. Była to stara zielona sofa, bardzo miękka, i gdyby nie była tak zakurzona i pachniała czystością, stanowiłaby piękny mebel. Przy odrobinie dobrej woli można by z łatwością przywrócić jej dawną świetność. W zasadzie większość rzeczy należących do siostry była ładna. Potrzebowałem kilku wizyt w tym mieszkaniu, żeby zdać sobie sprawę, jak miłe dla oka i jak cenne były jej meble, lecz już wtedy, podczas pierwszej wizyty, uderzyło mnie to, że choć mieszkanie wydawało się ciasne, zagracone, zakurzone i śmierdzące, Miriam w którymś okresie życia zadała sobie trud otoczenia się rzeczami cennymi. Być może to mieszkanie stało się ostatecznie – napominam się, że tego rodzaju dywagacje niczemu nie służą, ale nie mogę się od nich powstrzymać – ułudą, być może stopniowo albo nawet nagle doszła

do przekonania, że nigdy nie zazna szczęścia i że cierpienie – cokolwiek się na nie składało – oplotło na zawsze korzeniami jej postanowienie, by nie cierpieć więcej.

Kiedy moje małżeństwo dobiegło końca, wyprowadziłem się z mieszkania przy Fulham Broadway. Nie chciałem już mieszkać w eleganckim apartamencie. Nie chciałem mieć ładnych rzeczy. Żona mnie spłaciła. Zaproponowała mi obraźliwą kwotę – kwotę, która odzwierciedlała to, jak bardzo staliśmy się wobec siebie nienawistni – a ja ją przyjąłem, gdyż zagroziła mi batalią sądową, jeśli tego nie zrobię. Znalazłem sobie pokój w domu przy Peckham Rye. Pokój miał pokryte pleśnią ściany i przeszklone pojedynczo okna, które w chłodne dni zachodziły parą. Stały w nim rozchwierutane meble, a łazienka zamarzała zimą, bo nie było w niej kaloryfera. Był to dokładnie taki pokój, w jakim chciałem zamieszkać. Odkąd przybyłem do Londynu, wydawało mi się, że stopniowo awansuję społecznie, otaczając się coraz większym przepychem, coraz wymyślniejszymi udogodnieniami i luksusem, a kiedy moje małżeństwo dobiegło końca, dane mi było zaobserwować, jak wysoko zaszedłem – jak rozdmuchane stało się moje oczekiwanie zbytku, jak hedonistyczny mój ogląd świata – i wówczas rzuciłem się z tej wysokości na sam dół. W zasadzie mieszkałem w Nunhead, a nie w Peckham Rye, ale nikt nie wie, gdzie jest Nunhead.

Moim współlokatorem był student sztuk pięknych, który ciągle chorował i nie miał nic na własność oprócz ubrań, telewizora i dobrego aparatu, którym się fotografował, dokumentując, jak twierdził, stadia swej choroby. Pokazywał mi te fotografie. Miał wystające żebra. Kościste biodra. I dużego sinawego penisa. Musiałem zamieszkać w kuchni, ponieważ sofę w naszym wspólnym salonie student zamienił w swoje prywatne łożo śmierci. Nasza kuchnia była zwyczajnym lodowatym korytarzykiem, po którym hulał wiatr, z drzwiami prowadzącymi na schody do cuchnącego wąskiego zaułka pełnego kotów i śmieci. Zimą nigdy nie świeciło w niej słońce. Tymczasem w salonie piętrzyły się na podłodze góry chusteczek higienicznych, student bowiem – nie pamiętam już jego imienia – żeglował po odmętach telewizji. Często leżał pod kołdrą, w której się mumifikował, a kiedy postanawiał zmienić kanał, co nie zdarzało się często, spod kołdry wyłaniała się ręka z pilotem, wydłużała się, pstrykała i znikwała. Pamiętam długie przebieżki, które tam uprawiałem. Rozpoczywałem je o piątej rano. Wracałem do domu późnym wieczorem i układałem ubrania w kolejności, w jakiej miałem je zakładać. Każdego wieczoru przygotowywałem spodenki do biegania, koszulkę, wiatrówkę, skarpety i buty, a także niedużą zimową czapkę, którą, biegnąc, zdejmowałem nieodmiennie z głowy po minucie, bez względu na chłód. Układałem to wszystko

na rozklekotanym drewnianym krześle obok łóżka. Kiedy włączał się budzik, siadałem. W takiej chwili zawsze było mi niedobrze i czułem się niewypowiedzianie zmęczony, ale mówiłem sobie: Biegnij. Wstań i biegnij. Spotykałem się z kimś w tamtym czasie – z dawną przyjaciółką mojej byłej żony – i jeśli akurat u mnie spała, co zdarzało się bardzo rzadko, bo nienawidziła tego mieszkania, jęczała, kiedy dzwonił budzik i chowała głowę pod poduszkę, a ja usiłowałem ubierać się w ciemności. Piłem. Nie sypiałem. Wydawało mi się, że zostałem całkiem sam, że nikt nie żyje w taki sposób jak ja. Czerpałem z tego wiele energii i prawdopodobnie dzięki temu byłem w stanie zrywać się i biec. Wkładałem ubranie, myłem zęby, rozciągałem się przez pięć minut i wychodziłem z domu. Co rano biegłem tą samą trasą – do Battersea Park i z powrotem. Kiedy biegłem, myślałem o tym, jak bardzo stałem się samotny. Czułem się niebiańsko zdystansowany od wszystkich ludzi, choć mieszkałem w jednym z największych miast na świecie. Biegałem bardzo szybko, najszybciej jak mogłem. Zdarzało się, że po powrocie do domu wymiotowałem. Potem brałem prysznic, przebierałem się, zjadałem miseczkę płatków i wychodziłem do pracy.

Mieszkałem w Nunhead przez rok. Przez ten rok zaniedbywałem się w pracy. Ludzie, z którymi pracowałem, wiedzieli o moim rozwodzie, więc przez

pewien czas pozwalali mi bez słowa na różne zaniedbania. Ale po pięciu czy sześciu miesiącach zaczęto wytykać mi błędy, przekroczone terminy, złą organizację, a nawet – przy kilku okazjach – mój wygląd. Wcześniej nigdy nie popełniałem błędów, zawsze przykładałem się do pracy i zawsze pracowałem ciężko – przychodziłem wcześniej i wychodziłem późno, a choć nie przyjaźniłem się z żadnym ze współpracowników, to miałem z nimi dobry kontakt. Nosiłem eleganckie garnitury i eleganckie krawaty oraz zawsze świeżo wyprane koszule, byłem ogolony i tak dalej. Nie mogli mnie zatem rozpoznać w tym nowym wcieleniu. Kierowałem paroma osobami, które bez przerwy skarżyły się na mnie mojemu przełożonemu – że stałem się nieprzewidywalny i nieuprzejmy. W końcu powiedziano mi, że muszę pojechać na tydzień na ponowne przeszkolenie dla kadry kierowniczej w ośrodku w Sutton. Wyobraziłem to sobie: tyrani, zboczeńcy seksualni, zbiry, alkoholicy, kretyni, siedzący w kółeczku i słuchający jakiegoś mężczyzny lub jakieś kobiety, którzy pokazują im slajdy, zmuszają do odgrywania ról i poddają testom ich osobowość. Zwróciłem się z prośbą o ponowne rozważenie tej propozycji. Dodałem, że już prawie skończyłem. Co?, zapytali. Tego nie potrafiłem wyjaśnić. Tamtego dnia wyszedłem wcześniej z pracy. Przypuszczam, że wyszedłem bez wytłumaczenia. Chodziłem po

Londynie i zdałem sobie sprawę, że to, co mnie gryzie, nigdy się nie skończy, jeśli dalej będę pracował dla tych ludzi czy dla kogokolwiek. Postanowiłem więc – prawdopodobnie niepotrzebnie, gdyż z całą pewnością zadecydowano o moim zwolnieniu, kiedy wybiegłem z biura – rzucić pracę. Czułem podekscytowanie i byłem gotów podzielić się z kimś moim postanowieniem. Ale po rozwodzie żona odebrała mi wszystkich przyjaciół, a nie chciałem rozmawiać o tym z nikim z pracy, więc wróciłem do domu i obudziłem mojego współlokatora artystę. Kazałem mu wstać, ubrać się i wyjść ze mną na drinka. Ku mojemu zaskoczeniu, zechciał mi towarzyszyć. Tego wieczoru była ulewa, więc musieliśmy zabrać parasole. Szliśmy przez dwadzieścia minut do pubu, który miał zaczerwienione okna i nie obsługiwał kobiet. Upiliśmy się z artystą, opowiedziałem mu o swoich planach założenia własnej firmy, pracy na własny rachunek, nawet w domu, jeśli to będzie możliwe, co będzie wymagało ode mnie wyprowadzki. Artysta przyjął to obojętnie. W drodze powrotnej kupiliśmy sobie hamburgery z frytkami i zjedliśmy je pod parasolami na parkingu. Miałem odłożone wszystkie pieniądze z podziału majątku dokonanego przez moją byłą żonę. Nie wydałem z nich ani pensa. Mogłem je przeznaczyć na życie podczas rozkręcania interesu. I tak właśnie zrobiłem. Przestałem pić, zacząłem regularnie sypiać, znalazłem nowe mieszkanie i po

ponad piętnastu latach spędzonych w Londynie przygotowałem się do odniesienia sukcesu na nowo.

Przestałem biegać co rano po ciemku, w deszczu i zawiei, a przerzuciłem się na ruchomą bieżnię. Zapisałem się do klubu fitness na czternastym piętrze wieżowca w centrum Londynu. Załatwienie członkostwa nie było łatwe. Do klubu należeli sami dyrektorzy, młodzi start-upowcy i bankierzy inwestycyjni, a także mnóstwo ludzi z przemysłu rozrywkowego. Bardzo się starałem o to członkostwo, bo klub jest miejscem, w którym spotyka się właściwych ludzi. Zapisałem się również do wielu innych klubów. Zacząłem działać w izbie handlowej. Chodziłem na lunchy i obiady, uczestniczyłem w wielu konferencjach. Zadbąłem, by znaleźć się na każdej liście mailingowej, jaka tylko przyszła mi do głowy. Przez jakieś sześć miesięcy zajmowałem się wyłącznie spotkaniami z ludźmi, załatwianiem spraw, wymianą wizytówek i rozmowami o przyszłości marketingu. Nie kupiłem sobie do mieszkania eleganckich mebli ani telewizora, nie wydawałem pieniędzy na gadżety i sprzęt. Udało mi się ostatecznie dokonać zdrowego rozdziału między pragnieniem prowadzenia odnoszącej sukcesy firmy a pokusą otaczania się przedmiotami, których potrzebują – jak im się zdaje – ludzie, którym się dobrze powodzi. Na spotkaniach z kadrą zarządzającą, podczas lunchów w izbie handlowej i na konferencjach zadawano mi pytania

o moich klientów, na co odpowiadałem, że dopiero zaczynam i w tej dziedzinie chciałem być wybredny. Prawda wyglądała tak, że gdy przez sześć miesięcy byłem bez pracy, zgłosił się do mnie mój stary pracodawca i zaproponował mi powrót i zajęcie się tym samym, czym zajmowałem się uprzednio – znalazłem się więc w tym samym biurze, z którego czmychnąłem, choć w innej części sali, bez ubezpieczenia zdrowotnego i płatnego urlopu. Rozpocząłem i ukończyłem zaoczne studia dyplomowe MBA w Duke, a kiedy zrobiłem dyplom, opuściłem firmę i znalazłem dla siebie bardziej samodzielne stanowisko w sieci supermarketów. Nadal jestem członkiem tego samego klubu fitness. Choć nie biegam już tak często i z takim poświęceniem jak przed dwunastu, dziesięciu czy ośmiu laty, zachodzę do klubu, kiedy tylko mogę albo gdy jestem niedaleko i wskakuję na bieżnię po półgodzinnym przerzucaniu ciężarów lub innego typu aktywności. Ruchome bieżnie stoją w jednym rzędzie, skierowane w jedną i tę samą stronę, stawiając biegaczy na przedzie dziwnie urokliwego, choć niedającego się wygrać wyścigu. Przez niebieskawe szyby okienne można zerkać na Tamizę i południowy Londyn lub oglądać wiadomości finansowe na olbrzymich ekranach telewizyjnych. Podchodzą do nas i sprawdzają nasze postępy muskularni młodzi mężczyźni w białych koszulkach i przepiękne młode

kobiety w sportowych strojach – personel klubu i trenerzy. Młodzi mężczyźni kiwają głowami. Dziewczyny się uśmiechają. Nie zawieram już nowych znajomości, choć czasem mi się to zdarza. Chodzę do klubu, bo lubię bieżnię. Podoba mi się widok z okna. Słucham przeważnie muzyki klasycznej, bo nie mam żadnej innej w telefonie – przede wszystkim Goulda grającego Bacha. Jednym z powodów, dla których jego interpretacja Bacha nadaje się idealnie do biegania jest – nie wiem dlaczego – mruczenie pianisty. Gould mruczy, kiedy gra, ale czasem wydaje mi się, że to ja mruczę, że ten odgłos wydobywa się z mojego gardła. A jeśli muzyka ma odpowiednie tempo, bieżnia obraca się z właściwą prędkością, a ja czuję się na tyle sprawny, by biec płynnie, stawiać długie kroki i nie wymachiwać ramionami, poruszam się w sposób, który nie wymaga najmniejszego wysiłku. Świat zwalnia wtedy tak bardzo, że wszystko, co czuję, i wszystko, czego doświadczam, odłącza się od płynności ruchów i związku z rzeczywistością, i tworzy odrębne składniki, które porządkuję myślami w przestrzeni – i tak mruczenie Goulda łączy się z błękitnymi szybami albo z chmurami za oknem, a muzyka fortepianowa spływa na londyńskie ulice w dole, jakby nuty Goulda były samochodami, autobusami i rowerami przenikającymi każdą odległą ciszę.

Teraz na lotnisku tata ożywił się po krótkiej

drzemce. Przystaje i wchodzi do każdego sklepu, nawet do tych z damskimi torebkami i odzieżą, żeby pooglądać towary. Zmęczenie doskwiera mi coraz bardziej, podobnie jak mdłości z głodu. Mam nogi jak z ołowiu. Trish idzie obok ojca, rozmawiają. Trzymam się jakieś pięć czy sześć kroków za nimi. Poruszamy się bardzo wolno. Spędzamy dziesięć minut w sklepie z pamiątkami. Kolejne dziesięć czy piętnaście u rzeźnika, gdzie sprzedają prawdziwe bawarskie kiełbaski i mięso. Ojciec niczego nie dotyka. Nie prowadzi żadnego śledztwa. Wybrał się na filozoficzną przechadzkę, taką, jakie odbywał na uniwersytecie w towarzystwie studentów. Ja należę do ludzi, którzy dotykają i podnoszą różne rzeczy. Cokolwiek zwróci uwagę ojca – każdy przedmiot, który on wskazuje Trish lub który Trish wskazuje jemu – musi znaleźć się w moich rękach. Nawet sukienki. Nawet śpioszki dla niemowlaków. Kiedy byłem mały, ojciec mówił, że zostanę archeologiem.

W terminalu poza sklepami zapanowało lekkie poruszenie. Mgła zaczyna się unosić – Wreszcie!, mówi ojciec – a przed tablicami odlotów gromadzą się tłumy. Wolno stojąca reklama w samym środku wszystkiego – duży, podświetlony od tyłu obelisk – pokazuje po obu stronach pierwszą stronę „The Economist”. Reprodukcję jakiegoś artykułu. Przystaję i czytam. Ojciec zatrzymuje się, wkłada okulary i czyta razem ze mną. Artykuł mówi o dwóch firmach

rywalizujących ze sobą o to, która pierwsza zorganizuje turystyczny lot na Księżyc. To skuteczna, przejrzysta reklama: sam artykuł, czarny tekst na białym tle z czerwonym prostokątem z napisem „The Economist” na dole. Rywalizujące ze sobą firmy to Space Adventures i Excalibur Almaz. Kiedy sprzedadzą wszystkie bilety na lot, zbudują statek kosmiczny. Statek ten – bez względu na to, czy zbudują go pierwsi ci ze Space Adventures czy ci z Excalibur Almaz – powstanie ze starych sowieckich części. Excalibur Almaz wykorzysta eksperymentalny elektromagnetyczny system napędowy, który zapewni misji sześć tygodni w kosmosie i wyniesie ludzi na największą w dziejach odległość od Ziemi. Space Adventures, jak się domyślam, wykorzysta staromodny napęd na paliwo stałe. Bilet w obu firmach będzie kosztował sto sześćdziesiąt milionów dolarów. Sprzedano już jeden. Trish również czyta artykuł i komentuje jego treść pierwsza. Ktoś zapłacił sto sześćdziesiąt milionów dolarów, żeby polecieć na Księżyc, mówi. Ojciec, który kończy lekturę ostatni ze względu na słaby wzrok oraz z tego powodu, że czyta bardzo uważnie, cedzi sceptycznie przez zęby: Interesujące.

Lotnisko w Monachium to lotnisko niebieskie – błękit jest wszędzie. Bywa poważny i profesjonalny, ale miejscami zdarza się bujny błękit, pełen nadziei, optymizmu i pewności – błękit, który mówi: Wszystko

odbędzie się zgodnie z rozkładem, społeczeństwo może czuć się bezpiecznie, samoloty latają coraz szybciej i szybciej, spalają coraz czystsze i czystsze paliwo, na naszych posadzkach nie ma bakterii, kanapki są świeże, samolotami podróżują tylko piękni ludzie, wszystkie miasta docelowe są piękne, wszyscy są coraz bogatsi i wyżsi, pokonujemy słabości i wkrótce wszyscy wyruszymy w kosmos. Błękit jest tajemniczy, pełen głębi – zarówno duchowej, jak i elektromagnetycznej, a okala go rzeczowa szarość, niemal niezauważalna, która mówi: Błękit jest miejscem, do którego lecisz, ale to ja cię tam zabiorę. Szarość ta ma tylko jeden odcień i żadnej głębi. Poprzez rozsnuwającą się gęstwinę mgły i oparów za oknem dostrzegam przejrzysty, cudowny, mroźny dzień. Szkoda, że nie można wyjść na dwór na parę minut. Szkoda, że nie pomyśleli tu o czymś na kształt więziennego spacerniaka, otoczonego wysokim murem i drutem kolczastym, wieżyczkami strażników czy czymkolwiek, co uznaliby za stosowne, żeby pozwolić pasażerom pochodzić w kółko, odetchnąć świeżym powietrzem, poczuć słońce na twarzach.

Mdłości wywołane głodem zamieniają się w końcu w dojmujący ból brzucha. Czuję się otępiały, oszołomiony i chory. Przystaję i pochylam się, opierając ręce o biodra, a Trish i mój ojciec zatrzymują się i czekają. Chyba się pocę. Czuję, że zaczynam trochę śmierdieć. Pozieleniał pan, mówi Trish. To minie,

odpowiadam. Ale ja mówię poważnie, zrobił się pan cały zielony, dodaje.

Dostrzegam w tym szansę na oddalenie się od nich. Nie irytują mnie, jestem tylko wyczerpany i potrzebuję trochę spokoju. Muszę skorzystać z łazienki, mówię.

Zaczekamy tutaj na pana, zapewnia mnie Trish.

Nie, znajdźcie jakieś fotele. Wyślę esemesa i dowiem się, gdzie jesteście.

Ojciec nic nie mówi, wyjmuje mi tylko z rąk swoją obwisłą skórzaną teczkę. Trish natychmiast mu ją odbiera i przerzuca ją sobie przez ramię.

Ok, mówi do mnie. Zobaczymy, czy uda nam się coś znaleźć.

Oboje stanowią na niemieckim lotnisku malowniczą parę, ale już po chwili znikają w tłumie i tracę ich z oczu. Przyzwyczaiałem się już tak bardzo do mdłości wywołanych głodem, że nie czuję instynktownego łaknienia, nie mam ochoty nic zjeść. Przekonałem się przez kilka ostatnich dni, że jeśli zniesie się wywoływaną głodem falę bólu, mdłości stają się czymś w rodzaju pokarmu, a im dłużej znoszę ból – starając się przy tym nie wymiotować – tym bardziej czuję się najedzony. Podczas drugiego tygodnia pobytu w Niemczech obżeraliśmy się jak świnie. Jedliśmy wieprzowe kiełbaski i Bratkartoffeln, a na śniadanie piliśmy pszenne piwo. W samochodzie, którym objeżdżaliśmy stare miasta, forty i średniowieczne katedry, opychaliśmy się ciastkami,

owocowymi plackami i lodami, słuchaliśmy głupich piosenek w radiu i rozmawialiśmy z pełnymi ustami. Waliłem w kierownicę do rytmu muzyki. Ojciec sypnął pieniędzmi na dużą, wygodną toyotę camry z automatyczną skrzynią biegów. Czarną. Powtarzałem raz po raz: Kapitalna jazda! albo Uwielbiam prowadzić! Zdarzyło się, że rzuciłem kluczyki do samochodu hotelowemu boyowi, a potem strzeliłem do niego z palca jak kowboj. Przy autostradach jedliśmy ciwartki pizzy i cheeseburgery. Ale teraz, tu na lotnisku, czuję, że nie opanuję mdłości i będę wymiotował. Pocę się na całym ciele, mam skurcze żołądka, jestem bardzo słaby i pusty w środku. Chwytam podręczną walizkę i ciągnę ją do toalety. Ojciec, przewidująco, zapakował swoje obszerne palto do neseseru, który nadaliśmy na bagaż, a ja nie zwróciłem na to uwagi albo uznałem, że mój płaszcz mi się przyda, bo było mi bardzo zimno, więc teraz muszę nosić go na sobie albo w rękę. Pod płaszczem mam marynarkę, sweter i koszulę. W męskiej toalecie jest krótka kolejka do kabin i długa, ale szybko posuwająca się – do pisuarów. Dwie kolejki rozdzielają się w drzwiach i od czasu do czasu ktoś wchodzi do toalety mijając obie kolejki, zdaje sobie sprawę z popełnionego błędu i wychodzi. Posadzka w toalecie jest trochę mokra, przylepiają się do niej kawałki papieru toaletowego i papierowych ochraniaczy na deski klozetowe. Nie jest to specjalnie obrzydliwe czy

zaskakujące, ale mdłości sprawiają, że trudno mi znieść ten widok. Dygoczę, drżą mi ręce, szczękam zębami, a wszystko to wypływa z przykrew pustki, umiejscowionej, sam nie wiem, nie tyle w trzewiach, co gdzieś między biodrami, a także w zębach, uszach i stopach. No i jeszcze ten ból głowy, dudniący za oczami, od którego mrowi i kłuje cała czaszka i na który nie pomaga ibuprofen. Zamykam oczy. Przywołuję pod powiekami jakiś przyjemny widok. Pojedyncze, uspokajające, pocieszające wspomnienie.

Kolejka do pisuarów porusza się szybko, ale kolejka do kabin niemal stoi w miejscu. Zwolnione miejsce przy pisuarze zajmuje kędzierzawy mężczyzna w garniturze w prążki. Przyglądam mu się przez długą chwilę. Nie wiem, dlaczego to robię, póki nie zdaję sobie sprawy, że go rozpoznaję, że go znam. Ma na imię Richard i jest albo był wicedyrektorem działu marketingu w jednym z dużych banków. Znam go, bo jego żona była przyjaciółką mojej byłej żony. Jest wysokim przystojnym mężczyzną, który, jak pamiętam, zawsze się uśmiechał i zawsze był lekko wstawiony. Choć pozostawaliśmy ze sobą w dobrych stosunkach, nigdy nie polubiliśmy się na tyle, by zostać przyjaciółmi – niezależnie od wzajemnej sympatii naszych żon. Garnitur ma szyty na miarę. Ja też mam taki garnitur, w podobnym odcieniu granatu, i noszę do niego niemal takie same półbuty – prawie ciemnobrązowe. Poznaję go po włosach, wzroście i po

przekrzywionym barku. Stoję przy umywalce. Kończy, zapina rozporek, odwraca się i patrzy na mnie. Uśmiecham się do niego, na co odpowiada niepewnie tym samym. Nie poznaje mnie. Mężczyźni przy ścianie z pisuarami kończą wszyscy w tym samym czasie i każdy z nich, w tym Richard, podchodzi do umywalki, co sprawia, że przenikają osmotycznie przez naszą kolejkę do kabin. Kiedy Richard myje ręce, wyczuwam, że przygląda mi się w lustrze. Suszy dłonie. Nie spieszy się, a ja domyślam się, że w końcu mnie rozpoznał i zastanawia się, czy powinien się ze mną przywitać. Może nie wyglądam za dobrze? Mija mnie. Przechodzi tuż obok, ale nie zwalnia ani nie unosi głowy. Czas, który upłynął między jego wyjściem a moim wejściem do jednej z kabin, jest jak wieczność, lecz kiedy zamykam za sobą drzwi i mogę w końcu zwymiotować, czuję się zaskakująco dobrze. Mdłości minęły. Nie siadam. Stoję, zamykam oczy i opieram czoło o drzwi. Nie potrafię wyobrazić sobie wyczerpania, którego doświadczała Miriam, nie mając już w sobie niczego do spalenia. To oczywiście tłumaczy, dlaczego jej mieszkanie było pod koniec tak brudne, tak zapuszczone. Przez kilka ostatnich dni często rozmyślałem o bezruchu, który panował w mieszkaniu, kiedy bardzo zmęczona leżała w łóżku. Zakładam, a przynajmniej mam taką nadzieję, że mdłości, bóle głowy i wszystko inne jest czymś, do czego ciało przywyka po tygodniach, miesiącach czy

latach niedożywienia i że głód, szczególnie na końcu, podczas jej ostatnich dni, nie wywoływał już bólu i nie dokładał szaleństwa do szaleństwa, które kazało jej umrzeć w taki sposób.

Hotelik, w którym mieszkaliśmy podczas pierwszego tygodnia w Berlinie – zanim przeprowadziliśmy się do prywatnego mieszkania, wynajęliśmy samochód i wyruszyliśmy nad Ren – był dosyć niechlujny, a w każdym pokoju stało pojedyncze wąskie i krótkie łóżko wciśnięte w kąt. Nie mieściłem się na tym łóżku, również tata, który jest tego samego wzrostu co ja, nie mógł zmieścić się na swoim. Na każdym łóżku leżała cienka kołdra, węższa o połowę od materaca, co sprawiało, że trzeba było spać pod nią na wznak jak deska, a do tego cienka poduszka, którą składałem po wielokroć. Sen był stresującym i nieprzynoszącym odpoczynku zajęciem. W moim pokoju stał pomarańczowy fotel, a w pokoju taty – żółty. Przypominały tulipany na cienkiej łodydze. Obok nich ustawiono okrągłe stoliczki. Łazienki były zielone, całe zielone, począwszy od umywalek i wanien, poprzez sedesy i ręczniki, a na papierze toaletowym skończywszy. Ściany w pokojach miały brązowy kolor – był to brąz świeżej mocnej kawy. W oknach wisiały zwiewne, białe, płócienne zasłony, zapewniające dyskrecję za dnia; w nocy, by odciąć się od ulicznego światła, spuszczało się metalowe rolety. Zrobiłem to bezmyślnie pierwszej nocy i obudziwszy

się przed świtem, przeżyłem w kompletnych ciemnościach atak paniki. Zataczałem się po pokoju jak lunatyk, krzycząc bezgłośnie, szukając ścian, przewracając meble, czołgając się po podłodze, aż odnalazłem drzwi, otworzyłem je i wysunąłem tors na słabo oświetlony korytarz. Leżałem w takiej pozycji, dopóki nie uspokoilem oddechu. Mam całkiem rzeczywiste przeczucie, że w takiej ciemności i w takiej panice przyjdzie mi kiedyś umierać, tyle tylko, że nigdy nie odnajdę drzwi i nie otworzę wyjścia na korytarz. Zupełnie zapomniałem o tych atakach. Przydarzały mi się bardzo często nocami w hotelowych pokojach na konferencjach, kiedy za dużo wypilem: zaciągałem z nawyku zasłony i traciłem przytomność, zamiast normalnie zasnąć. Bez trudu zasypiam w mroku, ale kiedy się budzę – zawsze z powodu powracających koszmarów – a wokół panuje całkowita ciemność i nie odnajduję wzrokiem znajomych mebli i łóżka, przez chwilę nie zdaję sobie sprawy, gdzie jestem i przeżywam ostry atak paniki, który kończy się przewracaniem mebli podczas próby ucieczki z miejsca, w którym się znalazłem, albo ze strachu przed własną domniemaną ślepotą. Pokoje w berlińskim hoteliku nie otwierały się na kartę. Dostaliśmy do nich klucze przymocowane do metalowych płytek z numerem pokoju, a wychodząc z hotelu, musieliśmy zostawiać klucze w recepcji. Za recepcyjną ladą zmieniało się dwoje ludzi: kobieta –

pewnie po pięćdziesiątce, z pomarańczową fryzurą, mocno opalona, ponętna, z piegopatym biustem, choć z surowym, pozbawionym humoru wejrzeniem – która obsługiwała gości w nieprzyjemny i bezwzględny sposób za dnia; oraz Arab o gęstych brwiach, wąskich ramionach, lecz potężnych, choć krótkich rękach, który otwierał nam drzwi do hotelu, jeśli wracaliśmy po dwudziestej trzeciej, kiedy je zamykano. Rozmawialiśmy z nim parę razy, bo baliśmy się go mniej niż kobiety, i powiedział nam, że za dnia jeździ taksówką. A kiedy pan sypia?, zapytał go tata. Kiedy jestem tutaj, odpowiedział. Wejście do pokoju nie sprawiało mi ulgi. Źle sypiałem z powodu wąskiej kołdry, wygniecionego na środku materaca i niespuszczonych na noc rolet, gdy pokój zalewało uliczne światło. Ojciec także źle sypiał podczas tego pierwszego tygodnia i słyszałem go nad ranem, o wpół do czwartej lub czwartej, jak bierze prysznic, ubiera się i bezsensownie zmienia kanały w telewizji.

Po naszej pierwszej wizycie w mieszkaniu Miriam tata wyszedł z niego kompletnie otumaniony, potężnie i trwale zdezorientowany. Nigdy już tam nie wrócił, choć ja byłem tam jeszcze trzy razy, posługując się kluczem, który dostałem od właścicielki, mającej, zdaje się, nadzieję, że uprzątnę cały ten bałagan. Szliśmy wolno od kamienicy Miriam w kierunku jakiegoś placu. Ojciec szedł sam, przed nami. Trish szła za nim, tuż za jego plecami, czekając, jak

przypuszczam, aż będzie potrzebował pociechy. Jej oddanie dla ojca – bezinteresowność, z jaką się pojawiło, oraz jego rozmiar – pozostawało dla mnie tajemnicą. Wydawało mi się, że między jej oddaniem a jego żalobą zapanowała symbioza. Szli tak wolno, że musiałem przystawać i zaglądać w witryny sklepów i biur, kawiarni i knajp oraz w otwarte klatki schodowe bloków mieszkalnych. Chciało mi się pić, chciałem napić się wody, więc wszedłem do jakiegoś miejsca, w którym podawano kawę na wynos i w którym stała lodówka z napojami – nie była to kawiarnia ani sklep, tylko zwykła pozbawiona ozdób sala, w której można było siedzieć i palić papierosy. Na środku stał jeden stół, z boku lada, a przy stole siedziało i paliło czterech wąsatych Turków. Nie podobało im się, że tu wszedłem. Nawet kiedy wyjąłem wodę z lodówki, postawiłem ją na ladzie i zacząłem odliczać drobne, jeden z nich potrzebował wieczności, żeby wstać z za stołu i zapytać mnie, czy to wszystko, czego chcę. Jego ton wskazywał, że jeśli chcę kupić tylko wodę, powinienem pójść gdzie indziej. Więc zamówiłem kawę. Zamawiając ją, naprawdę poczułem ochotę na kawę. Ale kawa, którą mi przygotował, pochodziła z maszyny, w której naciska się guzik i wstawia plastikowy kubek do obrzydliwej śmierdzącej dziury, więc przeszła mi chęć na jej wypicie.

Kiedy stamtąd wyszedłem, wylałem kawę i wyrzuciłem kubek do śmieci. Uniosłem wzrok

i zobaczyłem ojca i Trish; nie odeszli daleko, zbliżali się do jakiejś arterii, za którą był plac. Przystanęli i czekali na mnie. Nie spieszyłem się. Napiłem się wody. Pomyślałem: To jest ulica, przy której mieszkała Miriam, każdego dnia szła z mieszkania na plac, tak jak ja teraz. Przyszło mi do głowy, żeby zrobić parę zdjęć telefonem, ale kiedy spojrzałem w jedną i drugą stronę, doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jeśli tę ulicę zapomnę. Niektóre budynki, na przykład ten, w którym mieszkała Miriam, przypominały ruiny, choć nimi nie były. Wzdłuż ulicy rosły drzewa i wyobraziłem sobie, że wiosną i latem może tu być przyjemnie. Arteria zamykająca ulicę była bardzo ruchliwa, a plac po drugiej stronie był zatłoczony i okazał się targowiskiem pełnym różnego śmiecia. Podszedłem do nich. Chyba powinniśmy gdzieś usiąść, powiedziała Trish. Może znajdziemy jakieś miejsce, żeby złapać oddech, napić się kawy albo coś zjeść.

Byle nie na tym placu, odpowiedziałem.

Oczywiście, zgodziła się ze mną. Znam przyjemną ulicę kilka przystanków stąd U-Bahnem.

Wolałbym się przejść, powiedział ojciec.

Tato, Trish musi wracać do pracy, przypomniałem mu.

Ojciec spojrzał w niebo, a potem na mnie. Oczywiście, powiedział.

Znaleźliśmy lokal przy jasnej, pozbawionej drzew ulicy, przy której mieściło się mnóstwo ładnych

kawiarni, sklepów z rowerami i magazynów sprzedających używane tanie meble. Z zewnątrz lokal ten wyglądał jak restauracja, ale w środku jak coś zupełnie innego. Miał rozmiar wagonu kolejowego i podawano w nim kebaby, falafele, pieczone ziemniaki, ćwiartki pizzy i cheeseburgery. Powinniśmy byli stamtąd wyjść i znaleźć jakieś inne miejsce przy tej samej ulicy. Wszyscy, zdaje się, doszliśmy do wniosku, że nam się tam nie podobało, ale nikt nie zaprotestował. Ojciec założył okulary i zaczął studiować menu wiszące nad głową mężczyzny za ladą, który robił się coraz bardziej niecierpliwy, kiedy tata rozważał zamówienie. Ja chcę tylko kawę, powiedziałem. Trish zamówiła kawałek pizzy. Mężczyzna za ladą zapytał, z czym. Och, no wie pan... odpowiedziała. Zaproponował jej coś, na co mruknęła: Tak, niech będzie. Ojciec zamówił pieczonego ziemniaka. Ziemniak okazał się jednak tak rozgotowany i wodnisty, a sosy tak niesmaczne, że odsunął talerz. Trish skubała pizzę, po zgarnięciu z niej dodatków. Jutro, odezwał się tata, zwracając się do odstawionego na bok ziemniaka, powinniśmy obejrzeć Bundestag albo coś takiego. O, tak, z całą pewnością, zgodziła się Trish. Można tam zarezerwować miejsce w kawiarni i uniknąć stania w kolejkach. Od tak dawna nie byłem w Berlinie, zadumał się ojciec. Tak, od bardzo dawna. Po raz ostatni, kiedy studiowałem. Potem, kiedy zacząłem

wykładać, często przyjeżdżałem do Europy, ale kiedy zająłem się redagowaniem pisma, nie miałem już czasu na podróże, sam już nie wiem, może miałem, może powinienem był przyjechać do Berlina do Miriam, ale nigdy tego nie zrobiłem.

Ale przyleciałaś do Szkocji, zauważyłem, a ona nie chciała.

Ojciec przyglądał się obojętnie ziemniakowi. Widziałem, że wyraźnie nie przypadł mu do gustu i chciał, żeby zniknął. Odsunąłem więc talerz jeszcze dalej.

Ciekawa jest także Neue Nationalgalerie, powiedziała po chwili Trish.

Chciałbym pójść do filharmonii, rozmarzył się tata.

Ja też, powiedziałem.

Pomogę wam w załatwieniu biletów, zaproponowała Trish.

Tata zastukał kłykciami w blat stołu, okazując zadowolenie. Zapytał Trish, czy w amerykańskiej polityce zagranicznej Niemcy są krajem priorytetowym czy raczej prowincją. Czymś pomiędzy, odpowiedziała. Pracę w Departamencie Stanu rozpoczęła stosunkowo późno, ze względu na służbę w wojsku, ale generalnie Berlin traktowano jako solidną placówkę ze względu na jej umiarkowane znaczenie, urodę miasta i sporą ilość pracy w ambasadzie. Mimo to wolałaby służyć w dyplomacji w Chinach czy na Bliskim Wschodzie. Jej mąż miał

nadzieję na Londyn albo Sydney, gdzie łatwiej o pracę. To musi być trudne, wyraził się niezbyt precyzyjnie tata. A potem spojrział na mnie, a ja nie byłem pewien, czy oczekuje potwierdzenia czy raczej oskarża mnie o zmarnowanie czegoś znacznie prostszego – wygodnego życia w eleganckim mieszkaniu w Londynie z inteligentną, ładną żoną, która miała dobrą pracę i chciała urodzić mi dzieci. Nie miał bladego pojęcia ani o mojej żonie, ani o moim małżeństwie. Tak, mruknąłem, to musi być trudne. Mój mąż znalazł pracę przed kilkoma miesiącami, wyjaśniła Trish, ale w Monachium.

Zupełnie nieświadomie zacząłem skubać danie ziemniaczane ojca – tylko dodatki. Mnóstwo kawałków marynowanej papryki jalapeño, która wcale nie była ostra ani chrupiąca. Kawałki nieroztopionego sera. Za dużo śmietany. Sałatka ze zbyt dużą ilością sosu przy krawędzi talerza. Zdałem sobie sprawę, że jem dopiero wtedy, kiedy chwyciłem widelec i wbiłem go w ziemniak. Zaniepokoiło mnie to. Nie wierzę, rzuciłem. O co chodzi?, zapytał tata. Zastanawiałem się, czy w ogóle odpowiadać, ale w końcu stwierdziłem: Nic takiego... po prostu, że Miriam zagłodziła się na śmierć. Do oczu ojca napłynęły łzy, a my czekaliśmy, aż coś powie. Milczał. Zepsułem nam lunch.

Tamtego pierwszego tygodnia wypożyczyłem rower i dwa razy pojechałem sam do mieszkania siostry.

Ojciec umawiał się z Trish na lunchy i obiady, a nawet był na niespodziewanym drinku z konsulem – zastępcą ambasadora i miłośnikiem historii, który uznał ojca za znanego historyka i chciał wyrazić żal z powodu śmierci Miriam oraz zapewnić go, że ta sprawa ma charakter priorytetowy. Ojciec powiedział mi, że wiceambasador chciał się dowiedzieć, co znaczy „indo” w słowie „indoeuropejski”. Zawsze wydawało mu się, że oznacza ono „zbiorowy” lub „całkowity”. Potem śmiał się z siebie przez dłuższą chwilę. To byłoby nawet zabawne, przyznał mój ojciec podczas podróży. Inną zabawną rzeczą, którą powtarzał zastępca ambasadora był „jasny gwint” z naciskiem na „jasny”, długą przerwą i cichym, wypowiedanym na wydechu „gwintem”. Powtarzał to bez emfazy, kiedy ojciec powiedział coś interesującego.

Kiedy po raz pierwszy pojechałem sam do mieszkania Miriam, poznałem jej sąsiada i starego znajomego. To wydarzyło się dzień po naszej wizycie z ojcem i Trish, podczas kolejnego chłodnego i idealnie przejrzystego poranka. Zaparkowałem rower przed domem Miriam, na placu kupiłem kawę i zgniecionego, pozbawionego smaku croissanta. Miałem ze sobą dwie duże płócienne torby z supermarketu na wypadek, gdybym chciał coś ze sobą zabrać. Nie planowałem zabawić tam dłużej. Jednak kiedy tylko znalazłem się na miejscu, zdałem sobie sprawę, że nie ma najmniejszego powodu,

żebym się spieszył. Zaczynałem się już przystosowywać do tempa życia w Berlinie, które biegnie znacznie wolniej niż w Londynie. Zajrzałem do należącej do Miriam skrzynki na listy. Była w niej gazeta, jakieś ulotki reklamowe i list, który wyglądał na urzędowy. Wyrzuciłem wszystko do kosza obok skrzynek na listy, który był pełen reklam i gazet. Musiałem wszystko upchnąć, przycisnąć makulaturę i przytrzymać. Po schodach schodziła jakaś kobieta i ujrzawszy mnie, wydała się zniesmaczona, choć nie wiedziałem, co mogło ją tak zde gustować. Jednak po trzech tygodniach w Niemczech przekonałem się, że pełne niesmaku spojrzenie jest zwykłym spojrzeniem, którym obdarzają się Niemcy.

Wszedłem do mieszkania Miriam i przez pierwsze dziesięć czy piętnaście minut siedziałem przy stole i nic nie robiłem. Wypiłem kawę, to wszystko. Pokój był jasny. Nie wiedziałem, od czego zacząć. Drzwi wejściowe zostawiłem otwarte. Miałem, zdaje się, nadzieję, że ktoś wsunie przez nie głowę i wejdzie do środka. Po wypiciu kawy włączyłem małe srebrzyste radyjko i nastawiłem je na stację z muzyką klasyczną. Nadawali tematy filmowe. Szukałem dalej. Znalazłem NPR po angielsku i słuchałem go przez pewien czas, ale rozmowa okazała się mdła i bez wyrazu. Potem trafiłem na jakieś popowe gówno, które nie było ani złe, ani dobre, tylko zwyczajnie chwytliwe, a na końcu znalazłem stację rosyjską. Grali bardzo dziwną

muzykę, więc nie szukałem dalej. Przeszedłem do kuchni i zajrzałem pod zlew. Były tam torby na śmieci, środki czystości i żółte gumowe rękawice. Włożyłem je. Otworzyłem okno w kuchni i okno w saloniku. Natychmiast trzasnęły wejściowe drzwi. Poszedłem do sypialni i znalazłem tam kilka dużych ciężkich tomów. Zablokowałem nimi wejściowe drzwi, żeby się nie zamykały. Potem podzieliłem mieszkanie na komórki i przypisałem każdej z nich jakąś kategorię – książki, sprzęty kuchenne, papiery, sprzęt elektryczny, meble i tak dalej. Powoli poprzenosiłem wszystko do wyznaczonych komórek. Powoli opróżniłem szafę z odzieży, kredens z płyt DVD, obrusów, stołowych mat i szklanek, a barek z niemal pełnych butelek alkoholu. W tym momencie zacząłem zwracać baczniejszą uwagę na rzeczy należące do Miriam. Byłem tak skupiony na drobiazgach, że nawet nie zauważyłem, jak eleganckie są większe meble. Nie były ciężkie, a kiedy opróżniłem je z zawartości, przesuwałem je z łatwością. Tylko sofa była przyciężka. Nie chciałem porysować podłogi, więc unosiłem ją cal po calu, raz z jednego, raz z drugiego końca, a potem ustawiłem ją pionowo, żeby zwiększyć przestrzeń. Przyniosłem z kuchni torby na śmieci i włożyłem do nich rzeczy, które za śmieci można było uznać. Wytrzepałem poduchy z kurzu. Zmiotłem kurz z podłogi. Potem wytarłem do czysta wszystkie inne powierzchnie. Umyłem okna. Choć dzień był chłodny,

a po mieszkaniu hulał mroźny wiatr, i choć pracowałem powoli i robiłem przerwy, to kiedy skończyłem, byłem przegrzany, spocony i zakurzony. Potrzebny był mi długi gorący prysznic. Ale kiedy wszedłem do łazienki, zdałem sobie sprawę, że nie będę w stanie z niej skorzystać, póki jej nie umyję. Uważna inspekcja ujawniała wyłażący zewsząd brud. Kafelki wymagały szorowania. Nie chciałem ubrudzić ubrania, spocić się w nim i śmierdzieć jeszcze bardziej. Postanowiłem zatem, że zamknę wejściowe drzwi, rozbiorę się do naga – z wyjątkiem żółtych rękawiczek – i starannie posprzątam łazienkę. Zajęło mi to sporo czasu, parę razy robiło mi się niedobrze, ale w końcu łazienka lśniła i pachniała cytryną oraz wybielaczem. Dopiero wtedy wziąłem długi gorący prysznic. Prysznic Miriam był znacznie lepszy od hotelowego prysznica. Był nawet lepszy od mojego elektrycznego prysznica w Londynie. Miał wielką głowicę, z której lał się tropikalny deszcz, i doskonałe ciśnienie. Miriam miała mnóstwo żeli pod prysznic. Kiedy skończyłem, wytarłem się w jej ręcznik, a potem wyrzuciłem go wraz ze wszystkim innym z łazienki do torby na śmieci. Włożyłem ubranie, zakurzone i lekko wilgotne od potu, i uprzytomniłem sobie, że dawno minęła już pora lunchu. Wyjąłem croissanta z torebki i uznałem, że to za mało. Pozamykałem okna, wyłączyłem radio i zarzuciłem płaszcz. Stosy rzeczy przejrę po lunchu, postanowiłem.

Kiedy otworzyłem drzwi, w korytarzu stał jakiś mężczyzna – obaj przestraszyliśmy się siebie nawzajem. Wyprostował się, jakby mój widok nie zrobił na nim żadnego wrażenia. Był drobny, chudy i miał ciemne włosy. Był ubrany w skórzaną motocyklową kurtkę narzuconą na podkoszulek, miał dzinsy i wysokie buty. Zerknął w głąb mieszkania. Nie wydawał się uszczęśliwiony.

Cześć, przywitałem go.

Mogę w czymś pomóc?, zapytał.

Nie wiem, odpowiedziałem. Mieszkasz tutaj, w tym domu?

Tak, na górze, odparł. A ty kim jesteś?

Bratem.

I co tutaj robisz?

Wybieram się na lunch, rzuciłem.

Chodzi mi o to, poprawił się, co robisz z rzeczami Miriam?

Odwróciłem głowę i spojrzałem na mieszkanie, podzielone obecnie na działki jak magazyn. Nie byłem pewien, czemu to służy i co w zasadzie robię.

Znałeś Miriam?, zapytałem.

Tak, byliśmy przyjaciółmi.

Zamknąłem drzwi wejściowe na klucz i zadałem mu pytanie: Masz wolne pół godziny? Na lunch?

Miał na imię Otis. Pochodził z Nowego Jorku, ale jego akcent uległ zmianie i zneutralizował się po latach mieszkania w Berlinie, tak jak mój akcent po

ćwierćwieczu spędzonym w Londynie.

Sprzątasz, stwierdził.

Nie, niezupełnie.

Wyrzucasz jej rzeczy.

Nie, tego także nie robię.

Te książki, powiedział, one...

Uważał, zdaje się, że powinniśmy zamienić się rolami. Chciał czegoś i doszedł do wniosku, że nie musi liczyć się z moimi uczuciami, że może mówić, co mu się żywnie podoba. Był przyjacielem, a ja byłem intruzem. Porozmawiamy o książkach podczas lunchu, zaproponowałem. Powiedział, że nie jest głodny, ale pójdzie ze mną i popatrzy, jak jem. Wyszliśmy z kamienicy i skręciliśmy w stronę placu. Otis szedł z rękoma w kieszeniach, nawet kiedy palił. Nie mówił zbyt wiele. To ja mówiłem, a on mamrotał coś w odpowiedzi. Usiłowałem być dla niego miły, bo chciałem, żeby mnie polubił, odprężył się i powiedział mi coś o Miriam, nawet coś takiego, czego jego zdaniem nie powinienem usłyszeć. Powiedziałem mu, że mieszkam w Londynie, że mieszkam tam od dwudziestu pięciu lat. Powiedziałem mu, że przylecieliśmy z ojcem do Berlina, żeby zabrać ciało Miriam do domu i tam je pochować. Powiedziałem mu, gdzie się zatrzymaliśmy, całkiem niedaleko, wspominałem o zielonej łazience i o nieudanym telefonie do taty z Bedford Square, o firmowym lunchu, na który później poszedłem, i o tym, co

Francuz powiedział o Anglikach. Nic z tego nie zaciekało go na tyle, by skłonić go do odpowiedzi. Zapytałem więc Otisa, czy Miriam wspominała o nas, o ojcu i o mnie. Mówiła to, co się zawsze mówi, odrzekł. Przez ostatnie dziesięć lat, stwierdziłem, widziałem się z nią dwukrotnie. Znałeś ją od tak dawna? Znałem, odpowiedział. Na dworze robiło się szaro, słoneczne światło bladło, a w powietrzu unosił się zapach lodu – byłem pewien, że zaraz zobaczę śnieg.

Utrzymujesz kontakty z ludźmi, którzy znali Miriam?
Niezbyt regularne, nie.

A czy mógłbyś się z nimi skontaktować, gdybyś musiał?

Po co?

Nie byłem pewien, co chcę zaproponować. Chodziło mi po głowie niewielkie spotkanie towarzyskie, w którym mógłby wziąć udział tata. Nie chciałem wygłaszać żadnych mów pożegnalnych, nie chciałem, żeby ojciec wygłaszał taką mowę, pragnąłem natomiast ujrzeć twarze ludzi, którzy znali kiedyś Miriam. Doświadczenie to z pewnością nie ukoji mojego bólu, co więcej, obawiałem się, że twarze tych ludzi będą nawiedzać mnie w sennych koszmarach przez resztę życia. Mimo to chciałem je poznać, chciałem, żeby poznał je tata. Trish nie miała żadnych wiadomości z kancelarii lekarza sądowego, co wskazywało, że zostaniemy w Berlinie jeszcze

przynajmniej kilka dni. Jeśli spotkanie trzeba będzie odwołać, trudno, a tymczasem będę miał na co czekać.

Chciałbym zaprosić wszystkich, którzy ją znali, na nieoficjalnego drinka, powiedziałem.

Przystanął gwałtownie na chodniku. Co chcesz zjeść?, zapytał. Nie wiem, odpowiedziałem, coś dobrego. Nie wiem, czy cokolwiek w tej okolicy będzie ci odpowiadało, powiedział. Mówił szczerze i przyglądał mi się przez dodatkowe pół sekundy. Staliśmy w otoczeniu restauracji, kawiarni i barów z jedzeniem na wynos. Nie jestem wybredny, powiedziałem. Naprawdę. Zdawałem sobie sprawę, że Otis ma głęboko gdzieś to, czy jestem wybredny czy nie. Odniosłem wrażenie, że ta dziwna surowa mrukliwość jest być może w mniemaniu Otisa sposobem, w jaki kazałaby mu potraktować mnie Miriam. Jeśli tak, to słowa, które padły z jej ust na mój temat i sposób, w jaki się zachowywała, wspominając mnie, musiały dać Otisowi asumpt do takiego postępowania. Rozejrzałem się w obie strony, szukając miejsca, w którym chciałbym coś zjeść. Ulica była ohydna. Dzień chłodny i żałosny.

Lubisz zupy?, zapytał.

Zupy?

Azjatyckie zupy.

Jasne, odpowiedziałem, choć nie miałem ochoty na azjatycką zupę. Kiedy ją zaproponował, stwierdziłem, że chciałbym zjeść sałatkę – byłem w Berlinie już od

kilku dni i ani razu nie zjadłem świeżych warzyw. W ciągu dnia cierpiałem na nieustanną niestrawność, którą zalewałem wieczorami taką ilością alkoholu, iż zapominałem, że było mi niedobrze. Otis zaprowadził mnie do zatłoczonego hałaśliwego miejsca, które – chyba celowo – wyglądało na wyremontowane w połowie i przypominało pociągniętą farbą ruinę. Z głośników płynęła muzyka Led Zeppelin, a wokół było pełno mężczyzn, którzy także mieli na imię Otis. Zamówiłem jakąś zupę, a Otis coś do picia, jakąś miętową lemoniadę z pianką, po czym wcisnęliśmy się na wolne miejsca przy zatłoczonym plastikowym stole, siadając naprzeciw siebie. Kiedy po raz ostatni widziałeś się z Miriam?, zapytałem. Dawno temu, odpowiedział, jeśli chcesz wiedzieć, kiedy po raz ostatni naprawdę rozmawialiśmy. To tak jak ja, mruknąłem. Przyniesiono mi zupę. Pływało w niej pełno tofu, pak Choi i chilli. Spróbowałem. Dobra?, zapytał Otis. Odpowiedziałem: Taa, psychota. Podeszło do nas parę osób, które znały Otisa. Rozmawiali ze sobą krótko po angielsku. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, co zupełnie mi nie przeszkadzało, bo to, co miałem do powiedzenia, dotyczyło wyłącznie Miriam lub mojej pracy, którą prawdopodobnie uznaliby za nie do zaakceptowania. Jadłem zupę i nie wyrzucałem sobie nawet, że podsłuchuję. Kiedy tamci odeszli, zapytałem Otisa, czy znali Miriam. Nie, odpowiedział. Miałem zamiar powiedzieć mu tak: Jeśli zależy ci na

jakichś książkach, Otis, lepiej powiedz mi coś ważnego o siostrze, ale zamiast tego zapytałem: Spotykaliście się z Miriam?

Spotykaliśmy się?

No, wiesz, o co mi chodzi.

Umilkł, a potem stwierdził: Nie, raczej nie.

Widziałem ją przed pięciu laty w Kolonii, powiedziałem, wiedziałem już wtedy, wiedziałem, że coś jest nie tak... była taka chuda... ale nic nie zrobiłem, nie wspominałem o tym słowem.

Skończyłem jeść zupę. Zerknął parę razy na zegarek, sięgnął do kieszeni i zadzwonił kluczami, jakby chciał wstać i wrócić do mieszkania Miriam. Ale ja nie byłem gotowy. Jak zarabiała na życie?, zapytałem. Robiła to i owo, mruknął. Uczyła angielskiego, prowadziła terapię ruchem, udzielała porad, była artystką, tłumaczką, kelnerką, była na bezrobociu. Mówił to obojętnym i znużonym tonem. Ale kiedy skończył tę litanię zawodów, wyrwał się z odrętwienia, pochylił się w moim kierunku i wyartykułował, pomagając sobie przy tym palcem wskazującym, którym uderzał w stół, ukazując zalewającą go agresję i wściekłość: – Nigdy wcześniej w dziejach ludzkość nie była tak zniewolona, tak nieszczęśliwa.

Nie bardzo rozumiałem, jaki to ma związek z pracą zawodową Miriam czy jej śmiercią, o ile nie chciał mi powiedzieć, że postanowiła zagłodzić się na śmierć wskutek zniewolenia i braku szczęścia, albo że jej

śmierć była czymś w rodzaju odważnego protestu przeciwko panującym obecnie stosunkom społecznym. Być może to mnie oskarżał o zniewolenie Miriam i odebranie jej prawa do szczęścia, być może oskarżał o to i mnie, i siebie. Uznałem tę wypowiedź za absurdalną, bez względu na intencje, lecz zareagowałem pytaniem: Nigdy wcześniej w dziejach?

Tak.

Założę się, że nie.

A właśnie, że tak.

Opuściłem wzrok. Miałem przed sobą pustą miskę po zupie. Odsunąłem ją na bok. Wstałem. Otis także się podniósł. Mam zamiar wrócić do hotelu, powiedziałem, odpocząć. Skończę porządkowanie rzeczy Miriam innego dnia. Książki, rzucił. Tak?, zapytałem, co z książkami? Niektóre należą do mnie, stwierdził, i inne rzeczy też. Mam w dupie książki, Otis, i wszystko inne, rzuciłem. Zanim wyjedziemy, będziesz mógł przyjść i zabrać, co tylko chcesz. Podziękował mi, po czym wymieniliśmy się numerami telefonów. Obiecał, że spotka się ze mną jutro albo każdego innego dnia, kiedy wrócę do mieszkania Miriam, a ja domyśliłem się, że chce dać mi do zrozumienia, że już nigdy nie będę sam w mieszkaniu siostry, że dowie się o tym i będzie mi towarzyszył. Przypomniałem mu o spotkaniu z przyjaciółmi Miriam – skromnej, ciepłej ceremonii, by uczcić jej odejście. Rozstaliśmy się przed knajpą z zupami, choć szliśmy

w tym samym kierunku. Poczekiałem, aż zniknie mi z oczu i poszedłem za nim. Wróciłem po rower. Jazda przez miasto w śniegu czy zamarzającej mżawce – cokolwiek to było – nie należała do przyjemnych. Wróciłem do hotelu, wziąłem drugi prysznic i zdrzemnąłem się przez chwilę. Usłyszałem, że ojciec wraca. Poszedłem do jego pokoju i powiedziałem mu, że sąsiad Miriam wytłumaczył mi, że ludzkość nigdy nie była bardziej zniewolona i nieszczęśliwa niż teraz. Usiadł na brzegu łóżka, rozwiązał węzeł krawata i zaczął zdejmować buty. Co to ma, do licha, znaczyć?, zapytał. Nie wiem, odpowiedziałem. Najwyraźniej zapomniał o tym, co działo się w dziesiątym wieku, mruknął tata. Chyba masz rację, zgodziłem się. Siedziałem na żółtym tulipanowym fotelu w jego pokoju i zacząłem przeglądać darmowy magazyn turystyczny.

Zajazd w Szkocji, w którym rodzice spędzili miodowy miesiąc, jest położony wysoko w górach Highlands, daleko od wszystkiego. Jest bardzo luksusowy. Stoi na maleńkiej wysepce przy brzegu jeziora, a dawno temu wysepkę tę połączono z brzegiem groblą, na której wybrukowano wąską drogę. Jezioro znajduje się na dnie kotliny. Kiedy jedzie się tam samochodem – choć niektórzy przylatują helikopterami – i zjeżdża ze stoku doliny, pierwsze, co rzuca się w oczy, to dym z kominów, a w nocy odległe światła, jakby statku płynącego po

wodzie. W zajeździe jest wiele maleńkich pokoi, w których płonie ogień. W miękkich fotelach można kompletnie odizolować się od świata, siedzieć i przez długi czas czytać gazetę albo książkę, popijając serwowaną w czajniczkach herbatę. Restauracja jest bardzo dobra. Widok przepiękny. Większość gości to starsi ludzie, którzy przyjeżdżają tu od lat. Nie wiem, w jaki sposób mama i tata dowiedzieli się o tym miejscu. Byli tam we dwoje trzy razy – podczas miodowego miesiąca, kiedy ja i Miriam byliśmy mali, i po raz ostatni, kiedy byłem już nastolatkiem. Oczywiście nigdy im nie towarzyszyliśmy. Wiem, że chcieli tam wrócić, kiedy mama zachorowała i zastanawiali się nad podróżą. Ale była zbyt osłabiona, żeby lecieć. Czekali więc, wierząc, że wyzdrowieje. Kilka lat po jej śmierci tata doszedł do wniosku, że powinniśmy odbywać w zajeździe regularne rodzinne spotkania. Wiedziałem, że wolałby odbywać regularne rodzinne spotkania w domu – bo chciał nas w nim widzieć oboje – ale zdawał sobie sprawę, że przyjazd do Szkocji jest dla mnie łatwiejszy i stwarza też szansę na uczestnictwo Miriam. Któregoś roku opłacił pobyt w Szkocji dla mnie i żony. Mieliśmy się z nim tam spotkać. Zaprosił też rodziców żony, ale coś im akurat wypadło, a Miriam także była zbyt zajęta. Pogodził się z tym. Spędziliśmy tam we troje miłe chwile. Tata zamówił wino, które pili z mamą podczas ostatniego pobytu – bordeaux w cenie

siedemdziesięciu funtów za butelkę – i trochę się tym winem upiliśmy. Siedzieliśmy przy jednym z osłoniętych stołów pod czerwonym abażurem, słuchaliśmy czyjejś gry na fortepianie i rozmawialiśmy o naszym mieszkaniu przy Fulham Broadway, o tym, jak je powoli modernizujemy, począwszy od łazienek, przez kuchnię, i o tym, kiedy będziemy mogli odwiedzić go w Stanach – moja żona nigdy tam ze mną nie poleciała – oraz o tym, czy zastanawiamy się nad posiadaniem dzieci. Żona powiedziała, że chce mieć dzieci. Przyznałem, że ja także chcę je mieć. Wydaje mi się nawet, że postanowiliśmy spróbować spłodzić dziecko po tej podróży do Szkocji. Kolacja trwała całą wieczność. Było lato, więc wieczór był dosyć jasny do samej północy. Pozostaliśmy jedynymi gośćmi w restauracji, a potem wybraliśmy się z ojcem na przechadzkę po grobli i wzdłuż brzegu jeziora. Moja żona położyła się do łóżka. Na niebie pojawiły się gwiazdy. Tata zapytał: Dlaczego, twoim zdaniem, Miriam nie przyjechała? Mówiłeś, odpowiedziałem, że powiedziała ci, że jest zajęta. Podejrzewam, że to jedyny powód. Tak, stwierdził, ale żałuję. Może następnym razem, powiedziałem. Tak, może następnym razem, powtórzył. Wróciliśmy i poszliśmy spać.

Wychodząc z lotniskowej toalety, jestem trochę mniej zmęczony. Musiałem się zdrzemnąć przez chwilę na stojąco. Możliwe również, że to

przestronność terminalu wpływa tak na mnie po piętnastu minutach spędzonych w kabinie. Głód i mdłości minęły zupełnie. Czuję się niemal tak, jakbym właśnie skończył ćwiczyć i wyszedł z męskiej szatni klubu fitness, a nie z zatłoczonego lotniskowego WC. Po trosze spodziewam się ujrzeć Richarda, który będzie chciał się przywitać, odchyłony lekko do tyłu, żeby ukryć krzywe ramię. Może czekał na mnie przez kilka minut. Może zmęczyło go stanie w tak ruchliwym punkcie.

Terminal wydaje się dwukrotnie albo i dziesięciokrotnie bardziej zatłoczony niż wtedy, kiedy siedzieliśmy przy śniadaniu. Wystarczy się rozejrzeć, by dojść do wniosku, że brakuje tu miejsca, a dzisiejsza doba jest za krótka, żeby wszystkich stąd wyekspediować. Nie jesteśmy już, jak poprzednio, w identycznej sytuacji – tknięci paraliżem. Nadeszła chwila, spektakularna chwila tuż przed uniesieniem się mgły. W jakimkolwiek kierunku spojrzeć, horyzont znów jest widoczny. Samoloty lądują, kołują. Wybieram się na krótką przechadzkę do bramek niedaleko toalet. Bramki są po obu stronach. Obszar, który zajmują, jest olbrzymi. Nazwy miast docelowych wyświetlane są obok numeru bramki: Kair, Bukareszt, Madryt, Manchester, Warszawa, Moskwa, Ateny, Londyn Heathrow, Londyn Gatwick. Kiedy wylądujemy w Atlancie, na wyświetlaczach pojawią się takie nazwy, jak Memphis, Charlotte, Jacksonville,

Indianapolis, San Antonio, Des Moines, Chicago. Przystaję przy bramce z napisem Londyn Heathrow. Stoję i rozglądam się. Oglądam telewizję z jakimiś ludźmi, potem idę dalej, przystaję i rozglądam się po ludziach sprawdzających swoje telefony. Sprawdzam też swój telefon. Zauważam Richarda, który siedzi nie dalej niż dwadzieścia stóp ode mnie z jakimś pismem w ręku. Siedzi obok kobiety, która jest bardzo podobna do kobiety, która była jego żoną, kiedy jeszcze utrzymywaliśmy ze sobą kontakty, ale nie jest to ta sama kobieta. Ma rude włosy i ładne piwne oczy, a obok niej siedzi dziecko, chłopczyk, sześć- czy siedmioletni, bardzo podobny do Richarda. Podchodzę bliżej. Kobieta czyta własne pismo, a Richard od czasu do czasu przerywa lekturę magazynu i zagląda do tego, które czyta ona. Kobieta jest piękna. Richard jest przystojny, jeszcze przystojniejszy niż wtedy, kiedy się znaliśmy, bo przytył jakieś dziesięć funtów. Udaje, że czyta magazyn poświęcony kolarstwu, a ten przeglądany przez jego partnerkę, który, jak się zdaje, bardziej interesuje Richarda, to pismo o celebrytach. Postanawiam, że przestanę im się przyglądać i podejść się przywitać. Kiedy ruszam z takim zamiarem, Richard podnosi głowę, jakby przez cały czas wiedział, że tu jestem. Wyraz jego twarzy jest najosobliwszą miną, jaką kiedykolwiek widziałem. Mówi: To, co tu widzisz, nie jest dla ciebie. Odejdź. Nie widzieliśmy się od wielu, wielu lat, więc robię

głupkowatą minę, która mówi: Tak się cieszę, że cię spotkałem, Richard. Kobieta zerka na mnie. Już nie mogę odwrócić się na pięcie i odejść, wyciągam więc rękę na powitanie. Zabawne, że spotkaliśmy się w takim miejscu, mówię. Richard nie wstaje. Kobieta uśmiecha się do mnie. Przedstawiam się. Mówi, że ma na imię Catherine. Miło mi cię poznać, Catherine, odpowiadam. Dobrze wyglądasz, stwierdza Richard. Ty też, odpowiadam. Lecisz do Londynu?, pyta Catherine. Owszem, odpowiadam, choć zdaje się, że jeszcze przez chwilę nigdzie nie polecimy. Mgła się podnosi, mówi Catherine, jeszcze chwila.

Co was sprowadza do Niemiec?, pytam ich oboje.

Catherine pochodzi z Niemiec, mówi Richard.

Jesteś Niemką?, pytam.

Tak, odpowiada.

Mówisz zupełnie bez akcentu, komplementuję ją.

Catherine uśmiecha się. Richard ziewa. Chcę powiedzieć: No cóż, wybaczcie mi to najście, ale zamiast tego mówię: No cóż, miło było was widzieć. Ciebie również, odpowiada Richard, a potem pyta: Pracujesz tu? Nie, odpowiadam, mieszkała tu moja siostra, która zmarła przed kilkoma tygodniami. Twoja siostra?, pyta Richard. Owszem, odpowiadam, miała na imię Miriam i mieszkała w Berlinie przez dwadzieścia lat.

Współczuję ci, mówi Richard.

Ja również, dodaje Catherine.

Chłopczyk unosi głowę znad ekranu, w który jest wpatrzony, ale szybko ją opuszcza.

Richard zerka na Catherine i pyta: Możemy skoczyć na szybkiego drinka?

Słuchaj komunikatów, napomina go, na co on odpowiada: Mam telefon, przyślij mi esemesa, gdyby coś się działo. Całuje ją oschle i szybko w skroń, a potem macha do chłopca, wsuwając dłoń między jego twarz a ekran, ale chłopiec tylko odsuwa ekran. Kiedy odchodzimy, Richard pyta: Masz dzieci? Nie, odpowiadam, nie mam.

W pierwszym barze, oddalonym o siedem czy osiem bramek, Richardowi nie odpowiada atmosfera, niewykluczone również, że chce się znaleźć dalej od Catherine i syna. Przechodzimy kolejne sto metrów i znajdujemy bar identyczny z poprzednim. Jest obrzydliwie przeładowany gośćmi, w środku jest parno jak w tropikach, jakby właśnie skończył padać piwny deszcz. W barze trwa w najlepsze angielski wieczór kawalerski – świętuje tu ponad tuzin powracających do domu mężczyzn. Jedni mają wielkie cylindry w barwach brytyjskiej flagi, inni w irlandzkie trzy kolory, a jeszcze inni nie mają nakryć głów. Frankenstein!, ryczą do Richarda. Lecą do Manchesteru, a nie do Londynu. Wiem dokładnie, jak minął im dzień. O siódmej lub ósmej – zaledwie kilka godzin lub minut po tym, jak padli nieprzytomni – wyczołgali się z hotelowych łóżek, wzięli prysznic

i zjedli tłuste śniadanie. Zbierali się po cichu w hotelowym lobby, wszyscy bladzi, śmierdzący i skacowani. Niektórzy z nich wymiotowali. Przysypiali w fotelach i na sofach w korytarzu, nosili przeciwsłoneczne okulary, choć było ciemno, choć była mgła. Po przyjeździe na lotnisko czuli się tak, jakby mieli umrzeć. Procedury bezpieczeństwa zabrały im rok z życiorysu. Później błakali się jak zagubiona trzódka, trafili na niemal pusty bar i weszli do środka, bo ktoś zdał sobie sprawę, że klin to jedyny sposób na pozbycie się nieznośnego kaca. Za barem stoi dwoje młodych ludzi: blada jasnowłosa dziewczyna, która serwuje drinki, i blady jasnowłosy chłopak, który wściekle wszystko czyści. Oboje ubrani są w czarne koszule z długimi rękawami, zapinane na guziki. Koszula dziewczyny jest zbyt obcisła, a chłopaka za luźna. Chłopak wygląda na wyczerpanego. Dziewczyna przeżywa traumę. Richard mówi coś do niej po angielsku. Odmawia rozmowy w tym języku albo nie chce już mówić po angielsku, więc ja składam zamówienie. Richard dostaje szkocką, a ja wodę gazowaną. Na jedynym wolnym stoliku widnieje kałuża piwa, znajdujemy więc parapet przy ścianie i stawiamy tam nasze szklanki. Richard opiera się o ścianę. Staram się niczego nie dotykać. Smród jest potężny. Jeden z uczestników wieczoru kawalerskiego chwyta mnie za szyję i woła: Oi! Jego oddech wpełza w mój oddech. Mam wrażenie, że chce

mnie pocałować w usta, ale jego kumple go odciągają.

Czym się teraz zajmujesz?, pyta Richard.

Prowadzę własną firmę konsultacyjną. Już od dwunastu lat. A ty?

Mówi, że odszedł z banku, który zatrudnił go na nowo jako konsultanta z czterokrotnie wyższą pensją. Teraz prowadzi firmę konsultacyjną z sześcioma pracownikami. Opowiadam mu, co robiłem w sieci supermarketów i dla innych klientów. Wspominam też, że zwiążę się w pełnym wymiarze godzin z francuską firmą kosmonautyczną, kiedy tylko wrócę do Londynu.

Ponad przekrzywionym barkiem Richarda widzę, jak uczestnik wieczoru kawalerskiego – nie, sam przyszły pan młody! – próbuje pocałować dziewczynę za barem. Dziewczyna nie chce się z nim całować. To jest lotnisko, mówi, a ja mam męża. Nie słyszymy ich, rzecz jasna, ale domyślam się, jak zareagowała. Patrzy na niego właśnie w taki sposób. Richard odwraca się, żeby sprawdzić, czemu się przyglądam. Spogląda na mnie i mówi, wskazując brodą rodaków: Pierdoleni trolle, pierdolone śmiecie.

Masz nową żonę, stwierdzam.

Tak, odpowiada, ale nie mamy ślubu.

Jest bardzo ładna, mówię, a wasz synek uroczy.

Dzięki, rzuca.

A co się stało z twoją byłą?

Nic, odpowiada, wciąż jesteśmy razem. Mamy dwoje dzieci.

Przez chwilę myślę, że to żart, więc wybucham śmiechem, ale przekonuję się, że mówi serio, więc chwytam szklankę z wodą i udaję, że piję.

Richard niespodziewanie popada w głębokie zamyślenie. Chciałem się rozwieść, tłumaczy, ale powiedziała mi, że oszalałem. Spotykamy się raz czy dwa razy w miesiącu, a resztę czasu spędzam w Niemczech albo w Stanach. Mamy dom, bo dom musi być, dzieci muszą chodzić do szkoły, robię, co chcę, ona też robi, co chce, wracam do domu raz czy dwa razy w miesiącu ze względu na dzieci. Richard wyrzuca z siebie to wszystko, uśmiecha się i rozluźnia.

I to się sprawdza?

Tak i nie, odpowiada. Ale nie mam alternatywy. Pije drinka i pyta: A ty ożeniłeś się ponownie?

Nie, nie ożeniłem się.

Czyta w moich myślach i wie, że nie powinien drążyć dalej tego tematu. Za jego plecami angielski pan młody zaprzestał prób całowania barmanki. Teraz zabrał się za jej obmacywanie, kładąc ręce na jej brzuchu i plecach, a zdaje się, że to jej nie przeszkadza, to wydaje jej się właściwsze. Prowadzą teraz chyba zwykłą, niezobowiązującą pogawędkę. Dziewczyna jest ładna, ma duże oczy. I dwoje małych dzieci, jedno grzeczne, a drugie nie. Mąż zajmuje się pracą twórczą, ale z tego nie da się zapłacić rachunków – dlatego

poszedł do zwykłej pracy, która mu uwłacza. Ona trwa przy nim i wierzy w niego, a on rzucał dla niej twórczość wiele razy, na co ona się nie godzi i żąda, by tworzył dalej. Mężczyzna, który z nią rozmawia, który ją obmacuje, który dotyka ją pod barem, gdzie nikt nie może tego zobaczyć, jest zwykłą gnidą w porównaniu z jej mężem.

Nie wiedziałem, że miałaś siostrę, mówi Richard. Przypomnij mi, jak miała na imię?

Miriam, odpowiadam.

Ja też miałem siostrę, ale zmarła, kiedy byłem mały. Co się stało Miriam?

Zagłodziła się na śmierć.

Richard prosi, żebym powtórzył to, co powiedziałem, więc mówię: To prawda.

Jak to możliwe? Była chora? Zasypała ją lawina?

Zmarła w swoim mieszkaniu w Berlinie. Po prostu przestała jeść.

Anoreksja.

Wzruszam ramionami. Nie znam innego słowa na określenie czegoś takiego.

To okropne, stwierdza, naprawdę okropne. Strasznie mi przykro. Kiedy to się stało, kiedy umarła?

Jakieś trzy tygodnie temu.

Szaleństwo, mówi, niewiarygodne. Czy to... szuka sposobu, by wyrazić to, o co chce zapytać... było dla ciebie zaskoczeniem?

Kiwam głową, bo nie potrafię się przyznać, że

śmierć Miriam nie była dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Widziałem ją przed pięcioma laty. Była chorobliwie chuda, z pewnością nie była zdrowa ani fizycznie, ani pod żadnym innym względem, a ja nigdy później nie zadałem sobie trudu, by dowiedzieć się, jak się czuje. Ostatni raz, mówię, widzieliśmy się w Londynie jakieś dziewięć lat temu i nic jej wtedy nie było.

Dziewięć lat?

Dziewięć lat szybko mija.

Richard wypija drinka i mówi: Święta prawda. Potem dodaje: Jeszcze jeden. Idzie do baru. Nie musi mówić ani po niemiecku, ani po angielsku – pokazuje tylko pustą szklaneczkę. Kobieta osaczona w rogu baru przez kawalera znalazła się w jakimś transie. Wygląda na to, że zaraz mu ulegnie, choć nie z pożądania, tylko ze zwykłej obojętności na to, czym jest akt zdrady. Kiedy Richard wraca, stwierdzam: To bardzo dziwne, to, co robi tych dwoje. Zerka. Obaj przyglądamy im się przez chwilę. Dziewczyna widzi, że się gapimy, ale nie obchodzi jej to. Kiedy jej kawaler odwraca głowę, opuszczamy wzrok.

Richard proponuje, że powinniśmy spotkać się i pogadać.

O czym?

O niczym. Tylko pogadać.

Jest mi dobrze tam, gdzie zaszedłem, mówię. Naprawdę dobrze.

Jasne. Ale możemy pogadać. Podaje mi wizytówkę.
Mówię poważnie.

Ja też. Po prostu spotkamy się i pogadamy.

Podajemy sobie ręce i Richard odchodzi. Ja zostaję. Przyglądam się jego wizytówce. Prowadzi interesy w Monachium i Londynie. To daje mi do myślenia. Ale nie, nie chcę mieszkać w Monachium. Chowam wizytówkę do portfela. Trzymam szklanekę z wodą, ale nie piję, przyglądam się dziewczynie za barem. Całuje się z kawalerem delikatnie i dyskretnie, rozglądają się wokół po każdym pocałunku, jakby chcieli się upewnić, że nikt nic nie zauważył. Odstawiam szklanekę na parapet. Sprawdzam telefon. Przyszedł esemes od Trish. Zastanawiają się z tatą, czy u mnie wszystko w porządku. Są przy jakichś eksponatach historycznych w drugim końcu terminalu.

Ostatniego dnia wyprawy poza Berlin – która zawiodła nas w górę doliny Renu, a potem do Koblencji, w Ardeny i do Luksemburga – postanowiliśmy zamieszkać w pięciogwiazdkowym hotelu w Brukseli. Zarezerwowaliśmy pokoje przez telefon, jadąc autostradą: dwa pokoje w Radisson Blu Royal. Zjedliśmy dobry obiad, a po deserze tata postanowił napić się koniaku i położyć spać. Wyszedłem do miasta. Podczas naszej wyprawy zaszła zabawna zmiana w warunkach atmosferycznych. Po pierwszym mroźnym tygodniu w Berlinie temperatura podskoczyła, zachmurzenie zniknęło, a na dworze było

jak wczesnym latem. Wychodząc z hotelu, nie zabrałem nawet marynarki. Poznałem pewną kobietę. Była miła i zabawna. Miała około pięćdziesiątki. Pokazała mi parę miejsc. Zabrała mnie do swojej pracowni. Skończyliśmy w moim pokoju hotelowym. Wychodząc, życzyła mi spokojnego powrotu do Berlina. Kiedy zostałem sam, stanąłem nagi przez wielkim lustrem zamontowanym w szafie. Nie mam pełnowymiarowego lustra w Londynie, więc niezbyt często mam okazję przyglądać się temu, co stało się z moim ciałem. Początkowo stałem wyprostowany, napięty, z wciągniętym brzuchem. Potem rozluźniłem się. Wypuściłem powietrze. Obżarstwo wychodziło mi bokiem, trudno było zaprzeczyć, że stałem się tłusty. Wciągnąłem brzuch. Poszczypałem skórę na piersi i ramionach, a potem napiąłem mięśnie, żeby sprawdzić, czy skóra też się napnie. Pochyliłem się. Miałem brzuch jak piłka. Składał się z trzech fałd, które szturchałem i ścisnąłem razem. Raną, którą sobie zadałem poprzedniej nocy, otworzyła się – co potwornie bolało – i zaczęła krwawić. Krwawiła w zasadzie przez cały dzień, ale dopiero kiedy ścisnąłem razem fałdy na brzuchu, otworzyła się na nowo. No cóż, to było głupie, powiedziałem do siebie. W aptecce w Brukseli kupiłem jakieś opatrunki. Pokazałem ranę farmaceucie, który powiedział, że powinienem pójść do lekarza i pokazał mi, jak ją oczyszczać i opatrywać. Opatrzyłem ją zatem na nowo,

usiadłem na krawędzi łóżka i czekałem. Czekając, przyglądałem się sobie w lustrze i doszedłem do wniosku, że żadne ćwiczenia ani żadna dieta nie odwrócą rozkładu, który się we mnie dokonuje – rozkładu nie tylko w sensie fizycznym, wywoływanego przez upływ czasu i fizjologię, ale także przez pamięć: moje ciało składało się ze wszystkiego, co pamiętałem.

Zaczęło padać, a kiedy krwawienie w końcu ustało, postanowiłem przestać się nad sobą użalać. Wyjąłem notes, usiadłem na łóżku, oparłem się na poduszkach i zapisałem kilka stron. Nie bardzo rozumiałem, dlaczego kobieta, z którą byłem, musiała wyjść – byłoby miło spędzić z nią całą noc, aż do śniadania, przedstawić ją ojcu, zaskoczyć go. Bar, w którym się poznaliśmy, był pełen młodych ludzi. Nie pamiętam, dlaczego zaczęliśmy rozmawiać, ale kiedy nawiązaliśmy konwersację, przyznaliśmy oboje, że czujemy się tutaj staro, więc przenieśliśmy się w inne miejsce, wypiliśmy drinka, a potem poszliśmy jeszcze gdzie indziej i tak dalej, aż znaleźliśmy lokal, w którym poczuliśmy się młodzi, który nie był zatłoczony ani za ciemny, ani za głośny, i w którym grała ładna muzyka, cichnąca, kiedy zaczynało się mówić. W końcu przekonałem ją, żeby opowiedziała mi o sobie, o tym, co robi i dlaczego mieszka w Brukseli. Odpowiedziała, że jest kompozytorką, że ma tu własne studio z funduszy UE. W Brukseli, powiedziała, jest mnóstwo

pieniędzy dla artystów, tyle że nikt nie chce tu przyjeżdżać, bo miasto jest strasznie nudne i pełne dyplomatów. Zapytałem, czy mogę gdzieś kupić jej nagrania. Odpowiedziała, że jej muzyki nie sprzedaje się w sklepach z płytami. Nazwałem ją zatem „eksperymentalną”. Och, powiedziała, nie nazywaj jej tak, proszę. Poprosiłem więc, żeby mi ją opisała, na co odparła, że nie da się jej opisać. No cóż, mruknąłem, ponieważ lubię muzykę, której nie da się opisać, chciałbym jej posłuchać. Odpowiedziała tonem sugerującym, że sprawdza, czy nie bluffuję: Moje studio jest niedaleko. Nie bluffowałem, dokończyliśmy więc drinki, zapłaciliśmy i wyszliśmy.

Jej studio mieściło się w wielkim, wielopiętrowym stalowym pudle z kilkoma zaledwie oknami. Bywałem w pracowniach artystów wizualnych, ale to było coś zupełnie innego. Były tam trzy pomieszczenia. W pierwszym mieścił się gabinet albo biuro, w drugim trzymała graty, a trzecie wielkością przypominało salę balową o bardzo nisko podwieszonym suficie – musiał to być sztuczny sufit. Salę pomalowano na biało – ściany, sufit i podłogi miały lśniąco białą barwę. Powierzchnie błyszcząły tak bardzo, że wyglądały jak mokre. W drugim końcu pomieszczenia, pod sufitem, wisiało podwieszone na cienkich niewidzialnych drucikach czarne trapezoidalne pudło. Kompozytorka podała mi miękką białą szatę z kapturem i białe papierowe kamasze. Sama włożyła identyczny strój

i obuwie. Potem otrzymałem duże białe słuchawki. Rozlegał się w nich głęboki dźwięk przypominający to, co słyszy się po zanurzeniu głowy w wannie, kiedy leży się nieruchomo i tylko słucha. Zdjąłem słuchawki z uszu i zapytałem: A teraz co? Przechadzaj się bardzo powoli. Więc przechadzałem się bardzo powoli. Nie mogłem przechadzać się szybciej, bo wygląd posadzki wskazywał, że jest mokra i śliska, chociaż wcale taka nie była. Kiedy spacerowałem, niski podwodny dźwięk przechodził lekkie fluktuacje. Początkowo fluktuacje te brzmiały jak zakłócenia, lecz co jakiś czas słyszałem coś wyraźniejszego, jak mi się zdawało. Może muzykę. Poczułem lekką dezorientację, a im wolniej szedłem, tym częściej dezorientacja ta wywoływała dreszcze. Lśniąca sala zacierała wrażenie głębi, a po pewnym czasie nie wiedziałem już, gdzie kończy się posadzka, a zaczyna ściana. Czarne trapezoidalne pudło przestawało dzielić salę. Co więcej, kiedy obchodziłem ją wolno, podążając ścieżką wytyczaną przez fluktuacje, pudło – w którym niewątpliwie mieścił się nadajnik wysyłający wywołujące fluktuacje sygnały – zmieniało kształt. Początkowo zmiany te były nieznaczne. Wybrzuszało się lekko albo kurczyło, unosiło lub nieco opadało. Później jednak zaczęło zmieniać położenie i zawisło do góry nogami, by nagle znów wrócić do pierwotnego położenia. Potem zamieniło się w kwadrat, koło, trójkąt. Te zmiany kształtów wywoływały konfuzję. Przy czym z całą

pewnością nie były rzeczywiste, bo wystarczyło oprzeć się halucynacjom, żeby pudło znów stało się trapezoidem. Zmieniało również barwę – z czarnej na zieloną i niebieską, odcieniami. Jednocześnie trwały słuchowe fluktuacje, a im bardziej się w nie wsłuchiwałem, tym lepiej udawało mi się wyłowić spoza zakłóceń echa muzyki. Wystarczyło, że przypomniałem sobie jakiś utwór, a już słyszałem go w słuchawkach. Każda moja myśl znajdowała odzwierciedlenie w szumie, chwytając hałas i nadawała mu sens. Podeszedłem aż do pudła i stanąłem pod nim. Niski dźwięk był w tym miejscu najsilniejszy. Podobnie jak fluktuacje. Słyszałem wysoką świdrującą nutę, ale harmonia, którą skądś znałem – i która stawała się tym, czym chciałem, aby się stała – była poza moim zasięgiem. Potem zdjąłem słuchawki i zsunąłem kaptur. Kobieta, zauważywszy to, zrobiła to samo. Co o tym sądzisz?, zapytała. Masz rację, odrzekłem. Tej muzyki nie da się łatwo opisać. Podeszliśmy do siebie na środku sali i oddałem jej słuchawki. W jaki sposób to gra?, zapytałem. Co gra?, zapytała. Już miałem się odwrócić i pokazać palcem czarne trapezoidalne pudło z ukrytym w nim nadajnikiem, ale ton jej głosu wskazywał, że kompletnie nie zrozumiałem tego, co tu się działo. Poczuję skrępowanie i wstyd, nie pojąwszy tego, co oczywiste, a nawet lekką irytację, która kazała mi zapytać: Tak brzmi to w twoim studiu, a jak będą

wyglądać wykonania publiczne? Będą ogromne. Dziesięć razy większe od tej sali, a trapezoid będzie wielkości pasażerskiego odrzutowca.

Dziesięć razy większe?, powtórzyłem.

Albo może takiej samej wielkości, albo tylko dwa razy większe.

A gdzie się odbędą?

Wymieniła nazwę dużej, znanej wtajemniczonym galerii w Barcelonie, choć nie zrobiła tego pompatycznie. Wypowiedziała ją z nieśmiałym uśmiechem, jakby sama nie mogła w to uwierzyć. Gdybym zainstalowała to w Tate Modern, sala byłaby dziesięciokrotnie większa, dodała.

Było już bardzo późno, kiedy opuściliśmy studio. Nie flirtowaliśmy ze sobą w oczywisty sposób, nie dotykaliśmy się, ale było coś między nami i oboje mieliśmy wrażenie, że jeśli coś ma się wydarzyć, powinno wydarzyć się szybko. Byłem zupełnie rozbrojony tym, co właśnie przeżyłem, uważałem, że na nią nie zasługuję, więc nawet nie próbowałem jej całować, choć pocałunek byłby pewnie bardzo na miejscu. Powiedz mi proszę, że nie jesteś dyplomatą, poprosiła. Nie jestem dyplomatą, oznajmiłem. Powiedz mi proszę, że robisz coś zupełnie bez znaczenia, że jesteś prawnikiem, księgowym, projektantem. Zerknąłem na nią spod oka. No, dobrze, mruknęła, więc powiedz mi, że robisz coś złego, że jesteś dziennikarzem albo politykiem. Zajmuję się

marketingiem, stwierdziłem. Marketingiem!, wykrzyknęła. To pierwszorzędnie! To sto razy gorsze. W tych czasach rzadko kto używa słowa „pierszorzędnie”, zauważyłem.

Szliśmy wieloma pustymi, ciemnymi ulicami – to znaczy w oknach było ciemno, a miasto wyglądało na pogrążone w głębokim śnie. Bruksela jest taka nudna, powiedziała, że po północy można chodzić środkiem każdej ulicy. Lubiła tak chodzić. Kiedy słuchaliśmy muzyki w jej studiu, ni z tego, ni z owego nadciągnął chłodny front, niebo poszarzało i zrobiło się zimno. Chłód był miły po tygodniu dziwnej, bagiennej fali ciepła, a po upływie dnia miał przekształcić się w prawdziwy powrót zimy w środkowej Europie i przepełnić ojca dumą z powodu wykosztowania się na ciepłe palto. Chmury wisiały nisko, wchłaniały miejskie światła, jaśniały i rozjarzały się nimi, wędrując szybko po niebie.

Kim chciałeś zostać?, zapytała.

Kiedy byłem mały?

Kiedy myślałeś o przyszłości, jak przypuszczam.

Och, westchnąłem, nie bawię się w to.

Jak to?

Staralem się wymyślić odpowiedź, która nie brzmiałaby przygnębiająco ani deprymująco. Pytała mnie całkiem serio. A nawet pochlebnie, jakbym wydał się jej osobą, która mogłaby zostać kimś lepszym, która mogłaby osiągnąć więcej, a nie kimś takim, kim

byłem i kto tak niewiele osiągnął. Opierała to na przeświadczeniu, że spodobała mi się jej muzyka czy też jej instalacja, czy jakkolwiek nazwać to, co mi zaprezentowała, ponieważ, jak większość artystów, opierała swoje przeświadczenia o potencjale innych – o ich zdolności do bycia lepszymi i osiągnięcia więcej – na ich umiejętności doceniania jej muzyki. Choć często zdarza się tak – co mogło akurat jej nie dotyczyć – że artyści opierają swoją wiarę w innych na ich nieumiejętności rozpoznawania kitu albo niechęci do nazywania kitem tego, co im się pokazuje. Mnie jednak naprawdę podobało się to, co robiła. Podobało mi się, bo była miłą osobą, a jej instalacja była zabawna, a momentami nawet ekscytująca i przynosiła chwilę wytchnienia od codzienności. Owszem, kryło się w niej też jakieś piękno. Nie potrafiłem jednak pozbyć się wrażenia, że przemyślenia ludzi na temat doświadczania jej muzyki są łatwe do przewidzenia, a jedynym sposobem zgłębienia jej utworu – czy sztuki w ogólności – jest droga intelektualna, ponieważ emocjonalne zgłębianie sztuki wydaje się naiwne czy na poły religijne, a sztuka nie żywi się już emocjami, lecz stała się wyborem istniejących wcześniej fraz – muzycznych, wizualnych czy gramatycznych – do opisanie kategorii kondycji ludzkiej. Niemniej jednak zastanawiałem się nad jej pytaniem i choć nic nie odpowiedziałem, doszedłem do wniosku, że gdybym mógł jeszcze raz wybierać, zostałbym lekarzem.

To było złośliwe pytanie, stwierdziła, wycofuję je.

A kim według ciebie chciałem zostać?

Przystanąła i spojrzała w niebo. Potem przeniosła wzrok na mnie, mierząc mnie z góry do dołu. Archeologiem, powiedziała.

Byliśmy oddaleni od hotelu o mniej niż pięć minut spacerem. Wiedziała, gdzie się zatrzymałem, więc bez zbędnych dyskusji szliśmy w tamtą stronę, a kiedy znaleźliśmy się na miejscu, weszła bez słowa do hotelowego lobby. Zapytałem, czy nie napiłaby się drinka w hotelowym barze i przez chwilę się nad tym zastanawiała. Nie, raczej nie, odpowiedziała. Więc wsiedliśmy do windy i pojechaliśmy do mojego pokoju. W windzie powiedziała: To zabawne, mieszkam tu blisko rok, zostało mi jeszcze kilka miesięcy i nie mam pojęcia, co dzieje się na świecie, nie czytam gazet, nie oglądam telewizji, nie otwieram listów, które do mnie przychodzą, nawet tych urzędowych, nie spotykam żadnych ludzi w budynku, w którym mieści się studio, nie wychodzę na kawę z sąsiadami, nie mam tu żadnych przyjaciół, nie chcę nawiązywać przyjaźni, nie mam telefonu ani poczty elektronicznej, moi rodzice umarli i nie mam dzieci. Co parę miesięcy spotykam nieznanego i rozmawiam z nim przez kilka godzin o bzdurach.

Leżała w łóżku ze skrzyżowanymi ramionami, jakby pogrążona w głębokich myślach, które zupełnie nie dotyczyły mnie ani tej nocy. Miewasz koszmary?

zapytałem. Wyrwała się z zamyślenia i odpowiedziała: Tak, oczywiście.

Co to za koszmary?, zapytałem.

Niech pomyślę, mruknęła. Śni mi się, że ktoś mnie goni, a nie mogę biec. Śni mi się, że ktoś wbija mi nóż w brzuch. Że jestem gwałcona. Że płonę żywcem. Śni mi się, że mam w macicy pełno stonóg. Że się topię. Zwykle koszmary.

Hm.

A tobie co się śni?

Śni mi się, odpowiedziałem, że uwięziono mnie w podziemnej celi, nie większej od zwykłego pokoju, i zamurowano. W celi są drzwi, ale prowadzą donikąd. Czasem drzwi znikają i wtedy robi się bardzo ciemno.

Rozmyślała nad tym przez chwilę. Skąd wiesz, że jesteś pod ziemią?, zapytała.

Nie wiem, skąd. To się po prostu wie.

Uśmiechnęła się i powiedziała: To dziwny koszmar, jeśli zdarza się częściej.

Tak, zgodziłem się, to jeden z wielu, ale tylko ten opowiadał ludziom.

Co według ciebie oznacza?

Opowiadam o nim ludziom z nadzieją, że mi wytłumaczą. Ale oczywiście nie wierzę, że sny mają jakieś znaczenie.

Przyśni ci się, kiedy stąd wyjdę?

Nie wiem, odpowiedziałem. Tej nocy mogę otworzyć minibarek i wypić wszystko, co jest w środku.

Wówczas nic mi się nie przyśni.

Nie wydawała się specjalnie zainteresowana moimi koszmarami – zaczęła dotykać swojego gołego nadgarstka w miejscu, gdzie nosiła zegarek – ale dokończyłem myśl: Co roku udaje mi się przekonać mojego lekarza, żeby przepisał mi xanax na jeden miesiąc i przez ten jeden miesiąc śpię doskonale. Ale za dnia jestem półprzytomny. Gdyby nie to, w ogóle nie zasypiałbym bez xanaxu.

Chciałabym pojechać stąd do Ameryki, stwierdziła. Popracować w Los Angeles. Wiesz, wszędzie jest już po ptakach, z wyjątkiem Los Angeles.

To oczywiste.

Wyobrażasz sobie swój powrót do Stanów na stałe?

Nie, odpowiedziałem. Jestem bardzo szczęśliwy w Londynie. Choć w Londynie trudno jest znaleźć naprawdę ładne mieszkanie.

Lecz nagle przyszło mi do głowy, że Los Angeles brzmi bardzo atrakcyjnie: wyobraziłem sobie siebie w kabriolecie porsche, jedzącego burrito, palącego papierosy i pracującego jako prywatny detektyw albo scenarzysta.

Następnego ranka spotkałem ojca na śniadaniu i opowiedziałem mu o poznanej przeze mnie kobiecie i jej muzycznej instalacji. Słuchał skonfundowany. Jadł dwie gigantyczne parówki owinięte szynką, polane ketchupem i unurzane w jajecznicę. Zrobiłem sobie w miseczce jajka po wiedeńsku, które zmieszałem

z bekonem i posiekaną w kostkę papryką. Jadłem to wszystko łyżeczką. Chyba właśnie tego ranka, w Brukseli, zacząłem tracić apetyt – albo, przejrzawszy się w lustrze, już go straciłem – a ta miseczka jajek po wiedeńsku była pierwszym posiłkiem, który zjadłem po utracie apetytu. Zawsze kiedy zastanawiam się nad zjedzeniem czegoś więcej niż kęs chleba, przypominają mi się te jajka po wiedeńsku. Po śniadaniu wyruszyliśmy z ojcem w drogę powrotną do Berlina, z przystankiem w Akwizgranie, gdzie ojciec chciał odwiedzić grobowiec Karola Wielkiego. Początkowo nie rozumiał – kiedy opowiadałem mu o muzycznej instalacji – skąd brały się te fluktuacje ani co to była za muzyka, ale w końcu go oświeciło, podobnie jak wcześniej mnie. Ha, wykrzyknął, pic na wodę, fotomontaż! No cóż, odpowiedziałem, nie wiem. Zdawałem sobie sprawę, że opowiedziałem mu o tym w taki sposób, który go do niej uprzedził, co było bez sensu, gdyż moim zamiarem było pochwalenie się przed ojcem, że spędziłem wieczór z fascynującą kobietą.

Powinniśmy sprawdzić, kto zacz? Jak się nazywa?

Nie mam pojęcia. Nie zapytałem.

Szkoda, mruknął.

Skończyłem jajka po wiedeńsku. Czekał na nas Karol Wielki, więc wstaliśmy od stołu, poszliśmy na górę po bagaże, wymeldowaliśmy się z hotelu i wyruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy na wschód w szarym zimnym

deszczu. Wjechaliśmy do Holandii – do jej wąskiego południowego wyrostka, który da się przejechać w kilka minut – a ojciec nagle przerwał opowieść o swojej pierwszej podróży do grobowca Karola Wielkiego, a na jego twarzy pojawił się wyraz lekkiego zaniepokojenia. Przerwawszy opowieść, zapytał niespodziewanie: Myślisz, że Miriam miała szczęśliwe dzieciństwo? Był to, jak podejrzewam, sposób podniesienia kwestii, która nurtowała go, podobnie jak mnie, od czasu, kiedy usłyszeliśmy o śmierci Miriam – że przeoczyliśmy coś zupełnie oczywistego, że jej śmierć miała korzenie w czasach, kiedy ją znaleźliśmy i widywaliśmy każdego dnia. Nie wiem, odpowiedziałem. Ale co o tym sądzisz, skoro cię o to pytam? Zmieniłem stację radiową. Udałem, że skupiam się na prowadzeniu auta. Spędziliśmy ze sobą już pięć dni w wymuszonej podróży samochodem bliskości i zaczęliśmy działać sobie na nerwy. Przypuszczam, że nasze wzajemne poirytowanie miało wiele wspólnego z faktem, że obaj dokonaliśmy szczegółowej inwentaryzacji wspomnień o dzieciństwie Miriam i niczego w nich nie odkryliśmy, a przynajmniej niczego tak spektakularnie odbiegającego od normy, by wytłumaczyć jej samobójstwo. Zerknąłem na niego kątem oka i przekonałem się, że nie udaje zaniepokojenia i że aż do tej pory był szczerze przekonany, że to jakieś wydarzenia w Niemczech doprowadziły do jej śmierci

albo że jej mózg się obkurczył, albo też uaktywniło się szaleństwo zakodowane w jej DNA. Odkąd dowiedziałem się o śmierci siostry, gdzieś z tyłu głowy zakładałem ewentualność, że ojciec wyrządził Miriam jakąś straszliwą krzywdę – coś, co kazało jej uciec z domu i co nękało jej ciało niczym uśpiona nieuleczalna zaraza, a w końcu doprowadziło do samobójstwa. Jednak wyraz twarzy ojca tamtego dnia w samochodzie wskazywał na jego zupełną niewinność. Ulżyło mi, a jednocześnie poczułem rozczarowanie, że nie zapytał, czy Miriam i ja, my oboje, mieliśmy szczęśliwe dzieciństwo. Byłem zawiedziony, bo z łatwością potrafiłbym udzielić mu odpowiedzi; odpowiedzi, która na tak sformułowane pytanie brzmiałaby: „owszem” w porównaniu z dzieciństwem innych ludzi. Odczuwałem jednocześnie ulgę, ponieważ włączenie mnie do pytania byłoby nieszczerym gestem, czymś, co zrobiłby człowiek żyjący z wielkim poczuciem winy, który nagle zapragnął dowiedzieć się, co sądzą o nim inni ludzie. Mówiąc szczerze, powiedziałem, kiedy byliśmy dziećmi, nigdy specjalnie nie zastanawiałem się nad tym, czy jest szczęśliwa czy nieszczęśliwa. Nie wierzę ci, odrzekł, byłeś opiekuńczym starszym bratem, zajmowałaś się nią i tłukłeś dzieciaki, które jej dokuczały. Tego też nie pamiętam, mruknąłem. Deszcz był coraz gęstszy, ale nie zwalniałem. Wyprzedził nas mercedes jadący ze sto sześćdziesiąt na godzinę, co

było lekkomyślne, zważywszy na warunki, ale dodałem gazu i trzymałem się w pobliżu jego tylnych świateł, dopóki tylko mogłem. Ojciec powiedział tak: Może to zapamiętałeś, a może nie, nie wiem, ale Karol Wielki zagłodził się na śmierć. Tego nie było w twojej książce, odrzekłem, nie przypominam sobie. Nie, tego nie było w mojej książce, przyznał, ale pisał o tym Einhard. Nie czytałem Einharda, tato, stwierdziłem. Ale już mnie nie słuchał, tylko mówił dalej: To prawda. Leżał, tknięty gorączką, a leczył gorączki, powstrzymując się od jedzenia, gdyż uważał, że chorobę można odpędzić, a przynajmniej powstrzymać, postem. Odpuściłem mercedesowi i zwolniłem do stu czterdziestu, stu trzydziestu, stu dwudziestu, ale i tak wyprzedzałem z wizgiem opon samochodu na wolnym pasie, jadące osiemdziesiątką albo siedemdziesiątką, albo nawet wolniej. To, co chcesz zasugerować, jest absurdem, powiedziałem. Niczego nie sugeruję, odrzekł. Lepiej będzie, jeśli o tym zapomnisz, poradziłem mu. Masz rację, odrzekł, po czym usiłował zmienić temat, przedstawiając litanie swoich dolegliwości: bólu w kolanach, nadgarstkach, ramionach, który przypisywał twardym, niewygodnym łóżkom, chodzeniu piechotą i siedzeniu w samochodzie. Przerwałem mu: Muszę ci coś powiedzieć, tato, ale nie chciałbym cię tym zasmucić.

Mów.

W dniu twojego przylotu zidentyfikowałem ciało

Miriam.

Widziałeś ją?

Owszem.

Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Pomyślałem, że oszczędzę ci dyskomfortu.

Dyskomfortu?

Doszedłem do wniosku, że postąpiłbyś tak samo.

Przejechaliśmy granicę z Niemcami. Holandia została z tyłu, w deszczu i mżawce.

Podczas naszej podróży wstawaliśmy wcześniej. Ojciec budził się o piątej lub szóstej i zazwyczaj szedł na przechadzkę, ja wstawałem około siódmej, wpadałem do restauracji na śniadanie i wypijałem cztery albo pięć filiżanek kawy. Nasze hotelowe pokoje stale ze sobą sąsiadowały. W samochodzie siedzieliśmy ramię w ramię. Prowadziłem zawsze ja, z wyjątkiem odcinka między Kaub a Koblencją, bo upiłem się winem, które kupiliśmy w Kloster Eberbach – klasztorze, w którym filmowano *Imię róży*. Cieszyłem się, że nasza podróż dobiega końca. Cieszyłem się z powrotu do Berlina, gdzie znów będziemy tylko czekać, a ja będę miał trochę czasu dla siebie. Byłem pewien, że ojciec chciał spędzić noc w Akwizgranie, wynająć kwaterę z widokiem na katedrę, pospacerować po mieście i zadumać się nad czasem, który poświęcił badaniu żywota Karola Wielkiego, żeby zrozumieć średniowiecze i historię Europy. Teraz, kilka kilometrów przed miastem,

zamilkł, przybrał surową minę, wydawał się obcy i oddychał w sposób, który wykluczał długotrwałe zwiedzanie katedry w Akwizgranie. Kiedy zobaczyłem znak wskazujący zjazd do Akwizgranu, powiedziałem: Zaparkujemy auto, obejrzymy katedrę, przekąsimy co nieco i wyruszymy w dalszą drogę. Jeśli wyjedziemy z Akwizgranu o ósmej, dotrzemy do Berlina o pierwszej-drugiej.

Dajmy sobie spokój z Akwizgranem, powiedział, jedźmy dalej.

Zjechałem do miasta mimo wszystko, a ojciec już nie protestował. Przystanek w Akwizgranie stał się obecnie niezbędny, nie tylko dlatego, że bez niego pięć poprzednich dni nie miałoby najmniejszego sensu, ale z tej przyczyny, że da ojcu, a nawet na nim wymusi – w zależności od jego nastroju – szansę na wypełnienie pustki, którą stworzyłem swoim wyznaniem; szansę na wyobrażenie sobie, jak by się czuł, będąc ze mną w kostnicy. Widzę jej ciało pod powiekami sto razy dziennie, widzę je do tej pory, a to powracające wspomnienie jest jak oślepiająca błyskawica, robi mi się gorąco, a jej widok przesłania wszystkie myśli.

Książka mojego ojca rozpoczyna się od upadku Rzymu. Ukazuje kontynent o niepewnej przyszłości, zagrożony, zdezorganizowany, podzielony, heterogeniczny. Na obszarze dzisiejszej wschodniej Francji i dzisiejszej Nadrenii pojawia się dynastia Merowingów. Pierwszym potężnym królem nowej ery

- ery bardzo niespokojnej, ale prowadzącej nieprzerwanie do nowożytnej Europy i Europy obecnej - jest Chlodwig I. Dynastię Merowingów zastąpiła z czasem dynastia Karolingów. Karol Wielki został królem. Panował w Akwizgranie. Z tego miasta Niemcy mieli zrealizować rzymskie ambicje - jeszcze nie Niemcy, a plemiona germańskie, które stały się różnymi potężnymi i zamożnymi narodami Europy - marzenie o łacińskim chrześcijaństwie, a nawet coś więcej, coś nowego, o czym nie śniło się nawet Rzymowi. To coś nowego było załącznikiem tego, co nazywamy Europą. Karol Wielki został cesarzem. Jego podstawową motywacją było pragnienie jedności i harmonii - *unitas* i *consonantia* - a zasadniczą przeszkodą zróżnicowanie, a zwłaszcza różnice między licznymi prowincjami cesarstwa, w muzyce i pieśni kościelnej. Jego następcy odziedziczą i poprowadzą dalej kulturową, prawną, wojskową i polityczną uniformizację, a z historii tworzenia i przeciwstawiania się tej uniformizacji zrodzi się Europa. Pęd na zewnątrz z Nadrenii nie przypominał dziewiętnasto- i dwudziestowiecznego kolonializmu, kiedy to mocarstwa kolonialne skupiały się na pozyskiwaniu surowców z podległych im krajów. Średniowieczny kolonializm dotyczył reprodukcji - osadnicy zamiast eksploatować ekonomicznie skolonizowane krainy, powielali w nich własny porządek społeczny i religijny. Przypominałem sobie

książkę ojca, notatki z niej, którymi wypełniłem cały notes, a kiedy jechaliśmy główną arterią prowadzącą od autostrady do centrum miasta, mijając wielkie magazyny i salony samochodowe, towarzyszyło mi cudowne przeświadczenie, że kiedy ujrzemy Karola Wielkiego, powiemy mu, że jego misja została spełniona, choć sprowadziła na ziemię barbarzyństwo i niewolnictwo tak krępujące i haniebne jak z jego najczarniejszych snów – choć w tym momencie nie bardzo wiedziałem, czy powtarzam myśli ojca czy mówię jak Otis, a może jak ja sam, głosem człowieka od dziesięciu dni niepracującego. Przyjechaliśmy z ojcem do Akwizgranu tuż przed szóstą, a wydawało się nam, że o szóstej zamykają katedrę. Jechałem więc główną arterią jak wariat, a kiedy znaleźliśmy się w centrum, zacząłem przejeżdżać przez czerwone światła. Zajeżdżałem drogę przechodniom na pasach. Dwa razy wjechałem pod prąd ulicą jednokierunkową. Uważaj, uważaj, napominał mnie tata. W końcu powiedział: Zamykam oczy. I naprawdę je zamknął.

Na dworze, na zewnątrz lotniska, dzień staje się przejrzysty – wreszcie! Mgła wyparowała. Słońce jest niemal w zenicie, ale i tak wisi nisko na niebie, a przez barwione szyby terminalu światło rozprasza się w błękitny przedmierzch. Temperatura w terminalu podniosła się, choć nie wykluczam, że to mi podniosła się gorączka. Muszę zdjąć ciężkie palto. Zostawiam je zwyczajnie na posadzce, starając się zapamiętać,

gdzie, żebym mógł przyjść po nie później, choć nie mam takiego zamiaru. Mam to palto już od kilku lat. Miałem je na sobie, kiedy po raz ostatni widziałem Miriam. Już nie mogę go nosić. Nie mogę go nawet nieść w rękę. Zdejmuję również marynarkę i sweter. Mam przepoconą koszulę. Nie ma miejsca, gdzie można by usiąść lub odpocząć, więc przyklekam. Kłękam w samym środku tłumu ludzi. Potem zakładam przeciwsłoneczne okulary i przez myśl mi nie przechodzi, że wyglądam w nich głupio. Najzabawniejsze jest to, że nikt tego nie zauważa albo nikogo to nie obchodzi. Kupiłem te okulary w dniu, w którym przyleciałem do Berlina, lub dzień później. Wtedy zacząłem również zapuszczać brodę. Była już dosyć długa. I przyprószona siwizną, co mnie zaskoczyło. Zastanawiałem się, czy jej nie zostawić, czy nie zapuścić jej na kilka miesięcy. Jednak zgoliłem brodę przed dwoma dniami. Moje przeciwsłoneczne okulary to szylkretowe ray-bany wayfarery. Odkąd zamieszkałem w Londynie, nie miałem okularów przeciwsłonecznych, które kosztowałyby więcej niż dziesięć funtów. Jeśli było słonecznie, mrużyłem oczy albo kupowałem tanie okulary na stacji benzynowej czy przy kasie w supermarkecie. Wayfarery kosztowały mnie dwieście euro. Kiedy tego samego dnia spotkałem się z ojcem, zapytał: Nowe? Odpowiedziałem mu: Przypuszczam, że to najlepsze okulary przeciwsłoneczne, jakie kiedykolwiek miałem.

Na co odrzekł żartobliwie – bo, jak sędzę, nie ma nic bardziej zwyczajnego od zwyczajnych wayfarerów: Co za radość móc je tu zobaczyć. Uważam, powiedziałem, że wyglądam w nich jak Huey Lewis. Kto?, zapytał. Podczas naszej wyprawy do Nadrenii nosiłem je każdego dnia. Czasem wydaje mi się, że nie zdejmowałem ich nawet do snu, przy śniadaniu czy pod prysznicem.

Tuż obok mnie – bo, jak się okazało, klęczę przy bramce do Kopenhagi – siedzi przystojna para w przeciwsłonecznych okularach. Kobieta jest ładna, ma długie ramiona i nogi, a ja uśmiecham się do niej. Ale nie patrzy na mnie. Wpatruje się w ekran telefonu. Mężczyzna jest potężny i muskularny, na nogach ma bardzo gustowne, białe półbuty z plecionej skóry, a do tego lśniące białe spodnie. Jest pewnie nieco młodszy ode mnie, ogolony na łyso i ma mocny podbródek. Wygląda na to, że sprawdza swój manikiur. Podziwia paznokcie lub idealny kształt swoich palców. Ojej, ojej, myśli w języku, w którym myśli, cóż to za palce, kobiety uwielbiają te palce. Kobieta jest opalona i również muskularna, około czterdziestki. Nigdy nie zetknąłem się z takim brakiem entuzjazmu jak jej brak entuzjazmu. Wysłała esemesa. Należy do osób, które wykorzystują telefon wyłącznie do wysyłania esemesów lub zdjęć – nawet z niego nie dzwoni. Ma drogiego smartfona, ale gdyby ktoś kiedyś poprosił ją o sprawdzenie prognozy pogody czy o pisownię

jakiegoś wyrazu, musiałyby zaesemesować do kogoś innego, kto by to dla niej sprawdził. Ma na sobie obcisłe granatowe dżinsy i czarny top ukazujący jedno ramię i wiszący luźno na drugim, a do tego małe czarne trzewiki. Włosy związała w koński ogon. Jej okulary są duże i zielonkawoczarne. Mam wrażenie, że chwilami zdaje sobie sprawę, że się jej przyglądam, bo soczewki jej okularów zatrzymują się na mnie przez moment, a potem odwracają. Mężczyzna coś do niej mówi – może w końcu znudziło mu się podziwianie w milczeniu własnych rąk i postanowił podzielić się z nią informacją, jak kobiety uwielbiają te dłonie. Patrzy na niego, kiedy ten mówi, albo prawie na niego, ale jej twarz pozostaje bez wyrazu. Kiedy on kończy, ona wraca do telefonu. Po drugiej stronie linii esemesy odbiera równie, jak sobie wyobrażam, apatyczna kobieta, opisująca równie nieznośną nudę w jakimś innym miejscu. Ta zdalna rozmowa rozpoczęła się przed laty i nigdy się nie skończy – nie ma nic wspólnego z lotniskami czy opóźnieniami odlotów. Jedna z nich mogłaby siedzieć, na przykład, w Metropolitan Opera i oglądać *Zaczarowany flet*, a druga, powiedzmy, w Musée de l'Orangerie, otoczona przez osiem fresków *Lilii wodnych* Moneta, i pisałyby do siebie o nieznośnej jakości tych scen, o hałasie, o tych obrazach i tych ludziach. Nigdy w życiu nie dostały talerza z jedzeniem, choćby najbardziej wymyślnym, droгим czy apetycznym, do którego

uśmiechnęłyby się ich oczy. Nigdy nie wypity kieliszka wina, które smakowałyby dobrze. Nigdy nie były w okolicy wartej sfotografowania. Robią zdjęcia grubasom albo torebkom i wysyłają je do siebie. Wiedzą instynktownie, że osobowość jest oznaką słabości lub symptomem oszukiwania samego siebie. Mężczyzna obdarzony osobowością jest tchórzem. Kobieta z osobowością jest szalona. Nikt nie ma większej osobowości od grubego, głupiego, tchórzliwego faceta lub grubej, głupiej i szalonej baby. Chciałbym spędzić tydzień z taką kobietą jak ta, nie po to, żeby ją kochać i być kochanym, ani nie po to, by z nią rozmawiać, ale by być blisko niej w restauracjach, oddawać kelnerowi jej talerze z jedzeniem – nieodpowiednim – i oddawać jej drinki – obraźliwe dla dobrego smaku. I żeby leżeć obok niej w hotelowym łóżku, kiedy ogląda telewizję.

Dostaję esemesa od Trish, która pyta, czy do nich wracam. Odpowiadam, że tak, ale potrwa to jeszcze kilka minut. Terminal – ze względu na poprawę pogody i rozpoczęcie odlotów – znalazł się na krawędzi apopleksji. Wstaję. Wkładam marynarkę. Bolą mnie zęby. Boli mnie głowa. Bolą mnie oczy. Każda z tych dolegliwości jest powiązana w jakiś daleki sposób z dylematem, co mam zrobić ze swetrem oraz z konsekwencjami zostawienia go tutaj lub niesienia ciężaru dalej. Czy ktoś zauważy, jeśli zostawię tu po sobie palto i sweter i czy przypadkiem

nie doprowadzi to do problemów z ochroną? A może zrobi mi się zimno i będę chciał odzyskać sweter? Czy nie pożałuję pozbycia się całkiem ładnego palta, a może już zaczynam żałować? Tonę, czuję palpitację serca. Wpycham częściowo sweter pod fotel mężczyzny w białych półbutach z plecionej skóry i jakoś mi z tym lepiej. Przede mną, pomiędzy miejscem, w którym stoję, a lotniskową plazą i dalej, tam, gdzie prawdopodobnie czeka na mnie Trish i mój ojciec, znajdują się tysiące ludzi. I wszyscy oni, jak mi się wydaje, liczą na wielki masowy exodus, jakby znaleźli się na dworcu kolejowym tuż przed wybuchem wojny. Zaczynam iść. Wchodzę do kafeterii i proszę o bułkę – bez masła, bez dżemu, suchą bułkę, co wywołuje pewne zaskoczenie, ale tłumaczę, że bułka jest dla syna, który jada tylko suche bułki. Podają mi bułkę w serwetce. Natychmiast odgryzam kęs. Potem podchodzę do wysokiego stolika przy ladzie, przy którym siedzi już parę osób, opieram łokcie o blat, pochylam się i zaczynam jeść, odgryzając maleńkie kęsy. Po pierwszych czuję mdłości, ale kiedy bułka wypełnia mi żołądek, jest mi lepiej. Odkładam niedojedzoną bułkę przy ludziach, których zirytowałem, naruszając ich prywatność, i rzucam jedno euro na ladę przy kasie, ponieważ widzę, że personel jest zniesmaczony moim kłamstwem o synu. Przy każdej bramce ustawiają się kolejki, a każda z nich ciągnie się przez pięćdziesiąt jardów

albo i więcej, i nie da się przez nie precyzyjnie, chyba że wytłumaczy się ludziom, że zmierza się do innej bramki i tylko przechodzi. Lecz nawet wtedy ludzie obrzucają mnie spojrzeniami, które mówią: Stoję w ścisku, nie mogę się ruszyć, dlaczego wkurzasz akurat mnie? Wciskam się w każdy cal wolnej przestrzeni i upewniam się, że moja walizka na kółkach przewraca ich walizki albo przejeżdża im po palcach, albo zwała z nóg ich dzieciaki i rzucam im spojrzenie, które mówi: Widzisz, do czego mnie doprowadziłeś, udając, że nie możesz się cofnąć? Napierają na mnie, zanim się precyzyjnie, i wypluwają mnie po drugiej stronie. Wszystko to dzieje się całkiem automatycznie i bez emocji. Nigdy nie oglądam się za siebie. Powtarza się to bramka za bramką. Wygląda to tak, jakby ludzie, którzy pędem zajęli pozycje i którzy – kiedy rozpocznie się wsiadanie na pokład – nie przyjmują do wiadomości, że jacyś pasażerowie stojący za nimi w kolejce wykupili bilety w rzędach, powiedzmy, od piętnastego do trzydziestego i mają pierwszeństwo, wierzyli, że Kopenhaga, Budapeszt, Wiedeń, Madryt, Kijów, Amman, Helsinki i Tel Awiw nie są położone w odległości tysięcy mil od tego miejsca, ale znajdują się tuż za bramką, tuż za składanym i rozkładanym rękawem.

Na tablicy odlotów, obok numeru naszego lotu, widnieje wiadomość „Proszę czekać”.

Kiedy przyleciałem do domu na pogrzeb mamy, z lotniska odebrał mnie ojciec. Miałem nadzieję, że będzie z nim Miriam, ale pojawił się sam. Stał w hali przylotów w białej koszulce polo i brązowych szortach, a na gołych stopach miał ciemnobrązowe mokasyny. Uściskaliśmy się z Miriam, kiedy ją ujrzałem. Zapytałem, jak się miewa, odpowiedziała: Dobrze, a ty? Przyznałem, że jestem nieco wstrząśnięty. Byłem w domu parę dni wcześniej. Stan mojej matki znacznie się pogorszył i przyleciałem do niej, spodziewając się, że umrze w ciągu kilku dni. Siedziałem obok niej w hospicjum. Oglądałem telewizję w jej pokoju. Czytałem książki, czuwając przy jej łóżku. Trzymałem ją za rękę. Miriam też z nami była. Mama była przeważnie nieprzytomna, a kiedy odzyskiwała świadomość, nie wiedziała, co się z nią dzieje, więc nie dało się z nią porozmawiać. Była bardzo blada, miała zapadnięte policzki, zaróżowione powieki i nozdrza. Jeśli zagłodzenie się przez Miriam na śmierć było próbą odegrania na nowo śmierci matki – co jest nieprawdopodobne, ale bardziej wiarygodne niż próba odegrania specjalnie dla ojca śmierci Karola Wielkiego – to zupełnie się jej nie powiodło, ponieważ mama, choć wychudzona i schorowana, nie wyglądała tak przerażająco, jak zwłoki Miriam w kostnicy. Kiedy siedzieliśmy przy łóżku mamy, mówiliśmy jej, że wygląda świetnie. Dostawała wiele kart pocztowych z życzeniami

zdrowia i czytaliśmy je dla niej na głos. Miriam powiedziała jej, że ma zamiar odpuścić sobie ostatni rok w college'u, wyjechać z domu i podróżować po świecie, a mama – która nie wydawała się dostatecznie obecna, żeby to usłyszeć – zaczęła zdrowieć ku zdumieniu lekarzy. Dzień później zebraliśmy się wszyscy w jej pokoju, rozmawialiśmy z nią, a ona uśmiechała się i wpatrywała w nas przytomnym wzrokiem. Powiedziałem, że rzucę pracę i przyjadę, żeby zostać z nią w domu, ale nie chciała o tym słyszeć. Nie wracaj tutaj na Boga!, oznajmiła, mieszkasz teraz w Londynie. Więc wróciłem do Londynu, poszedłem do pracy i tego samego dnia, w poniedziałek, mama umarła. Zadzwoił ojciec. Był spokojny, ale bardzo zmęczony. Zapytałem, czy umarła spokojnie. Cóż, umarła, odpowiedział. Poszedłem do gabinetu szefa, usiadłem na krześle naprzeciw jego biurka i bez smutku w głosie, ale też z należytą powagą powiedziałem: Nie uwierzy pan. W tamtych czasach linie lotnicze oferowały ciężko doświadczonym przez życie duże zniżki na loty na pogrzeb członka najbliższej rodziny, więc wsadzili mnie do samolotu prawie za darmo.

Pogrzeb mamy był bardzo okazały. Przyjechały setki ludzi, w większości kobiety. Mama poznała je dzięki swojej fundacji dobroczynnej, były powiązane z fundacją albo z niej korzystały. Przyjaciółki mamy zmieniły nasz dom w wielki dom pogrzebowy, a ja

i Miriam siedzieliśmy na krzesłach pod ścianą. Nie sądzę, żebyśmy starali się wyglądać na zrozpaczonych, ale prawdopodobnie tak właśnie wyglądaliśmy. Miriam wspomniała o przeniesieniu się do Berlina. Miała bardzo krótkie włosy. Mnóstwo ludzi pochyłało się nad nami i składało nam kondolencje. Kładli na nas ręce. Unosiliśmy głowy i uśmiechaliśmy się do nich. Przypuszczam, że podczas pogrzebu Miriam dom będzie wyglądał podobnie – zadbają o to te same kobiety, które przygotowały dom na pożegnanie mamy – a ja znów usiądę jak wtedy i będę odbierał kondolencje, choć nikt już nie złoży na mnie rąk, bo stałem się obcy, albo ludzie będą się bali mnie dotknąć, żeby się nie zarazić moim nieszczęściem.

Wieczorem po pogrzebie mamy tata poszedł popływać w basenie, a my siedliśmy przy jego krawędzi na plastikowych krzesłach. Było ciepło i parno. Wszyscy już sobie poszli. Ci, którzy wychodzili ostatni, uprzątnęli dom, przywrócili go do pierwotnego stanu i przyrzekli, że wrócą następnego dnia, żeby posprzątać jeszcze dokładniej. Tata powiedział im, że domu nie da się już dokładniej posprzątać, więc nie jest to konieczne. Wszystko wróciło na swoje miejsce z przerażającą precyzją, a ja obszedłem dom, żałując, że nie był to już dom pogrzebowy albo że nie został w nim bałagan, bo w domu należało coś zmienić i to my powinniśmy to zrobić. Ale nie było już nic do zrobienia, zupełnie nic,

więc tata poszedł popływać. Zmagał się z dziełem swojego życia – książką, na którą wydawca czekał od lat, a której pisanie przerwał, gdyż, jak mówił, porzucił wszystkie inne obowiązki, żeby zaopiekować się mamą, a obecnie doszedł do wniosku, że książka nie ma sensu. Dzień pogrzebu mamy był bardzo dziwnym dniem dla ojca, bo wszystkie przyjaciółki mamy i jej współpracownicy wybaczały mu. Nie robiły tego otwarcie i wprost, ale przez swoje oddanie i uprzejmość wybaczały mu wszystkie grzechy – to, że oszukiwał sam siebie, jego tyranie, nieobecność, samolubstwo, przeciętność. Został oczyszczony i tego wieczoru pływał w basenie przede mną i Miriam ze spokojem malującym się na twarzy, mówiąc do nas najspokojniej, jak to często zdarza się ludziom, którzy odnaleźli Boga. W miejscu, gdzie jest najgłębiej, woda w basenie była podświetlona na niebieskobiały kolor. Ojciec pływał wokół basenu. Fale, które wzniecał, miały na grzbietach wąziutkie pasemka światła, a pod nim światło załamywało się w dużych tektonicznych płytach dna basenu. Przez godzinę przyglądaliśmy się, jak pływa i to on do nas mówił, co było o tyle dziwne, że nigdy w kontaktach z nami nie był zbyt rozmowny. Nasza mama była rozmowna, ale od tamtej pory to ojciec miał przejąć jej rolę. Pozwoliliśmy mu gadać i gadać, i gadać, nie wolno nam było odejść, jak przypuszczam, póki nie usłyszeliśmy o wszystkich otrzymanych przez niego zapewnieniach, że nasza

mama była szczęśliwą kobietą i że zgadzała się na jego nieobecność, gdyż nieobecność ta była nieodzowną częścią jego renomy – renomy, która, jak go zapewniano, była najprawdziwsza – a choć nie wszystko poszło tak, jak zaplanował, to doczekał się dwojga wspaniałych dzieci, które mają to, czego on nigdy nie miał: wspólnotę, dom, własne miejsce na ziemi i tak dalej. Musieliśmy nabrać pewności, że absolutnie nie przyjął ich rozgrzeszenia, musieliśmy czekać, aż poczuje się przepęłniony wstydem i prawdą. W recenzji pewnej książki o Holokauście ojciec napisał kiedyś, że to wstyd, a nie ciekawość jest siłą napędową historyka. Zwłaszcza historyk wydarzeń tragicznych, pisał, powinien kultywować w sobie poczucie winy, powinien odnaleźć w sobie nieskończenie wiele sposobów, aby oskarżyć siebie o każdą popełnioną kiedykolwiek niegodziwość i zbrodnię, powinien wreszcie stać się niegodny heroizmu i odwagi, które oparły się niesprawiedliwości. A potem winien okiełznać wstyd, ujarzmić go i pozwolić mu mówić, ale bez wymachiwania rękoma. Napisał w recenzji, że autor książki kultywował poczucie winy, poczuł się niegodny heroizmu i był na najlepszej drodze, by stworzyć oświecające i ważne dzieło historyczne, ale zapomniał ujarzmić wstyd i opublikował książkę pełną pustych gestów – dosyć zresztą stylową, ale w ostatecznym efekcie arogancką: sentymentalną, kwiecistą, liryczną i pełną przypowieści oraz sądów,

które są oznakami arogancji. W kronikach cierpienia styl jest nadmiarem. Recenzja ukazała się w „New York Review of Books” i była moim zdaniem dobra – zadzwoniłem do niego i pogratulowałem mu. Poczułem dumę, że był taki twardy, a jednocześnie wspaniałomyślny. Od tamtej pory starałem się stosować ten sposób myślenia, jeszcze nie w pełni odkryty i wyartykułowany, w mojej własnej pracy. Nasz dom był ciemny. Na chmurach kładło się delikatne światło – odbicie miasta i rafinerii. Po upływie godziny Miriam wspomniała, że zrobiło jej się trochę niedobrze, kiedy przyjaciółki mamy zaczęły słać Chrystusa, opowiadać o zbawieniu zmarłej, o wiecznym odpoczynku w obliczu jej silnej wiary. Wiem, zgodziłem się, to było trudne do strawienia. Mamie też zrobiłoby się od tego niedobrze, powiedziała Miriam. Wasza matka, wtrącił ojciec, nie życzyłaby sobie, aby jej przyjaciółki wygłaszały tego rodzaju sądy w waszej obecności, a o ile wiem, żadna z nich nie ma najmniejszego pojęcia o naturze jej wiary, gdyż wasza matka zawsze zachowywała w tej materii dyskrecję, ale coś wam powiem – coś, co was zaskoczy. Umilkł i przez chwilę chlapał wodę zamkniętymi dłońmi. Czekaliśmy, aż postanowi podzielić się z nami tym sekretem. Przed śmiercią wasza matka odnalazła Jezusa, oznajmił. Nie wierzę, zaprotestowałem. To prawda, najprawdziwsza prawda, powiedział. Może tak tylko mówiła, rzuciła

Miriam. Była schorowana i przestraszona, dodałem. Nie, nie była przestraszona – powiedział ojciec i przekręcił się na plecy, zanurzył w wodzie i wypłynął wyprostowany z twarzą skierowaną ku górze, ku chmurom; woda zakrywała mu uszy, więc własny głos wydawał mu się nieco bezcielesny – Jezus ukazał jej się i przemówił do niej. Wyprostował się w wodzie bez trudu. Chyba sam nie wierzył w to, co przed chwilą powiedział. Głowa i ramiona ojca wystawały z wody. I co jej powiedział?, zapytałem. No wiesz, zwykłe religijne komunały, jak się domyślam, bo nie powtórzyła mi Jego słów, powiedziała tylko, że On cierpi i że zabrał z sobą jej ból. Ojciec uniósł głowę, dostrzegł nasze zaskoczenie i rozczarowanie, więc opuścił wzrok, a my wiedzieliśmy już na pewno, że przestał być pewien swojego rozgrzeszenia.

Wyszedł z basenu, wytarł się ręcznikiem i poszedł prosto do łóżka, a my z Miriam pojechaliśmy samochodem do należącej do rodziny mamy wielkiej leśnej chaty położonej godzinę drogi na północ, nad rzeką, którą wszyscy nazywają jeziorem, bo jest tak szeroka. Wzięliśmy półciężarówkę ojca i dotarliśmy na miejsce około północy. Weszliśmy do środka i wyjęliśmy z baru butelkę czegoś mocnego, weszliśmy do łodzi zacumowanej przy przystani i wypiliśmy tak dużo, że żadne z nas nie mogło prowadzić, więc zostaliśmy tam na noc. Cierpiałem z powodu zmiany czasu i byłem bardzo pijany. Nocą nadleciały chmury

komarów, powietrze cuchnęło zgniłą rybą i kreozotem, a ja pomyślałem wtedy, że to wielka szkoda, że Miriam nie jest ładna. Chciałem mieć piękną siostrę. Woda była lekko wzburzona, nawet za falochronem, a łódź dudniła, kołysząc się z boku na bok. Miałem na sobie czarny garnitur, a Miriam czarną suknię z długim rękawem. Ubrudziliśmy sobie ubrania od ławek na łodzi. Objąłem Miriam ramieniem jak brat, ale wstałem po dziesięciu sekundach i wróciłem do domu po coś innego do picia i żeby skorzystać z łazienki. Idąc, chwiałem się na pomoście. Wszedłem do środka, znalazłem jakieś ciepłe piwo i otworzyłem szufladę, szukając otwieracza, lecz zamiast niego znalazłem kilka pordzewiałych noży. Zabrałem jeden ze sobą – nóż do patroszenia ryb. Miriam przysypiała, kiedy wróciłem, ale widok noża zupełnie ją otrzeźwił. Widziałem, że jest przestraszona. Usiadłem naprzeciw niej i przyłożyłem sobie nóż do gardła. Długo trzymałem ostrze pod brodą, wciskając je coraz mocniej w skórę, a potem przesunąłem je bliżej szczęki i ucha. Czekala. Nie pamiętam, czy w którymkolwiek momencie zastanawiałem się poważnie nad podcięciem sobie gardła, ale powiedziałem chyba coś takiego: Jestem bardzo blisko przekonania się, co tam na nas czeka, jestem blisko prawdziwego dowodu, wyobrażasz sobie? Przestała się trząść i powiedziała, że gdyby świat miał się skończyć za godzinę i gdyby wszyscy wiedzieli, że

nadciąga koniec, szczerłość moich intencji pozostałaby pustym gestem z braku właściwego kontekstu. Przez chwilę korciło mnie, żeby sprawdzić, co powie o szczerłości moich intencji, jeśli przyłożę nóż do jej gardła, ale wyrzuciłem nóż do wody, napiłem się piwa, położyłem się i powiedziałem: Tak, to byłoby dziwne, zgadza się. Miriam ułożyła się obok mnie na jakimś worku i powiedziała, że nawet gdyby zbliżał się koniec świata, pożegnałaby się ze mną ze łzami w oczach. Usnęliśmy. Obudziło mnie coś zaskakującego i cudownego zarazem – wciąż nie mogę w to uwierzyć. Płynęliśmy! Płynęliśmy po jeziorze, silnik wył, a łódź unosiła się i opadała. Nie wiem, dlaczego nie obudziłem się wcześniej. Całe niebo pokrywała jasnopomarańczowa poranna poświata. Wiała mocna, ciepła, wilgotna bryza. Leżałem na plecach na dziobie łodzi, a kiedy spojrzałem ku rufie, zobaczyłem Miriam w samej bieliźnie, siedzącą za sterem, kierującą łódź w górę rzeki. Woda straszliwie cuchnęła. Słońce wisiało tuż nad horyzontem, nad linią drzew porastających po obu stronach brzegi. Było już bardzo gorąco. Było prawie nie do zniesienia. Zdjąłem garnitur, koszulę, skarpety, a potem zegarek. Zostałem w samych bokserkach. Tak było lepiej. Miriam zatrzymała i zakotwiczyła łódź, po czym popłynęliśmy trochę w brunatnej mętnej wodzie, która mogła mieć głębokość zarówno siedmiu, jak i pięćdziesięciu stóp. Kiedy wspięliśmy się z powrotem na pokład

i usiedliśmy, żeby wyschnąć w słońcu, Miriam powiedziała: Nie lubię tutaj niczego. Nie lubię upału. Nie lubię zapachu. Nie lubię jedzenia. Nie lubię komarów. Nie lubię ludzi. Nie lubię tego, jak mówią. Nie lubię tego, jak sama mówię. Nie lubię tego, co ludzie myślą. Nie lubię tego, co kupują. Nie lubię sposobu, w jaki jeżdżą samochodami. Nie lubię tego, w co wierzą. Po upływie kilku minut zapytałem: Myślisz, że polubiłbym Berlin? Leżała z zamkniętymi oczami, ziewając raz po raz. Szturchnąłem ją. Nie podoba ci się Londyn?, zapytała. Podoba, odpowiedziałem, ale zostanę tam tylko przez kilka lat, nie chcę mieszkać w Londynie przez całe życie, a poza tym, gdybym mieszkał w Berlinie, a ty byś się tam przeniosła, byłibyśmy w tym samym mieście. Ziewnęła i mruknęła: Tak, to byłoby miłe, owszem. A potem usnęła. Usiadłem za sterem i wróciłem do przystani. Miriam leżała nieruchomo przez całą drogę, nie otworzyła nawet oczu. Nie wiem, czy przyglądałem się jej tamtego ranka, ale teraz przyglądam się jej we wspomnieniach. Była szczupła i trochę muskularna, miała umięśniony brzuch. Błada. Miała małe piersi i lekko wystający mostek. Miała długie palce, kościste łokcie i wysoko sklepione stopy. Powinna była przybrać na wadze. Jej śpiące ciało drżało, gdy łódź ślizgała się po falującej wodzie, i drgało konwulsyjnie, kiedy trafialiśmy w dużą falę – rzeka wypełniała się powoli innymi łodziami, narciarzami wodnymi,

skuterami wodnymi, pontonami i tak dalej. A teraz na lotnisku przebiegam wzrokiem od góry do dołu kolumny miast, próbując odnaleźć jakiś ład w odwoływanych lotach, czego niezamierzonym efektem ubocznym jest to, że pytam w myślach Miriam, czy tu albo tam też by mi się podobało. Myślisz, że spodobałoby mi się w Warszawie? Myślisz, że spodobałoby mi się w Bukareszcie? Myślisz, że spodobałoby mi się w Oslo? Myślisz, że spodobałoby mi się w Pradze? Myślisz, że spodobałoby mi się w Abu Zabi? Myślisz, że spodobałoby mi się w Kijowie? Myślisz, że spodobałoby mi się w Paryżu? Myślisz, że spodobałoby mi się w Barcelonie? Myślisz, że spodobałoby mi się w Rzymie? Myślisz, że spodobałoby mi się w Kairze? Myślisz, że spodobałoby mi się w Atenach? Myślisz, że spodobałoby mi się w Lilongwe? Myślisz, że spodobałoby mi się w Moskwie? Myślisz, że spodobałoby mi się w Rydze? Myślisz, że spodobałoby mi się w Stambule? Myślisz, że spodobałoby mi się w Dar es Salaam? Myślisz, że spodobałoby mi się w Amsterdamie? Obszar moich rozczarowań rozrasta się jak zewnętrzne granice imperium na mapie.

Zacumowałem łódź, pozbyłem się pustych butelek i jadąc powoli, wróciliśmy ojcowską półciągarówką do domu, w upale, który był wstrętny i który odczuwam czasami w pamięci. W domu Miriam spała jeszcze trochę, a potem przez całe popołudnie i wieczór

wkładała wszystkie pamiątki z dzieciństwa do pudeł, które wносиła na ulicę. Ojciec i ja przyglądaliśmy się temu bez słowa. Wyjechała następnego dnia. Pojechała odwiedzić przyjaciółkę w Arizonie. Zdaje się, że mieszkała w Arizonie przez pół roku. Nie wiem, dokąd pojechała z Arizony. Może prosto do Berlina. Albo najpierw gdzie indziej. Upłynęło kilka lat, zanim znów ją zobaczyłem. Kazaliśmy śmieciarzom zabrać jej rzeczy. Kiedy wrzucali je do śmieciarki, wierzyłem jeszcze, że któryś z nas, ojciec albo ja, wybiegnie na ulicę i wszystko ocali. Ale kiedy tylko odjechali, sam zacząłem pakować moje własne rzeczy do pudeł i wnosić je na ulicę. Zostałem w domu jeszcze dwa tygodnie. Tata wyjechał po trzech czy czterech dniach z powrotem do Kalifornii, żeby nadrobić stracony rok albo zwyczajnie zająć się drobnymi, osiągalnymi zadaniami. Żałoba, którą planowałem, nigdy się nie odbyła. Zostałem w domu sam. Żaden z moich przyjaciół z dzieciństwa nie mieszkał już w sąsiedztwie, pozostali tylko ci, których nie chciałem już nigdy spotkać. Ci, z którymi mógłbym się spotkać, przenieśli się do Nowego Jorku, Chicago albo Los Angeles i znaleźli tam pracę. Chodziłem więc sam do barów, do nikogo się nie odzywałem, wypijałem jednego drinka i wychodziłem. Biegałem. Jeździłem bez celu po okolicy. Oglądałem telewizję. Większość ludzi, którzy wyjechali do dużych miast, zaczęła w końcu wracać, żeby wychować tu dzieci, i podczas

kolejnych odwiedzin w domu spotykałem ich przypadkowo i odnawialiśmy kontakty. Zmienili się. Stali się ludźmi, którym nie miałem nic do powiedzenia. Często pytali o Miriam, a choć nigdy tego nie zrobiłem, kusilo mnie, żeby im powiedzieć, że Miriam jest jedyną osobą, która ma dość odwagi, żeby tutaj nie wracać i nie zastanawiać się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby tutaj została. Dzieci tych ludzi chodzą już do szkoły średniej, prowadzą auta. A oni sami wrócili tu z Nowego Jorku, z Chicago i Los Angeles ze względu na jakość życia i dla wartości – wartości z Południa, wartości przedmieść i małych miast: dużych trawników, dużych domów, dróg międzystanowych, wolniejszego tempa, parkingów, dużych psów, rodziny, miodopłynnego akcentu, uprzejmych sąsiadów, schronienia przed różnorodnością i ryzykiem, wspólnej pogardy dla bezbożności, której ostoją są wielkie miasta.

Mój ojciec doszedł do wniosku, że jeżdżenie na rowerze w zimnie i deszczu w moim wieku jest dowodem postradania zmysłów i radził z tym sobie, powtarzając mi bez przerwy: Oszalałeś? Pojeźdź metrem! Pociągi jeżdżą co trzy minuty! Ale nie chciałem jeździć metrem. Nie chciałem w ogóle korzystać z transportu publicznego. Czasem przyglądałem się ludziom wchodzącym do stacji metra i wychodzącym z nich. Stałem na górze i obserwowałem ruch pieszych. Przyglądanie się

berlińczykom nie jest specjalnie zajmujące, chodziło mi raczej o to, jak niewiele ich się widuje. Nawet w godzinach szczytu Berlin wydawał się spokojny, powolny, pozbawiony motywacji. Jakby połowa miasta wyparowała. O ile nie prowadzono akurat jakichś robót drogowych, nigdy nie widziałem tu korków ulicznych. Ani razu nie widziałem na własne oczy rzeki ludzi spieszących się do pracy albo wracających do domu. Ojciec mówił mi, że w metrze zawsze znajduje wolne miejsce siedzące, a przynajmniej sporą przestrzeń do stania. Zapytałem Trish, dlaczego tak się dzieje. Wiedziałem, że w Berlinie panuje wysokie bezrobocie, lecz nawet w mieście z wysokim bezrobociem o dziewiątej rano i piątej po południu powinny pojawiać się tłumy, zważywszy, że mieszka tu od czterech do pięciu milionów ludzi. Kiedy zadałem to pytanie, siedzieliśmy akurat w kawiarence obok hotelu, przypadkowo była właśnie dziewiąta rano, a ulice wydawały się wyludnione, jeśli nie liczyć ojców wożących rowerami do przedszkoli mocno opatulone dzieci i wpadających w poślizg na rogach śliskich i mokrych ulic. Od czasu do czasu rzeczywiście przejeżdżał ktoś z teczką, co wskazywałoby, że jedzie do pracy. Moje pytanie wyraźnie zasmuciło Trish. Do tej pory nie mówiła nam o mężu. Zacząłem przypuszczać, że niespecjalnie się nim przejmuje i wcale jej nie przeszkadza, że wyjechał. Mój mąż nienawidził Berlina, powiedziała. Naprawdę

nienawidził. Nigdy nie był bezrobotny, dodała, a tu przez dwa lata nie mógł znaleźć pracy. Zrezygnował z kariery, żeby jej towarzyszyć. Nie było innego sposobu, żeby zostać razem. A w Berlinie najzwyczajniej nie było pracy dla kogoś takiego jak on. Zaczął uczyć się niemieckiego, ale lekcje były drogie i po pewnym czasie nie chciał wydawać pieniędzy, których nie zarabiał, mimo że Trish miała dodatek rodzinny i nie brakowało im funduszy, a Departament Stanu dokładał się do lekcji języka dla małżonków. Nigdy się z nikim nie spotykał i przestał wychodzić z domu, powoli tracił rozum. Nieco później tego samego dnia albo może dnia następnego odwiedziliśmy mieszkanie Trish. Mieszkała na wzgórzu w odnowionej kamienicy, a jej mieszkanie znajdowało się na jej ostatnim piętrze – był to przerobiony i całkowicie zmodernizowany strych, przestronny i duży, ze szklaną ścianą od południa, za którą rozciągał się widok na całe miasto. Czuło się tu przestrzeń. W skośnych białych sufitach wybito mnóstwo świetlików. Wszędzie było pełno światła. Strych był niemal pusty. Miał trzy sypialnie – w jednej z nich mąż Trish urządził sobie gabinet. Trish zabrała ojca do kuchni, gdzie pochwaliła mu się niewielką kolekcją win. Wszedłem do gabinetu jej męża. Obok biurka było duże okno wychodzące na zachód, na wąską uliczkę i inną wysoką kamienicę, choć ta po drugiej stronie nie miała przerobionego strychu,

podobnie jak żadna inna z tych, które było widać przez okno. To, jak przeczuwałem, musiało przyczynić się do narastającego poczucia osamotnienia męża Trish, który ze swego pałacu miał widok na egzotyczną zwyczajność. Domyślałem się, że większość czasu spędzał w tym gabinecie, ucząc się niemieckiego i składając podania o pracę, zniechęcając się tym, że nie mógł jej znaleźć w Berlinie i coraz bardziej żałując decyzji o przyjeździe do Niemiec. Był bezrobotny, mówiła Trish w kawiarni, zanim zaprosiła nas do siebie, przez dwa pełne lata, i popadł w prawdziwą depresję. Chciała jeszcze coś dodać, ale ugryzła się w język. Podniosła głowę i prawdopodobnie ujrzała nasze zasłuchane w jej opowieść twarze, po czym zdała sobie sprawę, że dzielenie się tą historią z moim ojcem to jedno, a ze mną – coś zupełnie innego. Na strychu Trish był salon, jadalnia oraz pokój wielkości salonu i jadalni, w którym stał wypożyczony fortepian. Kiedy zobaczyłem instrument, oczyma duszy ujrzałem szaleństwo męża Trish. Usiadłem na stołku przed klawiaturą, tak jak zapewne siadywał jej mąż, i zagrałem jedną niską nutę, uderzając w klawisz raz po raz, aż Trish i ojciec weszli do pokoju z kieliszkami wina i ojciec zapytał: Co robisz? W tym pokoju mogłoby się odbyć całkiem spore przyjęcie koktajlowe. Jeśli Trish organizowała tu takowe, podejrzewam, że jej mąż spędzał je na tarasie, paląc papierosy – jeśli palił – albo w knajpie przy wąskiej

ulicy, czytając książkę czy jakieś pismo. Wyobrażałem sobie, że gdybym znalazł się w sytuacji męża Trish, nauczyłbym się grać na fortepianie, chodziłbym na spacer po zaśnieżonych parkach, a latem pływałbym w otwartych basenach, kładł ręcznik na trawie i czytał *Iliadę*. Ale kto wie... Tak czy inaczej, mąż Trish znalazł pracę w Monachium. Wynajmuje tam małe mieszkanie, a Trish spędza z nim weekendy. Przypuszczam, że w Monachium wszyscy chodzą do pracy na dziewiątą, ulice pełne są przechodniów, a w powietrzu wyczuwa się wspólny cel.

Nigdy nie spotkałem osoby tak doskonale zaznajomionej z bieżącą sytuacją na świecie – polityczną, kulturalną i gospodarczą – jak Trish. Ta wiedza nie służyła jej tylko do wykonywania bieżących zadań w pracy, Trish musiała ją posiadać, ponieważ liczyła na awans. Obecnie zajmuje się głównie sprawami administracyjnymi, prowadzeniem biura, zwykłą robotą konsularną, wizami, zagubionymi paszportami – nudną harówką dla kogoś z jej intelektem. Zdarzają się także sprawy kryminalne, śmierci, azylanci, odbieranie amerykańskich VIP-ów z lotniska, co może być niekiedy ciekawe. Ale Trish chce się zajmować trudną sztuką dyplomacji, chce się angażować w kryzysy, odbierać nocą telefony, pracować ze szpiegami albo zostać szpiegiem. Zatem oprócz obowiązków administracyjnych, trzyma rękę na pulsie wszystkich bieżących wydarzeń

rozgrywających się na całym globie. Każdego ranka sporządza lub czyta podsumowanie wszystkich wiadomości odnoszących się do Stanów Zjednoczonych zamieszczonych w niemieckich gazetach, następnie czyta podsumowanie wszystkich wiadomości odnoszących się do Stanów Zjednoczonych zamieszczonych we francuskich gazetach, brytyjskich gazetach, chińskich mediach, rosyjskich mediach, potem podsumowanie wszystkich wiadomości odnoszących się do Stanów Zjednoczonych na całym świecie, w każdym kraju, a wreszcie podsumowanie wszystkich ważniejszych wydarzeń z całego świata – są to wewnętrzne raporty dostępne dla pracowników Departamentu Stanu oraz innych służb zagranicznych. W porze lunchu ogląda wiadomości online. Odkąd jej mąż zamieszkał w Monachium, wolne wieczory w dni robocze poświęca na organizowanie wydarzeń kulturalnych lub dyplomatycznych – obiadów, spotkań, konferencji – aby nawiązywać kontakty. Spotyka się i rozmawia z ludźmi, którzy, podobnie jak ona, wiedzą, co dzieje się na świecie. Trish wie wszystko o wszystkim, co się wydarzyło niedawno, co się dzieje obecnie lub wydarzy się za miesiąc czy dwa. Nie ma takiego bieżącego tematu, na który nie potrafiłaby się wypowiedzieć w sposób wyczerpujący. To naprawdę przerażające. Jedyny sposób, żeby ją zaskoczyć albo powiedzieć jej coś, czego nie wie, to wciągnięcie Trish

do rozmowy o rzeczach trywialnych albo bezużytecznych, jak ta historia o miliarderach, którzy chcą polecieć na Księżyc. Nie interesuje się historią miejsc, które nie są dla niej ważne, lecz jeśli dojdzie do przekonania, że tego rodzaju wiedza pogłębi jej ogląd bieżących wydarzeń, zapozna się z nią. Nie знаła niemal zupełnie historii Europy sprzed dwudziestego stulecia, ale rozmawiając z ojcem, słuchała go uważnie, a kiedy wyjechaliśmy, kazała sobie przysłać kurierem z Ameryki jego historię średniowiecza i przeczytała ją w kilka dni. Podczas ostatniego tygodnia naszego pobytu w Berlinie słyszałem, jak o niej dyskutowali. Widziałem, że ojciec był jej za to wdzięczny.

Dwa dni po przemeblowaniu i posprzątaniu mieszkania Miriam ponownie tam wróciłem. Znow pojechałem na rowerze. Padało, więc jechałem wolno, rozchlapując kałuże. Sam też zostałem ochlapany przez kilka samochodów, wpadłem do mnóstwa niewidzialnych, zalanych wodą dziur, a moje spodnie, kiedy dojechałem na miejsce, nadawały się nie tylko do wyżęcia, ale i do prania, bo pokrywały je plamy oleistej mazi. Przypiąłem rower do ulicznej latarni. Nie czułem rąk, choć miałem rękawiczki. Nie czułem też nóg, przemoczywszy spodnie. Ale miałem w sobie mnóstwo przyjemnej energii, którą czuje się po równomiernym wysiłku fizycznym. Spojrzałem w okna Miriam. To mieszkanie nie było jej pierwszą kwaterą

w Berlinie, ale spędziła tu niemal piętnaście lat.

Wszedłem do bramy, sprawdziłem pocztę – nie było żadnego listu – wspiąłem się po schodach i ruszyłem korytarzem. W kamienicy panowała cisza. Było czysto. Pachniało wybielaczem i mokrym betonem. Z zewnątrz budynek wyglądał jak ruina bez ogrzewania, wody czy elektryczności, w którym nocą trzeba zapalać świece, żeby móc czytać lub pisać. Ale w środku było tak jak wszędzie.

Kiedy włożyłem klucz do zamka i przekręciłem go, usłyszałem ciężkie kroki, a potem zmaterializował się Otis – najpierw wychynęła jego głowa, a potem pojawiła się reszta ciała. Zszedł na dół i wbił ręce w kieszenie.

Cześć Otis, powiedziałem.

Hej, rzucił.

Wiedziałem albo wydawało mi się, że wiem, czego chce, ale nie rozumiałem jego natarczywości, choć mogłem przypuszczać, że zwyczajnie mi nie ufa.

Dopiero przyjechałem, mruknąłem.

Widziałem cię na ulicy. Ciągle jeździsz rowerem.

Robi się cieplej, odrzekłem. Chcesz wejść?

Otworzyłem drzwi, a on zgarbił się i wszedł do środka ze zwieszoną głową i rękoma opuszczonymi wzdłuż tułowia. Wszedłem za nim. Ciągle cuchnęło mocno środkami czystości, którymi wyczyściłem łazienkę. Zdążyłem już zapomnieć, w jak drastyczny sposób zmieniłem wystrój mieszkania. Sterty rzeczy

Miriam leżały w mniej więcej równej odległości od siebie. Zdjąłem płaszcz i rzuciłem go na podłogę w kącie, a potem położyłem klucze na stole. Oparłem wszystkie krzesła o ścianę, więc musiałem odwrócić jedno, żeby usiąść. Otis skręcał papierosa, a kiedy skończył, zapytał: Mogę zapalić? Odpowiedziałem: Nie. Ale zdaje się, że mnie nie usłyszał, bo zapalił i powiedział: Dzięki. Podeszedł do sterty książek i przyklęknął. Zmrużył oczy, a potem przekrzywił głowę na bok, żeby odczytać tytuły na grzbietach. Miriam zgromadziła parę dobrych setek tomów. Otis zapytał mnie, czy je przeglądałem. Odpowiedziałem, że nie, że ułożyłem je tylko na podłodze. Taka była prawda. Otis chwycił jakiś tom i chciał go wyciągnąć spośród innych, nie przewracając ich, ale sterta i tak się przewróciła, książki rozsypały się po podłodze, a on rzucił: Przepraszam.

To jedna z twoich?, zapytałem.

No, odpowiedział.

Jakim cudem twoje książki znalazły się tutaj?

Już ci mówiłem, nie chodzi tylko o książki, odrzekł. Wiele z tych rzeczy należy do mnie.

Więc jakim cudem tutaj trafiły?, zapytałem.

Od razu pożałowałem, że zadałem to pytanie, bo odpowiedź była oczywista. A gdybym kiedyś odwiedził Miriam, nie musiałbym pytać. Powiedziałem więc: Nieważne. Otis chwycił kolejną książkę. Wydawał się nią zachwycony. Potem jeszcze

jedną. Obok jego nóg na podłodze zaczęła rosnąć mała biblioteka. Poczujęm irytację i mruknąłem: Ojciec chce przetransportować wszystkie te rzeczy do Stanów.

Naprawdę?, zapytał Otis.

Aha, odpowiedziałem.

Mojego ojca, rzecz jasna, w ogóle nie obchodziły rzeczy Miriam. Przed dwudziestu laty nie zadał sobie trudu, żeby cokolwiek po niej ocalić, a teraz nic go nie łączyło z kobietą, którą stała się Miriam, ani tym bardziej z posiadanymi przez nią przedmiotami. Chciał zobaczyć jej mieszkanie, ale tylko raz, i ani on, ani ja nie potrafilibyśmy zdefiniować powodu, dla którego zapragnął to zrobić. Nie potrafiłbym również określić przyczyny przymusu, który kazał mi pilnować rzeczy siostry, porządkować je, układać w sterty, obawiać się o ich przyszłość. Myślałeś już o zaproszeniu przyjaciół Miriam na drinka? Wstał i przeszedł do kolejnego stosu rzeczy, potem do następnego i jeszcze jednego, aż wypatrzył lampę, naprawdę ładny antyk, i wyciągnął ją spośród pozostałych rupieci, znów bardzo z siebie zadowolony. Potem powiedział: Przetransportowanie tego wszystkiego do Ameryki będzie kosztowało kupę forsy, elektryka nie będzie działała w Stanach. Powtórzyłem moje pytanie o drinku z przyjaciółmi, a Otis spojrzał na mnie i zdał sobie sprawę, że celowo zmieniłem temat, i że nowy temat i stary temat są ze sobą powiązane. Jeszcze nie, odpowiedział.

Miałem zamiar wstać i sam zająć się przeglądaniem rzeczy, kiedy zadzwonił mój telefon. Dzwoniła starsza menedżerka marketingu z firmy kosmonautycznej. Miała na imię Chris. Najpierw złożyła mi kondolencje, mówiąc, że dotarła do niej wiadomość o śmierci w mojej rodzinie. Usiadłem na krześle. Podziękowałem jej, a następnie powiedziałem to, co spodziewała się ode mnie usłyszeć, a mianowicie, że jest nam ciężko, ale dajemy sobie radę. Doskonale, odpowiedziała, nie musisz się z niczym spieszyć. Dziękuję, odrzekłem, to dla mnie naprawdę ważne.

Spojrzałem na sufit. Był upstrzony plamami od papierosowego dymu. Miał szarobury kolor, a plamy układały się w smugi, jakby Miriam, paląc, zawsze siadała w tych samych trzech czy czterech miejscach, a dym ulatujący w górę z ognika papierosa, z jej nozdrzy i ust pokonywał zawsze tę samą drogę. Wracała do domu, kładła klucze na stole, brała coś do picia – może herbatę, kawę albo nawet wodę – i siadała przy stole, żeby zapalić. Po jakimś czasie przenosiła się na sofę, żeby palić dalej. Czytała na niej książki, czytała także w łóżku. Miała niewiele innych rozrywek, jeśli nie liczyć radia. Nigdy nie poświęcała się czemuś przez długi czas, nigdy nie robiła niczego z prawdziwą determinacją – a więc poza mieszkaniem jej życie miesiąc po miesiącu traciło spójność – a jednak wyobrażam sobie, że jej domowe rytuały pozostawały niezmiennie, nawet jeśli nieświadome.

Nie będę mógł rozpocząć pracy w poniedziałek, stwierdziłem. Nie ma mnie w kraju.

Oczywiście, że nie, odpowiedziała Chris. A gdzie jesteś?

W Berlinie, odpowiadam.

Och, zaczęła z pewną egzaltacją, ale zdołała się opanować i nie podzieliła się swoimi miłymi wspomnieniami z Berlina.

To potrwa ze dwa tygodnie, może nawet dłużej.

Cisza, której się spodziewałem.

Umarła moja siostra, oznajmiłem. Jestem w Berlinie z ojcem. Czekamy na wydanie ciała. Przetransportujemy je do domu i tam pochowamy. Nie wiemy, kiedy wydadzą nam ciało.

Och, powtórzyła, tym razem zupełnie bez egzaltacji.

Przykro mi, że to wszystko zbiegło się w czasie, powiedziałem.

To nie twoja wina, nie przepraszaj. Moje wyrazy współczucia.

W tym momencie Otis wygrzebał z kopca niewielkich przedmiotów codziennego użytku małą mosiężną popielniczkę i zgasił w niej papierosa. Potem chwycił coś innego z tego samego kopca – lichtarz z czerwonego szkła – i postawił za sobą. Następnie zajął się przeczesywaniem sterty w poszukiwaniu drugiego lichtarza do pary.

Kiedy rozkręcałem mój biznes, często organizowałem sobie dzień w taki sposób, żeby mój

telefon dzwonił w nieodpowiednich porach. Podobało mi się to, że mi przeszkadzano, a jeszcze bardziej to, że widziano, iż nieustannie mi się przeszkadza, starałem się więc odbierać najważniejsze telefony w klubie fitness. Kiedy odzywał się mój telefon, spowalniałem ruchomą bieżnię i rozmawiałem przez mikrofon i słuchawki. Albo przerywałem przysiady, wycierałem twarz ręcznikiem i odbierałem połączenie. Albo też odkładałem ciężary na stelaż, siadałem zgarbiony na ławeczce i łapałem oddech. Umawiałem się też na telefony podczas posiedzeń izby handlowej albo biznesowych lunchów. Nieustannie szukałem nowych klientów i zawsze było to moim priorytetem. Miałem nadzieję, że będę miał tyle pracy, że zatrudnię kogoś do pomocy. Czasami potencjalni klienci proponowali mi etat i pensję. Czasem oferowana płaca była tak dobra, że potrzebowałem paru dni, żeby się zastanowić, czy nie wziąć tej pracy; niekiedy towarzyszyła temu udręka. Leżałem w łóżku i wyobrażałem sobie swój następny dzień – konsultanta w firmie, w której pracowałem na etacie i do której wróciłem jako wolny strzelec – i wszystkie kolejne dni, po czym boleśnie zdawałem sobie sprawę, że różnica między pracą konsultanta a pracą etatowego pracownika jest niewielka. Ale czułem się lepiej jako outsider. Ceniłem sobie tę odrobinę dystansu, który dzieli mnie od klienta, a którego nie mogłem wymagać od pracodawcy – dystansu, który

wymuszał serdeczność i szacunek, a także strach przed konfrontacją. Jeśli miałbym, na przykład, ochotę wyjść z pracy jakiegoś słonecznego dnia, stanąć na moście i popatrzeć na kaczki, wystarczyłoby, żebym powiedział: Wychodzę na trochę, i nikt nie miałby prawa zapytać: A dokąd? Nie chciałem też, żeby dziękowano mi za pracę. Nie dbałem o to, czy kogoś osobiście zadowolam. Nie chciałem, żeby szef pukał do drzwi mojego gabinetu czy w biurko w moim boksie biurowym i mówił: Świetna robota przy tym albo tamtym. Albo: Dziękuję, że siedziałeś do późna przez kilka ostatnich miesięcy. Nie chciałem umawiać się na drinka ze współpracownikami i czegokolwiek świętować. Więc kiedy leżałem w łóżku i myślałem o tym wszystkim, mówiłem sobie: Jesteś wolny, dopóki działasz w wyznaczonych przez innych parametrach, opierdalają cię tak czy siak, nie możesz wyjść z pracy, żeby stanąć na moście i popatrzeć na kaczki, wzywają cię na dywanik i mówią, że prawdopodobnie niezbyt dobitnie wyrazili swoje życzenia, bo spóźniasz się z pracą, więc zaczynasz ich nienawidzić, a potem przychodzą i mówią: Świetna robota przy tym i tamtym, a ty delektujesz się pozytywnym wzmocnieniem i idziesz z ludźmi z biura na drinka i wcale nie jest tak źle. I przekonywałem siebie: Weź tę pracę, popracuj przez pięć lat, a potem znów otworzysz własny interes. Umawiałem się z nimi. Zadawałem sobie ten trud. Siadaliśmy przy

stole w jakiejś sali – oni po jednej stronie stołu, ja po drugiej. Była woda, kawa, krakersy. Przedstawiali się, mówili, co robią, a ja opowiadałem im o swoich osiągnięciach. Zawsze dochodziło do następującej wymiany zdań:

Opuścił pan dawną firmę.

Owszem. Żeby założyć własną.

Ale teraz pan do nich wrócił.

Jako konsultant.

Czy chce pan pracować tutaj na pełnym etacie?

Tak, uważam, że to wyjątkowa szansa.

Dlaczego?

Więc odpowiadałem im, ale podczas moich wyjaśnień, dlaczego szansa na pracę u nich jest dla mnie tak wyjątkowa, zawsze ogarniał mnie pewien smutek. Brakowało mi sił, żeby patrzeć im prosto w oczy. Oglądałem swoje dłonie. Ziewałem. Rozpoczywałem żywo i ekspansywnie, dowcipnie i zdecydowanie, lecz z każdym zdaniem traciłem siły, jakbym starał się wspiąć po spiralnych schodach na niewyobrażalnie wysoką basztę. Zmęczenie brało górę, zanim zdążyłem to odnotować, a kiedy już to odnotowałem, podsumowywałem swoje przemówienie najszybciej jak się dało. Potem padały inne pytania, omawialiśmy różne scenariusze, ale ja zdążyłem się już z tego wypisać. Uwielbiałem tę chwilę – kiedy zdawałem sobie sprawę, że ostatecznie powiem im „nie”. Czułem się wtedy, jakbym

przystanął, odwrócił się i tym razem zaczął schodzić w dół spiralnymi schodami baszty. Wracała mi ochota do życia, a od tego momentu rozmowa przebiegała zadziwiająco dobrze. Choć zadawano mi czasem pytania, które mnie irytowały lub były wręcz obraźliwe i nie dotyczyły faktycznego stanu rzeczy, pozostawałem zaangażowany, pozostawałem uprzejmy, gdyż wiedziałem, że kiedy zadzwonię i powiem im, że nie mogę jednak podjąć tej pracy, bo jestem oddany całym sercem prowadzeniu własnej firmy, dodam na koniec: Ale proszę pamiętać o mnie w przyszłości.

W końcu przestałem umawiać się na spotkania w sprawie pełnoetatowej pracy.

Możemy umówić się tak, że będziesz pracował dla nas zdalnie, powiedziała Chris. Rozpoczniesz, kiedy będziesz gotów, z dowolnego miejsca i dołączysz do nas tutaj, kiedy przyjdzie pora.

Oczywiście, powiedziałem, to idealne rozwiązanie, zorganizujemy to jak najszybciej.

Świetnie, powiedziała, a ja ucieszyłem się, że sprawiłem jej radość, choć brakowało mi energii do pracy, a także pomysłów i entuzjazmu. W tym momencie Otis zapalił drugiego papierosa, bo znalazł coś, co albo należało do niego, albo przypominało mu Miriam, bo wiązało się z jakimiś ciepłymi wspomnieniami, albo też było warte jakichś pieniędzy.

Daj znać, jeśli będziemy mogli coś jeszcze dla ciebie

zrobić, powiedziała Chris.

Oczywiście.

Mógłbym na tym zakończyć rozmowę. Nie mieliśmy już sobie nic więcej do powiedzenia. Za tydzień przygotują mi listę zdalnych zleceń, a ja rozsiądę się w jakiejś kafejce w Berlinie albo w salonie w domu ojca i będę pracował na komputerze. Ale wiedziałem, że nie będę w stanie rozpocząć pracy za tydzień. Stojąc w mieszkaniu Miriam, poczułem, że może nigdy nie wrócę już do pracy, a przynajmniej do pracy w marketingu. Powiedziałem więc do telefonu: Zagłodziła się na śmierć. Powiedziałem, że stoję właśnie w jej mieszkaniu, odsiewając plewy jej życia z jakimś typkiem o imieniu Otis, który kiedyś był zapewne jej facetem i nie miał w sobie za grosz jebanej przyzwoitości, żeby po rozstaniu z nią wyprowadzić się z kamienicy. Chris milczała. Wyobrażałem sobie, że zaraz pójdzie do dyrektorki i zasugeruje jej, żeby znaleźć sposób unieważnienia kontraktu. Przeprosiłem ją więc za ten wybuch i rozłączyłem się pospiesznie.

Znów zacząłem chodzić między stertami rzeczy Miriam. Nie wszystko leżało na uporządkowanych stosach, podzielone na nieskazitelne kategorie, choć właśnie tak usiłuję to zapamiętać. Była tam sofa, którą ustawiłem pionowo i otoczyłem zwiniętymi dywanami. Były wysokie stojące lampy, które zebrałem i ustawiłem w ciasnym kręgu. Przypominały

mosiężne chromowane flamingi. Była szafa i kredens, a także pękaty barek, które zsunąłem razem. Kiedy znalazły się blisko siebie, trudno było nie dostrzec uroku i wartości tych mebli. To, że Otis nic o nich nie mówił ani się do nich nie zbliżał, dało mi do myślenia. Na tych meblach, jak przypuszczałem, zależało mu najbardziej. Były to meble z lat pięćdziesiątych, nazywane wówczas „modernistycznymi”. Bardzo oryginalne. A kiedy przekonałem się, jak wyraźnie Otis ich unika, jak ewidentnie nie zwraca na nie uwagi, te trzy meble nabrały niezwykłej wagi w moich oczach i postanowiłem chronić je lub zniszczyć, w każdym razie nie dopuścić, by dostały się w ręce Otisa. Szafa, kredens i barek Miriam nie były w idealnym stanie, ale wszystkie mosiężne gałki i rączki były oryginalne, podobnie jak klucze, szyby i szklane panele. Trzeba by je odświeżyć, ale w żadnym miejscu nie były wyszczerbione. Młoda rodzina mogłaby przeznaczyć na nie miesięczną pensję w sklepie z antykami. Przykłęknąłem przy stercie książek. Miriam miała bardzo różnorodne książki, a ta ich różnorodność rozpraszała obawy, że żyła w świecie fantazji. Otworzyłem jedną z nich i zauważyłem, że robiła notatki na marginesach, ołówkiem. Otworzyłem następną. To samo. I kolejną. Zapiski te składały się przeważnie z jednego słowa lub krótkiej reakcji na podkreślony fragment, ale czasem na dolnym lub górnym marginesie pojawiały się całe cytaty

przepisane jej ręką. Początkowo nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście. Pierwszego dnia w tym mieszkaniu przejrzałem pobieżnie szuflady i kartony po butach, szukając notesów, pamiętników, czegokolwiek, co mogło zawierać jej codzienne przemyślenia. Znalazłem tylko pozbawione znaczenia bazgroły na kawałkach papieru, listy rzeczy do zrobienia, numery telefonów, adresy. Nie szukałem odpowiedzi na pytanie o przyczynę jej śmierci, bo odpowiedź taka moim zdaniem nie istniała, ale wydawało mi się, że kilka spisanych przez nią słów byłoby najbardziej zbliżonych do rozmowy. Nie zaglądałem do książek, bo sam nigdy nie pisałem w książkach i byłem pewien, że kiedy byliśmy mali, wyraźnie zabroniłem jej gryzmolenia w nich. Ale oto miałem przed sobą to, czego szukałem – dokumentację zawartą w jej nieuporządkowanej bibliotece. Jednak moją radość szybko zastąpił niepokój, bo notatki były niewątpliwie zbyt liczne, by mieć jakiś spójny kształt – każda z osobna będzie niekompletna, wszystkie zebrane razem stworzą lawinę białego szumu, a wszystko pomiędzy będzie złudzeniem. Zmartwiłem się również i z tej przyczyny, że biblioteka Miriam, choć nieuporządkowana, mogła mieć przecież jakąś strukturę, którą w aroganckim pośpiechu na zawsze zniszczyłem. Czułem wreszcie lęk, przekonawszy się, że moje odkrycie pójdzie na marne. Otis wybrał kilka książek, a to, czego nie zabierze, zostanie tutaj.

Mieliśmy oczywiście pieniądze, żeby przetransportować te książki, ale już raz pozwoliliśmy Miriam wyrzucić swoje rzeczy, więc udawanie teraz, że należymy do ludzi, którzy pieczołowicie będą rozpakowywać pudła w domu i przeglądać książki jedna po drugiej, byłoby jedynie wyrazem niezgody na jej śmierć i opóźniłoby – być może na zawsze – przyjęcie tego faktu do wiadomości. Wiedziałem od razu, że nie powiem ojcu o tym znalezisku.

Otis trzymał w rękach długą suknię i unosił ją wysoko. Przyglądał się jej, uznał, że mu się podoba i położył ją na stertę za sobą. Góra ubrań za nim była większa od tej przed nim. Zauważyłem także, że zabrał całą biżuterię Miriam. Leżała w małym kopcu u jego stóp. Zaczekaj z tym, powiedziałem. Pochylił się i oparł dłonie na kolanach. Chcę sprawdzić, czy nie ma tam czegoś, co należało kiedyś do naszej matki, stwierdziłem. Zareagował w sposób, którego się nie spodziewałem, a mianowicie zignorował moje słowa i szperał dalej, na co ja zareagowałem w sposób, którego również się nie spodziewałem, to znaczy nie zrobiłem niczego – jakbym nigdy nie wypowiedział tych słów. Wróciłem do czytania. Otis wybierał rzeczy, które chciał zabrać. Zbierałem się na odwagę, żeby kazać mu przestać, ale to mogło oznaczać fizyczną konfrontację, a ja nie biłem się z nikim, odkąd przestałem być nastolatkiem. Otis wyprostował się. Podniósł inną sukienkę na wieszaku. Miała

ciemnozielony, wiosenny kolor. Wyglądała jak suknia z lat pięćdziesiątych. W tej sukience wzięła ślub, powiedział Otis. Ślub?, powtórzyłem. To był pozorny ślub, facet był gejem. Aha, mruknąłem. Ale dzień był ładny, było duże przyjęcie, mówił Otis, a Miriam była naprawdę szczęśliwa. Rozbroił mnie nieco, wyrażając się ciepło o Miriam, więc zapytałem: Zaprosiłeś go na nasze spotkanie? Zdaje się, że wyniósł się do Bostonu jakieś dziesięć lat temu albo do Portland. Powiedziałem, że byłoby miło zaprosić jej męża na drinka, nawet nieprawdziwego męża.

Odniosłem wrażenie, że chce mi dać tę sukienkę. O mało nie wyciągnąłem po nią ręk. Ale odwrócił się, żeby położyć ją na stercie ubrań za sobą, a ja zawołałem: Hej, zaczekaj. Znieruchomiał. Myślisz, że moglibyśmy ją dostać?, zapytałem.

Co dostać?

Tę sukienkę oczywiście.

Gdybym ci nie powiedział, co to za sukienka, stwierdził, miałbyś ją gdzieś. Ale powiedziałaś mi, zachnąłem się, dlaczego mi powiedziałaś? Uniósł ją przede mną i zapytał: Co z nią zrobisz? Chciałem mu odpowiedzieć, że moglibyśmy ją w niej pochować, ale potem przypomniałem sobie, że ślub nie był prawdziwy, więc nie znalazłem żadnej odpowiedzi, poza jakimś sentymentalnym głupstwem, a mówienie sentymentalnych głupstw po to, żeby ocalić jakąś sukienkę było nie do strawienia. Więc zamiast tego

powiedziałem: Słuchaj, muszę już iść i zamknąć mieszkanie.

Teraz?

Natychmiast, wybacz.

Otis ociągał się z wyjściem, stanął między mną a rzeczami, które odłożył za sobą, powiedziałem więc: Zabierz teraz, ile tylko zdołasz, a ja dam ci znać, kiedy przyjadę następnym razem, i wtedy zabierzesz resztę. Nie uwierz mi. Zabierz tę sukienkę teraz, jeśli chcesz, rzuciłem, zabierz wszystko, co dasz radę stąd wynieść. Odsunąłem się, żeby miał trochę wolnej przestrzeni. Nie miał przy sobie żadnej torby, więc przyniosłem mu swoją i podałem, a kiedy to robiłem, spojrzałem na stertę książek, które odłożył dla siebie. Było ich przynajmniej z pięćdziesiąt, a wszystkie w twardej oprawie, w tym książka mojego ojca. Tę książkę napisał mój ojciec, powiedziałem. Nie odezwał się. Ponieważ wiedziałem już o notatkach Miriam w czytanych przez nią książkach, pochyliłem się po historię średniowiecza. Otis pochylił się również, jakby chciał mnie powstrzymać. Wyprostowałem się i powiedziałem: Nie możesz zabrać tej książki, Otis, przykro mi. Chciałem ci ją podać, odrzekł. Podniósł książkę, otworzył ją, a ze środka wysunęła się żółta kartka kancelaryjnego papieru. Oddał mi książkę, ale zatrzymał kartkę. Oddaj mi tę kartkę, powiedziałem. Czytał ją. Oddaj mi tę kartkę, Otis, powtórzyłem. Nie chciałem, żeby ją czytał, nie chciałem, żeby jej dotykał.

Chwyciłem kartkę, szarpnąłem i przedarłem ją na pół. Natychmiast oddał mi drugą połowę ze spojrzeniem piętnującym przemoc. Przepraszam, powiedziałem. Stał i czekał, aż spojrzę na tę kartkę, ale nie miałem takiego zamiaru, w każdym razie nie przy nim. Chwycił parę książek, parę ubrań, ale z jakiegoś powodu zostawił biżuterię – być może obawiał się, że znów stanę do konfrontacji. Potem wyszedł. Podszedłem do stołu i złożyłem dwa przedarte kawałki papieru. Była to pierwsza strona listu napisanego do Miriam przez ojca. Nigdy nie dostałem od ojca żadnego listu, ale zakładałem, że powodem jest to, że rozmawiamy przez telefon i czasem go odwiedzam. Przypomniałem sobie, że widziałem gdzieś w mieszkaniu taśmę klejącą, poszukałem jej więc i skleiliśmy list. Zrobiłem to tak starannie, że wyglądał jak zalaminowany. Złożyłem go i schowałem do tylnej kieszeni. Podniosłem książkę i przekartkowałem ją, sprawdzając, czy nie ma w niej pozostałych stron listu, ale niczego nie było. Nawet notatek na marginesach. Zamknąłem książkę i schowałem ją do torby. Była ciężka, w twardej oprawie, liczyła tysiąc stron, a na tylnym skrzydełku obwoluty było zdjęcie ojca – nieaktualne już w chwili wydania dzieła. Zdjęcie przedstawiało mężczyznę w moim wieku i było nieco zamglone. Ojciec miał kasztanowe włosy, był w garniturze i stał nad brzegiem morza. To bez wątpienia nie była profesjonalna fotografia, zwyczajnie znalazł zdjęcie,

które mu się spodobało i postanowił je wykorzystać. Kiedy zrobiono tę fotografię, mama jeszcze żyła.

Nie zabrałem nic więcej poza książką i listem. Miałem wrażenie, że natychmiast powinienem powiedzieć o tym ojcu – że przechowywała jego książkę przez te wszystkie lata; książkę, którą mu teraz ze wzruszeniem oddam. Poczuję, że mój pobyt w mieszkaniu Miriam w końcu stanie się z jego punktu widzenia usprawiedliwiony. Ale potem zrobiłem coś absolutnie sprzecznego z tym uniesieniem. Zniosłem książkę na dół i włożyłem ją do koszyka z przodu roweru. Na dworze ciągle było mokro i chłodno. Drogi i chodniki były pełne kałuż. Pobocza pokrywało błoto. Kiedy odjechałem wystarczająco daleko od mieszkania Miriam – znajdowałem się mniej więcej w połowie drogi między jej częścią miasta a naszą – zsiadłem z roweru, znalazłem stertę mokrego zimowego błota i wrzuciłem w nią książkę. Potem wsiadłem na rower i wróciłem do hotelu. Wszedłem do środka, a kobieta za recepcyjną ladą poinformowała mnie, że się wymeldowałem. Wymeldowałem się?, powtórzyłem. Zgadza się, odpowiedziała. Wyjeżdżam z miasta?, zapytałem. Nie znała odpowiedzi na to pytanie, więc zadzwoniłem do Trish, która powiedziała mi, że kobieta w recepcji miała przekazać mi wiadomość, że ojciec przeniósł moje rzeczy – później dowiedziałem się, że zrobił to stażysta z ambasady – w nowe miejsce, do służbowego

mieszkania. Pojechałem prosto pod wskazany adres. Służbowe mieszkanie było penthousem z tarasem na dachu o długości stu i szerokości pięćdziesięciu jardów. Z tarasu widać było wszystko. Każdy cal horyzontu. Mieliśmy trzy sypialnie i cztery telewizory z płaskimi ekranami. Choć jeszcze o tym nie wiedziałem, za dwa dni mieliśmy wynająć samochód i wyjechać z Berlina, zachowując przy tym mieszkanie, które stało puste, czekając na nasz powrót.

Nie mam już tego listu. Nie pamiętam już kiedy i w jakich okolicznościach go zgubiłem. Złożyłem go i nosiłem przy sobie przez kilka dni. W chwilach wytchnienia wyjmowałem go i czytałem. Aż pewnego ranka list zniknął. Sprawdzałem pod fotelem kierowcy w wynajętym samochodzie. Sprawdzałem w pokoju, w którym spałem. Sprawdziłem wszystkie kieszenie, zajrzałem nawet do kosza na śmieci na ulicy, gdzie poprzedniego dnia wyrzucałem jakieś resztki fast foodu. Ale list zniknął. Przyszło mi do głowy, że znalazł go ojciec, ale gdyby tak było, dowiedziałbym się o tym od razu, bo natychmiast zapytałby mnie, skąd się wziął ten list.

List ojca został napisany wiecznym piórem, czarnym atramentem na żółtym poliniowanym papierze. Bardzo mu zależało, żeby Miriam dostała książkę i postanowił wysłać ją osobiście, a jeśli tak, to musiał napisać towarzyszący przesyłce list. Z drugiej strony, od czasu, kiedy Miriam opuściła dom, nosił się

z zamiarem napisania do niej głęboko przemyślanego listu, a wydanie książki mogło stać się pretekstem do nawiązania kontaktu. Rozwazałem też mało prawdopodobną ewentualność, że skończył książkę tylko z tego powodu. List zaczynał się od kilku zdań wyrażających nadzieję, że Miriam miewa się dobrze i że wraz z listem dotrze do niej książka, nad którą pracował od lat, a która teraz okazała się nieco zbędna, jako że właśnie ukazała się podobna pozycja na ten sam temat. W czasie, kiedy pisał ten list, byłem akurat u niego w domu, bo choć niewiele sobie robił z wydania książki, pomyślałem, że będzie mu miło, jeśli odwiedzę go w czasie publikacji, pokażę mu dobre recenzje i będę go chronił przed negatywnymi. Pisał: Twój brat był tutaj w dniu wydania dzieła i dbał o to, żebym, jak mniemam, nie popadł w depresję, ale już wyjechał i w domu znów zapanowała cisza, jeśli nie liczyć telewizora, którego nie oglądam, z wyjątkiem prognoz pogody i odrobiny golfa. Chodzę po domu i zastanawiam się, dlaczego nie wracam do pracy. Mieszkam w jednym pokoju, a śpię w drugim. Zaglądam do pozostałych, żeby przekonać się, że wszystko jest jak należy. Wzięłem urlop na jeden semestr, podając jako pretekst książkę, ale jest mi strasznie smutno samemu bez Ciebie w pobliżu, bez możliwości ujrzenia Cię od czasu do czasu. Bardzo się za Tobą stęskniłem przez te ostatnie lata i zaczynam się zastanawiać, czy jeszcze kiedyś Cię ujrzę czy też

zwyczajnie postanowiłaś opuścić nas na zawsze – w takim wypadku byłaby to dla mnie kolejna bolesna strata, jak śmierć, z którą trzeba się pogodzić, lecz znacznie trudniejsza do zniesienia nie tylko dlatego, że wiem, że żyjesz w jakimś innym mieście, ale i z obawy, że posłała Cię tak daleko niechęć, jaką wobec mnie żywisz. Wiem już, że moje największe życiowe porażki to te w relacjach z moją matką, z Twoją matką i z Tobą. Nie wiem też, jak mam się wytłumaczyć z niespełnionych oczekiwań, jakie wy wszystkie we mnie pokładałyście. Jakie pozwalałem w sobie pokładać. Zdaje się, że skazałem je na śmierć tutaj i rozumiem, dlaczego mogłaś chcieć od tego uciec. Szanuję Twoje milczenie i oddalenie, lecz jednocześnie mam nadzieję, że nie będą trwały wiecznie. Zastanawiam się, czy nie brakuje Ci niczego w mieszkaniu? Zastanawiam się, czy nie przydałaby Ci się pralka albo nowa lodówka? Zastanawiam się, czy masz ogrzewanie i chętnie sfinansowałbym Ci grzejniki. Jeśli musiałabyś z tego powodu płacić więcej za prąd, z przyjemnością pokryję różnicę. Zastanawiam się, czy znalazłaś tam sobie jakiegoś towarzysza? Mam też nadzieję, że w razie jakichkolwiek kłopotów skontaktujesz się choćby z bratem, jeśli nie zechcesz skontaktować się ze mną.

Idę powoli przez terminal. Trwa to bardzo długo, ale w końcu ich odnajduję – ojca i Trish – siedzą obok siebie w miękkich czerwonych fotelach otoczeni jakąś

historyczną wystawą, o której Trish wspomniała w esemesie. Odloty odbywają się już regularnie, choć sporo rejsów odwołano i ludzie starają się znaleźć nowe połączenia, co tworzy specyficzny rodzaj chaosu, który składa się po równo z zamieszania, głupawki, frustracji, gniewu, niedowierzania i Schadenfreude. Zaczynają mnie nawiedzać lekkie ataki paniki. Powoli zdaję sobie sprawę, że nie jestem już w stanie dłużej czekać. Zaczynam mieć wrażenie, że czekanie jest niemożliwe, że doprowadzi mnie do śmierci. Kupiłem sobie i ojcu kilka czasopism – informacyjnych, naukowych i tym podobnych – ale jestem zbyt zmęczony, zbyt oszalały ze zmęczenia, głodu i mdłości, żeby czytać. Nie chce mi się również rozmawiać. Mam mnóstwo muzyki w telefonie i mam też gdzieś słuchawki, ale nie przychodzi mi na myśl żaden utwór, którego chciałbym posłuchać. Nie mógłbym również wziąć się do pracy, nie mogę nawet o niej myśleć. Ojciec wygląda jak ktoś, kto jest gotów jeszcze czekać – jak ktoś, kto w zasadzie nie chce stąd odlecieć. Wokół nich stoi kilka czerwonych foteli. Rozstawiono je parami, tyłem do siebie lub bok w bok. Trish coś mówi. Ojciec siedzi ze skrzyżowanymi ramionami i opuszczoną głową, kiwa nią od czasu do czasu, jak wtedy, kiedy słucha albo daje do zrozumienia, że słucha. Miejsce, które znaleźli, jest duże i ma owalny kształt. Otaczają je szklane ściany i szklany sufit. Na środku stoją fotele – sposób ich rozstawienia ma, jak

przypuszczam, odzwierciedlać odmienne metody prawdziwej kontemplacji, aby podróżni mogli dobrze zastanowić się nad tym, co zostało zaprezentowane na wystawie. Owalna aranżacja paneli ustawionych wokół foteli przypomina niemal dokładnie obeliski z reklamami rozstawione w całym terminalu. Skądś dobiega muzyka klasyczna. Za tym wszystkim zaczyna się tunel prowadzący do bramek, z których odlatują samoloty do Stanów Zjednoczonych i innych odległych miejsc. Za tunelem nie ma już chyba nic. Kiedy ogłoszą nasz odlot i podadzą numer bramki, zakładam, że do niej pójdziemy, że przeczekamy ostatnią godzinę czy dwie pod bramką i już nigdy więcej nie zobaczymy tej części lotniska w Monachium.

Zatrzymuję się przed Trish i moim ojcem. Nawet nie podnoszą wzroku. Może widzieli, jak nadchodzę. Przerwałem im i spowodowałem przedłużające się niezręczne milczenie, które przerywa ojciec, mówiąc: Mój Boże, masz przeciwsłoneczne okulary. Wypowiadając te słowa, mruży oczy i osłania je dłonią przed światłem. Spotkałem starego znajomego z Londynu, mówię.

Lepiej się czujesz?, pyta ojciec.

Trochę, odpowiadam.

Kim był ten znajomy?

Kimś w rodzaju byłego męża kobiety, która przyjaźniła się z moją byłą żoną, tłumacząc.

Bardzo to skomplikowane, stwierdza ojciec.

Tata z bliska nie wygląda dobrze. Poci się i jest blady. Trish musi być zmęczona. Ojciec wpadł głęboko w fotel, a Trish siedzi wyprostowana.

Dotarcie tutaj zajęło ci dużo czasu, stwierdza ojciec.

Wszędzie panuje szaleństwo, odpowiadam. Nie chciałbyś pójść tam, skąd wracam.

Zjadł pan coś?, pyta Trish.

Małe co nieco. Ciągle jestem zielony?

Odrobinę, odpowiada.

Spoglądam na ojca i mówię: Ty też nie wyglądasz najlepiej. Jadłeś coś?

Chyba muszę iść do łazienki, odpowiada.

Usiłuje wstać. Moje nogi, rzuca. Trish wstaje i wyciąga ku niemu ręce. Pomogę mu, mówię.

Ja pomogę, mówi Trish. Chwyta ojca za rękę. Drugą ojciec obejmuje jej bark, a Trish ją przytrzymuje. Moje nogi, powtarza ojciec. Nie mogę ich wyprostować. Powinien pan coś zjeść, mówi Trish.

Może, odpowiada ojciec. Chodźmy, zachęca go Trish. Ja go zaprowadzę, mówię. Czy mógłby pan popilnować mojej torebki?, zwraca się do mnie Trish. Siadam na fotelu, który zajmował ojciec. Torebka Trish leży na fotelu obok. Mogę już zrobić kilka kroków, mówi ojciec. Trish puszcza go, ale ojciec znów chwieje się na nogach, więc ujmuję go delikatnie pod łokieć i odprowadza. Idą wolno, bardzo wolno, szurając nogami, a ojciec jest mocno zeszywniały. Chyba wiem, skąd się bierze to zeszywnienie, ale wolę o tym

nie myśleć, nie mam do tego prawa. Ale niemyślenie o tym staje się czymś w rodzaju metafory tego, o co w istocie z największym prawdopodobieństwem chodzi i nagle robi mi się gorąco, gotuję się. Światło blednie. Zaczynam się trząść. Do ust napływa mi ślina. Pojawiają się mdłości, które są jak nostalgia. Potem zacznę widzieć słowa, które myślę, poszczególne słowa, a są one obrzydliwe. Słowo „błękit” staje się obrzydliwe. Słowo „lotnisko”. Ich istnienie mnie przygnębia. Przychodzi mi na myśl muzyka, słuchanie muzyki – muzyka z pewnością jest ucieczką, ale liczba słów, które musiałbym pomyśleć, żeby odnaleźć słuchawki jest zbyt zniechęcająca, a poza tym muzyka ma swoje ograniczenia – i wtedy uświadamiam sobie, ile słów potrzebowałem, żeby pomyśleć to, co myślę. Próbuję liczyć od pięciu w dół, głośno, tak jak każą rodzącom. Ale głośno wypowiedane słowa są jeszcze obrzydliwsze. Potem przychodzi mi do głowy, że jestem całkowicie pogrążony, że jestem obecnie kompletnie pogrążony w medium funkcjonujących lub niefunkcjonujących symboli, z którego nie wyzwoli mnie żadna retoryczna nadaktywność czy upiększanie, że nie ma języka, który tylko ja rozumiem – nie ma prywatności, w której mógłbym się ukryć. Teraz będę rzygał. Ślina napływa mi do ust i zaraz się zacznie. To nieuniknione. Poddanie się sprowadza ukojenie. Wyrzucam czasopisma z plastikowej torby, wkładam do niej głowę i wymiotuję. Bułką. Potem odruch

wymiotny szarpie mną jeszcze z dziesięć razy, ale nie mam już czym wymiotować. Upijam łyk wody z butelki, przepłukuję usta i wypluwam wodę do torby. Związuję torbę. Ludzie odwracają ku mnie głowy. Czekają z satysfakcją, aż wszystko dobiegnie końca i odwracają się plecami. Umiem wymiotować bardzo cicho, niemal bez ruchu. Biedny tata, myślę, bo przeszedł mi już ból i czuję się wspaniale. Mógłbym pójść popływać. Czuję się, jakbym pływał na dworze. Jest coś dziwnego w bólu z niejedzenia, bólu, który pojawia się w całym ciele, a gdy mija, życie przez chwilę staje się nierzeczywiste. Trish i mój ojciec są już prawie przy toaletach. Ojciec idzie sam. Trish przygląda mu się, kiedy wchodzi do środka, odczekuje i zaczyna wracać. Wyciąga lekko uniesiony kciuk.

Moje małżeństwo dobiegło końca przed trzynastu laty, a ja od tamtej pory związałem się zaledwie z dwoma kobietami, z obiema na krótko, z pierwszą tuż po rozwodzie, a z drugą całkiem niedawno. Ta pierwsza była przyjaciółką mojej byłej żony, a spotykałem się z nią, mieszkając z artystą w Nunhead. Przez krótki czas po zakończeniu naszego małżeństwa wpadałem przypadkowo na przyjaciół żony lub naszych starych wspólnych znajomych, choć rozumiało się samo przez się, że to moja żona zatrzyma przyjaciół, a ja podążę dalej. Przypuszczam, że z przyzwyczajenia albo zupełnie automatycznie chadzałem tymi samymi ścieżkami, co wcześniej.

Rozmowy, które prowadziłem z tymi ludźmi były zawsze tkliwe i wszyscy żalowaliśmy, że już nic nie da się zrobić w tej sytuacji, jak tylko rozstać się i zapomnieć o sobie. Czułem się dziwnie, myśląc z taką czułością o życiu, którym zacząłem bezbrzeżnie gardzić. Ale tak właśnie było – spotykałem wszystkich starych przyjaciół, jednego po drugim, zazwyczaj w miejscach, w których widywaliśmy się wcześniej. Musieliśmy wypić parę drinków na pożegnanie. Moja żona nie szkalowała mnie przed tymi ludźmi, a ja nie szkalowałem jej. Zwyczajnie nie potrafiłem o niej mówić. Myślę, że życzyłem jej śmierci. Tak więc ludzie, którzy wcześniej brali nas za szczęśliwe małżeństwo, ponieważ – jak uważali – porozumiewaliśmy się ze sobą spokojnie i pewnie, teraz brali naszą niechęć do mówienia o sobie źle za znak, że rozstaliśmy się w przyjaźni. W istocie rzeczy wszystko zakończyło się w najgorszy z możliwych sposobów. Jediną osobą, której poskarżyłem się na te wszystkie nieprzyjemności, była stara przyjaciółka mojej żony, kobieta, z którą w czasie trwania mojego małżeństwa nie potrafiłem się specjalnie dogadać, po części dlatego, że zakładałem, iż nie mamy ze sobą nic wspólnego. Trzy czy cztery miesiące po rozwodzie spotkałem ją pewnej nocy w mieście. Była pijana. Lubiła dużo wypić. Przywitałem się z nią, a ona zaczęła oskarżać mnie o to, że zrujnowałem życie jej przyjaciółki, że okradłem ją z pieniędzy, że przeze

mnie skończyły się dobre czasy, które wszyscy uwielbiali. Teraz musieli w pewnym sensie wytrzeźwieć. Teraz wszyscy zaczęli ze sobą zrywać albo starać się o dzieci. Nie będzie już więcej przyjęć. Nikt już nie będzie szczęśliwy. Mówiła to całkiem serio. Ukradłem jej pieniądze?, zapytałem. Odpowiedziała: Och, nieważne. Poświęciłem więc dobrą chwilę na dokładne wyjaśnienie jej, co poszło nie tak. Powtarzała: Przestań, przygnębiasz mnie jeszcze bardziej. Wiedziałem, że nie powiem o tym nikomu innemu, więc chciałem to z siebie wyrzucić. Pod koniec stała przy barze oniemiała. Wypiliśmy jeszcze po parę drinków i zaczęliśmy się całować, po czym, cokolwiek zadowolona z siebie, stwierdziła: To najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiłam. Następnego ranka obudziłem się w jej łóżku, a ona siedziała na fotelu po przeciwnej stronie pokoju i wpatrywała się we mnie. Musisz już iść, powiedziała, i musisz obiecać, że nigdy nikomu o tym nie powiesz – nigdy. Nie panikuj, mruknąłem, nikomu nie powiem. Ale musisz już iść, nalegała, moi współlokatorzy niedługo się obudzą. Która jest godzina?, zapytałem. Wpół do szóstej, odpowiedziała. Zabrałem swoje rzeczy i wyszedłem, ale zanim ją opuściłem, powiedziałem coś, co kompletnie zaskoczyło zarówno ją, jak i mnie: Odkąd ujrzałem cię po raz pierwszy, fantazjowałem o tej chwili, myślałem o tobie każdego dnia, odkąd się poznaliśmy. Miała zapuchnięte oczy i była zmęczona,

ale moje słowa ją rozbudziły, a na jej twarzy odmalował się wyraz zaskoczenia i zdumienia, a potem jej oblicze interesująco złagodniało. Nie traktuj tego, proszę, jak pomyłki, powiedziałem. Kiedy wyszedłem z jej domu i znalazłem się na ulicy, pomyślałem: Wygaduję dziwne, przekonujące i prawdopodobnie prawdziwe rzeczy. Czyżbym się zakochał? Zastanawiałem się. Choć spałem niewiele, a od alkoholu bolała mnie głowa i brzuch, byłem w ekstatycznym nastroju. Jakby trafiło mnie strzałą jakieś bóstwo. O mało nie wszedłem do hotelowego baru i nie zamówiłem whiskey, którą piłbym przez godzinę, przypominając sobie, że to wszystko dzieje się naprawdę, że to się rzeczywiście wydarzyło, że jedna jedyna noc zatarła kilka fatalnych lat. Ale musiałem wracać szybko do domu, żeby wziąć prysznic i przebrać się przed pracą. Kupiłem sobie kawę. Miasto się budziło. Było lato, więc zrobiło się już widno. Za każdym razem, kiedy przechodziłem przez ulicę, liczba pieszych wokół mnie, przechodzących jak ja na drugą stronę, zdawała się podwajać. To dodawało mi energii. Na Victoria Station, gdzie w olbrzymiej pustej przestrzeni nad pociągami grzmiały komunikaty, szedłem pod prąd, więc popychano mnie i przyglądano mi się. Wcale mi to nie przeszkadzało, bo przeżywałem najlepszy poranek w swoim życiu. Złapałem pociąg do Nunhead. Spojrzałem na zegar i zdałem sobie sprawę, że nawet

jeśli wszystko pójdzie jak po maśle, spóźnię się do pracy. Postanowiłem więc odprężyć się i nie myśleć o pracy. Pociąg z Victorii do Nunhead o siódmej rano jest oczywiście zupełnie pusty – składy jadące o tej porze w przeciwną stronę są natomiast zapchane do granic możliwości. Usiadłem w pustym wagonie przy oknie, a kiedy pociąg ruszył, poczułem błogą i nieco smutną ulgę, że od tej chwili zaczynam wszystko od nowa, że przyjechałem do Europy właśnie po to, żeby poczuć się jak nowo narodzony, bez żadnej przeszłości, że przybyłem znikąd, nie znam nikogo i nie mam z kim dzielić ani dobrych wieści, ani złych wieści czy powodu, by zachowywać się w taki bądź inny sposób. Widok po obu stronach torów wydał mi się tak cudownie odległy od miejsca, w którym przyszedłem na świat, że miejsce to w tej jednej chwili zostało zburzone, starte z powierzchni ziemi przez moje potężne pragnienie, by nigdy go już nie ujrzeć. Zacząłem się spotykać z tą kobietą. Bywaliśmy w pubach i restauracjach całego Londynu – w miejscach, w których nigdy nie byłoby nam dane napić się czy zjeść. Wyjeżdżaliśmy również z miasta, żeby być nieustraszenie razem – anonimowo. Poleciliśmy do Paryża, Lizbony, Rygi i Reykjavíku. Pojechaliśmy samochodem do Bath i do Lake District. Zatrzymywaliśmy się w dobrych hotelach. Nie dbałem o to, że duch mojego małżeństwa podąża za nami krok w krok, że sypia z nami i jada z nami śniadania. Nie

martwiłem się, że wszystko dzieje się tak szybko. Choć nigdy nie rozmawialiśmy o przyszłości, widziałem ją w różowych barwach. Aż któregoś dnia, jakieś siedem czy osiem miesięcy od chwili, kiedy zaczęliśmy się spotykać, spacerowaliśmy po Londynie po północy i coś do niej powiedziałem, a ona zaczęła płakać. Idący ulicą ludzie, choć nie było ich wielu, zatrzymywali się, by na nas popatrzeć. Prosiłem ją, żeby przestała, ale padła na kolana. Chciałem ją podnieść, ale mnie uderzyła. Co się stało?, zapytałem. Zapytała mnie, dlaczego tak źle ją traktuję, dlaczego jestem taki okrutny? Pomyślałem, że się wygłupia. Albo że przeżywa jakiś psychotyczny atak po alkoholu, do którego ktoś mógł jej coś dosypać. Czy ktoś się o nas dowiedział?, zapytałem. Łkała i za każdym razem, kiedy wyciągałem do niej rękę, żeby ją pocieszyć, odtrącała ją. Potem nagle przestała płakać i wydawało mi się, że powie coś w rodzaju: Przepraszam, chyba za dużo wypiałam. Lecz zamiast tego rzuciła: Nie zrobię tego! Czego?, zapytałem. Nie ulegnę twojej podłości!, krzyknęła. Mojej podłości?, powtórzyłem. Kto ci to powiedział? I właśnie wtedy nadeszli dwaj policjanci i zapytali ją, czy wszystko w porządku. Nie płakała już, była opanowana, a była opanowana, bo ze mną skończyła. Wszystko w porządku, odpowiedziała. Więc proszę się rozejść, rzucili do nas obojga, na co odpowiedziała: Nie jesteśmy razem. Jej niespodziewana stanowczość odebrała mi mowę

i trochę poirytowała, bo czekała mnie jazda taksówką do Nunhead. Słyszał pan, co powiedziała, zwrócił się do mnie policjant. Proszę się rozejść. Poszedłem więc w przeciwną stronę i zatrzymałem taksówkę. Naprawdę ze mną skończyła. To było imponujące. Dzwoniłem do niej kilka razy, ale nie odbierała. Pisałem do niej. Byłem zdruzgotany. Po kilku tygodniach czekałem na nią przed biurem i pomachałem do niej. Podszedłem, a ona uśmiechnęła się obojętnie. Poprosiłem ją o spotkanie. Nie starałem się jej odzyskać. Dałem to jasno do zrozumienia już na samym początku. Mówiąc szczerze, powiedziałem, chciałbym prosić cię o pomoc. Mam teraz wolną godzinę, odpowiedziała. Zabrałem ją do przyjemnego baru z wygodnymi brązowymi sofami. Zamówiła sok pomarańczowy. Ja piwo. Proszę nie obraż się, że to powiem, zacząłem, ale wyglądasz wspaniale. Nie piję od miesiąca, odpowiedziała. Rozmawialiśmy o tym i owym przez dziesięć czy piętnaście minut, aż w końcu zapytała: W czym mam ci pomóc? Poprosiłem ją, żeby mi wyjaśniła, co takiego w moim zachowaniu kazało jej nazwać mnie podłym? Roześmiała się, ale widząc, że pytam poważnie, opanowała się. Nie powinnam zrywać z tobą w taki sposób, w jaki to zrobiłam tamtej nocy, powiedziała, ale alkohol zmusił mnie do płaczu, a poza tym byłam wyczerpana. Powinnam była powiedzieć ci o tym tak jak teraz, na trzeźwo, w takim miejscu jak to. Wszystko stało się dla

mnie zupełnie jasne, ciągnęła, choć byłam pijana. Rzeczy, które zawsze mówisz, bierność, z jaką wszystko lekceważysz, to, że niczego nie lubisz – przede wszystkim siebie i kobiet w drugiej kolejności. Przerwała i spojrzała na mnie, żeby przekonać się, czy przypadkiem nie podważę jej oskarżeń o mizoginizm, ale nie odezwałam się ani słowem, siedziałam nieruchomo, bo zadałam jej przecie pytanie i jeśli zacząłbym z nią dyskutować, po prostu by wyszła. Może znienawidziłeś swoją żonę tak bardzo, powiedziała, że postanowiłeś znienawidzić wszystkie kobiety, a może nienawidzisz kobiet od dnia, w którym zacząłeś ich pożądać. Nie wiem. Ale tamtej nocy, naszej ostatniej nocy, zdałam sobie sprawę, jak bardzo cię nienawidzę, tyle tylko, że wcale cię nie nienawidziałam ani nie chciałam cię nienawidzić, ale ty rzuciłeś na mnie to swoje zaklęcie. Siedziałam obok ciebie i poczułam, że cię nie znoszę, że za chwilę dostanę ataku paniki, co sprawiłoby ci największą satysfakcję, bo w tym celu rzucasz te swoje zaklęcia, żeby usprawiedliwić swoją nienawiść do mnie, którą żywiłeś, żeby uzasadnić nienawiść do samego siebie. Pochyliła się, chwyciła fistaszka z miseczki stojącej na stole pomiędzy nami, a potem dodała: I uniknąć za nią odpowiedzialności. Kiedy kilka chwil później wstała, żeby wyjść, wyłożywszy mi to samo na parę innych sposobów, podziękowałam jej. Co teraz zrobisz?, zapytała. Odpowiedziałam jej, że pewnie przez jakiś

czas będę się trzymał z daleka od ludzi, a zwłaszcza kobiet. To nie jest dobra odpowiedź, stwierdziła, to równie złe, bo niczego nie zmienia. Tak czy inaczej, dziękuję, że zechciałaś mi poświęcić trochę czasu. Zanim wyszła, zapytała jeszcze: Czy mogę ci zaufać, że nie powiesz o nas nikomu? Ledwo ją słyszałem, ale kiwnąłem głową – Tak, oczywiście, nikomu o nas nie powiem. Wyszła z baru, a ja odprowadzałem ją wzrokiem przez okno. Odeszła, skręciła za róg, a ja pomyślałem: Mój Boże, jakie to dziwne i nierzeczywiste! Zamówiłem kolejnego drinka – tym razem podwójną wódkę – rozsiadłem się na wygodnej brązowej sofie i obserwowałem innych ludzi, wchodzących ze sobą w interakcje. Z jednej strony czułem wielką czułość wobec każdego z nich. Byłem uszczęśliwiony, widząc ich tutaj. Czułem wielką ulgę, będąc w tym mieście, dzieląc to miasto z innymi. Ale w tej tkliwości kryło się też przedziwne przygnębienie, zmęczenie i poczucie beznadziejności, które – gdybym przyjrzał się im bezpośrednio oczyma duszy, gdybym spojrział wprost na ich źródło – wyrastały ze świadomości, że jestem przerażony, że jestem uwięziony w tym jednym życiu, w jednym czasie i jednym ciele, i że nie będzie już innych czasów ani innych ciał.

Lubiłem swoją samotność. Nie była zupełna. Miałem mnóstwo kontaktów z ludźmi dzięki pracy, mnóstwo spotkań, mnóstwo lunchów. Robiłem również wiele

rzeczy na własną rękę – wieczorami. Zawsze lubiłem muzykę klasyczną, kupiłem więc karnet do filharmonii. Odwiedzałem biblioteki i czytałem, chodziłem do księgarń na spotkania z autorami. Uczęszczałem na odczyty niemal o wszystkim. Bywałem w operze. Na wernisażach. W teatrze. Brałem udział w przeróżnych festiwalach. Co pewien czas umawiałem się z jakąś kobietą. Zadawałem sobie wiele trudu, by wybierać kobiety, z którymi byłem bezpiecznie niekompatybilny, a przy drinku czy podczas obiadu mówiłem im rzeczy urzekające i nieprawdziwe. Starłem się być weselszy, choć nie entuzjastyczny, albo niebezpieczny, ale niepodejrzany, albo mroczny, lecz nie w przygnębiający sposób, albo wzruszający, choć nie żałosny, albo zabawny, jednak nie złośliwy. Pod wieloma względami było to przedłużenie codziennych wyzwiań, jakie stawiała przede mną praca. Sukcesy tamtych nocy były łatwo mierzalne, a tamte związki – typowo jednorazowego użytku. Czasem jednak zdarzało się, że kobieta i ja nie byliśmy bezpiecznie niekompatybilni. Coś zaczynało iskrzyć. Przekonywałem się, że ją lubię albo podejrzewałem, że ona polubiła mnie. Wówczas nie starałem się być urzekający, podobnie jak i ona. Wypijaliśmy drinki, zjadaliśmy obiad, a potem chodziliśmy po mieście i zawsze kończyło się to w jeden i ten sam sposób: ona zabierała mnie do baru, do którego chodziła dawno temu, kiedy miała

dwadzieścia kilka lat. Nie rozmawialiśmy za wiele – nasza kompatybilność nie sprowadzała się do tego, że irytują nas te same rzeczy albo że uwielbiamy te same książki czy filmy – piliśmy nieco więcej niż zazwyczaj i przyglądaliśmy się ludziom usiłującym porozumiewać się ze sobą, wyrazić siebie, uwodzić się nawzajem. W barze, do którego zabierała mnie taka kobieta, często byliśmy zmuszeni stać, a jeśli chcieliśmy rozmawiać, należało do siebie krzyczeć i często ta kobieta – która nie paliła – pożyczwała papierosa od nieznajomych i wychodziliśmy na dwór na nocny chłód, jak najdalej od wrzawy, żeby mogła zapalić. Czasem rozstawaliśmy się, żeby zdążyć na ostatni pociąg, a czasem było już tak późno, że musieliśmy brać taksówki. Ale rozstawaliśmy się, ja życzyłem jej wszystkiego najlepszego, a ona rozumiała, że już nigdy się nie zobaczymy. Wracałem do domu. Słuchałem muzyki przez słuchawki – nawet w taksówce – potykałem się o płyty chodnikowe, zastanawiałem się, czy wolno mi się wysikać w jakichś krzakach, a po przekroczeniu progu własnego mieszkania smażyłem sobie gigantyczną jajecznicę, do której dodawałem wszystko, co było w lodówce. Kiszoną kapustę, kozi ser, dżem, sos barbecue, każdy rodzaj mięsa i każde warzywo, które nie śmierdziało lub nie zdążyło pokryć się pleśnią.

Trish siada obok mnie. Wyciąga przed siebie nogi. Ziewa. Potem wyjmuje przeciwsłoneczne okulary

i zakłada je, więc oboje siedzimy w ciemnych okularach. Jaki jest pani ojciec?, pytam.

Mój ojciec?

Taa, pani ojciec.

Dlaczego pan pyta?

Nie wiem. Tylko pytam.

Jest w porządku.

Czym się zajmuje?

Czy to ważne?

To tajemnica?

Jest nauczycielem w szkole średniej.

Ale nie uczy przypadkiem historii?

Wykłada algebrę. I jest trenerem piłkarskim.

Ma posłuch?

Można tak powiedzieć.

Często jeździ pani do domu?

Często jestem w Stanach, ale rzadko bywam w domu.

Spogląda na plastikową torbę, którą zawiązałem i zostawiłem obok własnych stóp, i na stertę czasopism, które z niej wyjąłem. Szkła w jej okularach są ekstremalnie czarne i lśniące, widzę w nich swoje odbicie i otaczającą nas jak Stonehenge wystawę historyczną. Wstaję. Wystawa w językach niemieckim, angielskim i francuskim przedstawia kobiety w awiacji. Rozpoczyna się od Katharine Wright i baronessy Raymonde de Laroche, a kończy na astronautkach, pilotkach testujących samoloty i dyrektorkach korporacji lotniczych i kosmicznych.

Dwa panele poświęcone są wyłącznie pilotkom niemieckim. Hanna Reitsch, jak czytam, była pilotką testową Luftwaffe i protegowaną Hitlera. Jako jedna z niewielu kobiet w nazistowskich Niemczech zerwała z tradycyjnymi kobiecymi rolami i latała pierwszym helikopterem, pilotowaną wersją rakiety V-1 oraz napędzanym raketowo messerschmittem Me 163. Pierwsza zademonstrowała helikopter szerokiej publiczności. Dalej jest oczywiście panel o lotnictwie i Holokauście, bo zdaje się, że w Niemczech żadna wystawa historyczna nie może obyć się bez Holokaustu. Co jest słuszne, choć czasem, zda się, niepotrzebne. Jeden z paneli jest niezwiązany tematycznie z wystawą i opowiada pokrótce i mało ciekawie o historii lotniska w Monachium. Dochodzę do wniosku, że chcę wiedzieć o niej więcej, więc siadam i otwieram Internet w telefonie. Czytam Trish na głos to, czego się dowiaduję. Lotnisko w Monachium ma nieco ponad dwadzieścia lat, czytam. To drugie co do liczby pasażerów lotnisko w Niemczech i dwudzieste siódme na świecie. Każdego roku korzysta z niego ponad czterdzieści milionów osób. Jego pełna nazwa brzmi: Flughafen München Franz Josef Strauss. Franz Josef Strauss był najmłodszym w dziejach ministrem obrony Niemiec, potem ministrem finansów, sekretarzem partii, a przez ostatnie piętnaście lat służby publicznej – premierem rządu lokalnego Bawarii. Trish patrzy na

mnie, jakby chciała powiedzieć: Naprawdę chce pan to czytać dalej? Więc przestaję. Czytam dalej po cichu. Najciekawsze w biografii Straussa wydaje się to, że pod fałszywym oskarżeniem wsadził do więzienia na sto dni redaktora gazety oraz że sam został oskarżony o przyjmowanie łapówek od koncernu Lockheed, w zamian za zakup dziewięciuset samolotów F-104G starfighter. Strauss sam był pilotem i pierwszym prezesem rady nadzorczej Airbusa. Przed wybudowaniem tego lotniska Monachium było obsługiwane przez lotnisko München-Riem, gdzie teraz znajduje się centrum kongresowe, mnóstwo apartamentowców i parków. Obszar ten nazywa się obecnie Messestadt Riem, czyli Miasto Targowe Riem. Lotnisko München-Riem było w roku 1945 bazą elitarniej eskadry myśliwskiej Jagdverband 44. Dowodził nią generał Adolf Galland, dawny inspektor lotnictwa, usunięty ze stanowiska przez Hermanna Göringa za surową krytykę jego polityki operacyjnej, doktryny strategicznej i taktyki stosowanej przez Najwyższe Dowództwo Luftwaffe. Przełożeni Gallanda mieli nadzieję, że jego powrót do lotnictwa bojowego na pierwszej linii dowodzenia doprowadzi do jego śmierci podczas akcji. Galland odniósł tylko rany. Na lotnisku München-Riem doszło do katastrofy lotniczej, w której zginęło ośmiu piłkarzy Manchester United – ich samolot rozbił się, próbując wystartować z pokrytego rozmokłym śniegiem pasa startowego. To

tutaj miała też miejsce masakra monachijska w roku 1972. W roku 1982 doszło na nim do ataku bombowego na pasażerów zmierzających do Izraela. Położonym najbliżej Monachium obozem koncentracyjnym było Dachau. Nowe lotnisko – to, na którym się znajdujemy – dzieli od Dachau mniej niż dwadzieścia minut drogi. Himmler określił Dachau mianem pierwszego obozu koncentracyjnego dla więźniów politycznych. Co dziwne, niedaleko od naszego pierwszego hotelu w Berlinie znajdował się park, w którym stała wieża ciśnień. Umieszczono na niej tablicę informującą, że w tym miejscu istniał pierwszy obóz koncentracyjny dla więźniów politycznych. Oczywiście były to obozy w zupełnie innej skali. Powiększam w telefonie zdjęcie ciał na ciężarówkach, zwłok transportowanych do krematoriów. Zdjęcie dzieci idących na śmierć. Zdjęcia grubych, uśmiechniętych strażników, wypoczywających w pobliskich lasach. Późnym popołudniem 29 kwietnia 1945 roku załoga obozu w Dachau poddała się armii amerykańskiej. Czytam fragment meldunku generała brygady Henninga Lindena, który opisuje poddanie obozu: „Gdy posuwaliśmy się wzdłuż zachodniej rubieży obozu koncentracyjnego i zbliżaliśmy do południowo-zachodniego narożnika, drogą nadeszło trzech ludzi z białą flagą. Spotkaliśmy się z nimi jakieś siedemdziesiąt pięć jardów na północ od południowo-

zachodniej bramy obozu. W skład delegacji emisariuszy wchodził: przedstawiciel szwajcarskiego Czerwonego Krzyża oraz dwóch esesmanów, którzy przedstawili się jako komendant obozu i zastępca komendanta obozu, stwierdzając przy tym, że przybyli do obozu nocą dwudziestego ósmego, aby przejąć go z rąk załogi w celu poddania go zbliżającym się siłom amerykańskim. Przedstawiciel szwajcarskiego Czerwonego Krzyża, który służył jako tłumacz, oznajmił, że w obozie przebywa około setki strażników SS, którzy złożyli broń, z wyjątkiem tych, którzy stacjonują na obozowej wieży. Dodał, że wydał polecenie, aby nie strzelano, oraz że będzie potrzeba około pięćdziesięciu żołnierzy, aby zastąpić strażników, ponieważ w obozie znajdują się czterdzieści dwa tysiące na poły oszalałych jeńców wojennych, z których wielu cierpi na tyfus. Zapytał, czy jestem oficerem Armii Amerykańskiej, na co odpowiedziałem: «Owszem, jestem zastępcą dowódcy 42. Dywizji i przyjmę poddanie obozu w imieniu Tęczowej Dywizji Armii Amerykańskiej».

Potem fragment listu starszego szeregowego Harolda Portera do rodziców: „Droga na południe z Öttingen była dosyć przyjemna. Przejechaliśmy przez Donauwörth i Aichach, a kiedy wjeżdżaliśmy do Dachau, cała okolica z wiejskimi domkami, rzekami, posiadłościami ziemskimi i odległymi Alpami przypominała niemal turystyczny kurort. Ale kiedy wjechaliśmy do centrum miasteczka, trafiliśmy na pociąg z uszkodzoną lokomotywą, za którą stało z pięćdziesiąt wagonów towarowych. Każdy wagon był wypełniony ciałami. Musiały być ich tysiące, a wszystkie ludzi zagłodzonych na śmierć. To był wstrząs najwyższego rzędu, a smród można sobie tylko wyobrazić. Lecz ani ten widok, ani fetor nie dadzą się porównać z tym, co jeszcze mieliśmy ujrzeć. Mój kolega dotarł do obozu dwa dni przede mną i pełnił służbę wartownika, więc kiedy tylko znalazłem się na miejscu, odszukałem go, a on zabrał mnie do krematorium. Okolice była zasłana trupami esesmanów, ale kiedy weszliśmy do pomieszczenia z piecem, ujrzeliśmy olbrzymią stertę ciał ułożonych jak podpałka – nagich, żeby nie palić ubrań. W niektórych piecach mieściło się po sześć ciał naraz, a po obu stronach znajdowały się pomieszczenia o powierzchni dwudziestu stóp kwadratowych, wypełnione po sufity ciałami – zbitą, wielką, śmierdzącą i gnijącą masą. Trupy miały sine twarze, wybałuszone oczy i ohydnie wykrzywione, niczym

w uśmiechu, usta. Sama skóra i kości. Oprócz ciał mężczyzn były tam również ciała kobiet i dzieci. Kiedy oglądaliśmy to miejsce, ciężarówką wypełnioną ciałami nadszedli z obozu uwolnieni więźniowie. Przyglądanie się rozładunkowi było czymś strasznym. Ciała spadały bulgocząc w ścisku na stertę, a fetor był niemal widzialny”.

Kiedy czytam, sporządzam właśnie tego rodzaju notatki. Podczas lektury uświadamiam sobie, że muszę zapisać coś słowo w słowo. Notuję również własne myśli, nazwy miejsc, w których byłem, albo rzeczy, które widziałem, ale przeważnie zdania lub fragmenty, takie jak te. Tak pracuje mój umysł. Muszę się na czymś skupić i przestudiować to, żeby nie zapomnieć, a pisanie służy właśnie temu – skrupulatnym studiom wybranych fragmentów, zapamiętywaniu ich na zawsze. W Londynie mam z pięćset notatników wypełnionych takimi zapiskami. Podejrzewam, że gdyby w moim domu technicy kryminalni szukali dowodów szaleństwa, stwierdziliby, że te notesy są takim właśnie dowodem. Jestem pewien, że ojciec ma więcej notatek, może tysiąc razy więcej – z pewnością nauczyłem się je sporządzać od niego – ale prawdopodobnie ma do nich profesjonalne podejście, natomiast moje zapiski niczemu nie służą. O ile nie mają być dowodem szaleństwa dla tych, którzy zechcą się go doszukać.

Odkładałam telefon i mówię do Trish: Kupiłem los na

wyścigówkę.

Jaką wyścigówkę?, pyta.

Nie widziała pani tej wyścigówki?

Nie, odpowiada.

Nie wierzę, mówię.

Zerkam jej przez ramię. Podnoszę się nieco z fotela i pokazuję palcem. Tam, stwierdzam, stoi prawdziwa wyścigówka.

Po co komu taka wyścigówka?

Kiedyś ścigałem się samochodami, mówię jej.

Naprawdę?, pyta.

No... niezupełnie... jeździłem bardzo szybko jako nastolatek, ścigałem się z kolegami. Ale kupiłem los na tę wyścigówkę.

Co pan robi z taką wyścigówką w Londynie?, pyta.

Okazuje się, odpowiadam, że nie wygrywa się wyścigówki, tylko jej ekwiwalent pieniężny.

To chyba do niej przemawia. Los kosztuje dwadzieścia euro, dodaję. To szwindel.

Więc po co go pan kupił?

Nie wiem. Od tego czekania miesza mi się w głowie.

Trish wysłała esemesa z telefonu, potem sprawdza pocztę albo przegląda coś w Internecie. Zabija czas i zajmuje się byle czym. Po krótkiej chwili jej prywatny telefon brzęczy – nadeszła odpowiedź. Czyta ją. Czyta ją bardzo szybko – może wiadomość jest krótka – i odkłada telefon. Wyraz jej twarzy nie ulega zmianie. Jest opanowana, jest bardzo spokojna. Odwraca się do

mnie. Gapi się pan na mnie, mówi.

Co to znaczy „jest w porządku”?

Zdejmuje okulary, ale ja nie zdejmuję swoich.

Powiedziała pani, że pani ojciec „jest w porządku”.
Co miała pani na myśli?

Nie wiem, odpowiada.

Jesteście ze sobą blisko?

Chyba tak.

Rozmawiam z moim ojcem raz w miesiącu. To więcej czy mniej niż pani i pani ojciec?

Rozmawiam z ojcem znacznie rzadziej, odpowiada. Zazwyczaj rozmawiam z mamą. Jeśli tata odbierze telefon, opowiada mi o psach, a potem oddaje słuchawkę mamie. Jeśli nie ma nic do powiedzenia o psach, przekazuje słuchawkę od razu. Nie wiem, jak z nim rozmawiać. Mam braci i oni też nie wiedzą, jak z nim rozmawiać.

Miriam nigdy nie rozmawiała z ojcem, mówię.

Trish przestaje zajmować się tym, czym się zajmowała. Przestaje myśleć o tym, o czym myślała – o pracy, o małżeństwie, o locie i wszystkim innym – i skupia całą uwagę na mnie, bo – jak podejrzewam – w końcu wspominałem Miriam, używając jej imienia. Być może wydaje jej się, że będę wspominał siostrę. Jest w błędzie, bo zamiast tego zadaję jej pytanie, którego się nie spodziewa: Rozstaliście się z mężem?

Siedzi bez ruchu. Krzyżuje nogi. Wygląda nogawki spodni.

Ziewam.

Tak, odpowiada. Dowiedział się pan od ojca?

Owszem, mówię, wspomniał mi o tym. Przykro mi.

Rozumiem.

Kiedy mnie się to przydarzyło, mówię, wyszło mi to zdecydowanie na dobre.

Utrzymuje pan kontakty z byłą żoną?

Ja? Nie, absolutnie! Dlaczego pani pyta?

Pański ojciec wiele o niej mówił.

Mówił o niej?

Tylko wspominał. Stwierdził, że żałuje, że się rozstaliście.

Ciągle mi to powtarza. Kiedyś powiedział mi: Nigdy nie poczujesz się spełniony, jeśli nie nauczysz się żyć dla innych, a nie tylko dla siebie.

Mówił, że mieliście piękny ślub.

Powiedział, że nasz ślub był piękny?, pytam.

Tak.

Hm... Nie było go tam.

Wstaję. Bolą mnie plecy. Bolą mnie stawy. Boli mnie szczęka. Od czasu do czasu czuję ostry kłujący ból gdzieś w trzewiach i chyba gdzieś w pęcherzu. Dusi mnie w piersiach. Boli mnie głowa za oczami. Mięśnie moich ramion i nóg nie chcą się rozciągać. Lecz wszystko to dodaje mi dziwnie animuszu, jakbym brał udział w przygodzie – mówiąc wprost, choć pewnie kłamliwie – stawania się chudszy. Pytam Trish, czy czegoś nie potrzebuje – butelki wody czy czasopisma.

Niczego mi nie trzeba, odpowiada. Myśli pani, że pani mąż wróci do Stanów czy zostanie w Monachium?, pytam.

Dobre pytanie, odpowiada.

Jest biały?

Tak, jest biały.

Czym się zajmuje?

Jest inżynierem.

Służył w wojsku?

Tak.

Czy zrezygnował ze służby, żeby przyjechać z panią do Berlina?

Tak.

Myśli pani, że chce mieć dzieci?

Nie, odpowiada.

A pani?

Nie.

Gdybym mógł cofnąć się w czasie, mówię, i wrócić do żony, chciałbym mieć dzieci.

Trish wzrusza ramionami, więc mówię: Proszę się nie przejmować, nie udzielam pani rad.

Chce pan powiedzieć, że dzieci ocaliłyby wasze małżeństwo?

Nie, odpowiadam, absolutnie nie.

Podchodzę do kosza na śmieci i wyrzucam zawiązaną plastikową torbę. Wracam i mówię: Zmieniłem zdanie, nie chciałbym mieć dzieci.

Prawda o mojej byłej żonie jest taka, że była lubiana,

odnosiła sukcesy, była punktualna, uwielbiała czytać, uwielbiała wychodzić do miasta, jeździć na wakacje, znała kilka języków, była dobra w rachunkach, ładna, wysportowana i dobrze prowadziła samochód. Nie wiem, czy ktokolwiek, kto widział nas razem stwierdziłby, że to ona była szczęściarą. Wszyscy mi powtarzali: Ale się wżeniłeś! Lecz to nie było takie proste. Nikt nie znał mojej żony tak, jak mnie dane było ją poznać. Przez ostatnie dwanaście miesięcy naszego małżeństwa każdy tydzień był jak skaliste dno, każdego tygodnia wydarzało się coś takiego, co kazało mi myśleć, że dwoje ludzi nie może już niżej upaść. Jakiś miesiąc przed moją wypowiedzią znaleźliśmy się w gabinecie terapeutki małżeńskiej. Pozornie nadal pojawiały się oznaki, że nam na sobie zależy, doszliśmy więc do wniosku, że terapeutka pomoże nam odbudować tę wzajemną więź i znaleźć sposób na godne życie razem. Gotowaliśmy dla siebie, praliśmy swoje rzeczy, robiliśmy dla siebie sprawunki, jeździliśmy po sobie do miasta, gdy przestawało kursować metro, pisywaliśmy nawet do siebie uprzejme i czułe liściki, ale nie potrafiliśmy znieść własnej fizycznej bliskości, a każda rozmowa telefoniczna przeradzała się w kłótnię. Wychodziłem z domu, kiedy tylko mogłem. W sobotnie i niedzielne poranki przebiegałem dziesiątki mil. Popołudniami kupowałem gazetę, wychodziłem do pubu i oglądałem sport – dyscypliny, którymi nie interesowałem się

nigdy wcześniej, takie jak piłka nożna, snooker czy krykiet – wypijając kilka piw. Nie zawsze było to konieczne, bo ona też wychodziła, zazwyczaj na jakiś brunch albo zakupy. W dni robocze pracowałem do późna. Ona też. Jedliśmy kolację około dziewiątej. Zmuszaliśmy się do jedzenia przy stole w jadalni, siedząc naprzeciw siebie, lecz kiedy ona otwierała usta, mnie zamykały się oczy, a kiedy sam zaczynałem mówić, przerywała mi. Spaliśmy w oddzielnych łóżkach. Chrapałem, więc oddzielne łóżka były – jak sobie wyjaśniliśmy – konsekwencją mojego chrapania.

Terapeutka przyjmowała w domu, w małym białym gabineczku z drewnianą podłogą, chodniczką i stoliczkiem do kawy. Usiedliśmy z żoną na białej sofie. Terapeutka usiadła na eleganckim chromowanym krześle z nogami jak u pająka. Drzwi oddzielające gabinet od korytarza i reszty domu były bardzo cienkie, słyszeliśmy więc głośne domowe odgłosy – dwojga dzieci, psa, niani, telewizora, zabawek i śmiechu – a nasza rozmowa i rozmowy z innymi klientami również musiały, jak podejrzewałem, wydobywać się na zewnątrz. Terapeutka była bardzo opalona, ładna, pochodziła z Południowej Ameryki, miała bardzo gęste ciemne włosy, nosiła buty na wysokim obcasie i białe spodnie. Była mocno umalowana. Pojawiała się w luźnej beżowej bluzce, która zsuwała się niemal z jej ramion, i w złotym łańcuszku. Nie wiem, co kazało jej

przypuszczać, że powinna się tak ubierać jako terapeutka małżeńska. Nie chodzi o to, że była atrakcyjna. Miała święte prawo wyglądać atrakcyjnie. Problemem było to, że wyglądała tak, jakby właśnie gdzieś wychodziła, na jakieś ważniejsze spotkanie, a nasze problemy wyraźnie ją nudziły i tylko udawała, że chce pomóc nam je rozwiązać.

Nie pojawiliśmy się już u niej. Wróciliśmy do domu, nie rozmawiając ze sobą, nie dotykając się. Moja żona weszła do sypialni i zamknęła drzwi. Obszedłem dom. Mieliśmy wysokie sufity. Duże wykuszowe okna. Moja żona pochodziła z bogatej rodziny. Jej ojciec był bankierem. Matka lekarką. Wyszedłem do wspólnego ogródka za domem. Była późna wiosna, bezchmurny dzień, a późną wiosną w naszym wspólnym ogrodzie przez całe popołudnie świeciło słońce. Stało się dla mnie jasne, że nie uniesiemy już tego z żoną dalej. Zastanawiałem się, jak nie mówić o tym ojcu, jak udawać przed nim, że wszystko jest w porządku, póki nie umrze. Siedziałem w ogrodzie przez godzinę, rozmyślając, czy to w ogóle możliwe. Ukrycie przed nim naszego rozstania wydawało mi się absolutnie konieczne. W domu, za jednym z okien, siedziała albo chodziła po sypialni moja żona. Ostatecznie poszedłem na górę i zacząłem przebierać się do wyjścia. Zapukałem do drzwi sypialni i wszedłem, usłyszawszy: Co? Siedziała na łóżku. Włożyłem nową koszulę i jasnobrązową marynarkę. Zapytała

z oburzeniem: Wychodzisz? Uważam, odpowiedziałem, że obecnie najlepiej będzie schodzić sobie z drogi. A więc to koniec, rzuciła. Owszem, tak myślę, odrzekłem. Wstała z łóżka, poszła do kuchni, wyjęła jakąś wódkę z zamrażalnika i nalała sobie kieliszek. Poszedłem za nią. Chcesz się napić?, zapytała. Jasne, odpowiedziałem. Usiedliśmy naprzeciw siebie i wypiliśmy po parę kieliszków – bez słowa. W końcu powiedziała, że pojedzie na noc do przyjaciółki. Ok, odpowiedziałem. Chyba muszę, dodała. Jeśli tak uważasz, to z pewnością tak jest, stwierdziłem. Wstałem i zostawiłem ją samą. Wyszedłem z domu, usiadłem w barze i uśmiechałem się przez kilka godzin. Z nikim nie rozmawiałem. I wcale nie wypłem dużo. O jedenastej, kiedy zamykano pub, wróciłem do domu i znalazłem ją śpiącą na sofie przy włączonym telewizorze. Wypiła dużo wódki. Usiadłem i przyglądałem się jej w poświacie z telewizora. Podniosłem butelkę i wypłem powoli resztkę, która była na dnie.

Minął rok, ponad rok, i nie powiedziałem ojcu o niczym. Było oczywiste, że coś musiało się wydarzyć. Byłem pewien, że wie. Dzwonił parokrotnie do naszego domu i został przez moją żonę lodowatym tonem poinformowany, że mnie nie ma, więc przestał dzwonić. Przez jakieś dwa miesiące pytał mnie, co u niej słyhać, na co odpowiadałem „W porządku”, zamiast powiedzieć mu, co porabia. Więc przestał

o nią pytać. Czekał chyba, aż powiem mu prawdę. Ale nie miałem takiego zamiaru. Doszedłem do wniosku, że nigdy o tym nie wspomnę. Gdyby umarł, nie musiałbym mu o tym mówić. Jeśli nie umrze, może pewnego dnia przywiozę do domu nową żonę i dzieci, a kiedy odbierze nas na lotnisku i zachnie się z zaskoczenia, powiem mu: Och, rozstaliśmy się wiele lat temu. Po ponad roku mój plan wydawał się całkiem realny. Rzadko rozmawialiśmy przez ten rok. Doszedłem do wniosku, że tracimy ze sobą kontakt. To wielka strata, ale pod wieloma względami łatwiejsza do przyjęcia niż przyznanie się, że moje małżeństwo nie przetrwało. Potem któregoś dnia zadzwoniłem do niego, a on poinformował mnie, że ma zamiar zarezerwować lot do Szkocji i pokoje dla nas w zajeździe. Nie chciał już dłużej czekać. Zgodziłem się z nim spotkać, bo najbardziej obawiałem się, że przyleci do Londynu, zarezerwowałem więc lot do Glasgow. O mało nie spóźniłem się na samolot. Siedziałem przy bramce, gdy pozostali pasażerowie wsiadali na pokład. Myślałem o ojcu jedzącym samotnie obiad przy tym samym stole, przy którym siadał po ślubie z mamą i przy którym kilka lat wcześniej przedstawiłem mu żonę. I nie potrafiłem rozstrzygnąć, czy jest mi go żal czy chcę, żeby cierpiał. Przedstawicielka linii lotniczych patrzyła na mnie wymownie, mówiąc do mikrofonu: Ostatnie wezwanie, absolutnie ostatnie wezwanie przed

zamknięciem bramki. Wstałem. Gdyby ta hostessa okazała mi choćby odrobinę współczucia, odwróciłbym się na pięcie i pojechał do domu, ale przywitała mnie całkiem zwyczajnie i życzyła przyjemnego lotu. Kiedy przyjechałem do zajazdu, zameldowałem się i zostawiłem wiadomość dla ojca. Rozpakowałem się i wziąłem prysznic. Właśnie się ubierałem, kiedy ojciec zapukał do drzwi. Miałem zamiar przebrać się w garnitur na drinka w barze. Zdążyłem założyć spodnie i koszulę. Narzuciłem na siebie marynarkę. Nie miałem butów ani skarpet. Otworzyłem drzwi i ujrzałem w nich ojca – również w garniturze. Wyglądał na nieco podpitego, ale natychmiast ujął mnie za rękę, obrzucił mnie wzrokiem od góry do dołu i uściskał. Wszedł do środka i przekonał się, że jestem sam. Usiadł na fotelu obok łóżka. Coś ci powiem, zacząłem, założyłem własną firmę. Doskonale, odpowiedział, interesy idą dobrze? Założyłem ją jakieś pół roku temu i z nadzieją patrzę w przyszłość. Zeszliśmy razem na dół do baru. Tata zamówił szkocką z wodą, a ja piwo. Mieliśmy dwie godziny do obiadu. Była późna jesień i słońce już zaszło. O piątej po południu zapadła noc. Przypuszczam, że od dawna podejrzewasz, że między mną a moją żoną nie układa się najlepiej, powiedziałem. Milczał. Między nami było bardzo źle, dodałem, nasze małżeństwo dobiegło końca, a rozwód nie był bolesny.

Kiedy to się stało?

Och, jakieś półtora roku temu.

Chryste! Milczałeś o tym przez półtora roku!

Ten rok po rozwodzie był dla mnie trudny. Nie jestem pewien, czy zdołałbym ci wtedy o tym powiedzieć.

Co się stało z mieszkaniem?

Co masz na myśli?

Z tym, które kupiliście razem.

Wyprowadziłem się. Ona tam została.

Ale włożyłeś w nie spadek po matce, prawda?

Spłaciła mnie, odrzekłem, odzyskałem wszystkie pieniądze.

To go uspokoiło i nigdy nie powiedziałem mu prawdy.

Włożyliśmy płaszcze i wyszliśmy się przewietrzyć. Zajazd był zatłoczony. Zjechało do niego – jak zawsze moim zdaniem – mnóstwo emerytów. Szliśmy w ciemności brzegiem jeziora. Słabe światło z restauracji wylewało się na trawę za nami, ale jezioro było czarne, a nad nim wędrowały szybko ciemnoszare chmury. Miriam znów była zbyt zajęta, oznajmił. Powiedziała, że powinienem był powiadomić ją wcześniej. Rozmawiałeś z nią?

Nie, odpowiedziałem.

Powinieneś pojechać do Berlina.

Żeby ją odwiedzić?

Wymyśl jakiś pretekst, poleć tam na weekend,

sprawdź, czy wszystko u niej w porządku.

Ledwo znalazłem czas, tato, żeby przylecieć do ciebie.

Wiem, wiem, mruknął. Doceniam to. Dobrze cię widzieć.

Jezioro zdawało się przyciągać nas, jakby chciało, żebyśmy skoczyli w jego odmęty, ale zrobiła się siódma i czekał na nas nakryty stół. Ten sam, co zawsze?, zapytałem. Jak najbardziej, odrzekł.

Kiedy dziś rano znaleźliśmy się z ojcem na lotnisku, chodziliśmy po nim przez chwilę. Wjechaliśmy i zjechaliśmy ruchomymi schodami, przejrzelśmy czasopisma w kiosku. Poszliśmy do informacji – nie wiadomo po co – ale była jeszcze zamknięta. W końcu zadzwoniliśmy do Trish, powiedzieliśmy jej, że przejdziemy przez odprawę, znajdziemy jakieś miejsce i zaczekamy na nią w hali odlotów. Przed odprawą byliśmy pełni dziwnej energii – takiej, jaką się ma na początku długiej podróży samochodem, kiedy podśpiewuje się nadawane w radiu piosenki, a przyjemność daje samo bycie w drodze i prowadzenie auta. Jednak w połowie odprawy nasze poczucie celu i zapał gdzieś się rozwiały. Ojciec nagle bardzo się zaniepokoił, że ciało Miriam zostanie sprofanowane. Było jasne – choć nie powiedział tego na głos – że boi się, że gdzieś je zostawią, źle potraktują albo zgubią, że odlecimy bez niej, co sprawi, że cały nasz pobyt tutaj przestanie mieć jakikolwiek

sens. Zaczął panikować i mówić do siebie, rozglądać się za kimś, kto mógłby nam pomóc. Przed nami w kolejce do odprawy stało z dwieście albo trzysta osób, tyle samo stało za nami, a kiedy ojciec zaczął dramatyzować, że z ciałem Miriam dzieje się coś niedobrego i że nic na to nie może poradzić, ja także wpadłem w przerażenie, bo zdałem sobie sprawę, że absolutnie nic – ani nasza trwoga, ani panika – nie przyspieszy czasu i nie zapewni ciała Miriam bezpieczeństwa. Miriam w istocie już nigdy nie będzie bezpieczna, choć z drugiej strony już nic nigdy nie będzie jej grozić. Wybraliśmy się w zupełnie absurdalną podróż, co nam strzeliło do głowy, żeby sprowadzać jej ciało do domu? Przed samą kontrolą osobistą – nie pamiętam, jak długo to trwało – byliśmy na granicy hysterii. Ale potem ujrzeliśmy przed sobą zadziwiająco spokojny terminal i weszliśmy na wielki bazar niczym znękanii podróżni, którzy w końcu trafili do wolnego miasta.

Postanowiliśmy pojechać windą na taras widokowy – długi, szeroki szklany korytarz na dachu terminalu. Znajdował się na wysokości pięćdziesięciu metrów albo coś koło tego. To nie jest aż tak wysoko, ale wydaje się wysoko, kiedy się tam już jest – to nie ulega wątpliwości. Z tarasu, gdy dzień jest przejrzysty, roztacza się widok we wszystkich kierunkach – na miasto, na góry. Można tam zabić sporo czasu. Ale dziś nic nie było widać. Staliśmy przy samych szybach

i studiowaliśmy mgłę. Czułem się dobrze, otoczony ze wszystkich stron przez szarość i przyszła mi na myśl podróż w głębinach kosmosu, gdzieś przy krawędziach wszechświata. Każdy, kto znalazł się na tarasie, stał blisko okna, czekając prawdopodobnie aż mgła zacznie się rozwiewać albo obserwując dziwne właściwości tego niezwykle gęstego tumanu. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Poruszała się niczym ciężki gaz, który można by nabierać chochlą z kotła i który zadusiłby lub zamroziłby każdego, kto znalazłby się na zewnątrz. Moje mieszkanie w Londynie – to w Spitalfields, choć w zasadzie w Hackney – jest na czwartym piętrze. Okna wychodzą na Columbia Road i nieduży park. Początkowo były to mieszkania komunalne, ale kiedy się tam wprowadziłem, mieszkali w nich sami architekci, tacy jak ten, od którego je wynająłem. Piję kawę przy oknie i wyglądam na Columbia Road albo jem kanapkę, albo piję drinka, jeśli jest już wieczór. Po ulicy jeździ mnóstwo rowerzystów. Puszczam głośno muzykę, a jeśli wieczór jest ciepły, otwieram okna, żeby dźwięk niósł się po Columbia Road i żeby przechodnie, zbliżając się, słyszeli coś miłego i cieszyli się niespodziewaną chwilą nostalgii w mieście. Czasami sam schodzę na dół – zostawiam włączoną muzykę, zamykam drzwi, schodzę po schodach, otwieram drzwi wyjściowe i spaceruję, dopóki muzyka jest słyszalna, a potem odwracam się i wracam do domu.

Teraz po mgle nie ma już śladu. Góry na południu, choć odległe, są wspaniałe i dobrze widoczne. Są całkiem białe. Wisi nad nimi słońce. Miasto leży pomiędzy nami a górami, ale w zasadzie go nie widać. Tylko pasy startowe, potem jakaś szarość, a potem, wiele mil dalej – góry. Musi być bardzo zimno, mimo słonecznego dnia. Podchodzę do okna i wyglądam na zewnątrz. Nie mam już siły, by wjechać na taras widokowy, który zapewne jest teraz bardzo zatłoczony, biegają po nim – jak zakładałam – dzieci, a ludzie urządzają sobie pikniki na podłodze. Ciekawi mnie jednak, czy gdybym tam wjechał, zobaczyłbym miasto. Po płycie postojowej poruszają się ciężarówki z cateringiem, transportery z bagażami, cysterny z paliwem i ciężarówki usuwające oblodzenie, a także ciepło ubrani członkowie personelu lotniska z obłoczkami pary przy ustach – łysym mężczyznom parują nawet głowy. Co sześćdziesiąt sekund odlatuje samolot. Kolejka odrzutowców kołujących do startu jest długa i posuwa się powoli. Wyobrażam sobie frustrację tych, którzy po pięciu czy sześciu godzinach czekania na lotnisku znaleźli się w samolocie, który przez dwie godziny czeka na pozwolenie na start. Siedzą wciśnięci w fotele, których nie mogą opuścić.

Kiedy przybyłem do luksusowego apartamentowca, do którego przeprowadził nas ojciec z ciasnego hoteliku z zielonymi łazienkami, recepcjonista podał mi klucz i kazał jechać na samą górę do penthouse'u.

Na drzwiach zamiast numerów wisały nazwiska. Wszedłem do środka i rozmiar tego mieszkania wstrząsnął mną. Na kuchennym barze ojciec zostawił mi wiadomość, żebym wziął sobie drinka z lodówki i przyszedł na dach. Między dwoma wielkimi salonami i naprzeciw gigantycznej otwartej kuchni znajdował się wychodzący na południe taras zbudowany na równi z poziomem dachów okolicznych budynków. Stał na nim duży stół, kilka krzeseł i dwa leżaki do opalania. Obok były spiralne schody na dach. Chyba sobie żartujecie, pomyślałem. Otworzyłem lodówkę. Stało w niej sześć butelek wina i kilka butelek piwa. Wziąłem piwo, poszukałem w szafkach szklanki i poszedłem na dach. Taras na dachu był całkiem pusty, jeśli nie liczyć krzesła, na którym siedział ojciec i drugiego, pustego, tuż obok. Najwyraźniej stażysta z ambasady wyniósł te krzesła na dach na żądanie ojca. Pogoda była zabawna. Wciąż było zimno, niemal mroźno, ale od czasu do czasu owiewał nas krótkotrwały ciepły powiew powietrza. Niebo było szare i bardzo niskie. Wszystko to razem świadczyło o zbliżającej się wiośnie. Jesteś brudny, stwierdził ojciec. Spojrzałem na swoje spodnie. Oleiste, bardzo czarne plamy sięgały mi do ud, przód mojej wiatrówki był cały w cętkach, a mankiety spodni – mokre i zabłocone. Miałem już całkiem długą brodę – wzięwszy pod uwagę fakt, że nigdy w życiu nie nosiłem zarostu. Może i w niej kryło się błoto. Ojciec

miał na sobie garnitur, czarny garnitur, i pił wino. Towarzyszył mu niezmałony spokój. Siedział samotnie na dachu, pił i przyglądał się miastu. A widok był spektakularny. Znajdowaliśmy się niemal na szczycie Prenzlauer Berg, czyli niemal w najwyższym punkcie Berlina. Z poziomu ulicy Berlin nie przypomina niemieckiego miasta. Ale z tarasu na tej wysokości znów stał się niemiecki – ze względu na czerwone dachy – i rozłożysty. Za kilka godzin idziemy do filharmonii, powiedział ojciec, nie zapomnij. Nie zapomniałem, odrzekłem.

Wypiłem piwo, przyniosłem drugie, wypięm je, a kiedy rozległ się grzmot, zeszliśmy na dół. Nieczęsto słyszy się teraz grzmoty, powiedziałem. Ojciec włączył telewizor, a ja poszedłem wziąć prysznic i przebrać się. Mój pokój był olbrzymi. Miał własny telewizor z płaskim ekranem. Łóżko było ogromne i kwadratowe, jakbym miał sypiać na nim w poprzek albo sprowadzać sobie kilka partnerek na każdą noc. Miałem też własną łazienkę wielkości połowy sypialni i tak dużą jak salon w moim mieszkaniu w Londynie. Czuję się trochę głupio, siedząc na sedesie i patrząc na otaczającą mnie pustkę. Poderwałem się na równe nogi i kopnąłem powietrze – tylko dlatego, że mogłem – a potem stroiłem do siebie głupie miny w pełnowymiarowym lustrze naprzeciw sedesu. Tęskniłem za starym hotelem.

Wziąłem długi prysznic pod masywną tropikalną

głowicą, lejąc na siebie wodę o temperaturze tak wysokiej, jaką tylko potrafiłem znieść. Kiedy wyszedłem spod prysznica, byłem czerwony jak burak i siedziałem nagi na krawędzi łóżka, pocąc się przez dziesięć minut. Potem założyłem jedyny garnitur, jaki ze sobą zabrałem – czarny garnitur, białą koszulę, czarny krawat. Przywiozłem go na wypadek, gdyby ojciec zdecydował, że pochowamy Miriam w Niemczech. Wyszedłem z sypialni. Ojciec i Trish pili wino i oglądali zjazdy narciarskie w telewizji. Wstali. Trish miała na sobie szarą sukienkę, której kolor w pewnym oświetleniu zamieniał się w czerń. Wygląda pani bardzo ładnie, powiedziałem. Dzięki, mruknęła, pan też. Po upływie czterech godzin znów znaleźliśmy się w naszej okolicy, w barze obok domu Trish i niezbyt daleko od naszego apartamentu. W barze było ciemno i tłoczno, a wewnątrz snuł się dym. Do trzeciej nad ranem grano tu żydowską muzykę ludową. Dużo wypiliśmy. Rozmawiałem z wieloma ludźmi, zdaje się, że po niemiecku, co jest o tyle ciekawe, że znam jedynie podstawy tego języka. Odprowadziliśmy Trish do domu, a potem trochę się zgubiliśmy, wracając do siebie, co było żałosne, bo dom Trish dzieliło od naszego niecałe pięć minut drogi. Zaprowadziłem ojca do sypialni. Położyłem go do łóżka. Zdjąłem mu buty. A potem poszedłem na dach i siedziałem w deszczu pod golfowym parasolem, który znalazłem w mieszkaniu. Wypiłem ostatnie piwo

i pijany, siedząc wysoko w ciemności, przyglądałem się mokrej i roziskrzanej wizji miasta, co przypomniało mi o czymś, co chciałem zrobić w młodości. Ojciec spał do późna. Obudziłem się, odsunąłem grube zasłony, za którymi był jasnobłękitny późny poranek, i zdałem sobie sprawę, że, o dziwo, nie mam kaca. Myślom tym towarzyszyły dzwony, kościelne dzwony i uniesienie. Wyszedłem po zakupy. W pobliżu znajdowała się niewielka kafeteria, a w niej nieduży sklepik ze zdrową żywnością – świeżymi warzywami, mięsem i chlebem. Pogoda zmieniła się nadzwyczajnie. Było ciepło – to deszcz przyniósł tę zmianę – a w słońcu niemal gorąco. Zdjąłem sweter i zarzuciłem go sobie na szyję. Kupiłem produkty na śniadanie. Kupiłem po trochu wszystkiego. Wróciłem do mieszkania i razem z ojcem zjedliśmy jajka, bekon, grzyby, brokuły, smażone ziemniaki, fasolę, kiełbaski, chleb, a do tego wypiliśmy kawę – a wszystko to podane na dachu.

Drugiego ranka w nowym mieszkaniu ojciec obudził mnie, mówiąc, że ma dla mnie niespodziankę. Był już na nogach od kilku godzin, ale ja nic nie słyszałem. Powiedział: Mam niespodziankę, ubierz się, weź rzeczy na kilka dni i spakuj je do torby. Ubrałem się i spakowałem wszystko, co przywiozłem do Berlina. Zjadłem śniadanie, a potem zeszliśmy na dół i skręciliśmy za róg, a ojciec wyjął z kieszeni kluczyk, nacisnął guzik, a zaparkowany przy chodniku

samochód – duża, czarna, elegancka toyota camry – otworzyła się i zamrugła światłami.

Hej, hej, powiedziałem.

Hej, hej, zawtórował mi.

Rzucił mi kluczyk ze słowami: Ty prowadzisz.

Jedziemy od razu?

Dlaczego nie?

No, bo nie wiemy, jak wydostać się z Berlina?

Mam nawigację satelitarną, odrzekł.

Ale ciągle jestem pijany po wczorajszym.

Mamy pełne ubezpieczenie, powiedział, możesz się rozbijać do woli.

Ale dopiero co dostaliśmy nowe mieszkanie.

Nie ucieknie. Będzie na nas czekać, kiedy tu wrócimy.

Wsiedliśmy do auta. Fotele były miękkie. Skrzynia biegów automatyczna. Kierownica gruba i miła w dotyku. Mnóstwo miejsca na nogi. Tempomat. Deska rozdzielcza świecąca na biało i czerwono. Cofnąłem fotel, opuściłem go i nieco odchyliłem – wszystko elektrycznie – poprawiłem lusterka i włączyłem radio. Samochód działał bez zarzutu. Kiedy wyjechaliśmy na autostradę, wyciągał bez trudu sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, nie robiąc przy tym szumu. Płynął tak, że ledwo czuło się drogę. Owszem, co jakiś czas wyprzedzał nas mercedes-benz klasy S, przypominając wszystkim, kto tu jest królem drogi, ale przeważnie to my wymijaliśmy innych, niespecjalnie

zdając sobie sprawę z szybkości. Zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, żeby coś przekąsić – cheeseburgery, ćwiartki pizzy, bułki – i żeby tata mógł rozprostować nogi. Pojechaliśmy do Nadrenii, potem w Ardeny, a wreszcie do Brukseli. Po Brukseli zatrzymaliśmy się w Akwizgranie. Akwizgran był jedynym miejscem docelowym, o którym wiedziałem wcześniej, bo podczas jazdy na zachód ojciec wiele mówił o Karolu Wielkim. Nasza podróż trwała pięć dni. Pięć dni ciepła i słońca. Ale potem wróciła zima i wracaliśmy do Berlina w zamieci, we mgle, która wirowała, kiedy przejeżdżały przez nią samochody, w środku nocy, śmierdząc od przebywania razem w nagrzanym wozie i po długim dniu spędzonym w podróży.

Nigdy nie doświadczyłem czegoś takiego jak ruch uliczny w Brukseli. Miasto było absolutnie zatkane przez głupie zatłoczone skrzyżowania. Zdaje się, że nasza wizyta zbiegła się z kilkoma dniami jakichś strajków i protestów. Każdy brukselski kierowca był obłąkany lub przejawiał mordercze zamiary. Staliśmy na rondzie przez pół godziny, to samo na następnym i kolejnym, a potem przez godzinę posuwaliśmy się cał po calu autostradą, zanim ruch wrócił do zakorkowanej normy przy złej widoczności, w deszczu i we mgle. Kiedy przyjechaliśmy do Akwizgranu, rozpaczliwie potrzebowałem prysznic. Przepociłem koszulę i sweter. Spodnie nieprzyjemnie lepiły mi się

do skóry. Ale uważaliśmy, że musimy się spieszyć. Myśleliśmy, że zostało nam tylko pięć minut. Popędziliśmy z parkingu do katedry. A tam – ku naszemu zawstydzeniu – nie potrafiliśmy przez kilka minut odnaleźć wejścia, nim zdaliśmy sobie sprawę z rzeczy najoczywistszej. Że wejście znajdowało się na zachodnim frontonie, niczym – jak napisano w broszurze – bastion chroniący dom Boży przed okalającą go ciemnością, u stóp wieży, przez którą wchodziło się do znajdującego się w środku rdzenia. Potem przez ośmiokąt pod wspianiałym, nisko zawieszonym świecznikiem, kandelabrem Barbarossy, skonstruowanym trzy wieki po śmierci Karola Wielkiego. Ojciec usiadł w ławce pod świecznikiem, żeby złapać oddech. We wnętrzu panował mrok, który w mojej pamięci miał kolor zielony. Relikwiarz Karola Wielkiego znajdował się daleko za ołtarzem, odgradzony linami. Czy to wszystko?, zapytałem. To wszystko, odpowiedział. Relikwiarz był złoty i zadziwiająco nieduży. Stał wysoko we wnętrzu skromnego promienia światła niewiadomego pochodzenia, jaśniejącego w ten sam sposób, w jaki jaśnieje Chrystus na *Biczowaniu* Piera della Francesca. Czułem silną potrzebę zmuszenia ojca, by stanął obok. By wejrzał w kolory i ornamenty relikwiarza zawierającego kości Karola Wielkiego. Ale nie był w nastroju, żeby wstawać i chodzić. Kasłał co kilka sekund. Kaszel wywoływał dojmujący ból, który zginał

go w pół. Ślina spływała mu z ust. Drżały mu dłonie. Otarł usta, wyprostował się i spojrzał na mnie. Miał pusty wzrok. Pozieleniałą skórę. Wydawał się wychudzony. Potem znów zaczął kasłać i pochylił głowę nad kolanami. Wiedziałem, że to pośpiech tak go wyczerpał, ale jakaś część mnie zastanawiała się, czy w tym miejscu nie działają siły zdolne go zniszczyć, rozerwać komórkę po komórce i rozrzucić w powietrzu. Kaplicę zwiedzały wraz z nami trzy nieduże grupy. Każdą z nich oprowadzał własny mędrak-amator, jeden z tych specjalistów od tysięcy nieważnych rzeczy. Ludzie idący za tymi mędrkami byli po równi zaintrygowani, co śmiertelnie znudzeni. Przespacerowałem się dookoła, oglądając różne rzeczy na ścianach i czekając, aż ojciec przestanie kasłać. Po kilku minutach do kaplicy weszła nowa grupa, prowadzona tym razem przez młodego człowieka, bez wątpienia profesjonalistę. Z wyćwiczonym rozkładem akcentów, pauzami i gestami opowiadał przez chwilę o świeczniku, potem zajął się posągami Marii, a wreszcie mozaiką na kopule. Szedłem za nimi w pewnej odległości. Nie rozumiałem tego, co mówił, ale wskazywał na ważne rzeczy, więc kiedy później poszedłem do sklepu z pamiątkami i kupiłem przewodnik po angielsku, wiedziałem, które miejsca są godne uwagi. Kiedy grupa podeszła do liny oddzielającej relikwiarz Karola Wielkiego, zapytałem, czy moglibyśmy się do nich

przyłączyć. Młodzieniec odpowiedział, że to prywatna wycieczka posługująca się językiem niemieckim. Odpowiedziałem mu, że przyjechaliśmy tu z bardzo, bardzo daleka i nie musimy słuchać tego, co mówi, chcemy tylko dostać się za liny, bo mój ojciec jest historykiem i wie bardzo dużo o Karolu Wielkim. Przewodnik zerknął na ojca, który wciąż siedział w ławce, choć już nie kasłał. Przykro mi, odpowiedział, jeśli chcecie panowie obejrzeć relikwiarz, będziecie musieli wrócić w przyszłym tygodniu. Powiedziałem mu, jak nazywa się mój ojciec. Nie spodziewałem się, że zna jego nazwisko, raczej chciałem dać mu do zrozumienia, że powinien je znać. Przewodnik przyznał uprzejmie, że nic mu ono nie mówi. Spojrzał na zegarek. Ludzie z jego wycieczki piorunowali mnie groźnie wzrokiem, więc przeprosiłem ich i wróciłem do ojca. Mamy pecha, powiedziałem. Hmm, mruknął. Wstał i podszedł do ołtarza, odwrócił się i spojrzał wyżej, tam, gdzie stał królewski tron, na którym Karol Wielki siadywał podczas mszy. Naprzeciw tronu, na tym samym poziomie, wisiał Chrystus na krzyżu, wpatrujący się w Karola Wielkiego jak mąż w żonę. Prywatna wycieczka dobiegła końca, pozostałe grupy również wyszły i zostaliśmy sami. Nie wiem, dlaczego nie przeszliśmy zwyczajnie przez ten sznur. Był to zwykły kawałek nisko zawieszony sznura. Chyba chodziło o to, że ktoś nam tego zakazał.

Podróż z Akwizgranu do Berlina była długa, mglista,

a w końcu mroźna. Rozjazdy na autostradzie w okolicach Akwizgranu, Kolonii, Bonn, Düsseldorfu, Essen i Dortmundu – obojętnie gdzie by się skręciło, i tak trafiało się na miasto średniej wielkości – okazały się zbyt zawile dla naszej nawigacji satelitarnej, która podpowiadała nam, na przykład, żebyśmy zjechali z autostrady w prawo, więc zjeżdżaliśmy, ale nie tym zjazdem, co trzeba, bo powinniśmy byli trzymać się skrajnego prawego pasa, więc nasz zjazd został dwieście metrów z tyłu, przez co całymi godzinami poruszaliśmy się w kółko. Jedziesz za szybko, napomniał mnie ojciec, i dlatego nawigacja za tobą nie nadaża. Jeśli zwolnimy, odpowiedziałem, ktoś wjedzie nam w kufer. Mniej więcej w połowie drogi do Berlina nawigacja wysiadła bez słowa wyjaśnienia i żadna siła nie była w stanie przywrócić jej do życia. Wskutek tego, aby uniknąć korków, zrobiliśmy kilka śmiałych objazdów i pędziliśmy we mgle u boku wielkich ciężarówek, które zmierzały, jak nam się wydawało, do Berlina. Kiedy na autostradzie robiło się ciasno albo usłyszeliśmy w radiu słowo „Stau” – oznaczające po niemiecku korek – a ciężarówki zaczynały odbijać w prawo, mówiłem ojcu: Oni coś wiedzą!, na co ojciec odpowiadał: Jedź za nimi! Koło północy czy raczej przed pierwszą, znaleźliśmy się w odległości jakichś stu kilometrów od Berlina, a autostrada zniknęła. Zniknęły pasy na jezdni. Można się było tylko modlić, żeby samochody przed nami jechały z włączonymi

tylnymi światłami przeciwmgielnymi, gdyż w przeciwnym razie ujrzelibyśmy je dopiero po kraksie. Było to dosyć przerażające. Było to w gruncie rzeczy tak przerażające, że ojciec – który wcześniej bez przerwy marudził albo się wyklócał – zupełnie zamilkł i znieruchomiał. Mgła i pogoda były tak paskudne, że nie widzieliśmy wielkich niebieskich tablic nad autostradą i znów zjechaliśmy parę razy nie tam, gdzie trzeba, co oznaczało kolejny nawrót, a odnalezienie go nie zawsze było takie proste. Te objazdy sprowadzały nas pod autostradę, kierowały ku lasom i niemal nieprzeniknionej mgle, która zwalniała nas do pięciu kilometrów na godzinę podczas prób powrotu na autostradę. Jakimś cudem zawsze na nią wracaliśmy. Ojciec milczał. W końcu ujrzelśmy niedużą figurkę niedźwiedzia – berlińskiego niedźwiedzia – i zaczęliśmy zmierzać ku centrum miasta, aż w końcu trafiliśmy do dzielnicy, którą rozpoznałem. Weszliśmy do mieszkania przed drugą i poszliśmy prosto do łóżek. Spałem bardzo niespokojnie, miałem koszmarne sny, poty i dreszcze, a kiedy zrobiło się jasno, wstałem i zaciągnąłem kotary, choć i tak widziałem ramkę światła wokół nich. Założyłem więc ciemne okulary, położyłem się spać i spałem bez snów, jak po narkotykach, spałem takim snem, po którym nie można ruszyć nogami. Kiedy spojrzałem na zegarek, była pierwsza po południu. Rozmasowałem uda. Napiąłem paluchy. Byłem

zesztywniały. Bolał mnie kark. Wypiłem szklanę wody, którą nalałem sobie po drodze do łóżka. Wstałem, zaparzyłem kawę, otworzyłem laptopa i zacząłem przeglądać pocztę. Przeczytałem tylko dwa maile z firmy kosmonautycznej. Pierwszy był od dyrektorki. Wyrażała w nim smutek z powodu mojej straty i powtarzała propozycję, żebym się nie spieszył. Drugi był od Chris, znów z kondolencjami, ale i szczegółami dotyczącymi pracy poza biurem. Była gotowa zacząć, kiedy tylko będzie mi to odpowiadało. Podczas naszej podróży przez pięć dni przytyłem piętnaście funtów, czego nie było widać na twarzy ze względu na brodę. Zmieniłem wygląd. Wszędzie chodziłem w czarnej marynarce od garnituru, która była coraz bardziej brudna i pognieciona. Nosilem rozpięte do połowy koszule, jakbym podczas zapinania zapomniał, co chciałem zrobić. Mam wrażenie, że chciałem wyglądać jak stary gwiazdor rocka, który przybył do Niemiec na rekonwalescencję po załamaniu nerwowym albo przyjechał tu po to, by umrzeć – w każdym razie nie po to, po co mógłby tutaj przyjechać umiarkowanie wzięty konsultant marketingowy.

W Berlinie znów było mroźno. Padało lodem. Całymi godzinami zanosilo się na coś dziwnego, brakowało kolorów, a potem niebo pociemniało i zerwał się wiatr. Z tej ciemności wyroił się lód, a wiatr wiał w twarze kurzem, śmieciami, metalem i szkłem. Lód

padał z nieba przez dziesięć minut, nie więcej niż dwadzieścia, a potem wrócił spokój i niebo znów stało się bezbarwne. Bez przerwy słuchałem muzyki w skali dwunastodźwiękowej, dodekafonicznej. Korzystałem z słuchawek ojca, które kupił przed odlotem do Europy, lecz nie po to, by słuchać muzyki – według niego miały one jedynie właściwości dźwiękochłonne. Nie wyglądałem już jak stary gwiazdor rocka, który przyleciał do Berlina, żeby umrzeć lub wyzdrowieć – zwyczajnie stałem się takim starym gwiazdorem. Jestem pewien, że w słuchawkach wyglądałem absurdalnie, ale wmawiałem sobie wówczas, że stary gwiazdor rocka wcale by w nich tak nie wyglądał. Wyglądałby w nich nieco bardziej autentycznie. Słuchałem Debussy'ego i Berga, i Schönberga, i Weberna, i Skriabina, i Strawińskiego, i Szostakowicza, i Bouleza, i Cage'a, a miasto stało się miastem przyszłości opisywanym przez muzykę, miastem końca świata albo miastem po apokalipsie. Wreszcie miastem, które nie tylko nie odrzuciło marzeń o takiej muzyce, ale w pełni im się oddało! Zacząłem myśleć cytatami – cytatami o muzyce – które wynotowałem przez lata. Adorno napisał, że nowa muzyka, przez którą rozumiał muzykę dodekafoniczną, wzięła na siebie cały mrok i całą winę świata, jej radość zawiera się w pojmowaniu rozpacz, a piękno – w odrzuceniu iluzji piękna. Boulez powiedział: Uważamy ze swej strony, że każdy muzyk,

który nie doświadczył – nie mówimy „pojął”, ale „doświadczył” – konieczności języka dodekafonicznego, jest BEZUŻYTECZNY. Cage zauważył: Zmierzam ku przemocy, a nie czułości, ku piekłu, a nie niebu, ku brzydocie, a nie pięknu, ku nieczystości, a nie czystości, a robiąc to, przekształcam to wszystko i przekształcam nas. Strawiński stwierdził z wielkim smutkiem: Wydaje się, że wraz z akceptacją słowa „gwałt” słowo „przyjemność” stało się nie do zniesienia. Benjamin odnotował, że faszystowska ludzkość doświadczy własnej zagłady niczym największej przyjemności estetycznej. A Schönberg oznajmił: Nie komponuję zasad, komponuję muzykę.

Nasza podróż przez Nadrenię, przez Ardeny, aż do Brukseli rozpoczęła się od muzyki – w filharmonii – i zakończyła na muzyce – lub jeśli muzyka nie jest najwłaściwszym słowem – na pustym trapezoidalnym pudle, wiszącym w lśniącej białej sali. W międzyczasie w samochodzie często słuchaliśmy radia. Stacji radiowych nadających muzykę popularną i stacji, w jakich tylko mówiono w językach, których nie rozumieliśmy – po niemiecku, francusku, holendersku i luksembursku. Były też stacje nadające muzykę klasyczną, ale dziwnym zrzędzeniem losu trafialiśmy w nich wyłącznie na audycje z muzyką filmową, na tematy muzyczne z *Supermana*, *Gwiezdnych wojen* czy *Misji*. Bez względu na kraj, w którym się akurat

znajdowaliśmy, stacje nadające muzykę popularną odtwarzały te same piosenki, stacje z muzyką klasyczną te same tematy filmowe, a w stacjach, w których tylko mówiono, omawiano te same doniesienia albo inne doniesienia, ale w ten sam sposób. W drodze powrotnej znałem już wszystkie piosenki pop. Znałem ich słowa. Ojciec też. Zaczynałem je śpiewać pod prysznicem. Było ich nie więcej niż dziesięć. A kiedy wieczorami wychodziłem się napić – czasem sam, a czasem z ojcem – słyszałem te piosenki albo bardzo do nich podobne w barach i klubach. Najzabawniejsze jest to, że mi się podobały. Marzyłem o tym, żeby wsiąść do auta i znów jechać, abyśmy mogli ich słuchać. Kiedy któraś z nich mi się znudziła albo stwierdzałem, że inna podoba mi się znacznie bardziej, szukałem tej drugiej w radiu i słuchałem jej aż do wyrzucania. Podkręcałem głośność przy ulubionych fragmentach. Jechałem szybko, kiedy muzyka była radosna i zwalniałem, kiedy robiła się smutna.

W filharmonii zajęliśmy miejsca z boku orkiestry i mieliśmy widok na pierwszego skrzypka i dyrygenta – siedzieliśmy z jego prawej strony. Kontrabasy były tuż pod nami, ale nie widzieliśmy ich, chyba że udało nam się wychylić. Na widowni było kilka pustych foteli, ale niewiele. Budynek filharmonii miał cudownie przedziwny kształt. Pięciokątny orkiestron był w dole, a od niego wznosiły się nieregularnie i na

różnych wysokościach rzędy foteli. Rozkładający się ku podwieszanym sufitom projekt wnętrza wychodził na zewnątrz, na duże, złociste, asymetryczne i ekspresjonistyczne struktury zewnętrzne, które przenosiły akustyczne walory wnętrza ku niebu. Przejrzałem program, choć nie potrafiłem go przeczytać. Trish usiadła między mną a ojcem. Przyszło mi do głowy, że wyglądamy zapewne jak para – Trish i ja. Usiłowałem więc zachowywać się jak mężczyzna, który ma ładną, cieszącą się powodzeniem, zmysłową i interesującą żonę, który regularnie uczęszcza do filharmonii i czasem zabiera ze sobą ojca. Mężczyzna obok mnie – straszy dżentelmen w towarzystwie żony – siedział całkiem nieruchomo. Spojrzałem na niego, jakbym chciał mu powiedzieć: Widzi pan, czytam program po niemiecku i przyszedłem na koncert z uroczą żoną i moim drogim ojcem, ale dystyngowany pan – który miał siwe włosy, granatowy garnitur i niebieskie, przekrwione oczy – tylko spiorunował mnie wzrokiem. Oddałem program Trish, która zamknęła go i położyła na kolanach. Mężczyzna obok mnie... nie wiem, jak to opisać... niemal czułem, jak zwalnia mu puls, jak oczyszcza głowę z myśli. Postanowiłem naśladować jego bezruch. Ale zbyt wiele rzeczy odwracało moją uwagę. Zbyt wielu ludzi kasłało albo odchrząkiwało. Zbyt wielu ludzi kartkowało program. Zbyt wiele było wokół dziwnych i atrakcyjnych postaci wartych

obserwacji. Orkiestra zajęła miejsca i rozległ się delikatny aplauz. Widzowie przestali czytać program. Przestali poszeptywać. Nikt już nie kaszał. Przez chwilę było tak cicho, jakbyśmy zapadli się pod ziemię. I wtedy, przy nieco głośniejszym, choć nadal oszczędnym aplauzie, wyszedł dyrygent. Mężczyzna obok mnie klasnął kilka razy, ale bez entuzjazmu. Pierwszym utworem, który usłyszeliśmy, było *Morze* Debussy'ego. Potem *Pierwszy koncert skrzypcowy* Sibeliusa. Znałem te dzieła całkiem dobrze. Znałem dobrze obu wybitnych kompozytorów. Debussy jest z pewnością bardziej szanowany, prawdopodobnie dlatego, że był bez wątpienia innowatorem, a jego muzyka miała dowodnie rewolucyjny charakter i tak inteligentnie opowiadała o sobie samej. Sibelius za życia był odrzucany i piętnowany przez postępowców. Ci, którzy go słuchali, nie byli traktowani poważnie. Ale jak się okazało i jak okazuje się nadal z perspektywy historycznej, Sibelius nie poszedł w zapomnienie nie tylko dlatego, że komponował rzeczy nowe, ale i z tej przyczyny, że jego kompozycje miały oburzająco radykalny charakter, zarysowany w tak subtelny sposób, że aż niezauważalny. Obecnie zajmuje należne miejsce wśród mistrzów. Został zrehabilitowany. Słuchając jego i Debussy'ego – a oba utwory są głośne i dynamiczne – byłem porażony, choć nie tylko muzyką, ale także widokiem muzyków, salą filharmonii i niewiarygodnie nieruchomą

i powściągliwą publicznością. Trish także była zauroczona, przyglądałem się jej falującym w oddechu piersiom, widziałem, jak na nie spogląda. Cała sala odbijała się do góry nogami w czarnych kropkach jej oczu. Światła. Muzycy. Zaprawiony w bojach, stary, szalony dyrygent. Tysiące słuchaczy naprzeciw niej, oddychających cicho. Oklaskiwaliśmy oba utwory z umiarem. Rozpocząłem klaskanie dopiero wtedy, gdy zaczął klaskać dżentelmen, który wcześniej spiorunował mnie wzrokiem, i przestałem klaskać tuż przed nim. Klasnąłem więc trzy czy cztery razy i złożyłem dłonie na kolanach. W przerwie ojciec zapytał mnie: I co o tym sądzisz? Niesamowite, odpowiedziałem. Tak się składa, że wiem, że ulubionym słowem ojca wyrażającym taką sobie aprobatę jest „niesamowite”. Na przykład, Bob, ta książka jest niesamowita, albo Dick, steki były absolutnie niesamowite. Całkowita, stuprocentowa zgoda, odpowiedział ojciec. W drugiej części usłyszeliśmy krótki utwór Strawińskiego, który moim zdaniem był fatalny, naznaczony trwale tą dążącą do nowoczesności skazą, jaką jest zauroczenie błazenadą, czymś absurdalnie niesmacznym, tylko dlatego, że oznacza zmianę czy wydaje się modne, choć z drugiej strony muszę przyznać bez dwóch zdań, że skaza ta jest konieczna, a to samo dążenie do nowoczesności odpowiada za wielkość Strawińskiego. Ostatnią kompozycją była *Suita liryczna* Berga, która jest, moim

zdaniem, jednym z największych osiągnięć ludzkości, najdziwniejszym i najbardziej niezapomnianym utworem muzycznym, jaki został kiedykolwiek skomponowany. Muzyka po przerwie nie była głośna, a nad nami wszystkimi zawisła jakaś chmura przypominająca nam, że czas wracać do zacisznego nieładu naszego przygnębienia, a przynajmniej nie zapominać o nim. Kiedy koncert dobiegł końca, publiczność klaskała przez długą chwilę, lecz bez zaangażowania czy pasji. Oklaski nie zamierały, ale nie były entuzjastyczne. Wytrawna publiczność zawsze honoruje dobrą muzykę rozczarowaniem samą sobą. Orkiestron opustoszał, wstaliśmy, a ja znów spojrzałem na gniewnego starszego pana i posłałem mu mężny uśmiech. Klaskałem tak oszczędnie! Nie wierciłem się! Ani razu nie zakasłałem ani nie odchrząknąłem! Odwzajemnił mi się równie mężnym uśmiechem.

W taksówce, w drodze powrotnej do domu, Trish przyznała, że znacznie bardziej podobała jej się pierwsza część koncertu. Nie spodobał się jej Strawiński, ale nade wszystko Berg. Ojciec powiedział jej, że jestem wielkim miłośnikiem Berga i poprosił mnie, żebym wystąpił w jego obronie. Padało, rozlegały się grzmoty. Samochody poruszały się wolno. Odwróciłem się i zapytałem: Czy często bywasz w filharmonii?

Mieliśmy karnety na cały sezon, ale nie w tym roku,

odpowiedziała Trish.

Były drogie?

Nie bardzo, stwierdziła.

Czy dużo wiesz, ujmując rzecz praktycznie, o muzyce?

Nic.

Obawiam się więc, że moje wyjaśnienia mówiące o tym, dlaczego podoba mi się Berg, mogą ci się wydać nieco irytujące.

Ta muzyka po prostu nie sprawia mi przyjemności.

Berg to geniusz, wtrącił ojciec.

Z pewnością, zgodziła się z nim Trish, ale jak ma mi się podobać coś, co mi się nie podoba?

Tata nic nie odrzekł – zastawił na mnie pułapkę. Nie byłem pewien, czy w ogóle interesowało go to, co mam do powiedzenia, albo czy chciał się przekonać, czy zdołam skłonić Trish do pochylenia się nad Bergiem czy raczej chciał się trochę zabawić moim kosztem?

Muszę zacząć od Schönberga, powiedziałem, i muzyki opartej na skali dwunastodźwiękowej.

Byle krótko, rzucił ojciec, i bez zbędnych szczegółów technicznych.

Spojrzałem w tylnym lusterku na zapatrzone we mnie oczy Trish. Schönberg nadał nowy kierunek muzyce w czasach, w których muzyka przeżywała kryzys.

Wy tłumacz, na czym polegał ten kryzys,

podpowiedział mi ojciec.

No cóż, mam jedynie najogólniejsze pojęcie o tym kryzysie, tak jak rozumiał go Schönberg. Nie jestem muzykologiem.

Nie interesują nas twoje dementi, stwierdził ojciec, chcemy dowiedzieć się o kryzysie.

Taksówkarz jechał koszmarnie wolno. Był to młody człowiek z cienką kreską brody wzdłuż żuchwy i diamentowym kolczykiem w uchu, w białej, zapinanej na zamek błyskawiczny kurtce i z dwoma telefonami komórkowymi. Wyglądał na gościa, który uwielbia szybko jeździć, przez co to ślimacze tempo wydawało się podwójnie koszmarnie. Spojrzał na mnie, jakby chciał zapytać: No więc na czym polegał ten kryzys?

Cóż, muzyka nie miała już dokąd pójść, powiedziałem. Wpadła w pułapkę tonalności.

Bez zbędnych szczegółów technicznych, powtórzył ojciec.

Kompozycje oparte na skali dwunastodźwiękowej, atonalnej, były odpowiedzią Schönberga na ślepy zaułek, w jaki zabrnęła muzyka. Zdaniem Schönberga muzyka stała się czymś w rodzaju śmietniska dla ludzkich emocji, a każda nowa sztuczka wiodła ją ku większej dostępności. Przepraszam, przerwała mi Trish, czy użył pan słowa „dostępność”? Owszem, odpowiedziałem, dostępność! Jak uczynić melodyjną muzykę jeszcze bardziej melodyjną? Jak sprawić, żeby sentymentalizm stał się jeszcze bardziej

sentymalny? Radość weselsza? A wieloznaczność jeszcze bardziej wieloznaczna? Jak uczynić przygodę bardziej ekscytującą? A sztukę bardziej artystyczną? Tego rodzaju pytania cisną się na usta, kiedy nie ma już dokąd pójść, kiedy brakuje nowych pomysłów, a te, które się pojawiają, są tylko lustrzanymi odbiciami starych lub starymi koncepcjami przebranymi za nowe.

A Berg był najznakomitszym uczniem Schönberga, wtrącił ojciec.

Przejechaliśmy Sprewę. Nad odległym horyzontem zamigotała błyskawica, a po kilku sekundach usłyszeliśmy grzmot. Muzyka w radiu była mdła, choć energiczna – była to jedna z tych piosenek, które słyszeliśmy tysiące razy podczas podróży do Nadrenii.

Owszem, przyznałem, Berg był najznakomitszym uczniem Schönberga, ale zupełnie innym kompozytorem. Podobnie jak Schönberg komponował utwory, które rozbijały w pył emocjonalne oczekiwania słuchaczy. Lecz o ile muzyka Schönberga pełna jest dramatycznych wzlotów i upadków, dźwięków i ciszy, o tyle kompozycje Berga są muzyką rozpadu, wielopłaszczyznowego amorfizmu, powściągliwości i melancholii. Berg każe czekać. Każe czekać tak długo, aż czekanie staje się nie do zniesienia, a kiedy wydaje się, że właśnie dobiega końca, muzyka znika. Zostawia nas w niespełnieniu.

I panu się to podoba, powiedziała Trish.

Wjechaliśmy do krótkiego, wyłożonego pomarańczowymi kafelkami i słabo oświetlonego tunelu, po drugiej stronie którego zaczynała się nasza część miasta. Nie przychodzi mi do głowy nic nudniejszego, pomyślałem, od pytania, czy Berga da się lubić. To, co najbardziej mnie w nim interesuje to spokój, jaki we mnie wzbudza – spokój płynący z poczucia równowagi i lęku.

Pierwszym celem, jaki sobie wyznaczaliśmy podczas naszej wyprawy, była Moguncja – miasto, w którym urodziła się matka mojego ojca. Wyemigrowała do Ameryki z moim ojcem, gdy jej mąż, ojciec mojego ojca, zginął na wojnie. Żałowałem, że nie dane mi było dowiedzieć się więcej o jej życiu przed wyjazdem z Niemiec. Żałowałem, że nie pytałem jej o to częściej. Lecz zanim dorosłem na tyle, by zainteresować się jej przeszłością, która była także moją przeszłością, babka miała wylew, który sparaliżował zupełnie połowę jej ciała, przez co w moich oczach stała się nagle ohydna i niedostępna. Ojciec oddał ją do domu opieki. Przyjechał do domu, obrzucił ją jednym spojrzeniem i podjął decyzję. Matka usiłowała go przekonać, że babka powinna wprowadzić się do nas, że zapewnilibyśmy jej w domu odpowiednią opiekę pielęgniarską. Na co odpowiedział, że nie chce, żebyśmy wychowywali się z takimi widokami na co dzień. Nie chce, żeby dom przekształcił się w szpital. Kiedy babka trafiła do domu opieki, widywałem ja

bardzo rzadko. Tylko mama odwiedzała ją regularnie.

Przed wylewem babka była strojnisią. Nosiła gigantyczne przeciwsłoneczne okulary, które nie przypadły do gustu mieszkańcom naszego miasta. Zawsze była elegancko ubrana. Podczas wietrznych dni zakładała chustkę na głowę. Była bardzo wysportowana, grała ze mną w baseball i piłkę nożną. Nauczyła mnie nurkować w basenach. Mimo że mieszkała kilka mil od nas, w pudełkowatym mieszkaniu, w domu pełnym starszych ludzi, była u nas stałym gościem. Przypuszczam, że to ojciec wybrał dla niej ten dom i chciał, żeby okazał się on na tyle niewygodny, żeby babce nie było w nim dobrze, żeby nie zawierała w nim przyjaźni. Babka i moja mama często wspólnie wyjeżdżały, gotowały i sprzątały. Miriam była jej ulubienicą, ale dla mnie też była miła. W Kalifornii babka grała w golfa, wyjeżdżała na wakacje do Meksyku i Ameryki Południowej, umawiała się na brydża i wychodziła z przyjaciółmi na lunche, obiady, koncerty, do teatru i tak dalej. Nie pamiętam, żeby się kiedyś na nas złościła albo miała dosyć mnie czy Miriam, czy też wreszcie okazywała rozczarowanie dziurą, w jakiej znalazła się na resztę życia. Wylew okazał się bardzo poważny, lewa strona jej ciała była kompletnie sparaliżowana. Nie mogła mówić, a przynajmniej my jej nie rozumieliśmy. Mama potrafiła czasem dociec, o co jej chodzi. Ja byłem nieco przerażony jej nowym głosem i paraliżem. Chciałem,

rzecz jasna, żeby wyzdrowiała, ale pojmowałem, czym są nieodwracalne zmiany. Nie widziałem jej pół roku przed śmiercią. Miriam też, ale Miriam była młodsza i słuchała się mnie. Gdyby tylko – tak sobie teraz myślę – straciła pamięć, gdyby tylko żyła przez te ostatnie lata w coraz ciaśniejszej pętli zanikających i niepowiązanych ze sobą obrazów, gdybym tylko mógł się teraz ukryć za bezsensowną obroną, że nie wiedziała, że ją porzuciłem. Ale te lata musiały być dla niej najmroczniejsze. Ojciec, kiedy przyjeżdżał do miasta, odwiedzał ją bardzo często, ale przeważnie go nie było, bo mieszkał w Kalifornii, pracował tam i nie było go przy niej, kiedy umarła. Mnie również przy niej nie było. Nie poinformowano nas nawet o jej śmierci, o której dowiedzieliśmy się po dwóch dniach, kiedy ojciec przyleciał z Kalifornii i wraz z mamą powiedzieli nam o wszystkim. Po drodze do Moguncji, w toyocie, ojciec wyraził żal, że nie wziął wtedy urlopu na semestr i nie wrócił do domu, żeby z nią być, żeby zabierać do niej częściej Miriam i mnie, teraz po latach miał bowiem wrażenie, że przedstawił nam śmierć jako coś trywialnego. No cóż, powiedziałem, skąd mogłeś wiedzieć, kiedy dokładnie umrze. Siedział obok mnie w samochodzie, wyglądając przez okno na pofalowany krajobraz. Nie, mylisz się, odpowiedział, kiedy się jej pogorszyło, lekarze powiedzieli, że zostało niewiele czasu. A ja i tak wyjechałem do Kalifornii. Miałem mnóstwo pracy.

Poprosiłem go, żeby opowiedział mi, co się wtedy wydarzyło. Chciałem, żeby sobie trochę ulżył i ku memu zaskoczeniu nie zbył mnie zdawkową odpowiedzią, co oznaczało, że doszedł do wniosku, że jednak powinien sobie ulżyć. Wszystko zaczęło się od drugiego złamanego biodra, powiedział. Od tego czasu nie trwało to więcej niż kilka tygodni. Bardzo straciła na wadze. Była ciężko chora i nie mogła jeść. Któregoś ranka odebrałem telefon. Powiedzieli mi, że obudziła się w bardzo złym stanie. Miała bardzo wysoką gorączkę, wymiotowała, była zdezorientowana, traciła i odzyskiwała przytomność. To już prawdopodobnie koniec, powiedzieli. Jestem w Kalifornii, odpowiedziałem, i nawet gdybym wyleciał natychmiast i tak mogę nie zdążyć. Powiedzieli, że być może doczeka wieczoru, więc żeby natychmiast wsiadał w samolot. Zadzwoiłem do twojej matki, rzecz jasna, bo ma się rozumieć, nie mogłem wsiąść natychmiast do samolotu. Twoja matka była zajęta pracą w mieście oddalonym o dwie godziny drogi. Zanim przyjechała, moja matka zmarła. Potrzebowałem całego dnia i następnego, żeby pozłatwić swoje sprawy, a potem przyleciałem do domu i powiedzieliśmy wam – tobie i Miriam.

A potem dodał: Wiesz, myślę, że odejdę w taki sam sposób. Ciebie nie będzie. Miriam nie żyje. Czekam już na to. A przynajmniej wydaje mi się, że na to zasłużyłem.

Otworzył butelkę piwa, którą zabrał z mieszkania i pił, mówiąc o matce. Kiedy skończył, potrząsnął butelką, żeby sprawdzić, czy jest pusta, a potem włożył ją do plastikowej torby z kanapkami. Wyjął drugą butelkę i zapytał, czy chce się napić. Prowadzę z szybkością ponad stu mil na godzinę, odpowiedziałem. Doskonały argument, stwierdził. Otworzył piwo, upił łyk i powiedział: Zmieńmy temat na przyjemniejszy.

Dom rodzinny mojej babki w Moguncji, ten, w którym się urodziła, został zniszczony podczas wojny, a w jego miejscu wzniesiono prosty i pozbawiony ozdób budynek. Przyjechaliśmy tam późnym popołudniem. Było ciepło – nawet w cieniu. Po obu stronach domu stały identyczne budowle. Po drugiej stronie był gęsty las. Zaparkowaliśmy naprzeciw drzwi wejściowych, na których widniał stary adres babki. Jakiś czas temu zjechaliśmy z autostrady, piłem więc pierwsze piwo. Ojciec poszedł do drzwi i zadzwonił. Potem cofnął się i spojrzał w górę ku oknom na drugim piętrze. Zostałem przy samochodzie. Zrobiłem kilka zdjęć telefonem. Czekałem. Ojciec zadzwonił do obu sąsiednich domów, a potem wrócił przez ulicę, mówiąc: Nikogo nie ma. Szkoda, odpowiedziałem. Chciałbym się przespacerować po lesie, chcesz pójść ze mną?, zaproponował. Raczej nie, odpowiedziałem. Więc ojciec poszedł sam ścieżką prowadzącą do lasu,

w którym moja babka prawdopodobnie bawiła się jako dziewczynka. Pomaszerowałem ulicą do sklepu i postawiłem butelkę wody na ladzie. Mężczyzna za ladą zapytał, czy to wszystko, na co odpowiedziałem: Nie, proszę jeszcze o paczkę tych papierosów. Rzuciłem palenie przed dwudziestoma laty, kiedy umarła moja mama, ale sprzedawca o tym nie wiedział, a ja uznałem, że to zabawne – sposób, w jaki mi je podał, jakby nigdy nic. Niemal chciałem mu powiedzieć: Wypalę tylko tę paczkę, może jeszcze jedną. Kupiłem jeszcze zapalniczkę, a wracając drogą i paląc, czułem się oszołomiony. Wróciłem do samochodu i stałem przy nim, wpatrując się w dom babki. Z dołu ulicy, od małego sklepiku, nadchodziła kobieta z dzieckiem. Dziecko jechało na rowerku i było dziewczynką. Chyba cztero- albo pięcioletnią. Matka miała kasztanowe włosy i niebieską sukienkę. Zauważyła, że na coś czekam, co trochę ją zaniepokoiło. Zapaliłem kolejnego papierosa. Starłem się wyglądać nonszalancko. Oparłem się o samochód. Nie odrywałem od niej wzroku, zakładając, że nie widzi moich oczu za ciemnymi okularami. Myślałem, że przejdzie. Ale nie zrobiła tego. Zatrzymała się przed domem mojej babki. Stałem na wprost jej wejściowych drzwi po drugiej stronie jezdni. Kiedy stanęła przed drzwiami, zdałem sobie sprawę, jak dokładnie, niemal idealnie jestem z nimi skorelowany. Kobieta wpadła w lekką panikę. Jej

panika dodała mi na chwilę siły. Nie mogłem uwierzyć w to, co się działo – że stałem się zmorą z czyjegoś koszmaru. Ledwo się powstrzymałem, żeby jej nie przestraszyć. Uśmiechnąłem się, pomachałem do niej ręką i przedstawiłem pokrótce niezrozumiałe zapewne wyjaśnienie, co tutaj robię – co tutaj robimy. Nie przyszło mi do głowy, że nie miała pojęcia, kogo mam na myśli, mówiąc „my”. Tłumacząc jej to wszystko, zastanawiałem się, czy to możliwe, że jesteśmy spokrewnieni, czy gdybyśmy usiedli i przedstawili się sobie, nie okazałoby się, że jesteśmy kuzynostwem. Mogłaby wpuścić nas do środka, pozwolić przespacerować się po domu i po ogrodzie, który mógł być tym samym ogrodem, w którym bawiła się babka. Potem usłyszałem jakiś szmer – to ojciec – kobieta też usłyszała szmer. Otworzyła pospiesznie drzwi i wepchnąwszy dziecko do środka, zatrzasnęła je za sobą i zamknęła na klucz. Usłyszałem dobiegający z lasu głos ojca. Wyrzuciłem niedopałek na ulicę i ruszywszy ścieżką między drzewami, spotkałem w końcu tatę. Zszedł z wydeptanej ścieżki i zaplątał się w jakieś krzaki, z których nie mógł się uwolnić. Ująłem go za ramię. Paliłeś?, zapytał. Wydawał się mocno wstrząśnięty. Jak długo mnie nie było? zapytał. Wydostaliśmy się z powrotem na drogę. Musisz chwilę odsapnąć, powiedziałem. Zgodził się ze mną. Otworzyłem mu drzwi. Pomogłem usiąść w fotelu. Siadając, poklepał mnie po dłoni. Dziękuję, synu,

powiedział. Zamknąłem drzwi, spojrzałem na dom i zobaczyłem parę wpatrzonych we mnie oczu. Potem oczy zniknęły. Przeszedłem na drugą stronę samochodu i wsiadłem do środka, a ojciec powiedział: Wyjedźmy z Moguncji, prześpimy się gdzie indziej. Pojechaliśmy więc. Nie musieliśmy jechać daleko. Pierwsza wioska, do której trafiliśmy nazywała się Walluf. Co powiesz na Walluf?, zapytałem. Wymówiłem nazwę jako „łalaf”. „Waluuf”, poprawił mnie ojciec.

Naprawdę?

Naprawdę.

No cóż, mruknąłem, musimy zatrzymać się w Walluf.

Ktoś woła mnie po nazwisku. Mężczyzna wykrzykuje moje nazwisko we wszystkie strony. Słyszę okrzyki, zanim dociera do mnie, że wykrzykiwane jest moje nazwisko. Odwracam się. Trish już stoi. Jakiś mężczyzna – mężczyzna, którego nie znam, młody mężczyzna – stoi przed męską toaletą i woła mnie po nazwisku. Ruszam w jego stronę. Zaczynam się zastanawiać, z jakiego powodu ktoś wykrzykuje moje nazwisko przed toaletami i przyspieszam kroku. Kiedy staję przed przywołującym, wskazuje mi palcem wnętrze toalet. Obchodzę wyłożoną błękitnymi kafelkami ścianę działową i przystaję. Zdejmuję ciemne okulary i chowam je do wewnętrznej kieszeni marynarki. Słyszę za sobą Trish. Słyszę jej obcasy tupiące w biegu po twardej posadzce. Nie czeka na

zewnątrz. Wchodzi do środka, tuż za mną, i pyta, co się dzieje. Czy mogłabyś zaczekać na zewnątrz, przypilnować naszych rzeczy?, mówię. Nic mu nie jest? Nie mam pojęcia, odpowiadam. Trish nie wychodzi, nie opuszcza męskiej toalety. Idzie za mną. Czy nasz bagaż wciąż stoi przy fotelach?, pytam. Nic mu się nie stanie, odpowiada. W pierwszym pomieszczeniu jest pełno umywalek i suszarek do rąk. W drugim, za kolejną ścianką działową, z jednej strony są pisuary, a z drugiej kabiny. Wszystko jest niebieskie albo szare. Tato?, wołam. Mija kilka sekund. Mam zamiar zawołać po raz drugi, ale słyszę jakiś szmer. Wytężony, nieprzytomny albo i to, i to jednocześnie, co brzmi jak odgłos osoby przewracającej się na bok we śnie – w śpiworze na dworcu autobusowym. Tutaj, mówi. Odwracam się tam, skąd dobiega głos i wtedy to widzę – między mną a kabiną. Jednak nie zdążył na czas. Jest mi naprawdę przykro, bo wiem, jak się czuje. Nagle zalewa mnie fala sentymentalnych uczuć. Wszystko w porządku, tato, mówię. Opanujemy sytuację. Nie odpowiada. Proszę Trish, żeby poczekała na zewnątrz. Spuszcza głowę, krzyżuje ramiona. Nie wychodzi. Potem o to samo prosi ją ojciec. Odpowiada: Ok, poczekam na zewnątrz, popilnuję bagażu. Wychodzi. Czekam kilka chwil. W porządku, tato?, pytam. Czy Trish jeszcze tu jest? Już poszła, mówię. Drzwi kabin sięgają niemal do podłogi. Nie mogę uklęknąć i sprawdzić, gdzie są jego stopy, nie wiem, mówiąc

szczerze, z której kabiny dobiega głos. Pytam go, dlaczego tak długo trwało, zanim ktoś mnie przywołał. Prosiłem o pomoc przez piętnaście minut, odpowiada. Prosiłem z pół tuzina ludzi. Pukam do pierwszych drzwi i odpowiada mi ktoś inny. Pukam do drugich drzwi i nikt nie odpowiada. Pukam do trzecich i słyszę głos ojca. To ty?, pytam. To ja, odpowiada.

Możesz otworzyć drzwi?

Nie są zamknięte.

Mogę wejść?

Nie.

Ok, czego potrzebujesz?

Wszystkiego.

Dżinsy, bielizna, skarpetki, buty?

Wszystko, mówi.

Koszula i sweter?

Wszystko.

Znów się porusza, co znów brzmi jakby przewracał się na posadzce na dworcu autobusowym. Brzmi, jakby miał kłopoty.

A poza tym nic ci nie jest?, pytam.

Nie odpowiada, więc otwieram drzwi. Leży, prawie nagi, ale zadziwiająco czysty, na posadzce obok toalety. W pozycji półożącej, przytrzymuje się jedną ręką pojemnika na papier toaletowy, a drugą sedesu. Bezskutecznie usiłuje się podnieść, ale nogi i biodra nie chcą oderwać się od podłogi. Wchodzi jakiś mężczyzna i zerka na nas. Natychmiast odwraca się na

pięcie i znika. Staję w kabinie i zamykam za sobą drzwi. Ojciec chce mnie wyprosić, poruszając nadgarstkiem. Ma groźną minę. Wynoś się stąd, mówi, przynieś mi tylko to przeklęte ubranie. Podniosę cię, odpowiadam, a potem pójdę i przyniosę ci ubranie, nie możesz leżeć na podłodze. Nie dotykaj mnie, syczy. Nie udawaj, kurwa mać, chojraka, rzucam. Ma przekrwione oczy. Oddycha szybko i płytko. Zbiera się na odwagę, żeby przemówić. To, co chce powiedzieć, jest już w jego ustach, drży na całym ciele, chce to z siebie wydusić, ale nie potrafi. Gdyby zdołał wypowiedzieć te słowa... cóż by to mogło być... że mnie nienawidzi, że jestem gnidą, że zamordowałem Miriam, że to moja wina – mógłby umrzeć zhańbiony, tak jak na to w swoim mniemaniu zasługuje. Wcale mu nie współczuję. Odwzajemniam jego nienawiść. Chwytam go, podnoszę i bez ceregieli sadzam na kiblu. Popycham go na ścianę i unoszę rękę, myślę, że mógłbym, owszem, uderzyć go pięścią w oko, raz za razem i raz jeszcze, aż jego czaszka pęknie, a moja pięść wpadnie do środka, ale on nie podnosi rąk, żeby się bronić, nie stara się uchylić. Odsuwam go od ściany. Kładę mu dłoń na ramieniu i klepię parę razy. Wszystko będzie dobrze, mówię. Nie czuję rąk ani nóg, odpowiada. Niczego nie czuję. Czekam. Opada mu głowa. Widzę, że jest wyczerpany. Spluwa po drugiej stronie sedesu. Oddycha płytko i boleśnie. Trzymaj się, mówię. Zbieram jego rzeczy. Wyjmuję wszystko

z kieszeni dżinsów, wszystkie dokumenty i całą resztę, i chowam do swoich kieszeni. Otwieram drzwi kabiny i wyrzucam brudną bieliznę i spodnie do kosza, potem brudne skarpetki i buty. Koszula i sweter nie są takie brudne. Piorę brudne miejsca wodą z mydłem. W toalecie nie ma papierowych ręczników, więc zdejmuję buty i skarpetki, zakładam ponownie buty, po czym moczę skarpetki w wodzie z mydłem. Wracam do kabiny, popycham drzwi i myję ojca, który siedzi nieruchomo bez słowa. Wycieram go papierem toaletowym. Narzucam mu na ramiona koszulę i sweter. Potem mówię: Siedź i nie ruszaj się, tato, przyniosę ci świeże ubranie. Przyniosę ci też coś do zjedzenia. Podnosi głowę. Nic nie zjem, rzuca. Musisz wsiąść do tego samolotu, stwierdzam z naciskiem.

Tak, muszę wsiąść do tego samolotu, odpowiada.

Zdołasz zamknąć za mną drzwi kabiny, kiedy wyjdę?, pytam. Chyba tak, odpowiada. Mówię mu, żeby się nie martwił i że zaraz wrócę, po czym wychodzę. Zamykam za sobą drzwi i czekam, aż przekręci zatrask. Potem czekam, aż znowu bezpiecznie usiądzie. Szafa gra?, pytam. Szafa gra, odpowiada. Otwierają się drzwi innej kabiny – dwie kabiny dalej – i pojawia się w nich jakiś mężczyzna. Widząc mnie, udaje, że czegoś zapomniał, czegoś, po co musi szybko wrócić i z zawstydzeniem zamknąć i zaryglować drzwi. W toalecie robi się bardzo cicho. Widzę, że kilka kabin jest zajętych – poznaję to po kolorze zamka

w drzwiach – i zdaję sobie sprawę, że wszyscy mężczyźni w tych kabinach czekają, aż sobie pójdę, żeby mogli stąd uciec. Siedzą w tych kabinach pogrążeni w niemej panice, nie wiedząc, czego można dotknąć, bo wszystko jest brudne, skażone – tylko wstyd nie pozwala im czmychnąć.

Kostnica w Berlinie znajdowała się w piwnicy szpitala. Szpital mieścił się w starym budynku, który wyglądał groźnie, wyglądał jak miejsce, gdzie można się rozchorować od samego patrzenia. Obok każdych drzwi wisiały pojemniki do dezynfekcji rąk. Kiedy wsunęło się dłonie pod czujnik, z pojemnika wydobywała się mgiełka rozpylonego alkoholu, którą wcierało się w skórę. Chociaż niczego nie dotykałem, odkażałem sobie ręce przy każdej sposobności. Byłem sam. Trish chciała mi towarzyszyć, ale podziękowałem jej. Czekał na mnie lekarz sądowy i świadek: policjant. Lekarzem sądowym był pięćdziesięcioletni mężczyzna w małych okularkach, z cofniętym podbródkiem, fatalną cerą, zezem i łysiną na czubku głowy, okoloną krótko przystrzyżonymi po bokach włosami. Patrzyłem na niego z niechęcią, choć nie ze względu na wygląd – raczej przez odium, którego udzielało mu to miejsce. Dostałem jakieś papiery do wypełnienia. Spojrzałem na nie i powiedziałem: Niczego nie rozumiem. Odpowiedzieli, że dokumenty mają kluczowe znaczenie. Przyszedłem tu po to, żeby zidentyfikować siostrę, odrzekłem, czy mogę

zadzwoić do ambasady i poprosić, żeby później pomogli mi wypełnić dokumenty? Lekarz sądowy szeptał coś do policjanta przez kilka chwil. To on zawiadywał tutaj wszystkim, lecz rola ta nie sprawiała mu najmniejszej satysfakcji. Chciał, żeby ktoś inny wziął na siebie odpowiedzialność za zmianę procedury. Policjant – młody, wysoki, jasnowłosy, muskularny, w sztywno wykrochmalonym mundurze i z bronią przy boku – był prawdopodobnie niedoświadczony i nie chciał brać za nic odpowiedzialności. Lekarz sądowy zgodził się w końcu pokazać mi ciało. Stwierdził, że będzie to nieoficjalna identyfikacja. Zapytałem, co to oznacza – czy będę musiał przyjść tutaj jeszcze raz? Nie, odpowiedział, wystarczy wypełnić formularze. Zaprowadzono mnie do przedzielonego szybą pomieszczenia. Za szybą było inne pomieszczenie, w którym nie paliło się światło. Policjant stanął tuż za moimi plecami, gotów, jak mi nie mam, wesprzeć mnie, gdybym zemdlał. Zapalono światło w drugim pomieszczeniu. Niebieskozielone światło. Kafelki na ścianach miały niebieskozielony kolor – przypuszczam, że były białe, tylko światło zmieniło ich barwę. Lekarz sądowy w ochronnej masce i ochronnych okularach wtoczył wózek z przykrytym ciałem. Pomyślałem nagle, że nie dam rady, że zrobi mi się niedobrze, nie byłem gotów, nigdy czegoś takiego nie robiłem. Lekarz sądowy odszedł od wózka

z ciałem, przycisnął guzik na ścianie i usłyszeliśmy jego głos. Policjant zapytał mnie po angielsku: Czy możemy kontynuować? Owszem, odpowiedziałem, proszę kontynuować. Policjant nacisnął guzik po naszej stronie szyby i powiedział lekarzowi sądowemu, żeby kontynuował. Lekarz odsłonił tylko głowę Miriam. Trzymał przykrycie i nie cofnął się. Kiwnąłem, natychmiast przykrył ciało. Odwróciłem się. Policjant, który odwrócił wcześniej wzrok, zapytał: Ok? Ok, odpowiedziałem. Bardzo mi zależało, żebym mógł zostać sam, ale musiałem jeszcze usiąść w gabinecie i znów spotkać się z tym lekarzem, a potem zadzwoniłem do Trish, która kazała przefaksować dokumenty, które później miałem wypełnić. W końcu wyszedłem na dwór i – bez powodu – wskoczyłem do pustego autobusu, usiadłem z tyłu i przetarłem oczy. Była prawie łyśa. Głowa Miriam była niemal bezwłosa. Skurczyła się, przez co jej nos wydawał się gigantyczny. Uszy też były za duże. Światło w kostnicy nie pozwoliło mi dojrzeć koloru jej skóry, ale jej skóra miała konsystencję gliny, była napięta i pokryta żłobieniami. Policzki naciągnęły się w taki sposób, że usta ułożyły się w upiorny uśmiech. Gdybym nie widział jej przed pięcioma laty, kiedy była już chorobliwie chuda, nie rozpoznałbym jej. Mówiąc szczerze, nie rozpoznałem jej od razu. Ale w końcu odnalazłem coś znajomego w jej zamkniętych oczach – jakiś wyraz zupełnie niepasujący do udręki, która

malowała się na twarzy, głowie i szyi. Przypuszczam, że ujrzałem w nich zaskoczenie – zaskoczenie bez strachu. Niewykluczone również, że stopniowo przekształcam jej obraz – pewnie po to, by stał się on łatwiejszy do zniesienia, kiedy będę go niósł z sobą w nieskończoność; albo po to, by wynagrodzić odwagę Miriam, by przez milionową milionowej części sekundy udekorować odrobiną wdzięku znękaną wspomnienie o mojej siostrze.

Trish stoi przed toaletą z naszym bagażem podręcznym. Stoi odwrócona plecami do wejścia, patrząc ku szklanym przepierzeniom, za którymi siedzieliśmy, i dalej, poprzez wystawę historyczną, na pas startowy lub blask dnia albo miasto ukryte w oddaleniu, lub góry daleko za miastem. Przywołuję jej uwagę. Zakładam przeciwsłoneczne okulary. Chwytam swój podręczny bagaż oraz bagaż podręczny ojca i zaczynam iść. Idzie obok mnie. Wie, co musimy zrobić – widziała posadzkę w łazience – i wie, że nie musimy o tym rozmawiać. Idę nieco szybciej niż zazwyczaj, ale dotrzymuje mi kroku. Mówię jej, że to nie do uwierzenia, jak daleko mamy dzisiaj polecieć.

Czy pański tata da radę? Przetrwa tę podróż?

Da radę. Nie jestem pewien, czy przetrwa lot, ale wszędzie do samolotu.

Idziemy tak szybko, że po chwili informuję Trish, że muszę zwolnić. Jest mi niedobrze, kręci mi się w głowie. Trish pyta, co ze mną. Ja z kolei pytam ją, czy

znów pozieleniałem, na co odpowiada, że nie, że wyglądam jak półprzezroczysty. Pocę się, choć jest mi bardzo zimno. Mam wrażenie, że puchną mi węzły chłonne. Bolał mnie zęby i żuchwa. Nic mi nie jest, odpowiadam, jestem zdrow jak ryba. Przystajemy przy tablicy odlotów i sprawdzamy Atlantę. W końcu wyznaczono godzinę odlotu i bramkę! Trish sprawdza czas w telefonie. Robię to samo w moim. Biorąc pod uwagę to wszystko, co mamy do załatwienia, nie zostało nam wiele czasu.

Nie wiem, jak było z ojcem, ale w moim przypadku zaprzestanie jedzenia okazało się początkowo łatwe. Przez pierwsze czterdzieści osiem godzin po naszym powrocie z Akwizgranu nie miałem zwyczajnie apetytu. Pierwszego wieczoru poszliśmy się napić i było mi niedobrze, póki nie wlałem w siebie kilku drinków, a po drodze do domu zastanawiałem się nad kebabem albo ćwiartką pizzy, ale zrezygnowałem z tego, wiedząc, że nie będę w stanie utrzymać jedzenia w żołądku. Właśnie wtedy spotkaliśmy mężczyznę siedzącego na krawężniku i zaśpiewaliśmy mu *Sto lat*. Był Anglikiem. Zgubiłem kumpli, powiedział. Nie miał pojęcia, w którym hotelu się zatrzymali. Nie wiedział, gdzie się znajduje. Ale nie martwił się za bardzo. A kiedy odśpiewaliśmy mu piosenkę, rozweselił się i postanowił znaleźć bar, w którym będzie mógł pić przez całą noc. Zdaje się, że go wyściskaliśmy. Nie pamiętam, ile miał lat. Pewnie

ze dwadzieścia jeden. Mam wrażenie, że usiłował nas przekonać, żebyśmy z nim poszli, ale byliśmy absolutnie wykończeni. Od wielu lat nie zdarzyło mi się pić przez kilka wieczorów pod rząd, a teraz nie mogłem się pozbierać po dziewięciodniowym ciągu. Kiedy obudziłem się następnego dnia, czułem się straszliwie. Czułem się tak, jakby moje wnętrzności się rozpląnęły. Nie mogłem zasnąć. Byłem rozbudzony i nieznośnie zmęczony. Wstałem, wziąłem prysznic i usiadłem na sofie. Ojciec też był już na nogach. Nie mieliśmy ochoty na śniadanie czy choćby kawę, nie mieliśmy siły, żeby ze sobą rozmawiać. Było za zimno, żeby usiąść na tarasie. Stało się jasne, że zaczął się dla nas czas oczekiwania, a poza jedną, ostatnią wyprawą do mieszkania Miriam oraz wieczoru w mieście z przyjaciółmi Otisa i Miriam, faktycznie nie robiłem już niczego innego. Tylko czekałem. Chodziłem i słuchałem muzyki. Jeździłem na rowerze. Wystawałem przed kawiarniami. Siadywałem na ławkach. A kiedy powoli zaczął mi wracać apetyt, walczyłem z ukłuciami głodu. Gdybym był w Londynie, być może zacząłbym jeść kanapki. W Londynie mógłbym nie przetrwać tego drugiego dnia i nigdy nie pojawiłaby się kwestia decyzji o niejedzeniu. Ale w Berlinie nie mają kanapek. Mają coś, co przypomina kanapki, choć nimi nie jest, bo używają złego chleba. A jedyną rzeczą, jaką mógłbym zjeść w tamtym momencie były kanapki – mdłe, znane,

prefabrykowane kanapki z supermarketów lub sklepów z kanapkami. Siedziałem na sofie i sprawdzałem, która jest godzina, a potem wyglądałem przez okno na deszcz ze śniegiem albo zwykłą szarość i zastanawiałem się, jak odległy wydaje się Londyn, jak nieosiągalny, jakbym musiał podróżować w czasie, żeby się do niego dostać. Gdybym umarł, całe moje życie uległoby natychmiastowej dematerializacji. Wszystko, co mam, zniknęłoby. Wszystkie moje notatki zostałyby zatarte. Długi odeszłyby w niepamięć. To, co by po mnie zostało, stałoby się jedynie zawadą dla innych – banków, szefów, nowych lokatorów. Ale nie musiałem umierać. Mogłem żyć dalej w domu. Mogłem zarabiać na siebie własnymi rękoma, myślałem, remontować domy, kłaść dachy, nauczyć się obsługi koparki, znaleźć pracę przy rozrzucaniu nawozu w stadninie, kupić małą łódź rybacką, poznać dwukrotnie rozwiedzioną kobietę.

Kiedy zaczynały się ukłucia głodu, nasilały mdłości i poty, kiedy nie potrafiłem opanować drżenia, przekonałem się, że jedyne, co mi pomaga nie myśleć o tym wszystkim, to ćwiczenia fizyczne. Robiłem pompki i przysiady albo biegałem wokół wielkiego tarasu na dachu w mroźnym wietrze i deszczu. Wskakiwałem na rower i jeździłem po wzgórzach, mijałem skrzyżowania, ścigałem się z samochodami, ciągle w ruchu. A kiedy kończyłem wysiłek, miałem

czasem wrażenie, że jadłem. Myślałem o jedzeniu, widziałem oczyma wyobraźni wielkie patery z jedzeniem, smakowitym jedzeniem, drogim jedzeniem i marzyłem, że je pochłaniam, że wydłubuję widelczykiem mięso ze szczypców homara, konsumuję grube na dwa cale krwiste steki, wysysam kawałki mięsa i skóry z pulardy. To było skuteczne, ale nieuczciwe. Czułem, że w ten sposób dyskredytuję całe doświadczenie, a wraz z nim doświadczenie Miriam. Więc przestałem myśleć o jedzeniu. Kiedy tylko zaczynałem o nim myśleć, natychmiast zmuszałem się do przypomnienia sobie ciała Miriam w kostnicy. Później przekonałem się, że mycie zębów odgania głód. Kupiłem sobie jakąś niemiecką pastę do zębów, która smakowała trochę jak wybielacz, i przez pewien czas szczotkowałem zęby co pół godziny. Kiedy stwierdziłem, że połykam i jem pastę, zrezygnowałem z tego. Jedyne, co mi pozostało to zmierzyć się z tym wszystkim, stanąć w obliczu łaknienia i odmówić jego zaspokojenia, odrzucić fizjologiczną potrzebę odżywiania organizmu. Wchodziłem do łazienki i kładłem się w konwulsjach na posadzce, ciągnąłem się za uszy, targałem za włosy, drapałem po twarzy, rzucałem się na toaletę, nie mogąc zwymiotować, a podczas tych konwulsji widziałem jasno i obiektywnie, że wyzwolenie się z tego bólu byłoby hedonizmem, i że wszystko, co bólem nie jest, jest ekstrawagancją. A najwspanialsze w tym bólu było to,

że kiedy nadchodził, czuło się, że się znika komórka po komórce, że się rozpada i chudnie. Wówczas konwulsje ustawały, a ja leżałem i myślałem o Miriam i o tym, jak bardzo nas nienawidziła albo o współczuciu, które tak bardzo chcieliśmy jej okazać tylko po to, żeby mieć to z głowy. Nasza wiara, że któregoś dnia znów będzie nas potrzebowała, tak jak my potrzebowaliśmy jej, należała bez wątpienia do domeny hedonizmu, ekstrawagancji i głupoty życia ponad bólem z zagłodzenia. Zacząłem jeść okruszki chleba, bo konwulsje i napady stawały się coraz groźniejsze. Zawsze kiedy zjadłem kawałek chleba, nawet jeden kęs, szedłem do lustra i przekonywałem się, że straszliwie przytyłem, że noszę na sobie mnóstwo bezużytecznego i nieczystego ciężaru. Do kolejnego napadu głodu – dopóki tylko zdołałem opanować fizyczne cierpienie – widziałem i czułem, że tyję. Kiedy myślałem o powrocie do Londynu, czułem, że tyję – puchnę nawykami, pomysłami, opiniami, rzeczami – i wydawało mi się, że praca nie tylko gwarantuje swobodę pozwalającą mi puchnąć, ba, wymaganą do tego puchnięcia, ale że staje się plagą, nieuleczalną i niezaspokojoną plagą nadobfitości i lęku. Byłem tak bardzo zajęty walką, którą z sobą toczyłem, że potrzebowalem paru dni, żeby uświadomić sobie, że ojciec także nie je. Wyglądał na zmęczonego, wyjąłowionego z uczuć. Mówił, że ciągle mu zimno, choć podkrećcaliśmy maksymalnie

termostat w mieszkaniu. Siadał i skarżył się nagle na ślepotę, odrętwienie rąk i nóg, po czym – jeśli miejsce, w którym usiadł było akurat wygodne – zasypiał na trzydzieści sekund. Wydawało mi się, że wyczerpała go podróż i że powoli zaczyna zdawać sobie sprawę, że ciało Miriam wkrótce zostanie wydane, a nasz czas tutaj i jego czas z Trish dobiegają końca. Potem zaczął wymiotować, a przynajmniej mieć odruchy wymiotne w łazience.

Zatrzymujemy się z Trish przy sklepie z męską odzieżą sportową. Potrzebuję skarpetek, mówię. Unoszę nogawki spodni, żeby pokazać jej gołe kostki i rzucam: Niech pani nie pyta. Czego potrzebuje pański tata?, pyta. Wszystkiego, mówię. Niech pan kupi spodnie i resztę, a ja zajmę się koszulą. Mam lepszy pomysł, mówię. Czy może pani pobiec do sklepu z obuwiem i kupić mu jakieś buty? Jasne, odpowiada i wychodzi ze sklepu z odzieżą. Patrzą za nią. Odchodzi na jakieś dwadzieścia stóp, przystaje, odwraca się i biegnie z powrotem. Jaki rozmiar pańskim zdaniem? Nie mam pojęcia, odpowiadam. Noszę dwunastkę, myślę, że dwunastka będzie dobra. Ok, rzuca i znów wychodzi. Kupowanie ubrań jest znacznie łatwiejsze. Jesteśmy tego samego wzrostu, a choć tata ma szczuplejszą szyję i biodra, podobnie jak ręce i nogi – ma sylwetkę szczupłego starszego mężczyzny – nasze proporcje są niemal identyczne. Kupuję mu biały T-shirt z nadrukiem oceanu, surferem i jakimś napisem.

Do tego błękitną, miękką i grubą, zapinaną na guziki koszulę z długimi rękawami, do noszenia na T-shircie i jeszcze granatową bluzę z kapturem. Na plecach bluzy jest jakiś nadruk – tekst i panorama miasta – ale to nieważne, chodzi o to, żeby było mu ciepło i wygodnie podczas lotu. Wybieram parę dżinsów, rozmiar trzydzieści dwa w pasie, długość nogawki trzydzieści cztery i jeszcze bokserki i skarpety. Kupuję też dodatkową parę skarpet dla siebie. Przy kasie, kiedy kasjerka podlicza należność, spoglądam na to, co mam na sobie – pogniecioną garniturową marynarkę przepoconą pod pachami, koszulę niemal wszędzie moką od potu, cuchnącą alkoholowo-tytoniowymi wyziewami. Wracam do sklepu i wybieram dla siebie szarą bluzę z kapturem i nadrukiem skorpiona. To do samolotu. Wszystko kosztuje prawie pięćset euro. Nawet nie udaję, że nie jestem wstrząśnięty. Zwracam się do kobiety za ladą: To jakiś absurd, to zdzierstwo. Nie wie, jak zareagować. Czy nie chcę zapłacić?, zastanawia się na głos. Nie widzi moich oczu za ciemnymi okularami, ale staram się nimi wyrazić poczucie bezsensu. Co można zrobić z cenami na lotnisku?, chciałbym zapytać. Wyjmuję portfel. Ile kosztuje bluza?, pytam. Pokazuje mi etykietę z ceną. Osiemdziesiąt dziewięć euro. Dżinsy kosztują sto pięćdziesiąt euro. Jestem oburzony, choć nie powinienem. Londyn jest droższy, a moja praca w zasadzie polega właśnie na tym, żeby rzeczy tańsze

stawały się droższe, głównie przez ich przedefiniowanie lub zdefiniowanie odwrotne, po których nikt nie może sobie na nie pozwolić. Podaję jej firmową kartę kredytową. Limit na niej wynosi dwadzieścia tysięcy funtów, ale co miesiąc bank obciąża mnie całą kwotą, którą jestem mu winien. Kiedy odbierałem tę kartę, mruknąłem: To ma być karta *kredytowa*? Powiedziano mi wtedy coś o odpowiedzialnym prowadzeniu interesów – były to czasy, w których ludzie słuchali rad bankierów – na co odrzekłem, że to i tak nie ma większego znaczenia, bo w mojej branży nie trzeba zaciągać kredytów. Nigdy nie musiałem chodzić do banku i prosić o zwiększenie limitu. Wypłacam sobie przyzwoitą pensję. Wrzucam w koszty wszystko, co mogę – nawet część czynszu i niektóre sprzęty, a także wszystkie podróże. Pod koniec roku wypłacam sobie premię ze wszystkiego, co mi zostaje na koncie, żeby uniknąć płacenia CIT-u. Płacę księgowemu. I zaczynam od nowa. Co parę lat odbieram zgromadzone oszczędności i inwestuję je w akcje lub fundusze wzajemne w Stanach Zjednoczonych.

Wkładam wszystko do dużej plastikowej torby i wychodzę. Nie mogę odnaleźć sklepu obuwniczego. Mdłości i zmęczenie, które odczuwałem od wyjścia z toalety, zamieniają się nagle w nieznośne zawroty głowy. Nogi mam tak ciężkie, że nie mogę nimi poruszyć. Jestem odrętwiały. Znajduję fotel – na

lotnisku w końcu trochę się przeredziło. Siadam, stawiam torbę między nogami i myślę o tym, żeby wyjąć telefon i napisać do Trish, gdzie jestem. Nie jestem jednak w stanie wyjąć telefonu. Wyczerpanie przewyższa wszystko, czego do tej pory doświadczyłem. Przez chwilę coś mi się śni i jestem całkiem świadom, że to sen. Razem z ojcem kopujemy szpadlami. Ziemia jest zamarznęta. Potem czuję, że ktoś klepie mnie w ramię. To Trish. Otwieram oczy i uświadamiam sobie, że mam odrzuconą do tyłu głowę, bez żadnej podpórki. Próbując wyprostować głowę, o mało nie doznaję urazu kręgosłupa. Siadam i kaszlę. Chcę coś powiedzieć, ale zaschło mi w gardle. Trish pyta nerwowo, czy możemy iść. Nie chcę się przyznać, że nie mogę się ruszyć. Usiłuję jej odpowiedzieć, ale tylko bełkoczę. Produkuję dźwięki, jakie wydaje osoba z żuchwą znieczuloną nowokainą. Kręcę głową. Odchrząkuję kilka razy i odzyskuję głos. Proszę dać mi jeszcze minutę, mówię. Siada obok mnie, a ja się pochylam. Opieram łokcie na kolanach i przykładam zaciśnięte dłonie do oczu. Potem przez chwilę drapię się po głowie. Poruszam palcami rąk i nóg.

Zauważam, że Trish ma dużą torbę, jeszcze większą od mojej. Kupiła pani ojcu kowbojki czy co?, pytam. Otwiera torbę. W środku są trzy pudła z butami. Nie chciałam wziąć złego rozmiaru, mówi. Nie chciałam, żeby chodził po lotnisku w Atlancie w butach, które go

obcierają. Otwiera jedno z pudełek. W środku są miękkie skórzane mokasyny. Mój tata nosi mokasyny, mówi, przysięga, że nie ma nic wygodniejszego.

Spoglądam na dwa pozostałe pudła w torbie.

Kupiłam je w trzech rozmiarach, tłumaczy.

To wyraz wielkiej troskliwości z pani strony, mówię.

Chodźmy, zachęca mnie.

Wiele razy musiałem oglądać ojca chodzącego w mokasynach, bez skarpetek, przy podlewaniu trawy, uprawianiu ogródka, uszczelnianiu tarasu przed wodą, wędrującego po labiryncie domu, myjącego samochód, wydobywającego gazety i listy ze skrzynki pocztowej, idącego po zakupy, grillującego steki albo stojącego przy linii bocznej boiska, gdy ja lub Miriam uprawialiśmy sport. Pamiętam, jak spadł z drzewa, które ścinał. Opadł go rój pszczół. Wrzeszczał, żebyśmy ukryli się w domu, pozbierał się jakoś po upadku i biegał w kółko, próbując odegnać pszczoły od twarzy, aż w końcu przeskoczył przez płotek na tylne podwórko i dał nura do basenu. Pamiętam mamę pływającą w basenie, pijącą mrożoną herbatę lub – jeśli odwiedzały ją przyjaciółki – dzin z tonikiem. Ojciec mógł być wtedy z nią albo mogło go nie być, ale wspomnienie to – co dziwne – nie dotyczy matki, ale miejsca, w którym stał albo nie stał ojciec. Któregoś dnia, kiedy było u nas sporo znajomych, mama złamała nogę, biegnąc wokół basenu. Kość przebiła jej skórę. Ojciec był w Kalifornii, więc wokół mamy

zebrali się sąsiedzi i czekali na przyjazd karetki. Kiedy mama wróciła ze szpitala, miała nogę w gipsie od stopy do biodra. Przywieźli jej też duże ruchome łóżko, które było regulowane i na którym mogła podnosić sobie nogi albo plecy. Leżała na nim przez miesiąc, a w samym gipsie chodziła o wiele dłużej. Babka zajmowała się kuchnią, a ja i Miriam domem. Babka, kiedy wozila nas autem po spokojnych uliczkach w okolicy, pozwalała nam stawać na dachu samochodu i udawać, że surfujemy. Miriam spadła raz z dachu i złamała sobie rękę. Babka była przerażona i bała się, że zamkną ją w więzieniu. Bała się także, jak zareaguje na to ojciec. Był jak zwykle w Kalifornii i spodziewaliśmy się jego powrotu dopiero po kilku tygodniach, więc mama postanowiła nic mu nie mówić. Wszyscy razem doszliśmy do wniosku, że ojciec nigdy nie wybaczyłby nam takiej lekkomyślności. Nawet gdyby mama wzięła winę na siebie, jak początkowo chciała zrobić, wiedzieliśmy, że ojciec domyśli się, że kłamię i nigdy nie wybaczy jej oszustwa. Jakies pół roku później wszystko się wydało – musiało się wydać, jak sędzę – kiedy tata wrócił na lato do domu. Tarzał się ze śmiechu, usłyszawszy o naszej decyzji, żeby nic mu nie mówić – czy naprawdę tak bardzo się go boimy? Wydawało się nam, że sprawa rozeszła się po kościach, tyle że później ojciec wziął babkę na stronę, żeby z nią porozmawiać, a po tej rozmowie babka – choć zabrzmia

to może nieco melodramatycznie – już nigdy nie była przy nas taka jak kiedyś. Przypominam też sobie, jak spuściłem manto jakimś chłopakom za Miriam. Byłem już dużym dzieciakiem. Miriam była spokojna. Kiedyś usłyszałem, że dwaj chłopacy zaciągnęli ją do lasu. Pobiegnęłam za nimi. Znalazłem ich, kiedy usiłowali zamknąć ją w szopie czy jakiejś porzuconej zagrodzie w samym środku lasu. Lasy, o których mówię – gęste sosnowe lasy nad zatoką – są ciemne i bezkresne, nie nadają się do wyrębu, więc są poprzerastane i pełne węży. Nie chodzi się tam na spacer, żeby podziwiać naturę i oddawać się refleksjom. Smukłe sosnowe pnie wznoszą się wszędzie ku słońcu, a ich wysokie iglaste korony zasłaniają niebo. Rosną tak gęsto, że trzeba się między nimi przeciskać, a po zmroku las wypełnia się cieniami, przemykającymi od drzewa do drzewa jak duchy. Na ziemi leży tylko wyściółka z igieł, zbrązowiała i sucha na wierzchu, a mokra i ubita pod spodem. Jeśli trafi się na jakąś ścieżkę albo drogę gruntową wyżłobioną oponami, można dojść do jakiejś polany albo stawu – często wyschniętego – lub przecinki czy łożyska strumienia. W takim miejscu stoi zazwyczaj szopa albo zagroda, w której nikt nie mieszka. Miriam miała wtedy chyba dziewięć albo dziesięć lat, a do lasu zaciągnęło ją dwóch kolegów ze szkoły. To była taka nowa zabawa, która rozpowszechniła się w mieście. Chłopcy w moim wieku zaciągali dziewczyny w wieku Miriam do

różnych miejsc i zamykali je w szopach albo grozili, że je w nich zamkną. Taka gra. Teraz trudno uwierzyć, że ludzie kiedyś robili tego rodzaju rzeczy, nawet wieśniacy z naszego miasteczka. Niektóre dziewczyny miały szczęście i nie pozwoliły się zamknąć. Innym, takim jak Miriam, wiodło się gorzej. Ale żadna z nich nie była tak przerażona jak Miriam. Dowiedziałem się o tym, co dzieje się z siostrą od dwóch dziewczyn, które miały z tego niezły ubaw i mówiły, że kiedyś już je porwano i że nic złego się nie stało. Ale Miriam nie była taka jak one. Pobiegłem więc do lasu. Bardzo dobrze znałem te lasy i wiedziałem, dokąd chcą ją zaciągnąć. Z bardzo daleka usłyszałem jej płacz. Nie mogłem biec szybciej między gęstymi drzewami, nie mogłem także biec prosto. Moje tempo spowalniał rozmokły miejscami grunt, w którym grzęzły mi stopy, a igły sięgały mi kolan. Ale w końcu dobiegłem na miejsce. Jeden z chłopaków uciekł, ale złapałem drugiego. Wypuściłem Miriam. Nie mogła złapać tchu. Nigdy w życiu nie widziałem kogoś równie przerażonego. Myślała, że chodzą po niej pająki, a ja nie mogłem tego sprawdzić, bo od razu uciekła. Nie wróciła do domu. Godzinami błąkała się po ulicach – musiałem wsiąść na rower, żeby ją odnaleźć. Spuściłem łomot temu chłopakowi. Nie zrobiłem mu krzywdy, bo chciałby się mścić, a zemściłby się na Miriam. Ale musiałem coś zrobić. Musiałem dać mu nauczkę. Teraz na lotnisku uważam, że powinienem

był go zabić. Co by się stało, gdybym nie przybiegł w porę? Jak długo by ją tam trzymali? Jedną minutę? Godzinę? I co by jej zrobiły po uwolnieniu te dwa uwielbiające przemoc głupki, przekonawszy się, że są w stanie niemal zupełnie kogoś zadźwżyć i zdominować? Kilka dni później poszedłem do lasu sam, wędrując ścieżką, którą tamci dwaj prowadzili Miriam. Szedłem powoli. Wpatrywałem się w korony drzew. Próbowałem myśleć myślami siostry, starałem się patrzeć na świat jej wzrokiem. Jakże inaczej widziała wówczas światło w koronach drzew, jakże inaczej odbierały wszystko jej zmysły. Usiłowałem wzbudzić w sobie jej panikę, nic nie czuć i nic nie słyszeć, nie odbierać żadnych zmysłowych wrażeń i skupić całą energię i wszystkie siły na walce lub ucieczce, na które nie mogła się zdobyć. Otworzyli jakoś drzwi i wepchnęli ją do środka, a kiedy przybiegłem, przytrzymywali drzwi barkami i rechotali. Pierwszy chłopak, który mnie zobaczył, uciekł. Drugi spojrzał na mnie, a jego spojrzenie mówiło: No, dobra, znalazłeś nas, nic złego się nie stało. Rozkwaśiłem mu nos, dusiłem go, kopałem w głowę i żebra. Kiedy wróciłem tam po raz drugi, przekonałem się, że nikt nie naprawił zamka w drzwiach, więc otworzyłem je. Byłem chory ze strachu. Niewiele widziałem. W środku nie było mebli, tylko jakieś drewno, dużo pociętych bierwion. Nie było okien. Szopa wyglądała jak każda inna w takim miejscu

– spróchniała drewniana rama skręcona śrubami, wzmocniona kotwami, zbita gwoździami, obłożona wycinanymi ręcznie, pochodzącymi z drugiej ręki okładzinami. W środku było gorąco i cuchnęło stęchlizną. Wszedłem tam, odwróciłem się i spojrzałem na to, na co patrzyła Miriam po raz ostatni, zanim zamknęli drzwi, zanim zniknęły twarze tych dwóch chłopaków, ich oczy i palce. Zamknąłem za sobą drzwi i stałem w ciemności tak długo, jak tylko zdołałem. Wytrzymałem może z pół minuty, minutę, choć wiedziałem, że w każdej chwili mogę uciec – wystarczy, że pchnę drzwi. Kiedy je w końcu pchnąłem, ich dolna krawędź zahaczyła o ziemię, wbiła się w nią niezbyt głęboko, ale to wystarczyło, żebym poczuł przerażenie. Zamiast podnieść lekko drzwi i otworzyć je z łatwością, z całej siły rzuciłem się na nie barkiem, po czym wypadłem do lasu. Miałem na sobie dwa duże pająki. Na koszuli i na dżinsach. Wydawało mi się, że są ich całe setki, więc rozebrałem się najszybciej, jak mogłem. Rzuciłem ubranie na gruntową drogę prowadzącą od szopy do wiejskiego gościńca jakąś milę dalej, deptałem je i wytrzepywałem je w powietrzu. Drapałem się po głowie i tańczyłem na drodze. Potem wróciłem do domu.

Wrócę do ojca, mówię, i zaniosę mu ubranie. Czy mogłaby pani przynieść mu coś do zjedzenia? Coś lekkostrawnego.

Trish zgadza się i rozchodzimy się w dwie różne strony. Kiedy wracam do toalety, zastaję w niej mężczyznę – sprzątacza – narzekającego głośno sam do siebie, na bałagan, który będzie musiał posprzątać. Jest zły. Niemcy mówią do siebie częściej niż przedstawiciele innych znanych mi nacji, co wynika pewnie z prawdziwej bezradności. Pukam do kabiny ojca, który wpuszcza mnie do środka. Sprzątacza posyła mi groźne spojrzenie. Patrzę mu prosto w oczy i mówię po angielsku: Przysięgam na Boga, że gorzko pożałujesz tego spojrzenia, na co on prostuje wyzywająco grubą szyję. Zamykam drzwi, a ojciec pyta: Kim do cholery jest ten facet na zewnątrz i o czym on gada? Siedzi spokojnie na sedesie, otulony koszulą i swetrem. Gdzie jest Trish?, pyta. Poszła kupić ci coś lekkiego do jedzenia, mówię. Aha, odpowiada. Wróciło ci czucie w rękach i nogach? Chyba tak, odpowiada. Dasz radę ubrać się sam czy mam ci pomóc?, pytam. Jestem pewien, że dam radę, mówi. Lecz zanim zdążyłem się odwrócić, żeby wyjść z kabiny, przekonuję się, że nie jest w stanie się podnieść, nie może wstać. Patrzymy po sobie. Muszę wsiąść do tego samolotu, mówi. Wsiądziesz, odpowiadam. Klękam i wydaję z torby skarpety oraz bokserki. Najpierw wkładam mu skarpety. Może unieść stopy, może je wyprostować. Skarpety sięgają mu do połowy łydki. Ładne skarpetki, mówi, ładne i grube. Mam takie same, odpowiadam. Potem

bokserki. Przekładam mu przez nie nogi. Podciągam je do kolan. Potem mówię: Złap mnie za szyję, dasz radę? Obejmuje mnie za szyję, przeplata palce i mówi: Chyba tak. Raz, dwa, *trzy*, liczę. Wstaję, a jego uda i pośladki odrywają się od sedesu prawie jak taśma samoprzylepna. Ale trzyma mnie mocno i podciągam mu bokserki do pasa. Potem ubieram go w podkoszulek. Potem w koszulę. Potem w dżinsy. Nałożenie mu dżinsów wymaga wiele wysiłku. Muszę stanąć za plecami ojca i pod nim, żeby go unieść. Łapie równowagę, opierając się dłońmi o ściany, a ja wciągam mu spodnie. Są za duże, o wiele za duże w pasie. Spadają mu z brzucha. Wyjmuję kupione przez Trish mokasyny. Otwieram drzwi kabiny, żeby uklęknąć. Trish kupiła trzy różne rozmiary, mówię, mam nadzieję, że któreś z nich będą pasować. Patrzy na mnie pytająco. Naprawdę?, pyta. Naprawdę, tak właśnie zrobiła, odpowiadam. Zaczyna popłakiwać. Wkładam mu pierwszą parę i zdaje się, że jego zdaniem pasuje idealnie. Potem naciągam mu bluzę z kapturem. Wychodzimy razem. Obejmuje mnie jedną ręką. Trzymam go za dłoń i przytrzymuję mu spodnie w pasie, żeby nie spadły.

Trish czeka na nas na zewnątrz – kupiła mu kanapkę – i schodzimy po schodach na fotele, które zajmowaliśmy wcześniej. Nasz wspólny marsz dodaje ojcu siły lub przypomina jego mięśniom, jak należy się poruszać, więc kilka ostatnich kroków stawia sam,

choć ciągle przytrzymuję mu spodnie. Siada. Może poruszać rękoma. Odzyskał równowagę.

Idę kupić ci pasek, mówię.

A potem chodźmy już lepiej do bramki, dodaje Trish.

Sprawdzam czas, żeby obliczyć, jak długo już tutaj jesteśmy – na lotnisku. Wracam myślami do kierowcy mikrobusu – tego, który śnił o żonie. Niedługo wrócę, mówię, za dziesięć, góra dwadzieścia minut.

Ojciec mojego ojca zginął podczas ofensywy w Ardenach – albo w Malmedy, albo w St. Vith – i kiedy po zwiedzeniu Moguncji wjechaliśmy do Belgii, tata postanowił odwiedzić oba te miasta. Wjechaliśmy w Ardeny z Koblencji, po długiej nocnej podróży. Tego dnia zjedliśmy rano bardzo obfite śniadanie w hotelu. Było to śniadanie kontynentalne, ale byliśmy jedynymi gośćmi w restauracji i właściciel dosiadł się do nas, opowiadając o historii Koblencji. Zamówiliśmy więc jeszcze kiełbaski i bekon, trochę smażonych ziemniaków i mnóstwo keczupu. Plus piwo na kaca. A właściciel zdecydował, że wszystkim nam dobrze zrobi sznaps. Poprosiliśmy go o rekomendacje – chodziło o interesujące miejsca w okolicy. Odpowiedział, że w okolicy nie ma nic bardziej interesującego od Koblencji. To zabawne. Wszyscy ludzie, których spotykaliśmy nad Renem, powtarzali nam, że jedynym godnym zobaczenia miejscem nad rzeką jest ich rodzinne miasto. Na przykład, będąc w Kaub, zapytaliśmy właściciela pensjonatu, dokąd

powinniśmy pojechać, na co odrzekł, że Kaub jest najciekawszym, najpiękniejszym i najbogatszym pod względem historycznym miejscem w środkowogórnym biegu Renu. Ludzie, których poznawaliśmy i z którymi piliśmy, mówili to samo o Walluf, Eltville, Kiedrich, Bingen i Sankt Goar. W istocie rzeczy wszystkie te miasteczka i wsie były piękne, bo Ren jest piękny. Wspięliśmy się, a raczej ja wspiąłem się po schodach na skałę Lorelei i w oślepiająco jasnym świetle dnia obejrzałem słynne zakole rzeki. Przyglądałem się zielonej górskiej dolinie oraz błękitnemu niebu i miałem wrażenie, że cofam się przez stulecia. Widziałem migrujące plemiona germańskie, przybywające z bawarskiej przełęczy. W tym miejscu się zatrzymywały, wędrując wzdłuż górskich pasm i północnych granic Cesarstwa Rzymskiego. Nie miały już dokąd pójść dalej. Zbierały się tutaj i zamieszkiwały ten teren, zaludniając dolinę Renu. Następnego dnia prawie nie mogłem chodzić – tak bolały mnie łydki. Wspinaczka schodami zajmuje niemal pół godziny. Przez pierwsze pięć minut biegłem, a odcinek przed samym szczytem pokonałem niemal na czworakach. Spotkałem się z ojcem w kawiarni w punkcie widokowym Lorelei – dojechał tam samochodem – i wypiliśmy po kieliszku musującego wina.

Objechaliśmy zamki wzdłuż Renu. Ojciec rozmawiał z niektórymi kustoszami, a jeśli kustoszy nie było, ze

sprzedawcami w sklepach z pamiątkami. Poświęciłem sporo czasu na dotykanie kamiennych murów, pukanie w drewniane bramy, wspinanie się na wieże. Rozmawiałem po niemiecku z kelnerami i kelnerkami. Rozmawiałem po niemiecku z innymi turystami zwiedzającymi Nadrenię, choć o tej porze roku nie było ich zbyt wielu. Jeździliśmy w kółko po okolicach doliny Renu i dwa razy przeprawiliśmy się przez rzekę promem – ot tak, tylko po to, żeby zobaczyć, jak prezentuje się oglądana z wody dolina. Od czasu do czasu przychodziła mi do głowy myśl, że Miriam mogłaby umrzeć miesiąc albo dwa później, bo wówczas wszystko tonęłoby w kwiatach, górskie stoki pokryłyby się świeżą zielenią, a w barach byłoby pełno ludzi. W Koblencji – w mieście, gdzie kończy się środkowy bieg Renu – płynęliśmy gondolą do ujścia Mozeli. Była to gigantyczna gondola, unosząca się wysoko nad wodą, kołysząca się lekko na wietrze i płynąca do wielkiej twierdzy na wysokiej skale. Potem zjedliśmy obiad i poszliśmy do heavymetalowego nocnego klubu – jedyne miejsce, gdzie byli jacyś ludzie. Oderwaliśmy się na chwilę od muzyki nadawanej w radiu, choć po dwóch godzinach w klubie i kilku piwach grana tam muzyka zaczęła brzmieć identycznie jak ta radiowa.

Naszym pierwszym przystankiem za Koblencją była mała wioska Kesternich, gdzie – jak powiedział tata – stoczono praktycznie już zapomnianą, lecz bardzo

ważną bitwę wygraną przez Amerykanów. Droga z Koblencji do Kesternich prowadzi po równinach, przez pola, jest długa i wąska, obsadzona po obu stronach drzewami i przypomina nieco, jak sądzę, rolnicze okolice stanu Iowa. Byłem zbyt zmęczony, by jechać szybko. Po poprzedniej nocy bolała mnie głowa. Autostrada z Koblencji była dosyć męcząca, pełna wielkich ciężarówek, z dużym nasileniem zbyt szybkiego ruchu, postanowiłem więc ukoić nerwy, jadąc z dozwoloną prędkością, a nawet o dziesięć do piętnastu kilometrów na godzinę wolniej. Wyprzedzały nas wszystkie samochody, część nawet trąbiła, bo jechałem za wolno, na co machałem ręką i dziękowałem za troskę. Zatrzymywałem się, by zapalić papierosa. Jesteś w stanie prowadzić, synu?, dopytywał się ojciec. Jasne, odpowiadałem. Po drodze tata wyjaśniał mi znaczenie Kesternich. Ofensywa w Ardenach była ostatnią dużą bitwą wojny przed zdobyciem Berlina, a zwycięstwo na froncie zachodnim nadal nie było pewne. Gdyby zwyciężyli Niemcy, wojna mogłaby trwać znacznie dłużej. Niemcy chcieli Antwerpii. Front ciągnął się przez sto mil, a jego północnym zwornikiem miało być, zdaje się, Kesternich i pobliskie Simmerath. Siedem dni walk oraz wiele ofiar i jeńców skomplikowało w znacznym stopniu sytuację Niemców. Przegrana tutaj bitwa oznaczała, że północny zwornik frontu przeniesie się daleko na południe, co dawało Amerykanom

miażdżącą przewagę. Zanim ojciec skończył opowiadać tę historię, miałem ochotę wysiąść z auta i pójść do miasta na piechotę. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale po trzech dniach historii średniowiecza – historii tak pozarastanej i w przeważającej mierze niezapisanej, niemal niewidocznej – liczyłem chyba na jakiś pomnik, mauzoleum poległych w walce i nienaruszone pole bitwy. Ale Kesternich to ciągle Niemcy, to pokonane miasteczko – bardzo zawstydzone i ciche. Nie było w nim nic do oglądania. Na obrzeżach wyobraziłem sobie, jak to mogło wyglądać: domy oddzielone od siebie połaciami ziemi, rozrzucone zabudowania gospodarcze, piechota poruszająca się po cienkiej warstwie śniegu. Ale kiedy wjechaliśmy do miasta, czar prysł, a ojciec powiedział: No, cóż... Na przedmieściu natknęliśmy się na wielkie centrum handlowe. Mnóstwo parkingów, magazyny pełne narzędzi, przyborów biurowych, taniej żywności, mebli, elektroniki, sprzętu i tym podobnych. Nigdy nie potrafiłem wyobrazić sobie liczebności populacji obsługiwanej przez takie miejsca. W całym Kesternich jedyne, jak się wydaje, miejsce, w którym można było coś zjeść, znajdowało się w tym centrum handlowym, a konkretnie w okropnej, pomarańczowo-brązowej kafeterii w głębi sklepu z narzędziami. Niedawno zjedliśmy obfite śniadanie, ale doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie, jeśli jeszcze coś zjemy. Myśleliśmy

raczej o zdrowej żywności, ale ponieważ nie znaleźliśmy niczego zdrowego, zamówiliśmy gulasz. Gulasz śmierdzał dymem z papierosów. Chłopak za ladą śmierdzał dymem z papierosów i wyglądał tak, jakby usmażono go w tym samym tłuszczu, co nieapetyczne, śmierdzące papierosami frytki. Ojciec zrobił się z tego wszystkiego żółty na twarzy. Zżółkłeś, powiedziałem. Spojrzał na mnie i odrzekł: Sam zżółkłeś. Chcę coś zjeść mimo wszystko, mruknąłem. Droga na zachód z Kesternich opadała stromo i cudownie – najpierw ku gęstym lasom, by zagłębić się w dolinie rzeki Ruhr, ku której zjeżdżało się wąską serpentyną po stoku, co było niebezpieczne, choć nie dlatego, że droga była wąska, ale z tej przyczyny, że serpentyny pojawiły się nagle po stu kilometrach w miarę równej drogi przez pofałdowane tereny rolnicze. Stok był gęsto zalesiony. Nie pamiętam, czy drzewa były zielone czy brązowe, ale było ich całe mnóstwo, a na dworze zrobiło się ciemno. Było tak ciemno, że po raz pierwszy podczas tej podróży zdjąłem okulary przeciwsłoneczne za dnia. Zatrzymałem się na szerszym kawałku pobocza przy zakręcie, żeby rozprostować nogi, odetchnąć i pogodzić się z faktem, że droga nie biegnie już prosto. Cholera, ja poprowadzę, wyrwało się ojcu. Ale się nie poruszył, a ja i tak nie pozwoliłbym mu usiąść za kółkiem. Myślałem wówczas, że musimy zrobić sobie wolny wieczór, pójść do kina i położyć się do

łóżka na trzeźwo. Zjechaliśmy na dół i dotarliśmy do miejscowości Monschau, która okazała się tak pięknie położoną na uboczu, niezwykle czarującą, staromodną wioską – wyglądała jakby była atrapą – że zatrzymaliśmy się w niej i zjedliśmy obfity lunch, wygrzewając się w słońcu. Siedzieliśmy na tarasie przy moście naprzeciw kościoła, nad pryskającym wodą wąskim strumieniem Ruhr, a tata wytłumaczył mi, że wioska ta powstała w jedenastym lub dwunastym wieku i że to tutaj – mniej więcej na południe od miejsca, w którym siedzieliśmy – przesunięto północny odcinek frontu ofensywy, kiedy Kesternich padło.

Tu, na północy, mówił, Niemcy rozlokowali najlepszą jednostkę bojową na Zachodzie – 6. Armię Pancerną. Walki toczyły się od tego miejsca – północnego odcinka frontu – do Bastogne na południu, a nawet w Luksemburgu. Niemcy odnieśli największe sukcesy na środkowym odcinku frontu, przebijając się przez St. Vith. Przypuszczam, powiedział, że właśnie tam zginął mój ojciec. Albo w Malmedy.

Nigdy nie opowiadałeś o swoim ojcu, zauważyłem.

Nie znałem go na tyle dobrze, by mieć o nim jakieś zdanie, odpowiedział.

Ale musisz mieć jakieś wspomnienia.

Niewiele, odrzekł.

Był inteligentny?

Był lekarzem.

Był dobrym człowiekiem?

Dla mnie? Dla mnie był nikim. Stosował przemoc wobec matki.

Przemoc? Przemoc fizyczną?

Tak, w stosunku do matki. W efekcie, chcąc okazać jej szacunek, nigdy nie okazywałem, że ojciec jest dla mnie ważny. Śledziłem jego losy, ale kiedy czułem, że zbliżam się do odpowiedzi, przerwałem poszukiwania, odłożyłem wszystko na bok i więcej już się nad tym nie zastanawiałem.

Trudno w to uwierzyć, stwierdziłem.

Doprawdy? Dlaczego?

Nie byłem w nastroju do kłótni. Tata reagował w bardzo dziwny sposób na bliskość miejsca, w którym zginął jego ojciec, co było dla mnie dość irytujące, bo tak łatwe do przewidzenia. Chciałem tylko powiedzieć, dodałem, że trudno mi uwierzyć, że była bita przez męża. Wydawała się silną kobietą, wojowniczką, pokonała wszystkie trudności, żeby dostać się z tobą do Ameryki. Wciąż nie wiem, jak tego dokonała. Nigdy o tym nie mówiliście – ani ty, ani ona.

No cóż, odrzekł, nigdy nie pytałeś.

Pieprzenie, rzuciłem. O takie rzeczy nie trzeba pytać.

Usiłował przywołać kelnerkę. Nie wiem, z jakim powodzeniem, bo patrzyłem prosto na niego, czekając na odpowiedź. Przez chwilę przyglądał się swoim dłoniom na kolanach. A potem powiedział: Matka miała bogatą przyjaciółkę w Ameryce, w Kalifornii.

Szkolną koleżankę, która wyjechała po wojnie do Ameryki, żeby poślubić amerykańskiego żołnierza. Ten żołnierz był bogaty i przysłał pieniądze matce i dwóm innym kobietom, żeby przyjechały do Kalifornii. Pozostałe nie popłynęły za ocean. Nie wiem, co się z nimi stało. Przekonałem mamę, żebyśmy pojechali. Była bardzo krucha i przygnębiona. Straciła wszelką nadzieję i chwilami miałem wrażenie, że wołałaby, żebym wziął pieniądze i pojechał sam. Nie chciała wyjeżdżać z Niemiec, zostawiać swojej matki i ruszyć w nieznane bez męża, nawet tak brutalnego jak mój ojciec. Wielokrotnie prawie się poddawała, przysiadła na jakichś schodach albo na krawężniku i milczała. W podróży spędziliśmy ze sobą wiele strasznych godzin. Zdarzały się dni, kiedy musiałem na nią krzyczeć. Kiedyś ją nawet uderzyłem. Oddała mi – spuściła mi prawdziwe lanie. Więc pewnie dlatego nigdy ci o tym nie mówiliśmy.

Przyszła kelnerka z rachunkiem, zapłacił, wstał i zaproponował, żebyśmy pojechali dalej. Popsuł nam obu nastrój. Ale dzień był tak ładny, że kiedy wsiedliśmy do samochodu i w świecącym zbawiennie słońcu ruszyliśmy krętą drogą, pnącą się wysoko w górę doliny Ruhr, zapomnieliśmy o wszystkim, zapomnieliśmy o trudach, którym stawiał czoło wraz z matką i zapomnieliśmy o ludziach, których losy wytapiały się w tyglu tych trudów, a ojciec powiedział: Być może wiesz, a być może nie wiesz, że wyzwolenie

St. Vith jest jednym z najśłynniejszych epizodów II wojny światowej, po części za sprawą modlitwy ułożonej przez generała Pattona, w której prosił on Boga o czyste niebo, by móc zbombardować Niemców. Potem ojciec opowiadał trochę o mieście i o walkach, które się w nim toczyły. Kiedy usłyszałem słowo „wyzwolenie”, wyobraziłem sobie dziewczyny w spódniczkach i chustach na głowach, rzucające tulipany na czołgi i dżipy, choć przecież wiedziałem od ojca, że po alianckim bombardowaniu miasto legło w gruzach, więc nie było w nim żadnych dziewczyn, które mogłyby nosić spódniczki i chusty, a także ani jednego tulipana. Spodziewałem się kilku pomników na cześć alianckich żołnierzy, którzy tu zginęli, a także pozbawionych gustu żywych dowodów pamięci w sklepach z pamiątkami w postaci strzelających iskrami czołgów albo barów o nazwie Wuj Sam, gdzie na ścianach wiszą fotografie wszystkich Amerykanów, którzy zawitali tu od czasów wojny, a przed zamknięciem co wieczór grają Springsteena. Rzeczywiście, znaleźliśmy tu kilka pomniczków na cześć tych, którzy walczyli i zginęli w okolicach St. Vith. Wszystkie one były gustowne, choć jakby nie na miejscu, bo brakowało im uduchowienia czy raczej, by tak rzec, wyczuwalnej w St. Vith upiorności. Nie było jednak żadnych amerykańskich barów ani sklepów z pamiątkami. Po drodze do St. Vith przejeżdżaliśmy przez Malmedy, które leży w górach,

a centrum miasteczka jest pełne wąskich, krętych uliczek, które wznoszą się i opadają pod ostrym kątem. To czarujące miejsce i z łatwością można sobie wyobrazić toczące się tutaj walki – dom po domu, krwawy koszmar. St. Vith zupełnie nie przypomina Malmedy. St. Vith jest szpetne i sterylne. Ma charakter satelickiego przedmieścia, podobnie jak Kesternich z tym centrum handlowym na obrzeżach miasta. Ojciec delectował się zwykłością tego miejsca, jego nijakością. Miasto ciągnęło się bezsensownie, całymi milami, wzdłuż wpadających doń i wychodzących zeń arterii, tak jak amerykańskie miasta i miasteczka. Może przed wojną przypominało bardziej Malmedy. Nie widziałem żadnych zdjęć, ale kobieta z informacji turystycznej zapewniała nas, że przedwojenne St. Vith zupełnie nie przypominało swojej obecnej postaci. Zapytaliśmy ją o informacje o wojnie, o ówczesny wygląd miasta i o toczące się w nim walki. Odpowiedziała nam, że w informacji turystycznej się tego nie dowiemy. Ma informacje o piwie, winie, jedzeniu, trasach turystycznych, spa, restauracjach i robieniu zakupów. Poradziła nam, abyśmy spotkali się z miejscowym historykiem. Nazywał się Klaus Klausner. Dała nam mapę, przekazała garść informacji i zaznaczyła na mapie muzeum Klausera. U góry mapy widniał napis w czterech językach: St. Vith – nigdy niesyt! Mówiła po niemiecku. Wszyscy w okolicy mówili po niemiecku, choć byliśmy w Belgii,

natomiast nikt nie mówił specjalnie dobrze po angielsku. Muzeum Historyczne St. Vith – w którym pracuje pan Klauser, stojący również na czele miejscowego towarzystwa historycznego – szczyci się biblioteką, obejmującą dziesięć tysięcy woluminów i około pięćdziesięciu tysięcy dokumentów, archiwaliów i meldunków, powiedziała kobieta. Bieżąca wystawa, dodana, poświęcona jest nazistowskiej okupacji St. Vith. Jeśli ojciec miał kiedykolwiek potwierdzić miejsce i okoliczności śmierci swojego ojca, nie mogliśmy trafić lepiej. Kobieta zapewniła nas, że pan Klauser może rozmawiać godzinami na temat wojny. To taki ujmujący człowiek, tak bardzo, bardzo ujmujący. O mało się nie rozpląkała, podkreślając jego walory. Odwiedzimy go na pewno, powiedziałem, i przekazemy mu pozdrowienia od pani. Ojciec nie był pewien. Lokalni historycy!, parsknął. Jest w nich coś przerażającego. Coś bardzo przerażającego. I miał rację. Przespacerowaliśmy się do muzeum. W dół wzgórza, obok kościoła, przez olbrzymi parking, na duże zielone pole. Muzeum mieściło się w starej stacji kolejowej. Spacer zajął nam pięć minut, a tata przez całą drogę szedł z rękoma w kieszeniach. Kiepski pomysł, powtarzał, bardzo kiepski pomysł.

Zastanawiałem się, czy wyglądaliśmy groźnie i urzędowo, jak woźni sądowi z Kafki, bo kobieta w recepcji muzeum o mało nie zemdlała, kiedy jej

powiedziałem, że przyszliśmy do pana Klausa Klausera. Nie zapytała nas nawet o nazwiska. Poczerwieniła, zaczęła się pocić i pobiegła do pobliskich drzwi, żeby zapukać. Jej reakcja była bardzo dziwna, coś kazało jej przed nami uciec, więc spojrzałem na ojca i powiedziałem: Dziwne. Wzruszył ramionami i odrzekł: Przeróżające, przeróżające miejsca i przeróżający ludzie. Recepcjonistka zniknęła za drzwiami. Po kilku sekundach wyłoniła się zza nich brygada mężczyzn. Ojciec westchnął. Zaczął nawet masować skronie. Herr Klauser?, zapytałem. Mężczyzna w środku – w drucianych okularach, z krótko przyszyżonymi kasztanowosiwymi włosami – kiwnął głową. Powiedziałem mu, że przysyła nas kobieta z informacji turystycznej. Przeprosiłem, że mówię po angielsku i przeszedłem na niemiecki. Pokusiłem się o żart, mówiąc o uczuciach informacji turystycznej do pana Klausera, lecz widać mój niemiecki nie był na tyle giętki, by rozbawić lokalnego historyka i jego entourage. Gdyby Klauser przyjął nas sam w gabinecie, moglibyśmy z nim usiąść, odprężyć się i zwyczajnie porozmawiać. Lecz jego świta w tym maleńkim muzeum – muzeum, którego nikt nie odwiedzał – składająca się zapewne z lokalnych historyków i personelu administracyjnego, stworzyła napiętą atmosferę impasu. Chcieli się prawdopodobnie dowiedzieć, czego chcemy, dlaczego przyszliśmy niezapowiedziani i skąd wiemy, że należy

pytać o pana Klausera. Nasze wyjaśnienia, mówiące o kobiecie z informacji turystycznej, zostały z jakiegoś powodu z góry odrzucone. To było zupełnie nieprawdopodobne. Jedyna bliska prawdy odpowiedź, jakiej mogłem im udzielić, brzmiała, że przyszliśmy tu bez powodu, przejeżdżając przez miasto, licząc na pogawędkę przy kawie lub piwie. W mojej wyobraźni lokalni historycy byli ludźmi gotowymi rzucić wszystko, żeby porozmawiać przy piwie z przyjezdnymi. Zdaje się, że ojcu odechciało się już pytać o swojego ojca. A ja nie miałem, jak mi się wydaje, prawa pytać w jego imieniu, nie chciałem też mówić przy wszystkich, że mój ojciec stracił prawdopodobnie ojca, nazistowskiego oficera, podczas bitwy o to miasto, szczególnie, że rany zadane podczas okupacji zostały otwarte na nowo za sprawą bieżącej wystawy. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to kłamstwo: No cóż, powiedziałem, piszę książkę o tej okolicy, przewodnik turystyczny, nic wielkiego, i byłem ciekaw, czy mógłbym się czegoś dowiedzieć o toczących się tutaj walkach. Świta Klausera rozbiegła się, mamrocząc coś pod nosem. Klauser wyglądał na zajętego. Nie przeprowadzimy odprężającej pogawędkę. Chodźmy stąd, rzucił ojciec. Ale Klauser powiedział: Mam coś, co może pana zainteresować. Zaprowadził nas do biblioteki, która służyła również za biuro muzeum. Stał tam duży prostokątny stół, przy którym zasiedli mężczyźni

otaczający wcześniej Klausera. Za stołem ciągnęły się daleko dziesiątki półek pełnych książek. Gospodarz zniknął między półkami na dobrą minutę, a my staliśmy nad mężczyznami przy stole, którzy piorunowali nas wzrokiem. Klauser wrócił z dwoma opasłymi tomami. Tylko to mamy po angielsku, powiedział. Każdy z tych tomów był gruby na stopę albo i więcej i liczył parę tysięcy stron drobnym drukiem, choć z wieloma ilustracjami. Usiądźcie panowie, powiedział. Nie musicie się spieszyć. Byłem zbyt skonfundowany, żeby przyznać, że nie mam zamiaru przeprowadzać żadnych studiów, że nawet gdybym rzeczywiście przyjechał tutaj z zamiarem prowadzenia poważnych badań, wolałbym usłyszeć od niego krótkie wprowadzenie lub ogólny zarys sytuacji, niczym generał albo prezes zarządu, który nie ma czasu na pierdoły. Ojciec usiadł, bo musiał odpocząć, po czym otworzył książkę, udając, że ją przegląda. Klauser zwrócił się do pozostałych zgromadzonych w bibliotece z propozycją kontynuowania omawiania budżetu. Wrócili do dyskusji. Podeszła do nas jakaś kobieta i powiedziała nienaganną angielszczyzną: Gdybyście chcieli panowie coś skopiować, proszę dać mi znać. Ojciec zapytał ją: Czy jest tu w okolicy jakaś dobra pizzeria? Kobieta otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, ale Klauser przyłożył palec do warg i wydał z siebie dźwięk: Ciiiiiiiiiiii. Ojciec opadł na oparcie krzesła. Zaczął zachowywać się jak

niegrzeczny uczeń w szkole. Parę razy pyknął policzkiem *pyk pyk pyk*, uderzając w niego palcem. Podniósł ołówek i postawił go na czubku palca, balansując nim dla utrzymania równowagi. Ołówek spadał raz po raz na blat stołu. Zignorowano to. Przeglądałem z grzeczności tomiszczę. Oczekałem dokładnie pięć minut, po czym poprosiłem kobietę, żeby skopiowała mi z książki trzy strony. Lecz sprawa nie była taka prosta, gdyż w kopiarce skończył się toner i należało wymienić kasetkę, więc Klauser musiał znów przerwać zebranie i otworzyć szafkę z materiałami biurowymi. Był wściekły na kobietę. Poczula się upokorzona i przeprosiła nas, za to wydarła się na Klausera. Kiedy wychodziliśmy, podziękowałem zebranych za wyrażenie zgody na przerwanie ważnego posiedzenia. Uśmiechnęli się, odpowiedzieli, że cała przyjemność po ich stronie i wyrazili nadzieję, że znaleźliśmy tu informacje przydatne do książki. Prosimy o jej przysłanie!, powiedzieli. Klauser wstał i serdecznie uścisnął mi dłoń, jakbyśmy właśnie skończyli pić piwo. Miał przy sobie jakąś broszurę, którą mi dał. Przedstawione w niej muzeum, powiedział, Musée National d'Histoire Militaire, czyli Państwowe Muzeum Historii Wojskowości w Diekirch w Luksemburgu, powinno pana bardziej zainteresować. Ojciec wyszedł z sali. Herr Klauser, powiedziałem, mój ojciec też jest historykiem. To znaczy, był.

Doprawdy? Czy ja go znam?

Nie sądzę, odpowiedziałem. Ale przedstawiłem ojca z nazwiska.

Obawiam się, że to nazwisko nic mi nie mówi, odpowiedział Klausner.

Jego ojciec zginął prawdopodobnie w tym mieście, dodałem.

Spojrzał na mnie surowo. Zraziłem go do siebie. Być może bał się, że poproszę go o jakąś przysługę. W końcu odrzekł: Zginęło tu wielu ludzi.

Tata nie miał siły, by wspiąć się na powrót na strome wzgórze, usiadł więc na huśtawce na pustym placu zabaw, a ja poszedłem po samochód. Kiedy po niego przyjechałem, powiedział: To zabawne, ale całe życie zawodowe tego pana obraca się wokół tego maleńkiego muzeum, historii tego miasta i jego okolic – miasta, którego nie byłoby nawet na mapie, gdyby nie wojna. Nagle pojawia się dwóch ludzi, którzy chcą z nim porozmawiać o jedynej rzeczy, na której się prawdopodobnie dobrze zna, o wojnie, a on ma zebranie budżetowe! Tak, krótko mówiąc, przedstawia się kariera lokalnego historyka, zakończył. Dokąd teraz?, zapytałem. Bóg jeden wie, odpowiedział.

A co powiesz na to muzeum w Diekirch?

A co tam jest?

Odtworzyli tam w dioramach sceny batalistyczne, spójrz.

Podaliśmy ojcu broszurę, a on rzucił: Jezu Chryste,

ależ to ohydne!

I takie okazało się w istocie, choć nie było ohydne w sposób, którego się spodziewaliśmy, ja przede wszystkim, gdyż wyobrażałem sobie, że mieści się ono w piwnicy jakiegoś starego szaleńca, który uważa się za weterana wielu wojen toczonych w wielu stuleciach i kładzie się spać w hełmie, z bojowymi granatami przy pasie. Z drugiej strony muzeum przypominało jednak piwnicę szaleńca, bo powstało z prywatnych zbiorów, lecz zbiory te były obszerne, uporządkowane i wyczerpujące. Poczuję smutek, gdy przyglądałem się żałosnym, przerażającym, sztucznym dioramom, przechodzącym jedna w drugą, co nadawało im wskutek nużących powtórzeń groteskową czy raczej wywróconą na nice realność. Zacząłem od parteru, nie mając pojęcia, jak kolosalną zajmuje przestrzeń. Stałem przed dioramą – wszystkie były w skali jeden do jednego – przedstawiającą niemieckich żołnierzy w bunkrze. Dwóch z nich zajmowało się radiem. Trzeci parzył kawę. Po spiralnych schodach przy kamiennej ścianie obok dioramy schodziła grupa ludzi mówiących po angielsku. Przewodnikiem był Amerykanin. Rodzinna wycieczka składała się z Anglików. Przewodnik, który okazał się jednym z założycieli muzeum, opowiadał im jego historię. On i dwaj inni kolekcjonerzy połączyli zbiory, tworząc największą na świecie kolekcję pamiątek po II wojnie światowej. To fascynujące, wyrażał z zapałem swoje

przekonanie Anglik. Brakowało nam tylko przestrzeni wystawienniczej, ciągnął założyciel, a rząd luksemburski okazał się na tyle uprzejmy, że oddał nam to miejsce, które bardzo nam się podoba. Wtrąciłem się do rozmowy. To wspaniała przestrzeń, powiedziałem. Spojrzeli na mnie niepewnie i poszli dalej. Miałem szczęście, że zeszli po tych schodach, bo kiedy zobaczyłem je po raz pierwszy, myślałem, że są przeznaczone tylko dla personelu. Nie zdawałem sobie sprawy, że muzeum ma wiele poziomów. Nie wiem, skąd wzięło mi się to dziwne założenie, bo przecież budowla z zewnątrz była niewątpliwie duża, ale z drugiej strony wydało mi się mało prawdopodobne, żeby ktoś zdołał wypełnić tak olbrzymią przestrzeń tyloma takimi samymi mundurami, bronią i pojazdami. Muzeum miało bowiem sześć poziomów: dwa pod i trzy nad ziemią. Każdy był ciągnącą się w nieskończoność serią nawrotów i zakrętów, dużych pomieszczeń, małych pomieszczeń, scen dziennych i nocnych, rozgrywających się na dworze i we wnętrzach, podczas bitew i odpoczynku. Tylko parter był dobrze oświetlony, a reszta muzeum znajdowała się w półmroku. Nie było okien, co stwarzało wrażenie, że nie powinno się tutaj być, że muzeum jest zamknięte. W broszurze stwierdzano, że dioramy ilustrują techniczną i logistyczną ewolucję sił zbrojnych zwaśnionych stron, co moim zdaniem było wynikiem złego tłumaczenia z francuskiego lub

luksemburskiego albo posługiwania się kiepskim angielskim przez jakiegoś Luksemburczyka. Stwierdzano dalej, że muzeum zachowuje wielki szacunek i wdzięczność na poziomie narodowym dla wszystkich żołnierzy, którzy zginęli podczas wyzwania Luksemburga, przede wszystkim po stronie amerykańskiej. Co więcej, muzeum, jako miejsce spotkań alianckich i niemieckich weteranów, stało się propagatorem i mediatorem pojednania poprzez swoje zaangażowanie na scenie europejskiej i światowej. Prowadzone są tu warsztaty dla dzieci, służy więc ono jako ośrodek edukacyjny. Przy wejściu, na dużym stojącym ekranie, pokazywano powiększoną wersję oficjalnego listu w języku luksemburskim wraz z angielskimi, francuskimi i niemieckimi tłumaczeniami w kolumnach obok pisma, w którym stwierdzano, że władze Luksemburga uznały to muzeum za instytucję pożytku publicznego. W samym muzeum brakowało jednak miejsca dla takich pojęć, jak szacunek, wdzięczność, pojednanie, pożytek publiczny czy edukacja. Zamiast tego oferowano tu pozorny dreszcz udawanego zaangażowania i udawanego kształcenia. W jednej z sal był snajper na wysokim słupie telefonicznym. Oczywiście w sali nie umieszczono całego słupa, tylko jego górną, trzecią część. W tej sali natknąłem się na tatę. Rozdzieliliśmy się przy wejściu – jak to w muzeum. Znalazłem go wpatrzonego w snajpera. Hej, powiedziałem. Hej,

odrzekł. Co to?, zapytałem. Snajper, odpowiedział. Podniosłem głowę. Niczego nie zauważyłem, tylko skrawki metalu i liście. Ale po chwili wypatrzyłem go! Wow!, ale jest dobrze zamaskowany, zachwyciłem się. Masz kluczyki?, zapytał ojciec, chyba muszę pójść odpocząć. To bardzo dziwne muzeum, prawda?, zapytałem. Z pewnością tak, odparł, ale ja mam już dość.

Staliśmy dopiero na parterze. Ojciec wyszedł, a ja zostałem. Znalazłem olbrzymią salę z dioramą amerykańskich żołnierzy, maszerujących za dżipami w śniegu. Ściany były czarne, a światła przygaszone, z wyjątkiem rozproszonego sztucznego światła księżycy, w którym lśniły białe okrycia żołnierzy. Brnęli przez sięgający im do kolan śnieg. Pochylali się, jakby maszerowali pod wiatr. A wokół tej rozbudowanej na środku pomieszczenia sceny, pod ścianami, znajdowały się mniejsze dioramy. Na jednej z nich odtworzono sceny z kuchni polowej. Na innej przedstawiono żołnierzy wypychających z błota i śniegu wóz bojowy piechoty. W wozie tłoczyli się żołnierze, pozostali otaczali go ze wszystkich stron, a oficer i podoficerowie próbowali znaleźć wyjście z sytuacji. Na twarzy każdego żołnierza malował się jakiś wyraz. Artysta nadał im oblicza. Oblicza wyrażające, co oznacza maszerowanie w głębokim śniegu ze zmarzniętymi nogami, albo co oznacza bycie spragnionym, albo co oznacza potrzeba skorzystania

z latryny, albo co oznacza tęsknota za domem, albo próba rozwiązania problemu, albo strach, albo odwaga. Tyle, że wyraz twarzy każdego z tych żołnierzy nie był jednoznaczny. I tak żołnierz gotujący fasolę w kuchni polowej musiał iść do latryny, a oficer rozwiązujący problem grzęznącego w błocie koła był wyraźnie przestraszony. Sprawiało to, że każda ze scen – o zdumiewająco wysokim poziomie szczegółowości – wydawała się niespójna, a nawet upiorna. Scena w śniegu znajdowała się na drugim poziomie i uznałem ją za najważniejszą z całej wystawy, tym bardziej że znajdowała się na okładce broszury, ale potem odkryłem jeszcze z tuzin równie wspaniałych przedstawień. Poszedłem na samą górę i trafiłem na scenę żołnierzy strzelających z haubic i dział przeciwlotniczych. Schodząc na dół, znalazłem wiele sal, które przeoczyłem, idąc na górę. Kiedy zszedłem na parter – nie zajrzawszy nawet do dwóch podziemnych poziomów – trafiłem na korytarz, który zaprowadził mnie do pomieszczenia wielkości lotniczego hangaru. Znajdowało się w nim wszystko, co nie zmieściło się w muzeum. Poczułem się trochę jak bohater filmu science fiction w scenie, w której przechodzi on przez jakąś służbę i odkrywa skalę zła obcego imperium – miejsce, gdzie trzymają miliony albo dziesiątki milionów ludzkich ciał i tak dalej. Stały tu haubice, czołgi, bojowe wozy piechoty, ciężarówki, dżipy, wozy strażackie, samochody, samoloty, bomby,

pociski i inne uzbrojenie, pojemniki z gazem, łopaty, moździerze, hełmy, miotacze płomieni i mnóstwo innych rzeczy zgromadzonych razem w pomieszczeniu, które mogłoby pomieścić ze dwa samoloty pasażerskie. Nie było tu jednak żadnych dioram. Wyszedłem. Czułem się nieco zawstydzony tym, że tak mnie to wciągnęło i kiedy po kilku godzinach od rozstania z ojcem, gdy muzeum już zamknięto, zapukałem w szybę okna pasażera, za którym tata spał w nocnych ciemnościach, zapytał mnie, gdzie byłem, a ja okłamałem go i powiedziałem, że wybrałem się na spacer po Diekirch. Trafiłeś na coś interesującego w tym ogromie?, zapytał, kiedy usiadłem obok niego, przekręciłem kluczyk i włączyłem nawigację satelitarną. Wieczór był ciepły, więc opuściłem szybę, żeby wywietrzyć zaduch z auta. W zasadzie tak, odpowiedziałem. Widziałem ciekawy list napisany przez żołnierza. Rozpoznali go na fotografii i skontaktowali się z nim. Nazywał się Roy Lockwood i w liście opisał swoje wojenne doświadczenia, powiedziałem. Roy Lockwood, powtórzył wolno ojciec, jakby to nazwisko powinno mu coś mówić. Tak czy inaczej, dodałem, list był ciekawy. No cóż, odrzekł tata, cieszę się.

Diorama z Royem Lockwoodem mieściła się pod ziemią. Sama scena nie była nadzwyczajna czy choćby inna od pozostałych – dwaj żołnierze na stanowisku ogniowym w okopie. Jeden odpoczywał, a drugi

obsługiwał karabin maszynowy. Odpoczywającym był właśnie Lockwood. Przed tą sceną stała gablota, w której pokazywano za szkłem napisany na maszynie list z odręcznymi poprawkami. Światło padające na list było tak słabe, że nie zakłócało granatowych ciemności samej sceny. Obok listu leżała fotografia. Sfotografowano na niej scenę odtworzoną w dioramie. Większość scen zrekonstruowanych w muzeum odtwarzano z fotografii. To była ostatnia zwiedzana przeze mnie sala i już miałem z niej wyjść, kiedy postanowiłem przeczytać ten list. Zapoznałem się z nim raz, a potem drugi. Przeczytałem go wiele razy. Potem sfotografowałem list telefonem, a później, tego samego wieczoru przed kolacją, przepisałem list do notesu. Roy Lockwood napisał go 14 listopada 1982 roku, odpowiadając na list, w którym pytano go o fotografię i jego wspomnienia z walk w tym rejonie. Pisał: „Proszę mi wybaczyć opóźnienie, z jakim odpowiadam na list z 3 sierpnia 1982 roku. Informuję, że jednostka wojskowa, w której służyłem, to była Kompania G 320. Dywizji Piechoty, 35. Dywizji, 3. Armii. Siedzę z lewej strony karabinu maszynowego”.

List ma tylko jedną stronę, ale Roy wyjaśnia w nim, że na fotografii jest jeszcze jego przyjaciel Jack McFarland, który po niemieckim kontrataku obsługiwał karabin maszynowy kalibru 30. Jack McFarland zmarł wiosną 1982 roku, a Lockwood był ostatnim żyjącym członkiem obsługi karabinu

maszynowego, liczącej sześciu żołnierzy.

Dalej pisał: „Co się tyczy miast, obok których się znaleźliśmy w tamtym czasie, to ich nie pamiętam, bo przez ponad trzydzieści dni przebywaliśmy nieustannie na ostrym mrozie, nie mając możliwości ukrycia się w jakichś zabudowaniach czy w stodole. Byliśmy bez przerwy na pierwszej linii ataków i kontrataków. Jeśli chodzi o moje wspomnienia z ofensywy w Ardenach, to toczyliśmy zacięte boje z Niemcami i walczyliśmy o życie. Najgorszy był ostrzał artyleryjski, zarówno niemiecki, jak i nasz własny, mierzony za krótko. Były to bardzo brutalne i rujnujące nerwy doświadczenia. Żołnierze, którzy tam byli, nazywali to Białym Bożym Narodzeniem i Nowym Rokiem w Białym Piekło”.

Lockwood wyjaśnia dalej, że w sylwestra żołnierze wznosili toasty za własną śmierć. „Jedźcie, pijcie i weselcie się, chłopaki, bo jutro wszyscy umrzemy! Wielu z nich zginęło. Dochodziło do walki wręcz, a w tej krwawej godzinie zmagania żołnierze zasługiwali na swoje wzajemne uznanie za umiejętności i odwagę”.

Dalej pisał tak: „Nastały takie straszne mrozy, że okopy były okolone ścianą lodu, woda zamarzała w manierkach, a sanitariusze nosili krew pod pachami, żeby ją ogrzać, ale i ten okres miał swoje piękno! Lśniący krystalicznie śnieg przywierał delikatnie do gałęzi, krzaków i drutów telefonicznych, jakby

rozsypany ręką Boga. Podczas kilku roziskrzonych od słońca dni niebo było bardziej błękitne od oceanów. Myśliwce eskortujące, niczym niewidzialne igły, ciągnęły po błękitnym niebie na arktycznych wysokościach puchatą białą nić smug kondensacyjnych. Potem nadlatywały bombowce w formacji klina, migocząc na jasnoniebieskim firmamencie jak maleńkie krzyżyki z macicy perłowej. To dawało nam nadzieję, że bombardowania Niemiec zakończą wreszcie tę straszliwą wojnę!”

Między nocą w okopach a napisaniem listu przez Lockwooda minęło trzydzieści osiem lat, kolejne trzydzieści między napisaniem listu a moją wizytą w muzeum. Wreszcie Lockwood napisał: „Kończąc, proszę o przekazanie moich najlepszych życzeń i wyrazów szacunku dla wspaniałych mieszkańców Luksemburga, którzy witali nas tak przyjaźnie w tych ciężkich czasach. Z poważaniem, Roy Lockwood”.

Tamtą noc spędziliśmy w mieście Luksemburg. Luksemburg leży blisko Diekirch, z którego wygonił nas pewien SUV. Zajechałem mu drogę, a on jechał potem za nami, czekając, aż się zatrzymam, żeby zamienić ze mną słowo, ale ja nie miałem zamiaru przystanąć. Ojciec nie wiedział, co się dzieje. Pytał bez przerwy: Dlaczego jedziesz tak nerwowo? W Luksemburgu poszliśmy na obiad do restauracji w pobliżu hotelu. Zapytałem ojca, czy następnego dnia pojedziemy do Akwizgranu, zobaczymy Karola

Wielkiego i wrócimy do Berlina. Zaczynałem odczuwać wielkie zmęczenie. Choć przez cały czas chciało mi się jeść, przestałem czuć smak tego, co jadłem. Ojciec zastanawiał się nad moją propozycją. A może pojechalibyśmy na koniec do jakiejś naprawdę przyjemnej restauracji, prawdziwie godnej zapamiętania, z kilkoma gwiazdkami Michelina?, zasugerował. Paryż jest za daleko, jeśli chodzi o powrót do Berlina, powiedziałem. Myślałem o Brukseli, odrzekł. Jasne, mruknąłem. Dobrze, ucieszył się, znajdziemy pięciogwiazdkowy hotel i przez jedną noc będziemy żyć jak królowie. Dobrze wiesz, powiedziałem, że Bruksela to w gruncie rzeczy zadupie. Słyszałem, odrzekł, że jest dosyć nudna, ale jesteśmy w Luksemburgu – czy może być coś nudniejszego od nocy w tym mieście? Do obiadu wypiliśmy po kilka kieliszków wina i nagle nie mogłem się opanować i przeczytałem ojcu list Lockwooda z notesu. Słuchał uważnie. Poprosił mnie, żebym przeczytał go drugi raz. Potem w połowie trochę spochmurniał i poprosił, żebym przestał. Siedzieliśmy, milcząc przez długą chwilę. Byliśmy w białej restauracji, z białymi obrusami i kelnerami w białych fartuchach i krawatach koloru ciemnego burgunda. Sala była wypełniona w połowie. Jadłem wieprzowy boczek. Tata zamówił wegetariańskie risotto. A kiedy skończyliśmy główne danie, zamówiliśmy grappę, a potem deser – ja wziąłem crème brûlée, a ojciec

ciemnoczekoladowy torcik z sosem truskawkowym. Nie mogłem wstać od stołu z przejedzenia. Tata zapowietrzył się i brał głębokie oddechy między kęsami. *Morze Debussy'ego*, powiedziałem, nie jest kompozycją realistyczną i dlatego odnosi takie sukcesy. Ojciec musiał odetchnąć kilka razy, zanim zapytał: Co masz na myśli? Chodzi mi o to, odpowiedziałem, że z pewnością nie jest to kompozycja mimetyczna, jest to bez wątpienia utwór abstrakcyjny i nie mówi o morzu. Więc o czym mówi?, zapytał. O muzyce, rzecz jasna, odpowiedziałem, i innych artystycznych przedstawieniach morza. Zatem mówi jednak o morzu, odparł. Umyka ci sedno sprawy, mruknąłem. Uważam, że przekombinowujesz, odrzekł.

Byliśmy zmęczeni, a rausz, którym delektowałem się podczas pierwszej części obiadu, został zniwelowany przez nadmiar jedzenia. Prawie nigdy nie jadam deserów, więc kiedy to robię, rośnie mi brzuch, czerwienieję na twarzy i często mi się odbija. Ojciec zamknął oczy. Nadeszła kelnerka. Zamówiłem dla nas po jeszcze jednej grappie i espresso. Potem dodałem: Dwa podwójne espresso.

Kiedy kelnerka odeszła, ojciec otworzył oczy i powiedział: Wiesz, że kiedy Schönberg zjawił się w końcu w Hollywood, błagał producentów, żeby pozwolili mu napisać muzykę do filmu? Nie wiedziałem o tym, odrzekłem. Cóż, to prawda. Przed

wyjazdem z Berlina zamienił się w muzycznego faszystę, a kiedy dotarł do Hollywood, został tenisistą. Koniec końców wszyscy ci europejscy uchodźcy – ci kompozytorzy, których tak bardzo podziwiasz – pisali głównianą muzykę do głównianych hollywoodzkich produkcji, sprzedając się jeden po drugim, opływając w mamonę i upokorzenia i delektując się sławą. Schönberg nie mógł tego udźwignąć, nie mógł znieść, że wykluczono go z przyszłości muzyki. Zażądał pięćdziesięciu tysięcy dolarów – czyli miliona w przeliczeniu na dzisiejszą walutę – za skomponowanie muzyki do filmu. Zażądał pełnej kontroli. Ale w gruncie rzeczy chodziło mu tylko o pracę w filmie. Zignorowali go. Wysłał im błagalny list, prosząc o powtórne rozważenie oferty. Nigdy mu nie odpowiedzieli.

Ojciec odwrócił głowę i wytarł twarz grubą, białą, płócienną serwetką. Kelnerka podała ostatnie grappy i kawę, a tata powiedział: Stwierdzam oficjalnie, że za dużo pijemy. Zgodziłem się z nim.

Kiedy wróciliśmy tego wieczoru do hotelu, poczułem się nadzwyczajnie otrzeźwiony rozmową. Choć skarżyliśmy się na zmęczenie i pijaństwo, byłem rozbudzony i trzeźwy. Włączyłem telewizor i zrobiłem sobie kąpiel. Założyłem ciemne okulary. Zszedłem do hotelowej recepcji i poprosiłem o ostry nóż. Kobieta za recepcyjną ladą zapytała: Duży czy mały? Mały, odpowiedziałem, ale ostry. Przyniosła mi z kuchni

ząbkowany nóż do steków. Doskonały, powiedziałem, bardzo pani dziękuję. Wróciłem na górę i wszedłem do wanny. Woda parzyła. Zanurzałem się bardzo powoli. Najpierw zamoczyłem podeszwy stóp, potem stopy do kostek, potem nogi do kolan i tak dalej. Całkowite zanurzenie się w wannie zajęło mi dziesięć minut, po których przez dłuższy czas brakowało mi tchu. Podniosłem nóż z posadzki obok wanny i ścisnąłem go w prawej dłoni. Mój notes leżał na wąskim gzymsie przy wannie, więc włożyłem go do ust. Zagryzłem grzbiet zeszytu, zacisnąłem notes w zębach. Potem, lewą ręką, wyciąłem kawałek ciała z boku brzucha. Ścisnąłem palcami bok i zacząłem kroić. Zrobiłem głębokie nacięcie, ale nie dałem rady ciąć głębiej. Bolało bardziej, niż mogłem sobie wyobrazić, o mało nie przegryzłem notesu, żeby nie wrzasnąć. Myślałem: Jeśli zdołam wyciąć choćby funt, tylko funt ciała, będę oczyszczony. A może myślałem, że jeśli dam radę zrobić duże nacięcie – na tyle duże, by odciągnąć szeroko skórę po obu stronach – zdołam przez chwilę, zanim ból stanie się nieznośny, doświadczyć rzeczywistości życia mojego ciała, a doświadczywszy jej, wyeliminować na zawsze tajemnicę tego, kim jestem oraz co i jak postrzegam – ponieważ ta tajemnica jest tak wielkim bólem, że warto przetrwać mniejszy ból, żeby ją unieszkodliwić. Ale, rzecz jasna, wszystko to było nie do zniesienia od samego początku. Woda w wannie stała się jasnoczerwona.

Wyszedłem z wanny. Pochylenie się, skręcanie, wstawanie było męką. Wytarłem się. Z rany lała się krew. Zapaliłem papierosa. Łazienka wypełniła się wilgotnym dymem podobnym do dymu z mokrego ogniska – było to zupełnie nielogiczne. Potem zadzwoniłem do recepcji i poprosiłem o zestaw pierwszej pomocy. Kobieta zapytała mnie, czy doszło do wypadku, odpowiedziałem: Owszem, chyba tak. Po kilku minutach rozległo się pukanie do drzwi. Byłem nieubrany. Okręciłem biodra wąskim ręcznikiem, który nasiąkał krwią. Otworzyłem drzwi, a recepcjonistka krzyknęła coś po luksembursku, co, jak przypuszczam, oznaczało: Pan krwawi! Naprawdę krwawiłem. Bardzo mocno, więc powiedziałem: Dlatego proszę o zestaw pierwszej pomocy. Musi pan jechać do szpitala, zawyrokowała. Nie muszę jechać do szpitala, odpowiedziałem. Zostanie pan ukarany grzywną za palenie i będzie pan musiał zapłacić za zniszczone ręczniki, proszę oddać mi nóż. Oddałem jej nóż. Podała mi zestaw pierwszej pomocy – z bandażami i środkami odkażającymi. Przeprosiłem ją za kłopot, wytłumaczyłem coś niespójnie o wyciągnięciu drzazgi i zapewniłem ją, że rana nie jest tak poważna, na jaką wygląda. Wyszła.

W minibarze stało kilka butelek mocnego alkoholu. Wypaliłem jeszcze parę papierosów – i tak mieli mnie ukarać, więc parę papierosów więcej nie zrobi różnicy. Mogłem otworzyć okno, ale podobał mi się efekt

zadymienia. Minęło trochę czasu, zanim z rany przestała łać się krew. Przetarłem ranę środkiem odkażającym, to znaczy miejsce wokół rany, i przekonałem się, że wcale nie była głęboka. Jej głęboka część była naprawdę maleńka, a reszta była powierzchownym nacięciem. Wróciłem do wanny – woda wciąż była różowa i nadal ciepła. Włożyłem rękę do wody, żeby odnaleźć gumowy korek przywiązany do łańcuszka, i wyciągnąłem go, po czym znów wyszedłem z wanny. Założyłem sobie opatrunek z bandażu i paliłem papierosy w łóżku, dopóki nie usnąłem, oglądając francuski thriller polityczny z luksemburskimi napisami. Blizna miała kształt półksiężyca i zdałem sobie sprawę, że gdybym był młodszy o dwadzieścia lat, blizna zniknęłaby po kilku miesiącach czy roku, ale teraz zostanie mi na zawsze.

Ciągle boli. Ale tylko wtedy, kiedy o niej myślę. Mam na niej opatrunek, który zmieniam każdego dnia. Przemywam ją alkoholem, pozwalam jej wyschnąć i zastrupięć po prysznicu, a potem o niej zapominam. Czasem mnie swędzi, ale jeśli przypomnę sobie, co mnie swędzi i dlaczego, nie muszę się drapać. Ale jeśli o tym zapomnę, drapię się, a wtedy znów zaczyna krwawić i wyglądam jak ktoś postrzelony lub dźgnięty nożem. Ojciec nic nie powiedział. Myślę, że wie, ale przypuszczam również, że uznał, iż przeżywa koszmar i boi się tego, co jeszcze może wydarzyć się w tym koszmarze, jeśli zacznie o tym mówić. Przez cały

tydzień krzychał przez sen. Ja też, jak sędzę. Budzę się bardziej zmęczony niż wtedy, kiedy kładę się spać.

Wchodzę do sklepu z elektroniką, aparatami fotograficznymi i sprzętem. Z zewnątrz sklep ten przypomina miejsce, do którego wpada się szybko po słuchawki, ale gdy wejdzie się do środka i skręci za róg, a potem za następny, klient uświadamia sobie ogrom tego salonu. Sprzedaje się tu rzeczy, których zazwyczaj nie kupuje się na lotnisku – przynajmniej ja tego nie robię – takie, jak płaskoekranowe telewizory, komputery stacjonarne i czajniki. Zatrzymuję kogoś z obsługi i pytam: Mówi pan po angielsku? Mruga do mnie. Jest trochę ciastowaty, ma okulary w drucianej oprawce i zmierzwione krótkie włosy, a do tego krótko przystrzyżoną kozią bródkę, która jakby nie pozwala rozpaść się jego twarzy – jest jak szew na jego grubym podbródku. Podejrzewam, że ma około dwudziestu lat i widzę, że uznaje mnie – mężczyznę w ciemnych okularach – za jakąś absurdalną postać. Oczywiście, odpowiada, czym mogę służyć? Potrzebuję dźwiękochłonnych słuchawek, mówię. I cyfrowej lustrzanki, i dużego szerokokątnego obiektywu.

Doskonale, odpowiada.

I jeszcze laptopa.

Zerka w kierunku narożników sufitu – myśli, że to jakiś żart i że ktoś go nagrywa.

Laptop, powtarzam, i słuchawki, i cyfrowa

lustrzanka.

Odwracam się. Tuż przede mną stoją cyfrowe dyktafony. Pokazuję najdroższy. I ten cyfrowy dyktafon też, mówię. Kosztuje jakieś trzysta euro. Ma 8GB pamięci, co oznacza, że może pomieścić sto dwadzieścia godzin albo trzy miesiące nagrań. Oprócz tego ma wbudowaną ładowaną baterię. Chłopak pyta: Do czego będzie pan tego używał? Dlaczego pan pyta?, rzucam. Bo może pan kupić równie dobry dyktafon za znacznie niższą cenę, odpowiada, z nieco mniejszą pamięcią.

Po co mi mniejsza pamięć?, pytam retorycznie.

Jest pan dziennikarzem?

Mój syn jest, odpowiadam.

Chłopak przywołuje gestem współpracownika. Ten rusza powoli w naszą stronę i po drodze prawie wdaje się w rozmowę z innym klientem, ale mój opiekun gwizdże i pogania go. Mówię mu, że potrzebuję dwóch par słuchawek. Jednej naprawdę dużej i dźwiękochłonnej oraz drugiej do uszu, żeby zastąpić te gówniane słuchawki, które dostałem wraz z telefonem. Widzę siebie, powiadam mu, w tych dużych słuchawkach w samolocie i w domu, a te mniejsze potrzebne mi są do miasta albo do biegania i tak dalej. Zna się pan na słuchawkach?, pyta. Nie, odpowiadam. Jakiej muzyki pan słucha? Country and western, odpowiadam. Hm, mruczy. Przeszukuję półki. Widzę dwie najdroższe marki – mniej więcej w tej

samej cenie. Z tych dwóch, pytam, które są lepsze? To bardzo dobre słuchawki, odpowiada, ale nie są warte tak wysokiej ceny, te tutaj zapewniają podobne wrażenia, a są znacznie tańsze. Które mają największe możliwości?, pytam. Największe możliwości?, powtarza. Podnoszę więc pudełka leżące na dole półki i zaczynam porównywać opisy. Nie znam się na firmach produkujących najdroższe słuchawki, co dodaje mi otuchy. Wybieram słuchawki wyposażone w coś, co nosi nazwę „head tracking”. Biorę również drogie słuchawki douszne. Przechodzimy do aparatów. Po drodze pokazuję kilka drobiazgów i proszę, żeby wrzucono je do mojego wózka. Biorę laserowy wskaźnik i spieniacz do mleka. Przy aparatach pomaga mi inny przedstawiciel obsługi, a mój pierwszy opiekun stoi obok. Trzeci członek personelu przygląda się nam z daleka. Inni klienci czekają. Mogę panu polecić, zwraca się do mnie chłopak przy półce z aparatami, Canona 600D. To bardzo dobry aparat z doskonałą funkcją nagrywania filmów HD. Jest bardzo szybki i lekki. Chcę EOS 1, mówię. Niestety nie mamy tutaj aparatów EOS 1. Mój opiekun mówi coś po niemiecku do sprzedawcy aparatów, który dodaje: Najdroższy aparat, jaki mamy, to Canon 5D. Czy ma największe możliwości?, pytam. Canon 5D ma wiele, wiele możliwości, odpowiada. Chciałbym też do niego obiektyw, mówię. Obok wystawy z aparatami stoi pięć dużych obiektywów

w plastikowych futerałach. Który z nich panu odpowiada?, pyta sprzedawca. Rzucam mu zniecierpliwione spojrzenie, na co reaguje, wskazując jeden z obiektywów i mówiąc: Ten obiektyw jest najdroższy i ma największe możliwości.

Wspomniał pan też o laptopie, przypomina mój opiekun.

Tak. Dla syna. Wezmę też czytnik e-booków i tablet.

Pański syn będzie uszczęśliwiony, kiedy pana zobaczy.

Mój syn mną pogardza, odpowiadam.

Chłopak unosi ręce dłońmi do góry, jakby chciał powiedzieć: Nie można mieć wszystkiego.

Proszę obsługę sklepu elektronicznego o dostarczenie wszystkiego do mojej bramki, z wyjątkiem dużych słuchawek, które od razu zawieszam sobie na szyi. Do widzenia wszystkim!, mówię. Odpowiadają unisono: Do widzenia. Wychodzę ze sklepu. Podłączam słuchawki do telefonu. Przeglądam muzykę, którą mam w aparacie. Żadna nie ma odpowiedniego nastroju. Chcę posłuchać klasycznego rocka, rapu, a nawet country. Przeglądam utwory dostępne w sklepie internetowym i kupuję wszystko jak leci. Piosenki ładują się dosyć szybko i po kilku sekundach pojawia się pierwsza z nich. Przez chwilę kroczę dumnie. Potem ktoś dzwoni. Trish. Słuchawki mają wbudowany mikrofon, więc odbieram połączenie i rozmawiam z powietrzem.

Hej, Trish, mówię.

Minęło dwadzieścia minut. Minęło ponad dwadzieścia minut. Wszystko w porządku?

Wszystko w porządku, będę u was za dwie minuty.

Może podejdziemy do bramki i spotkamy się przy niej?

Nie idźcie sami, zaczekajcie na mnie, to nie potrwa długo.

Jakaś kobieta gapi się na mnie. Opuszczam wzrok i widzę, że krwawię. Niezbyt mocno, ale koszula jest już do niczego. Podnoszę połę koszuli, żeby sprawdzić, jak źle to wygląda. Źle. Będzie mi potrzebny nowy opatrunek. Będzie mi potrzebna nowa koszula. Musiałem rozdrapać bliznę, kupując elektronikę. Kobieta, która mi się przygląda jest lekko przerażona. Mówię Trish, że muszę kończyć. Idzie pan do nas?, pyta. Mamy jeszcze godzinę!, odpowiadam.

Zatroskany podróżny, Amerykanin, zaczepia mnie i pyta, czy nic mi nie jest. Próbuje podnieść mi koszulę, żeby sprawdzić, co krwawi, ale nie chcę, żeby mnie dotykał. Co się dzieje?, pyta Trish. Mówię Amerykaninowi, że wszystko ze mną w porządku. Ale nagle czuję, że coś jest nie tak, bo czuję się bardzo osłabiony. Muszę kończyć, Trish, mówię, zaraz u was będę. Klękam na podłodze. Zdejmuję słuchawki z uszu. Informuję zgromadzonych, że nic mi nie jest. Wypadek na rowerze, mówię. Podnoszę koszulę, unoszę opatrunek i pokazuję Amerykaninowi bliznę, bo, jak

się obawiam, wezwie ochronę, jeśli tego nie zrobię. Blizna, jak podejrzewam, wygląda trochę jak po wypadku na rowerze. Potrzebuje pan opieki medycznej, mówi. To stara blizna, odpowiadam, absolutnie nic mi nie dolega. Sądzą mnie. Trzęsę się. Próbuję wyobrazić sobie coś do jedzenia, ale w głowie mam tylko obraz wyżerania nieczystości pod blizną na moim ciele. Wydaje mi się, że śnię – w chmurach, w szarym niespokojnym mroku – a moje ciało rozpada się, jest rozrywane na strzępy. Pozostaję w takim stanie przez dobrą chwilę. Ukłucie głodu jest silne i przynosi mdłości, a krwawienie sprawia, że mdłości są podwójnie zabagnione. Przez chwilę wydaje mi się, że umrę, a w momencie, w którym opuszczam mrok, ból i mózół – jakbym pojawił się na błękitnym przejrzystym niebie – zdaję sobie sprawę, że chciałbym zostawić jakąś część siebie w tym bólu na zawsze, zostawić siebie na zawsze w tej idei umierania, ale potem wszystko się kończy, całkiem kończy i szybuję w błękitnym spokojnym powietrzu nad chmurami, przepełniony żalem i marnością. Trwa to przez kilka minut. Dochodzę do siebie. Wstaję. Stoję i sprawdzam stan blizny, która już nie krwawi. Mam przy sobie jakieś chusteczki higieniczne i upycham je przy ranie. Przyklepiają się do niej. Przygląda mi się parę osób. Kupuję butelkę wody. Wypijam parę łyków. Zakładam słuchawki na uszy i wchodzę do sklepu z męską odzieżą, gdzie kupuję ładną, szarą, zapinaną

na guziki, garniturową koszulę. Potem kupuję kilka innych koszul. Potem rozglądam się i widzę kilka eleganckich garniturów. Nie są zbyt drogie, jakieś tysiąc euro za jeden, kupuję więc cały zestaw. W rozmiarze czterdzieści cztery. Granatowy garnitur. Czarny garnitur. Szary garnitur. Brązowy garnitur. Dopasuję je u krawca w domu. Okażę się gościem, który jeździ półciązarówką ojca w garniturze za tysiąc dolarów, co znaczy wiele dla ludzi z mojego miasteczka. Nie zdejmuję słuchawek nawet przy kasie. Nie patrzę na dziewczynę przy kasie. Pakuję wszystko do dwóch dużych toreb. Idę do toalety i przebieram się. Wkładam nową koszulę i zostawiam ją rozpiętą do połowy brzucha, a na nią marynarkę. Wracam do ojca i Trish.

Miriam przyjechała do Londynu tylko raz, kiedy tam mieszkałem. Nie powiadomiła mnie, że przyjeżdża. Przysłała mi wiadomość, że jest w mieście, ale prawdopodobnie nie będzie mogła się ze mną spotkać. Nie odpisałem jej, bo uznałem tę wiadomość za upokarzającą – kto pisze do brata, że jest w mieście, a potem dodaje, że nie będzie miał czasu, żeby się z nim spotkać? Ale po dwóch dniach dostałem kolejną wiadomość, w której poinformowała mnie, że jest bardzo chora i mogę przyjechać do jej hotelu. Działo się to w czasach, kiedy wciąż rozkręcałem firmę i uczyłem się wieczorami do MBA.

Pojechałem na drugi koniec miasta, żeby się z nią

spotkać. Padało. Gdyby dała mi wcześniej znać, że przyjeżdża, zarezerwowałbym dla niej trochę czasu i zabrał ją do muzeów, na lunch, obiad, gdziekolwiek. Często myślałem w Londynie o Miriam i chciałem się z nią zobaczyć, dlatego poczułem się rozczarowany tym, że przyleciała do miasta, ale zabrakło jej czasu dla brata. Teraz jednak, ponieważ o niczym mnie nie uprzedziła, byłem poirytowany tym, że musiałem rzucić wszystko i jechać się nią zająć. Byłem zawałony robotą. Pracowałem bez wytchnienia, potem studiowałem, przypuszczałem, że grozi mi załamanie nerwowe, jeśli tylko zatrzymam się i przyjrzę się tempu, w jakim żyję. Ale kiedy zjawiłem się w tym hotelu, przekonałem się, że jest naprawdę chora, że potrzebuje kogoś, kto się nią zajmie. Pukałem do drzwi kilka razy. W końcu otworzyła, ale nie przywitała się, tylko obróciła się na pięcie i wróciła do łóżka. Hotel był zatęchły, zimny, tani i z kiepskim widokiem z okien. Okno w jej pokoju otwierało się na mur sąsiedniego budynku. Oba budynki dzieliła mała odległość. Miriam wsunęła się pod kołdrę i zamknęła oczy. Dotknąłem jej czoła. Była naprawdę rozpalona. Jest źle?, zapytała. Musisz pójść do lekarza, powiedziałem. Nie każ mi teraz wychodzić, szepnęła. Dałem jej rozpuszczalny paracetamol. Usiadłem przy niej. Po jakichś dwudziestu minutach doszła nieco do siebie. Zaróżowiły się jej policzki. Rozjaśniły oczy. Dobrze wyglądasz, powiedziałem, jak na tak chorą.

Wcale nie przesadzałem. Miała normalną figurę, przytyła nawet jakieś dwadzieścia funtów od czasu przeprowadzki do Berlina i moim zdaniem było jej z tym bardzo do twarzy. Miała długie włosy. Zerknąłem na zegarek. Była dziesiąta rano.

Dzięki, że przyszedłeś, powiedziała.

Pójdziemy do lekarza, mruknąłem.

Pozwól mi trochę odpocząć.

Co robisz w Londynie?

Och, to takie głupie, myślałam, że dostanę pracę, ale to było oszustwo, wydałam wszystkie pieniądze na tę podróż, jestem taka głupia.

Spojrzała na mój płaszcz, dwurzędowego szarego macintosha z dużymi, ostro zakończonymi klapami. Pod płaszczem miałem szary garnitur, sweter i krawat. Właśnie tak sobie ciebie wyobrażałam, powiedziała. Wyglądasz bardzo elegancko.

Usnęła na chwilę, a ja siedziałem na jej łóżku, kończąc jakąś pracę. Nagle zaczęła jęczeć i rzucać się. Próbowwała naciągnąć kołdrę na głowę, ale nie mogła, bo na niej siedziałem. Obudziła się, ale zdołała tylko wykrztusić: Zimno mi, zimno, zimno. Wszedłem więc pod kołdrę i przytuliłem ją bardzo mocno. Od razu zacząłem się pocić, bo była rozpalona. Jednocześnie drżała. Szczękała zębami. Zamarznę, powiedziała. Kiedy trochę jej się polepszyło, spakowałem jej rzeczy do walizek. Wynosisz się stąd, powiedziałem. Musiałem pomóc jej się ubrać. Pomogłem jej wciągnąć

spodnie i koszulę na podkoszulek. Jej bagaż był ciężki. Zapakowała mnóstwo rzeczy. Ona sama też była dosyć ciężka. Wymeldowałem ją, zapłaciłem za hotel, zamówiłem taksówkę i zawiozłem ją prosto do mojej lekarki rodzinnej, która przepisała jej jakieś antybiotyki. Zajrzała do gardła Miriam i powiedziała: No, tak, źle to wygląda. Potem pojechaliśmy do mnie. Pierwszej nocy czuła się fatalnie, więc położyłem ją we własnym łóżku, a sam spałem na dywaniku w salonie, bo sofa była za krótka, żeby się na niej wyciągnąć. Temperatura skakała jej do czterdziestu jeden stopni, a przy każdym takim skoku wołała mnie. Przynosiłem jej paracetamol, kładłem się obok niej i tuliłem ją, żeby było jej ciepło. Kiedy paracetamol zaczynał działać, a gorączka opadała, zrzucała z siebie kołdrę i rzucała się na łóżku, pocąc się i usiłując znaleźć suche miejsce, w którym mogłaby usnąć. Następnego ranka znacznie jej się polepszyło. Była zmęczona, nie mogła wstać, nie wiedziała, co się z nią dzieje, ale temperatura utrzymywała się na równym poziomie. Została u mnie nieco ponad tydzień. Nie jadła, co w tamtym czasie wydawało mi się normalną reakcją na tak ostrą infekcję. Przynosiłem jej jedzenie z barów i wypożyczałem mnóstwo filmów, które oglądaliśmy w komputerze. Wziąłem wolne w pracy. Był to prawdopodobnie najlepszy tydzień, jaki spędziłem w Londynie. Jednym z powodów, dla których tak bardzo polubiłem to mieszkanie i spędzam w nim tak

wiele czasu, jest wspomnienie odwiedzin Miriam. Chciałem pokazać jej okolicę, szczególnie Columbia Road w niedzielę, kiedy nieczynne są stragany z kwiatami, ale nie miała siły, żeby pójść na spacer. W końcu postanowiła wrócić do domu. Kupiłem jej bilet. Zawiozłem ją na Gatwick i wsadziłem do samolotu do Berlina.

Cztery czy pięć lat po tym spotkaniu wysłałem jej maila z pytaniem, czy nie zobaczyłaby się ze mną w Kolonii. Leciłem tam na konferencję marketingową. Odpowiedziała, że nie ma czasu. Więc zadzwoniłem do niej. Będę tam przez trzy dni, dlaczego nie chcesz przyjechać? Możesz zatrzymać się w moim pokoju w hotelu. Pochodzimy po mieście, urwę się z paru debat, załatwię nam bilety do filharmonii, namawiałem ją. Nie wyrwę się stąd, nie mam czasu, odpowiedziała. Urwę się ze wszystkich debat, nie pójde na konferencję, kupię ci bilet na pociąg. Nie mogę, przepraszam, odrzekła. Tylko na jeden dzień – przyjedziesz po południu, zjesz ze mną obiad i wrócisz nocnym pociągiem do domu, kupię ci bilet w pierwszej klasie, żebyś mogła spać. Nie, nie mogę, odpowiedziała. Już chciałem dać za wygraną, już chciałem powiedzieć: Ok, ok, wygrałaś, ale zagrały we mnie emocje i powiedziałem coś zupełnie nieoczekiwanego. Powiedziałem: Jestem samotny, Miriam, naprawdę samotny. Dzwoniłem do niej gdzieś z miasta, jechałem przez miasto do biura klienta

i myślałem sobie, że minęło blisko pięć lat, odkąd ją widziałem i prawie nic się nie zmieniło – to znaczy, wiele się zmieniło, ale nie na lepsze.

Przyjechała do Kolonii na jedną dobę – dzień i noc. Dotarła tuż przed lunchem. Padał śnieg. Pojechałem taksówką na dworzec. Konferencja trwała już od dwóch dni i była stratą czasu. Mówiono o współpracy z przedsiębiorcami w celu rozpoznania, stworzenia lub wykorzystania pojawiającej się możliwości biznesowej, ale nie byłem w stanie dłużej tego znieść. Pierwszego wieczoru był późny obiad, a potem drinki do bladego świtu. Następnego dnia byłem bardzo zmęczony, przetrwałem wczesne debaty, zjadłem duży lunch, dociągnąłem do połowy popołudnia i poszedłem spać do hotelu. Usnąłem o wpół do piątej, przed zmrokiem, więc naturalnie obudziłem się wcześnie, w środku nocy, i niecierpliwie oczekiwałem Miriam. O czwartej rano zszedłem do lobby, wyjąłem laptopa i zacząłem pracować. Jacyś uczestnicy konferencji pojawili się pijani. Byłem wśród nich poprzedniej nocy, ale w lobby panował półmrok, więc mnie nie poznali. Potem znów ucichło. Około siódmej poczułem zmęczenie, wróciłem więc do pokoju, wypłem kawę rozpuszczalną i zacząłem oglądać BBC World News, a kiedy poczułem, że z całą pewnością zaraz usnę, postanowiłem wyjść z hotelu. Znalazłem się na dworcu kolejowym niemal trzy godziny przed przyjazdem pociągu Miriam. Wybrałem się więc na

spacer w śniegu, nad Ren. Przyglądałem się, jak śnieg pada na Ren. Potem wróciłem na stację. Spotkałem Miriam na peronie. Miałem dla niej croissanta i kawę – kupiłem je w dobrej piekarni, a nie na dworcu. Wysiadła. Pomachałem do niej. Była w czarnym płaszczu i czarnych śniegowcach i miała małą walizkę na kółkach. Kiedy podeszła bliżej, zauważyłem, że jej twarz bardzo wyszczupłała. Z jeszcze mniejszej odległości przekonałem się, że od czasu naszego ostatniego spotkania znacznie się postarzała – nie o pięć, a raczej o dwadzieścia lat. A potem zdałem sobie sprawę, że jest wyniszczona. Pociąg był pełen – zbliżał się karnawał, o czym nie wiedziałem, zapisując się na konferencję – a na peronie pojawiło się mnóstwo imprezowiczów, ubranych w lśniące kostiumy z cekinami i kapelusze z piórami. Mieli też pomalowane twarze. Śpiewali jakieś piosenki i cuchnęli piwem. Miriam zatrzymała się tuż przede mną. Otoczył nas nieprzejmujący się niczym tłum. Położyła mi dłonie na twarzy i powiedziała: Mój biedny duży braciszek. Tulilem ją przez długą chwilę. Myślałem, że nie będzie mi smutno, ale było mi smutno. Już, już, powiedziała. Kiedy ją wypuściłem z objęć, nie rozmawialiśmy więcej o mojej samotności. Podałem jej croissanta i kawę. Wzięła kawę – która była czarna – i powiedziała, że mogę zjeść croissanta. Wsiadliśmy do taksówki przed dworcem. Ruszyliśmy. Byłem naprawdę szczęśliwy, widząc Miriam, ale nagle

nie miałem jej zbyt wiele do powiedzenia.

Kolonia jest ładna, oznajmiła.

Jesteś tu pierwszy raz?

Tak.

Masz na coś ochotę?

Nic konkretnego, odpowiedziała.

Co zajmuje cię tak bardzo w Berlinie?

Robię dyplom z żywienia, odpowiedziała.

Podoba ci się Berlin?

To prawdopodobnie jedyne miejsce, w którym stać mnie na życie.

Ciągle śpiewasz?

Śpiewam?

Kiedy byłaś w Londynie, mówiłaś, że bierzesz lekcje śpiewu.

Och, nie, to było tymczasowe. A ty ciągle mieszkasz w tym samym miejscu?

Tak, ciągle w tym samym miejscu, odpowiedziałem.

Kurs z dworca do hotelu trwał bardzo długo. Na ulicach było pełno wlokących się pijanych pieszych, panował duży ruch. Śnieg padał na miasto, na światła miasta. Kiedy dotarliśmy do hotelu, było tam parę osób z konferencji. Kończyła się tego dnia, więc domyśliłem się, że część uczestników skróciła sobie ostatnie debaty i wyszła się napić. Jakiś mężczyzna, którego poznałem podczas pierwszej nocy w mieście, uniósł do mnie kciuk z drugiej strony lobby, widząc mnie z siostrą. Podejrzywałem, że chce do nas podejść

i wyciągnąć nas do miasta albo tylko się przedstawić, więc pospiesznie wsadziłem Miriam do windy i pojechaliśmy do mojego pokoju. Zdjęła płaszcz. Miriam, powiedziałem, jesteś bardzo chuda, nic ci nie jest? Nie chciała o tym rozmawiać. A ja nie chciałem na nią naciskać, bo bałem się, że sobie pójdzie. Ale nie potrafiłem ukryć zatroskania. Mam nadzieję, że ten kurs z żywienia uświadomi cię, jak niebezpieczne jest bycie tak chudym, powiedziałem. Nic mi nie jest, odrzekła. Jestem odmiennego zdania, mruknąłem. Powiedziała, że nie chce się kłócić, ale jeśli koniecznie chcę wiedzieć, to od czasu pobytu w Londynie zaczęła tracić na wadze, jadła coraz mniej i czuła się naprawdę wzmocniona, wyrzekając się apetytu, a kurs z żywienia był jej potrzebny do tego, żeby przekonać się, czy to wyrzeczenie się apetytu – które staje się coraz łatwiejsze z każdym pominiętym posiłkiem – da się utrzymać. Chcesz mi powiedzieć, że nie jesz, kiedy jesteś głodna?, zapytałem. Odparła, że nie ma zamiaru się tłumaczyć, a ja doszedłem do wniosku, że jeśli mamy spędzić ze sobą miło ten czas, muszę zmienić ton. Poszła do łazienki z jakimiś rzeczami, odświeżyła się i przebrała. Chyba zdrzemnąłem się przy telewizorze. Wyszła z łazienki w oliwkowo-czarnej sukience bez rękawów, pod którą miała szary golf, a do tego czarne rajstopy. Ładnie wyglądasz, powiedziałem, choć w gruncie rzeczy wyglądała na chorą. Miała kościste nogi i ramiona, a pod sukienką

wystawały jej chude łopatki. Dzięki, odpowiedziała. Naprawdę lubię tę sukienkę. Wstałem i ująłem ją za dłonie – bardzo szczupłe. Potem znów ją uściskałem i powiedziałem: Dzięki, że przyjechałaś. Czułem pod palcami wszystkie żebra na jej plecach.

Kiedy pojechałem do mieszkania Miriam po raz trzeci i ostatni – dzień przed, jak się okazało, wydaniem jej ciała – szukałem tej sukienki i znalazłem ją. Oparłem duże lustro o ścianę i przyłożyłem sukienkę do siebie. Była maleńka. Kiedy tak ją trzymałem, aż trudno było mi uwierzyć, że jest tak mała. Nie była już ani oliwkowa, ani czarna, i miała rękawy, i prawie w ogóle nie przypominała sukienki, którą zapamiętałem – ale byłem pewien, że właśnie tę miała na sobie, kiedy wyszła z łazienki w hotelowym pokoju w Kolonii. Później, kiedy wróciliśmy z miasta, udawałem, że śpię, podglądając, jak zdejmuje sukienkę. Oboje byliśmy mocno pijani. Leżałem na łóżku przy drzwiach do pokoju, a ona stała pod oknem – między drugim łóżkiem a dużym oknem, wychodzącym na miasto i katedrę. Rozbierała się nieporadnie. Zdjęła sukienkę i stała przez chwilę w szarym golfie. Wyglądała tak, jakby umierała. Miała ostro zakończone biodra, a na jej nogach wyróżniały się tylko stawy kolanowe. I wtedy upadła. Zerwałem się z łóżka. Wypiła tylko dwa kieliszki wina przy obiedzie, a później koktajl – ale okazało się, że to za wiele. Próbowałem ją ocucić. Otworzyła oczy. Chodź,

powiedziałem, usiłując ją podnieść. Będę spała na podłodze, wymamrotała. Nie zwróciłem na to uwagi. Ująłem ją jedną ręką za szyję i barki, a drugą wsunąłem pod biodra. Była lekka jak piórko. Zostaw mnie, powiedziała. Znów zignorowałem jej słowa. Wyprostowałem się z nią w ramionach. Co robisz?, zapytała. Nic nie odpowiedziałem, bo wszystko było oczywiste – kładłem ją do łóżka. Zostaw mnie, powtórzyła. Jesteś pijana, stwierdziłem. To co?, zapytała i zaczęła się wyrywać. Odwróciłem się, żeby położyć ją na łóżku, a ona wbiła mi paznokcie w twarz. Drapała mnie po policzkach i niemal trafiła w oko. Upuściłem ją. Rozległ się głośny stukot. Z nocnego stolika spadła lampa. Nie wiedziałem, co się stało. Dopiero po chwili pojąłem, że uderzyła głową w stolik. Wszystko dobrze?, zapytałem. Masowała sobie potylicę. Chciałem tylko położyć cię do łóżka, powiedziałem. Usiadła i poprosiła o wodę. Poszedłem do łazienki po szklankę, nalałem do niej wody z kranu i wróciłem. Spała w łóżku. Stałem nad nią przez chwilę, zastanawiając się, czy nie zrobiła sobie krzywdy i czy nie wezwać lekarza. Byłem wściekły. Nie rozumiałem, dlaczego nie pozwoliła mi się położyć do łóżka.

W berlińskim mieszkaniu Miriam, kiedy wróciłem do niego po raz trzeci i ostatni, wziąłem sukienkę, którą pamiętałem z Kolonii i usiadłem na krześle. Położyłem ją w poprzek na kolanach i wygładziłem zmarszczki. Było około piątej po południu. Dostałem

się jakoś do środka bez zaalarmowania Otisa. Może w końcu dotarło do niego, że wszystkie rzeczy z mieszkania Miriam należą już bezpiecznie do niego? Zorganizował spotkanie z ludźmi, którzy znali Miriam, a ja obiecałem, że oddam mu klucze. Mieliśmy spotkać się koło siódmej, gdzieś w pobliżu. Ojciec powiedział, że wpadnie później, prawdopodobnie z Trish. Popadł w kompletną apatię i mówił chorobliwie od rzeczy. Siedziałem na krześle z sukienką Miriam na kolanach przez niemal dwie godziny. Nie poruszałem się. Dwie godziny to chyba długo jak na siedzenie bez ruchu. Zaczęło robić się ciemno. Zadzwoił mój telefon. Dzwonił Sedat ze sklepu z antykami przy tej samej ulicy, przy której mieszkaliśmy. Odebrałem telefon. Powiedział, że jest na dole. Świetnie, odpowiedziałem. Kazałem mu nacisnąć przycisk domofonu i wpuściłem go do środka. Przypomniałem mu, żeby zachowywał się cicho. Czekałem. Zapaliłem światło. Sedat wszedł na górę. Był z nim znajomy. Uścisnęliśmy sobie ręce. Zamknąłem drzwi. Sedat przyglądał się meblom. Pokazałem mu wcześniej parę zdjęć, a teraz, kiedy przyjrzał się im osobiście, pokiwał z zadowoleniem głową. Bardzo ładne, powiedział. Jego towarzysz chodził po mieszkaniu, oglądając inne rzeczy. Kiedy skończył, zamienił parę zdań z Sedatem, a potem Sedat zwrócił się do mnie: Wszystko w porządku. Powiedziałem mu, żeby wychodząc, wrzucił klucze do skrzynki pocztowej Otisa i przypomniałem mu, żeby

nic nie robił i nie opuszczał mieszkania, dopóki nie dostanie ode mnie esemesa z wiadomością, że wszystko jest OK. Wytłumaczyłem Sedatowi jak zmarła Miriam. Obiecałem, że oddam mu meble za darmo pod warunkiem, że opróżni mieszkanie ze wszystkiego. Kiedy powiedziałem mu o esemesie, stał się podejrzliwy, ale teraz, kiedy znalazł się w mieszkaniu i obejrzał meble z bliska, nie miał zamiaru się wycofać. W należącym do Sedata sklepie z antykami stały bardzo ładne meble, a wszystkie miały kryminalnie niebotyczne ceny. Zapytał, czy chcę coś zabrać, jakieś książki, jakieś ubrania – sukienkę, którą trzymam. Nic, odpowiedziałem.

Poszedłem do baru wybranego przez Otisa. Było to ładne miejsce, dosyć ciasne, ale z wysokimi sufitami i gigantycznymi oknami wychodzącymi na ciemną, spokojną, słabo oświetloną uliczkę. Bar był położony w części miasta, której nie znałem, obok przystanku metra Schlesisches Tor, którego nazwa oznacza: Brama Śląska. Byłem tam sam przez niemal półtorej godziny. Zamówiłem whiskey, bo musiałem coś zamówić. Ale przestałem już pić i nie tknąłem jej. Barmana to nie obchodziło. W środku nie było prawie nikogo. Jakiś mężczyzna czytał gazetę przy barze i nic nie pił, nawet kawy. Myślę, że przyszedł tylko po to, żeby czytać gazetę i palić papierosy. Czytał gazetę tak, jak czyta się powieści – linijka po linijce, strona po stronie, od początku do końca. A kiedy skończył, złożył

ją, odepchnął na bok i zastanawiał się nad czymś przez chwilę. Około wpół do dziewiątej wstał, założył płaszcz i kapelusz, pożegnał się z barmanem i wyszedł. Kiedy otworzył drzwi, żeby wyjść, stanął w nich Otis. Mężczyzna wpuścił Otisa, a potem wyszedł. Otis podszedł prosto do baru. Wyjąłem telefon i wysłałem Sedatowi wiadomość, że może zaczynać. Otis podszedł do stołu i usiadł z piwem. No, no, powiedział. Domyśliłem się, że chodzi mu o moją brodę albo opaleniznę. Wyglądałem prawdopodobnie bardzo zdrowo. Nie jadłem jednak od pięciu dni – a raczej jadłem niewiele – i nieustannie bolała mnie głowa, a do tego miałem wszystkie objawy grypowe. Byłem dzisiaj w mieszkaniu Miriam, powiedziałem. Po raz ostatni.

Naprawdę?

I znalazłem sukienkę, którą miała na sobie, kiedy ostatni raz się widzieliśmy.

Kiedy to było?

Przed laty w Kolonii.

Odchylił się na krześle i spojrzał w sufit. A potem powiedział: Zabawne. Nie widziałem wielu z tych ludzi od lat. Niektórych nawet nie znam.

Myślisz, że przyjdą?

Nie mam pojęcia.

Nie potwierdzili tego?

Nie, nikt.

Sączył piwo, a potem zapalił papierosa. W końcu

powiedział: Ja też nie zostanę zbyt długo.

Musiałem chyba westchnąć albo przewrócić oczami, bo powiedział: Wybacz, ale nie mogłem odwołać wcześniejszych zobowiązań.

Otworzyły się drzwi i weszła jakaś para, naprawdę przystojny facet i przystojna piwnooka, elegancko ubrana kobieta. Siedziałem przodem do nich, ale żeby im się dobrze przyjrzeć, musiałem przechylić głowę, bo zasłaniał mi Otis. On z kolei siedział plecami do wejścia i musiał się odwrócić, żeby na nich spojrzeć. Para rozejrzała się. Być może zniechęciły ich puste miejsca albo nie spodobało im się przyjęcie, jakie zgotowaliśmy im z Otisem, bo odwrócili się i wyszli.

Niedługo wracamy, powiedziałem.

Do Stanów?

Tak.

Są jakieś wiadomości o Miriam?

Jeszcze nie.

To skąd wiesz?

To przeczucie. Miewam przeczucia w niektórych sprawach.

Cieszysz się, że wracasz do domu?

Tak bym tego nie ujął, nie.

Więc chcesz wrócić do Londynu?

Taki mam plan. Tyle tylko...

Otis pochylił się, czekając aż skończę i przypuszczam, że jedynym powodem, dla którego się nie odezwał – żeby, na przykład, zapytać: Tyle tylko, że

co? – było to, że wyglądałem tak, jakbym chciał dokończyć. Próbowałem. Naprawdę się skoncentrowałem. Wyjaśnienie było w zasięgu ręki, ale nie do końca – a nawet nie w pobliżu.

Chwilę później przyszła kobieta o imieniu Ulrika. Była artystką i pochodziła z małego miasteczka w Austrii. Miała okrągłe niebieskie oczy, wąskie ramiona, ładne piegi i kasztanowe włosy. Miała też naprawdę grube uda i biodra, ale od pasa w górę była chuda. Niespecjalnie interesował ją Otis. Piła whiskey i paliła długie cienkie papierosy, mówiła o sobie i o swojej sztuce, co wcale mi nie przeszkadzało, bo nie miałem o czym rozmawiać z Otisem. Właśnie wróciła z Indii i Malesji. Och, powiedziała, dziennikarze nie przestają do niej wydzwaniać, dziennikarze, dziennikarze, dziennikarze. Nie wiedziała o śmierci Miriam. Po raz ostatni rozmawiały ze sobą przed wielu laty. Ale mimo to przyszłaś?, zapytałem. No tak, nigdy wcześniej nie znałam kogoś, kto by umarł, z wyjątkiem ludzi bardzo starych i bardzo chorych. Jest zaintrygowana, stwierdził Otis. Kiedy powiedzieliśmy jej, że Miriam zagłodziła się na śmierć, naprawdę ją to zafrapowało i poprosiła o pozwolenie na odwiedziny w jej mieszkaniu. Za późno, odpowiedziałem, poprzestawiałem wszystkie rzeczy. Tak, stwierdziła, ale ty jesteś jej bratem i twoja kompozycja może być równie ciekawa. Wątpię, rzuciłem. On pracuje w marketingu, mruknął Otis. Upiłem nieduży łyk

whiskey. Usiłowałem skalkulować, ile mogę wypić, zanim zrobi mi się niedobrze i czy to wystarczy, żebym się upił. Potem zjawiała się kolejna stara znajoma Miriam – miła kobieta o imieniu Anna. Wiedziała, że Miriam umarła i wiedziała, w jaki sposób. Siedziała cichutko i zapytała tylko, jak się miewam i jak się mają Otis i Ulrika, a oni, jak mi się wydawało, usiłowali odpowiedzieć jej w taki sposób, żeby nabrała przekonania, że śmierć Miriam była dla nich dość bolesnym ciosem. Anna była Niemką. Miała długie jasne włosy. Kiedy zdjęła żakiet i rozpinany sweterek, obnażyła ramiona pokryte dużymi bliznami, bliznami chirurgicznymi, podejrzewałem więc – i okazało się, że miałem rację – że przeżyła poważny wypadek. Pracowała w biurze podróży – Niemcy nadal korzystają często z biur podróży, powiedziała – i znała Miriam z dawnych czasów, kiedy obie chodziły na wieczorowy kurs francuskiego. Przerwała. A może najpierw uczyłyśmy się włoskiego, zastanawiała się. Zrobiły kilka kursów. Miriam miała prawdziwy talent do języków – jej niemiecki, nawiasem mówiąc, był nienaganny – ale nie podróżowała. Anna zapytała potem, co tutaj robimy i od jak dawna tu jesteśmy. Zanim zdołałem jej odpowiedzieć, Ulrika rozpoczęła rozmowę o głodzie i o tym, że, jej zdaniem, zagłodzenie się na śmierć jest – z całym szacunkiem – obelgą dla tych, którzy głodują na całym świecie nie z własnej woli. Obelgą jest także, wybaczcie, że to

mówię, zagłodzenie się na śmierć w kraju, w którym zamykani w gettach i obozach Żydzi skazywani byli na śmierć głodową. Wielu Żydów, wtrącił Otis, ginęło w komorach gazowych, zanim umarli z głodu. Miriam była Żydówką, powiedziałem. Chciałem się przekonać, co się stanie, jeśli poczucie sprawiedliwości i prawości Ulriki skonfrontuje się z pewną niedogodnością, ale poczułem się dziwnie, mówiąc o tym, nawet w żartach. Absurd, rzuciła Ulrika. Bez względu na to, co o tym sądzisz, powiedziałem, to prawda. Mówisz poważnie?, zapytała. Ulrika zwróciła się do Anny i zapytała ją po niemiecku, czy o tym wiedziała, czy Miriam jej o tym mówiła? Anna – nieśmiało albo i nie nieśmiało, bardziej jak osoba przyznająca się w śledztwie do ignorancji – odpowiedziała, że nie była tego świadoma, że Miriam nic jej o tym nie mówiła. Potem zastanowiła się, pokręciła głową i powiedziała: Ale co to za różnica? Ulrika zwróciła się do wszystkich: Mój mąż jest Izraelczykiem, mamy żydowskie dziecko. Przeszłaś na judaizm?, zapytałem. Jesteśmy ateistami, odpowiedziała Ulrika. Szkoda, że mój ojciec tego nie słyszy, mruknąłem. Potem przyszła jeszcze jedna kobieta – ostatnia osoba, która dołączyła do nas tego wieczoru. Nazywała się Dolores i była – ku naszemu wielkiemu zaniepokojeniu – śmiertelnie chuda, znacznie chudsza, jak sądzę, od Miriam w Kolonii. Nikt nie wiedział doprawdy, co powiedzieć. Dolores zdjęła żakiet i apaszkę, pod spodem miała sweter w serek,

a z wycięcia wystawał jej mostek i duże kości obojczyka. Rękawy sweterka, które powinny być obcisłe, wisiały luźno. Miała pomarszczoną twarz i szyję, zmęczone, zapadnięte oczy. Uśmiechnęła się i przedstawiła – pozostali raczej jej nie znali – i zwróciła się do mnie, mówiąc, że jest jej przykro z powodu Miriam. Była Hiszpanką i miała mocny hiszpański akcent. Potem podziękowała Otisowi, że do niej napisał. Napisałem do każdego, do kogo miałem adres, odpowiedział. Zapytałem ją, czy chce drinka, ale odmówiła. To straszne, co stało się z Miriam, powiedziała. Zgodziliśmy się z nią milcząco. Nikt nie ośmielił się zapytać, czy wie, jak umarła Miriam, bo, mówiąc szczerze, Dolores wyglądała tak, jakby miała umrzeć w ten sam sposób w ciągu tygodnia. Ulrika wymyśliła w końcu w miarę bezpieczne pytanie, które jednocześnie nie było od rzeczy: Kiedy po raz ostatni widziałaś Miriam? Dolores zastanowiła się. W grudniu, odpowiedziała. Jak się wtedy miewała, rozmawiałaś z nią?, zapytałem. Wspominała o tobie, odpowiedziała Dolores.

O mnie?

Leżała w szpitalu przez większą część roku, ale wypisano ją w grudniu. Czuła się już lepiej. Powiedziała mi, że czuje się lepiej i dodała, że pojedzie do ciebie do Londynu na kilka miesięcy.

Nie wiedziałem, że była w szpitalu, odrzekłem. A potem rozejrzałem się i pojąłem, że wszyscy o tym

wiedzieli, że pobyty w szpitalu były od lat regularnym elementem życia Miriam. Nie skontaktowała się ze mną, powiedziałem.

Nie dzwoniłeś do siostry w grudniu?, zapytała Ulrika.

Na szczęście ugryzłem się w język, bo chciałem zapytać: A po co miałbym dzwonić do siostry w grudniu?

Otis sprawdził czas w telefonie. Zapytałem go, czy musi już iść. Muszę, odpowiedział. No cóż, klucze są w skrzynce, rzuciłem. Wstał, założył płaszcz, rękawiczki i czapkę, sprawdził, czy ma w kieszeni portfel i kluczyki. W końcu powiedział: Przykro mi, że nikt więcej nie przyszedł. Właśnie tego się obawiałem. Cóż, mruknąłem, nasz ojciec też się nie pokazał. Dzięki za wszystko, powiedział. Z wzajemnością, odrzekłem. Pożegnał się z Ulriką, Anną i Dolores. Potem pożegnał się z barmanem i wyszedł. Dokąd on idzie?, zapytała Anna. Ma jakieś wcześniejsze zobowiązania, odpowiedziałem. Ma nocny dyżur w szpitalu, jest sanitariuszem, powiedziała Ulrika. Myślałam, że pracuje nad doktoratem, wtrąciła Anna. Owszem, ciągle nad nim pracuje, odpowiedziała Ulrika, a oprócz tego sprzedaje oliwki i jest hausmeisterem gdzieś w Treptow. Ma sporo obowiązków, stwierdziła Anna. Ma ośmio- czy dziewięcioletnią córkę, powiedziała Ulrika.

Po wyjściu Otisa znalazłem się nieszczęśliwie blisko

Ulriki i nieszczęśliwie daleko od pozostałych. Jak bardzo jesteś Żydem, konkretnie?, zapytała Ulrika. Muszę iść do łazienki, powiedziałem. Naprawdę musiałem. Łyk whiskey, który upiłem, wywoływał niestrawność i mdłości. Drżałem, a chodzenie sprawiało mi trudność – nogi miałem jak z waty. Kabina była czysta. Ściany były podrapane i pokryte graffiti, ale mimo to było tu nieskazitelnie czysto. Poczułem wielką ulgę, tak dużą, że niemal się wzruszyłem. Zamknąłem za sobą drzwi i usiadłem na sedesie, który także był czysty i suchy. Może byłem pierwszą osobą, która dzisiaj tutaj weszła? Ukryłem głowę w dłoniach. Miałem wrażenie, że nie przetrwam tego wieczoru. Miałem wrażenie, że będę musiał coś zjeść. Umierałem z głodu. Nie wyglądało na to, że kiedykolwiek stracę apetyt. Jakaś część mnie była gotowa zjeść papier toaletowy. Miałem naruszone poczucie równowagi, a przedmioty, na które patrzyłem, pływały niczym śmieci w płytkiej falującej wodzie. Wpatrywałem się w graffiti przed sobą, ale litery wirowały. Robiło mi się niedobrze, kiedy chciałem się skoncentrować. W końcu poddałem się i zwymiotowałem, a potem poczułem się nieco lepiej. Siedziałem jeszcze przez chwilę. Sprawdziłem w telefonie, czy nie nadeszły wiadomości od Trish i ojca. Wstałem i umyłem ręce. Myłem je przez długi czas w zimnej wodzie. Polewanie nadgarstków zimną wodą przynosiło mi przyjemną ochłodę. Kiedy

wróciłem do sali, Anna i Ulrika rozmawiały po niemiecku, a Dolores trzymała się z boku, więc usiadłem obok niej, podziękowałem jej za przyjście i zapytałem, czy Miriam mówiła coś jeszcze w grudniu, cokolwiek. Lecz zanim mi odpowiedziała, dorzuciłem: Z tego, co wiem, Miriam przyjechała do Londynu tylko jeden raz i to nie po to, żeby spotkać się ze mną. Wyglądała wtedy wspaniale. Była, powiedziałbym, pulchna. Ale bardzo się rozchorowała i dlatego do mnie zadzwoniła. Następnym razem widziałem ją po czterech czy pięciu latach w Kolonii i wtedy wyglądała... Nie zdołałem dokończyć zdania.

Anna i Ulrika prowadziły rozmowę, podczas której Ulrika wybuchała śmiechem, a Anna się uśmiechała. Miałem nadzieję, że właśnie tak potoczy się ten wieczór, choć na znacznie większą skalę. Domyślałem się, że Dolores nie zechce powierzyć mi żadnego z sekretów Miriam – jeśli je znała – ponieważ nie rozumiem problemu. W Kolonii powiedziała mi, dodałem, że wyrzekanie się apetytu wzmacnia ją, ale zdała sobie z tego sprawę wcześniej, w Londynie, kiedy była chora, kiedy prawdopodobnie pojęła potęgę tego wyrzeczenia. Dolores słuchała mnie, ale ani się ze mną zgadzała, ani nie zgadzała. Nie jadłem od pięciu dni, powiedziałem, jeśli nie liczyć odrobiny chleba. Myślę, że spodziewałem się, że będzie ze mnie dumna, albo może chciałem, żeby wiedziała, że rozumiem w istocie, czym jest negowanie głodu – choć

oczywiście wcale tego nie rozumiałem – ale ona uśmiechnęła się tylko i wyglądała na lekko zasmuconą, jakby nic nie dało się zrobić, jakby żaden rodzaj współczucia, troski czy zdrowego rozsądku nie mógł sprawić, by świat stał się apetyczny.

Tego wieczoru, kiedy Miriam przyjechała do Kolonii, poszliśmy do kilku barów, zanim zdecydowaliśmy się na restaurację, w której zjemy obiad. Oficjalnie od ostatków dzieliło nas jeszcze kilka dni, ale na ulicach było już piekło. Wiele z nich było zablokowanych, a te, które nie były – na przykład wokół naszego hotelu – zostały opanowane przez pieszych. Widziałem wielu ludzi z konferencji. Byli jednymi z nielicznych normalnie ubranych, z identyfikatorami na szyjach. Wszyscy inni poprzebierali się w kostiumy albo przynajmniej w coś błyszczącego czy odświętnego. Na dworze ustawiono estrady, na których grano muzykę ludową albo starego rocka. Panowała dziwnie nieagresywna atmosfera. Zamiast kłócić się czy przepychać, ludzie zaczęli tańczyć, obejmować się albo śpiewać. Padał śnieg. Zdaje mi się, że ludzie wprost uwielbiają śnieg. Zajrzeliśmy do tuzina barów, ale nie pasowaliśmy do żadnego z nich. Potem trafiliśmy na taki, który nie był zbyt zatłoczony. W barze – zakładam, że tej nocy wszędzie było tak samo – podawano sześć piw naraz – były to małe kölsche, serwowane na tacach z otworami. Wypiłem je szybko. Miriam nic nie chciała. Ludzie krzyczeli nam

coś prosto do ucha. Krzyczeli „Prost!” albo „Sláinte!” Mieli na głowach błazeńskie peruki albo kowbojskie kapelusze i świecące w ciemności okulary albo okulary z hipnotycznymi wirami zamiast szkieł. To nie było moje towarzystwo. Nie odpowiadało również Miriam, choć za każdym razem odkrzykiwała „Prost!” albo „Sláinte!” do natrętów. Postanowiłem zwyczajnie się upić. Miriam dużo paliła. Zanim doszliśmy do baru, wypaliła już ze dwadzieścia papierosów i po drodze kupiła w „Tabak” dwie kolejne paczki. Staralem się jej nie krytykować, ale musiałem posłać jej parę pełnych dezaprobaty spojrzeń, bo pękła i rzuciła: To, że przestałaś palić nie oznacza, że muszę zrobić to samo. Przepraszam, powiedziałem, wiem, naprawdę mnie to nie rusza, tylko że to nie ma sensu. Papierosy kosztują dużo pieniędzy i zabijają. Jakieś kutasy bogacą się na produkowaniu trucizny, a kiedy się rozchorujesz, jakieś inne, jeszcze większe kutasy zarabiają krocie za podawanie ci leków i operowanie cię, kiedy umierasz.

Zasłaniała uszy dłońmi, dopóki nie przestałem mówić, a ja doszedłem do wniosku, że już nie będę się jej czepiał. Byłem szczęśliwy, widząc ją i powiedziałem jej, że jestem szczęśliwy, widząc ją, i że może palić tyle papierosów, ile tylko chce. Zjedliśmy obiad w małej libańskiej restauracji przy szarej, błotnistej bocznej uliczce. Większość gości wyglądała na stałych bywalców. Tutaj nie krzyczano. Zamówiłem dużą paterę jedzenia, a Miriam – kieliszek wina. Żeby nie

było mi przykro, zjadła trochę chleba z humusem. Wieczór rozpoczął się na dobre. Wspaniałe jedzenie, powiedziałem. Cudowne, dodała. Po obiedzie poszliśmy do koktajlbaru, a potem pijani włączyliśmy się po ulicach, chłonąc atmosferę, po czym wróciliśmy do hotelu. Następnego dnia Miriam wracała koleją do Berlina, a ja odlatywałem do Londynu. Konferencja okazała się stratą czasu, ale sam pobyt w Kolonii – nie. Zatrzymaliśmy się przed przejściem dla pieszych, bo nadjeżdżał żółty tramwaj. Objąłem ją, pocałowałem ją w czapkę i podziękowałem, że przyjechała. Nie miałem pojęcia, jak bardzo potrzebowałem spotkania z tobą, powiedziałem.

Dolores też nie została zbyt długo. Kiedy wyszła, Ulrika powiedziała: To również bardzo mnie niepokoi w tym kraju – za dużo było tu głodu i ma to zły wydźwięk. Anna poszła do toalety, a Ulrika oznajmiła: Muszę już iść, ale może wpadniesz do nas i zjesz obiad ze mną i moim mężem? Mam przeczucie, odpowiedziałem, że jutro wydadzą ciało Miriam, a kiedy to się stanie, będziemy bardzo zajęci. Mój mąż, dodała, jest bardzo otwarty i jest artystą, podobnie jak ja. Tak mi się wydawało, mruknąłem. Mogę do niego zadzwonić, dodała. Jesteśmy luźno spokrewnieni z Żydami, bardzo luźno, jesteśmy antysemickimi Żydami, powiedziałem. Cóż, tutaj na nic lepszego nie można zwykle liczyć, odparła. Dziękuję za zaproszenie, ale naprawdę nie będę mógł z niego skorzystać.

Szkoda, powiedziała. Tak czy inaczej, przykro mi z powodu Miriam. Życzę wam dobrej podróży powrotnej do Stanów. Dziękuję, odpowiedziałem. Wstała. Anna wróciła z toalety. Do widzenia wszystkim, rzuciła Ulrika. Do widzenia, odpowiedziałem. Do widzenia, powiedziała Anna, po czym usiadła na krześle. Chyba się upiłam!, wykrzyknęła. Potem spojrzała na mnie, zmarszczyła brwi i powiedziała: Och, ale ty jesteś zupełnie trzeźwy. Postanowiła przysunąć się bliżej albo sam ją poprosiłem, żeby przysunęła się bliżej, bo była daleko i zostaliśmy tylko we dwoje. Zabawiliśmy w barze jeszcze przez godzinę. Rozmawiałem z nią trochę po niemiecku, żeby wysłuchać obiektywnej oceny moich umiejętności językowych. Choć nie kiwnąłem palcem, żeby nauczyć się lepiej niemieckiego – z wyjątkiem posługiwania się nim w sposób karygodny – miałem wrażenie, że mówię już całkiem płynnie. Nie sądzę, byś mówił po niemiecku, stwierdziła. W Nadrenii, powiedziałem, wszyscy doskonale mnie rozumieli. Opowiedziałem jej nasze przygody z wyprawy z Walluf do Koblencji. A potem rozmawialiśmy jeszcze trochę o Miriam.

Anna mieszkała niezbyt daleko od naszego lokum, postanowiliśmy więc dotrzymać sobie nawzajem towarzystwa w metrze. Miała to być moja ostatnia podróż metrem w Berlinie. Przypuszczałem, że tak właśnie będzie. Następnego ranka wydano nam ciało

Miriam, a od tego momentu Trish wzięła sprawy w swoje ręce, choć musieliśmy jej towarzyszyć w podróżach. Woził nas jeden z kierowców z ambasady – ostatnie dwa dni w Berlinie spędziliśmy w czarnym kuloodpornym audi. W metrze nie było tłoczno, więc usiedliśmy z Anną obok siebie. Była bystra, dowcipna i pełna optymizmu. Po wypadku znajdowała się w śpiączce przez niemal pół roku, a potem przez rok nie była w stanie zbyt wiele robić. Od tamtej pory minęło już siedem lat, a ona dopiero teraz zaczęła odzyskiwać dawną energię. Ale mam już czterdzieści dwa lata, powiedziała, więc tej energii nie zostało mi zbyt wiele. Zapytałem ją o wypadek. Nie pamiętam, odpowiedziała. Widziałam go w sądzie na nagraniach z monitoringu. Jechałam na rowerze, gdzieś z boku wyjechała ciężarówka i uderzyła we mnie. Kierowca ciężarówki jechał bardzo szybko. Sąd uznał, że to moja wina.

Dlaczego?

Nie mam pojęcia. Ale nie dostałam żadnego odszkodowania. Pamiętam, że byłam w szpitalu i powiedziano mi, że leżałam w śpiączce przez pół roku, więc pomyślałam sobie, że dostanę przynajmniej kupę forsy, że nie będę musiała pracować, że będę mogła podróżować. Ale muszę pracować.

Niemcy są nieustraszonymi podróżnikami, stwierdziłem.

To prawda, uwielbiamy podróżować, przez cały

dzień nie robię nic innego, tylko rozmawiam z Niemcami o podróżach.

Podróż metrem zakończyła się bardzo szybko, może dlatego, że miałem nadzieję, że okaże się długa. Przyjechaliśmy na Rosenthaler Platz, z którego Anna miała pięć minut do domu w jedną stronę, a ja pięć minut w drugą. Mam taras na dachu, powiedziałem, może wpadłabyś obejrzeć? Jeśli zacznę oglądać tarasy na dachach, odpowiedziała, nigdy nie wrócę do swojej małej norki. Cóż, miło było cię poznać, powiedziałem. Uścisnąłem jej dłoń, a ona pochyliła się i pocałowała mnie w policzek. Byliśmy bardzo blisko. Objąłem ją. Położyła dłonie na moich ramionach. Wpatrywaliśmy się w siebie. Chcesz coś zobaczyć?, zapytałem. Jasne, odpowiedziała. Ale nie mogę ci tego pokazać po ciemku. Myślała, że żartuję.

Weszliśmy do jej mieszkania, najpierw ona, potem ja, zdjęliśmy rękawice, płaszcze, czapki, a ona zapaliła małą lampkę z abażurem koloru miedzi. Zamknąłem za sobą drzwi. Jej mieszkanie rzeczywiście było maleńkie, o połowę mniejsze od mieszkania Miriam. Ale było w nim czysto i przypominało przedział w pociągu o orientalnym wystroju. Mogłabym wynająć coś większego w innej części miasta, powiedziała, ale pracuję bardzo niedaleko stąd. Dwie minuty rowerem. Nie muszę korzystać z transportu publicznego. Wciąż jeździsz na rowerze?, zapytałem. Oczywiście, odpowiedziała. Zaproponowała mi kieliszek wina.

Odmówiłem, ale i tak mi nalała. Podeszedłem do balkonowych drzwi. Na dworze było mgliście i biało, na drogach nie było widać aut, choć biegła tu główna arteria, prowadząca do dużej pętli i na lotnisko. Bardzo żałuję, powiedziałem, że nie spotkałem cię na początku. Usiadła na sofie, a ja obszedłem mieszkanko, oglądając obrazy na ścianach i książki na półkach. Lubisz Indie?, zapytałem, bo miała dużo książek o Indiach, a wiszące na ścianach obrazy prawdopodobnie były hinduskie. Kocham Indie, powiedziała, i Afganistan, i Pakistan, i Nepal, i Chiny, i Wietnam. Ja nie podróżuję, powiedziałem, zawsze boję się, że zapadnę na jakąś nieuleczalną chorobę albo będę spał z pluskwami, albo pogryzą mnie wściekłe psy czy jadowite węże. To dziwne, zauważyła Anna. Jeszcze nie skończyłem, przerwałem jej. Boję się także, że będę musiał jeść insekty, małpie mózdzki albo głowy ptaków i pić brudną wodę. I że mnie porwą. Boję się, że oskarżą mnie o jakieś przestępstwo i wyląduję w więzieniu, gdzie będą mnie bić, gwałcić, aż w końcu obetną mi głowę. Boję się, że będzie za gorąco, a nie znoszę upałów, boję się, że nie będę mógł wziąć prysznic i skorzystać z czystej łazienki. Że dostanę biegunki i nie będzie papieru toaletowego. Boję się jeździć autobusem. Obawiam się, że w autobusach zawsze jest pełno myszy i kurcząt. Martwię się tym, że nie będę wiedział, jak kupić bilet na autobus i zostanę w rzesistej ulewie w dżungli.

Usiadłem naprzeciw Anny i trzepnąłem się w kolano. Nieźle mam namieszane w głowie, co? Ale pojechałeś do Londynu, powiedziała. Londyn to nie jest podróż, odpowiedziałem, przynajmniej dla Amerykanina. To prawda, trzeba tam lecieć samolotem, ale to nie podróż. Wiesz, powiedziała, jedną z rzeczy, którą najbardziej lubię w podróżowaniu, jest wyprawa na lotnisko, taksówką albo pociągiem, kiedy przejeżdża się obok dobrze znanych miejsc, piekarni i rynków, domów, ulic, miejskiego krajobrazu, nawet chmur i trawy o takiej a nie innej barwie, czy ziemi o takim a nie innym kształcie. Zawsze mam ze sobą jakąś muzykę albo książki i myślę sobie: Stąd pochodzę i wyjeżdżam tylko na chwilę. Ja nigdy nie potrafiłbym odbyć ze sobą takiej rozmowy, stwierdziłem, nigdy nie potrafiłbym powiedzieć sobie czegoś takiego. Och, jestem pewnie banalnie sentymentalna, odpowiedziała. Nie, wcale nie, to nie to, odparłem. Moje całe życie opiera się na zasadzie, że ludzie naprawdę spontanicznie wyglądają przez okna pociągów.

I mają uczucia, powiedziała.

Skoro tak uważasz, stwierdziłem.

Potrzebne ci są wakacje, powiedziała.

Oparłem się i zatopiłem w niskim fotelu. Wyciągnąłem ręce. Czułem się bardzo swobodnie. Czułem się bardzo swobodnie z Anną. Jestem na wakacjach, powiedziałem.

Wstała. Skończyła kieliszek wina – nawet nie zauważyłem, że piła – i szła po następny. Podniosłem swój kieliszek i sprawdziłem – nie zamoczyłem nawet warg. Odstawiłem go. Anna stała nade mną. Jej dłoń znalazła się tuż nad moim ramieniem. Może to był przypadek, a może nie. Może chciała poklepać mnie po ramieniu albo położyć na nim dłoń. Może chciała powiedzieć coś miłego o Miriam. A może chodziło o coś zupełnie innego. Ująłem jej dłoń. Nie cofnęła jej. Przyjrzałem się bliźnie – biegła przez nadgarstek aż do wnętrza. Rozwidła się przed łokciem i łączyła ponad nim, biegnąc ku ramieniu, gdzie znikwała w rękawie. Była to głęboka blizna z głębokimi wklęsłościami tam, gdzie nie było mięśni, gdzie została sama zapadnięta zablizniona tkanka. Bez słowa – być może po to, by uniknąć dalszego oglądania przeze mnie blizny – opadła na kolana i miałem przed sobą jej oczy. Całowaliśmy się przez chwilę. Potem powiedziała, że bolą ją kolana, więc wstaliśmy i poszedłem za nią do sypialni. Zamknęła drzwi, zaciągnęła zasłony, odcinając białe uliczne światło i białą mgłę, osadzającą się na drodze. W pokoju zrobiło się ciemno. Byłem zdezorientowany, wymacałem łóżko i usiadłem na nim. Zaczęła się rozbierać. Nie widziałem jej, ale ją słyszałem. Ja też się rozebrałem. Położyła się i spotkaliśmy się na środku łóżka. Wyciągnęła ręce. Sięgnąłem po nie. Ujęła mnie za ramiona. Przypuszczam, że nie chciała, żebym jej

dotykał, kiedy jest naga. Ale w końcu pozwoliła mi na to. Czułem głębokie wyłobienia na jej ciele. Była nimi cała pokryta. Musiała zostać obdarta żywcem ze skóry podczas tego wypadku. Nie mogła mnie rozbudzić. W końcu przestała, wsunęła się pod kołdrę i westchnęła. Naciągnęła kołdrę po same oczy. Niczego mi nie tłumacz, powiedziała. To przez ciemności, mruknąłem. Nie umiem robić tego po ciemku, nie widzę twojej twarzy. Nie odpowiedziała. Wiesz, o kim myślę w ciemności?, zapytałem.

O kim?

O Dolores.

O tej, która przyszła do baru?

Tak, odpowiedziałem. Mogę odsunąć odrobinę zasłony?

Odrobinę, powiedziała, a jej niechęć przepelniła mnie dreszczem. Wstałem z łóżka i podszedłem do okna. Odciągnąłem zasłony i zobaczyłem, że mgła się porusza, niezbyt szybko, ale unosi się i wstaje, niczym leciutki, jednostajny śnieżek wracający powoli do nieba. Spójrz na to, powiedziałem. Anna wyjrzała, ale nie skomentowała unoszącej się do nieba mgły – prawdopodobnie widziała coś takiego wiele razy. Pokój znów wypełniło białe światło, a Anna przykryła się jeszcze wyżej. Rozejrzałem się. Więc to jest twoja sypialnia, powiedziałem. Anna też się rozejrzała. W pokoju nie było zbyt wiele wolnej przestrzeni. Większość miejsca zajmowało łóżko. Obok stała

drewniana toaletka z lustrem, ale jej dolnych szuflad nie dało się pewnie wyciągnąć. To jest moja sypialnia, powiedziała.

Sypialnie to dziwne miejsca, zauważyłem.

Co masz na myśli?

Nie wiem, są dziwne. Nigdy nie wiesz jak bardzo, dopóki w twojej sypialni nie pojawi się ktoś obcy, kto wchodzi ci do łóżka. Ale one zawsze są dziwne.

Co to za opatrunek?, zapytała.

Ten? To nic wielkiego.

Na ścianach wisiały inne obrazy – hinduskie, uduchowione, pełne fioletu, złota i jasnej czerwieni – a także korkowa tablica ze zdjęciami ludzi w słonecznych zielonych miejscach, na plażach, w ciemnych okularach i kostiumach kąpielowych. Wszedłem do łóżka. Zdaje mi się, że miałaś odsłonić okna tylko odrobinę, powiedziała. Nie spodziewałem się tak ładnego widoku, odrzekłem. Wsunąłem się pod kołdrę obok niej. Znów zaczęliśmy się całować. Wszystko było w porządku. Wzięła mnie w usta pod kołdrę i pieściła przez długi czas, a potem odkryłem ją, żeby na nią popatrzeć. Potem pociągnąłem ją do góry i położyłem się na niej. Wyglądała dokładnie tak, jak się spodziewałem. Była bardzo pocięta. Niektóre z blizn były tak głębokie, że wyglądały, jakby celowo ją oszpecono. Ale dla mnie nie było to wcale nienaturalne. Nawet w dotyku. Było miłe. Tyle że potem przyszło mi do głowy, że to nie powinno być

miłe, że powinienem raczej czuć niesmak albo współczucie dla Anny – nie dla istoty ludzkiej, ale dla okaleczonej skorupy jej ciała – zamiast przyjemności. Zrobiło się groźnie i nieprzyjemnie. Moja blizna zaczęła krwawić. Kiedy oboje skończyliśmy, opatrunek nasiąknął krwią, cała pościel była zakrwawiona, zakrwawione były nasze dłonie, a nasze ciała pokrywały krwawe odciski palców i rąk. Ups, powiedziałem. Wstała i natychmiast założyła szlafrok. Co ci się stało?, zapytała. Boję się powiedzieć, odrzekłem. Kazała mi iść za sobą do łazienki, posadziła mnie na sedesie i zdjęła opatrunek. Spojrzała prosto na ranę i nawet się nie skrzywiła. Nie jest tak źle, powiedziała, ale trzeba to zszyc. Zapomniaj, mruknąłem. W ten sposób nigdy ci się to nie zagoi, dodała. Jestem za stary na gojenie w inny sposób, odparłem. Przemyła ranę do czysta, nałała trochę spirytusu na gazę i przyłożyła do rany. Robiłem to samo dwa razy dziennie. Miała założyć nowy opatrunek, kiedy spojrzała na mnie zaniepokojona.

Czy właśnie to chciałeś mi pokazać?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc mruknąłem: Cóż, hm...

Wstała i rzuciła mi opatrunek prosto w twarz.

To miało być według ciebie zabawne?

Nie, nie, wcale nie, absolutnie nie, przepraszam, nie to miałem na myśli.

Ująłem ją za rękę i znów przeprosiłem. Sam to sobie

zrobiłem, powiedziałem, nożem. Spojrzała na ranę i zapytała: Jakim nożem? Do steków, odpowiedziałem.

Dlaczego?

Nie mam pojęcia. Byłem w Luksemburgu z ojcem, doszło do wymiany argumentów.

Anna otworzyła szeroko oczy. Potem zakryła usta dłonią. Lepiej się ubiorę i zniknę, pomyślałem. Ale zaczęła się śmiać. Śmiała się, zakrywając usta dłonią. Przepraszam, powiedziała, nie chciałam. A potem znów wybuchła śmiechem. Nic nie szkodzi, mruknąłem. Przyklęknęła, podniosła opatrunek i przykleiła mi go do brzucha.

Wróciłem do domu – do apartamentu z tarasem – około drugiej nad ranem, a ojciec nie spał. Położył się, jak powiedział, koło dziewiątej, obudził o jedenastej i nie mógł już zasnąć. Siedział przed telewizorem, oglądając hollywoodzką produkcję z niemieckim dubbingiem. Wyłączył telewizor. Wypiłem szklanekę wody. Strasznie rozboleła mnie głowa. Czułem krew w ustach. Miałem wrażenie, że wypadają mi zęby. Miałem wrażenie, że jeśli je umyję, wykruszą się jak zęby w starej wyschniętej żuchwie. Drinki się udały?, zapytał ojciec. W miarę, odpowiedziałem. Przepraszam, że nie dotarłem, powiedział, ale przyszła Trish i nie mieliśmy już siły jechać na drugi koniec miasta. Nic nie szkodzi, odrzekłem. Poznałeś kogoś interesującego?, zapytał. Poznałem artystkę, która chciała się ze mną przespać, ponieważ ją okłamałem

i powiedziałem jej, że jesteśmy Żydami. To dosyć osobliwy sposób splątania komuś figla, orzekł i zniknął w swoim pokoju.

Trish zadzwoniła o dziewiątej rano. Telefon stacjonarny w mieszkaniu dzwonił i dzwonił, ponieważ ani ojciec, ani ja nie mieliśmy siły wstać z łóżek. Potem dostałem od niej rzeczowego esemesa. Ciało Miriam zostanie wydane. I to już w zasadzie koniec. Obudziłem ojca, wziąłem prysznic, przystrzygłem i zgoliłem brodę.

Mój telefon zaczyna dzwonić, ale ręce mam zajęte torbami, a poza tym widzę już Trish z telefonem przy uchu – dzwoni do mnie. Trish stoi, a ojciec siedzi. Krzyczę do nich: Hej, jestem tutaj! Patrzą w moja stronę, a ja unoszę wysoko torby. Patrzą na mnie z przerażeniem. Początkowo wydaje mi się, że to reakcja na liczbę toreb z ubraniami, ale potem zdaję sobie sprawę, że rana znów zaczęła krwawić i zniszczyła mi całkiem nową koszulę. Co się z tobą, do cholery, działo?, pyta ojciec. O, kurwa, mówię, lepiej nie pytaj. Możemy już iść? Potrzebuje pan pomocy, stwierdza Trish. Co ci się do cholery stało?, pyta ojciec. Przewróciłem się na rowerze, skaleczyłem się o coś metalowego, parę tygodni temu. Mówiłem ci, skrzeczy ojciec, że postradałeś rozum, jeżdżąc na tym rowerze. Co jest w tych torbach?, pyta Trish. Garnitury, odpowiadam. Naprawdę ktoś powinien się panem zająć, mówi. Odstawiam torby, podnoszę koszulę.

Wygląda gorzej niż jest. Usiłuję to wyjaśnić. Mówię: Jeśli pójdę z tym do lekarza, spóźnimy się na samolot. Ma rację, rzuca ojciec. Wygląda gorzej niż wtedy, kiedy go zostawiłem. Wejdę do łazienki przy bramce, mówię, i zrobię sobie opatrunek.

Może powinniśmy już iść, mówi tata. To będzie długi spacer. Tak, powinniśmy już pójść, potwierdza Trish. Jestem gotów, mówię. Podobają mi się twoje słuchawki, rzuca ojciec. Zdejmuję je z szyi i pozwalam mu przymierzyć. Zakłada je i mówi: Nieźle. Zaczekaj, zwracam się do niego, posłuchaj tego. Puszczam mu jakąś muzykę. Co to jest, do cholery?, pyta. Przepraszam, mówię i włączam mu coś innego. Podaję mu swój telefon. Zbieram nasze bagaże i torby. Zdejmuje słuchawki, oddaje mi cały sprzęt i stwierdza: Brzmia bardzo drogo. Trzyma je w ręku za kabłąk i dodaje: I ważą bardzo drogo. Ile za nie zapłaciłeś? Trish zwraca się do ojca: Przyprawdzą panu wózek inwalidzki. Dam radę, odpowiada ojciec.

Ruszamy w drogę. Opuszczamy fotele przy wystawie historycznej. Wchodzimy do wejścia do tunelu, który prowadzi do naszej bramki. Tunel jest bardzo szeroki, niczym pokład statku, i opada łagodnie. Dach tunelu jest szklany i wygięty w łuk. Mamy dobry widok na pas startowy, samoloty, zieleń za lotniskiem i góry. Łatwo się domyślić, że na dworze jest rześko i chłodno. Dochodzimy do ruchomych schodów. Ludzie wokół nas zbiegają po nich pospiesznie. My jednak stoimy.

Czekamy. Oddychamy. Idziemy bardzo spokojnie i w milczeniu. Droga na dół jest bardzo długa.

Za jakieś dwadzieścia godzin ojciec i ja będziemy jechać przez bagna, noc będzie upalna i pełna komarów. Zawsze, kiedy przylatywałem do domu, była gorąca noc. Zawsze lecę przez Atlantę lub Houston, gdzie w rękawach lotniczych czuje się upał i wilgotność, a potem przez jakiś czas chłód lotniska. Zawsze mam długie przesiadki, więc podłączam gdzieś laptopa i piszę maile dotyczące pracy, którą wykonywałem w samolocie. Po mniej więcej godzinie pakuję komputer i odnajduję duże okno, przy którym mogę usiąść, żeby przyglądać się samolotom kołującym po płycie w upalne popołudnie. Zawsze mam wrażenie, że minęły wieki od mojej ostatniej bytności tutaj – a przynajmniej chciałbym, żeby tak było. Czuję się stary. Czuję, że życie, które mogłem tu prowadzić, stało się nieosiągalne. Czułem się już tak, mając zaledwie dwadzieścia kilka lat. Po jakimś czasie odchodzę od okna i szukam baru, w którym podają jedzenie i mają mnóstwo telewizorów. Czasami zapominam, że jako Amerykanin uwielbiam oglądać sport i doniesienia giełdowe na dwóch ekranach obok siebie albo boks na jednym ekranie, a baseball na innym, albo dwa mecze futbolowe jednocześnie. Albo wszystko to naraz, wpatrując się w pół tuzina ekranów w jednym rzędzie. Jestem pewien, że gdybym został w Stanach i nawet zamieszkał w mieście, gdzie toczy

się jakieś życie intelektualne, powiedzmy w Nowym Jorku, nigdy nie dowiedziałbym się niczego o muzyce. Przestałbym czytać jakiegokolwiek książki poza biografiami sportowców i polityczną czy finansową publicystyką. Mam szczęście, że uciekłem od amerykańskiego sportu. Jedząc i pijąc, pilnuję czasu. Czekam do ostatniego wezwania do samolotu i idę do bramki. Przechodzę przez inny rękaw, wchodzę na pokład i rozglądam się, czy w samolocie są jakieś znajome twarze. Nigdy żadnej nie było. Potem ląduję i jest już ciemno. Jest trochę chłodniej, ale wcale nie mniej wilgotno. Ojciec czeka na mnie na małym terminalu. Razem odbieramy bagaż, a potem wychodzimy na zadaszony parking. Zawsze pozwala mi prowadzić. Dojeżdżamy do domu dość późno, a ja wydaję piwo z lodówki. Spryskuję się płynem przeciw komarom, wychodzę na dwór i zapalam umieszczone w wiadrach świece z olejkiem przeciw owadom, włączam lampy UV, po czym siadamy i pijemy razem w milczeniu. Czasem ojciec mówi, że miło mieć mnie znowu w domu, a ja odpowiadam, jak bardzo marzyłem o tych ciepłych nocach. Od śmierci mamy dom się nie zmienił. Na podłogach leżą wciąż te same dywany, ściany pomalowane są na ten sam kolor i wiszą na nich te same stare obrazy. Na stole stoi ta sama zastawa, kieliszki i filiżanki do kawy, leżą te same sztuczki. Podejrzewam, że ubrania mamy nadal spoczywają złożone w komodzie, a jej płaszcze

i sukienki ciągle wiszą w garderobie. Nic nie poprzestawiano – ani komód, ani nocnych stolików, ani lustek, ani obrazów. Tylko telewizor, żeby ojciec mógł go oglądać w pokoju przy basenie. Wszystko jest czyszczone i myte raz w tygodniu, ale nic nie zmienia miejsca. Mój pokój, który wygląda dokładnie tak jak wtedy, kiedy miałem dwadzieścia lat, jest tuż obok pokoju Miriam. Pokój ojca jest daleko stąd – nie z tej przyczyny, że dom jest szczególnie wielki, choć nie jest mały, ale dlatego, że przypomina labirynt na wielu poziomach. Ten dom odzwierciedla szaleństwo, nic z niczym się tu nie łączy, co nieustannie wprawia wszystkich w zakłopotanie, tym bardziej że pełno w nim ślepych zaułków – skręca się za róg, znajduje się jakieś drzwi, a za tymi drzwiami jest bojler. To jedyne drzwi w tym korytarzyku. Co one u licha tu robią? Inne korytarzyki łączą dwa wejścia do jednego pokoju. Są też pokoje, do których można dotrzeć tylko przez inne pokoje. Jest duża kuchnia i mała kuchnia. Dwoje ludzi mieszkających w tym domu mogłoby się nigdy nie spotkać, jeśli nie poszliby popływać, bo basen jest tylko jeden.

Zjeżdżamy na dół ruchomymi schodami, a z numerów bramek wynika, że czeka nas bardzo długi spacer. Są tu ruchome chodniki, więc korzystamy z okazji, stajemy na nich i łapiemy oddech. Mijamy lot Qatar Airways do Abu Zabi. Mijamy lot Lufthansy do Johannesburga. Mijamy lot Air India do

Hajdarabadu. Mijamy lot Air Berlin do Varadero. Jest lot do Newark. I nasz lot do Atlanty.

Jestem rozczarowany, że tłum przy naszej bramce nie jest wredniejszy i hałaśliwszy, że nie przypomina takich Amerykanów, których nienawidzę, żebym mógł zabrać ze sobą na pokład trochę uogólnionego lęku. Ale wszyscy wydają się opanowani, spokojni, czekają, na nic się nie skarżą. Zdążymy przesiąść się w Stanach i nie będziemy musieli czekać zbyt długo na kolejny samolot. Przy ladzie recepcyjnej lotu stoją jacyś ludzie. Wygląda na to, że wkrótce coś zacznie się dziać. Idę do toalety, żeby zmienić opatrunek i oczyścić ranę. Mam w torbie waciki nasączone alkoholem. Wyjmuję je wraz z nowym opatrunkiem. Podszewka marynarki jest pokrwawiona, ale tylko podszewka.

Znajduję pustą kabinę, wchodzę do środka, wycieram deskę klozetową, zdejmuję koszulę, wieszam ją na haczyku za sobą i powoli odklejam chusteczki. Przylepiły się do skóry, więc kiedy je zrywam, otwieram na powrót ranę. Przez chwilę boli mnie tak bardzo, że chce mi się krzyczeć – wkładam rękę do ust, żeby powstrzymać wrzask. Ból cofa się i siadam na sedesie. Rana zaczyna mocno krwawić, więc przez kilka, może dziesięć minut zbieram krew papierem toaletowym i muszę podnosić się z sedesu, żeby sensor w toalecie włączał spłukiwanie papieru. To taka głupia mała katastrofa. W końcu krwawienie nieco ustaje i zaczynam widzieć właściwą ranę. Może

w domu pójde do lekarza. Moze każe ją zszyć.

Wracam do bramki i znajduję ojca i Trish w uścisku, który wygląda po trosze dobrodusznie, a po trosze niezdarnie. Skorzystali z mojej nieobecności, żeby się pożegnać. Chcę się odwrócić i pójść w inną stronę, ale ojciec mnie zauważa i robi coś niespodziewanego. Puszczą do mnie oko. Podchodzę do nich. Tata wyswobadza Trish z objęć. Trish odwraca się i zauważa mnie. Jest zapłakana. Rozmawiamy przez chwilę. Trish kazała mi pomyśleć o napisaniu jeszcze jednej książki, mówi ojciec. To wspaniale, cieszę się. O czym? No, cóż, mówi, chodzi o moje wspomnienia. O!, dziwię się. Wszystko inne wymagałoby zbyt wielu badań, ciągnie tata. Uważam, że to świetny pomysł, stwierdzam, jeśli wspomnienia będą szczere. Zbývá tę uwagę machnięciem dłoni. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze, mówi Trish, myśląc o Miriam, lecz nie wspominając jej imienia. Jestem pewien, że tak będzie, stwierdzam, było mi naprawdę miło. Cała przyjemność po mojej stronie, odpowiada Trish. Chwila ciszy, po czym dodaję: Moze spotkamy się po wydaniu wspomnień ojca? Z całą pewnością, odpowiada. Znów chwila ciszy, więc mówię: Idę popatrzeć przez okno. Zostawiam ich. Podchodzę do okna.

Kiedyś, dawno temu, kiedy wciąż byłem żonaty, moja żona nawiązała przyjaźń z bardzo znanym starym poetą – pochodziła z rodziny, która znała

rodziny wielu słynnych poetów. Ten konkretny poeta nadal cieszy się umiarkowaną sławą. Albo umarł. Nie, musiał umrzeć, bo w przeciwnym razie miałyby ze sto lat. Poeta wiódł skandaliczne, bogate, cudowne, absurdalne życie. Dwoje z jego dzieci nie było jego dziećmi. Inne dzieci, wychowywane w obcych rodzinach, były jego dziećmi. Moja żona uważała, że jest czarujący i naprawdę uwielbiała jego poezję, która w latach czterdziestych i pięćdziesiątych była skandaliczna. Spotkałem go przy kilku okazjach. Powtarzał mi, że moja żona jest jego ostatnią miłością, lecz nie romantyczną ani erotyczną. Więc co pan w niej kocha?, zapytałem. Jest taka ładna, odpowiedział, i jest ostatnią ładną młodą dziewczyną, która zostanie moją przyjaciółką. Rozumiem, odpowiedziałem. Myślisz, że ona mnie kocha?, zapytał. Mam taką nadzieję, odpowiedziałem, gdyż w przeciwnym razie oznaczałoby to, że zależy jej na pańskich pieniądzach. Wszystko, co mówiłem, przynosiło mu rozczarowanie. Jedyne, co go we mnie interesowało, to moja miernota w porównaniu z jego wielkością, lecz ja nie porównywałem się z nim i miałem głęboko gdzieś to, że w ogóle istnieje. W końcu, kiedy przekonał się, że nie jest w stanie mnie złamać, że nie jest w stanie przekonać mnie, bym ujrzał w nim rywala, przestał zapraszać moją żonę do swojej wiejskiej posiadłości, przestał informować ją o premierach, na których bywał i wykreślił ją ze swojego pokręconego życia.

Do samolotu podejżdża ciężarówka. Wysiada z niej paru mężczyzn. Rozmawiają przez chwilę z tragarzami. Tragarze odsuwają się. Stoją ramie w ramie i stoją w identyczny sposób – z opuszczonymi głowami i zaciśniętymi dłońmi. Otwierają się tylne drzwi ciężarówki i wysuwa się z nich trumna z ciałem Miriam. Odwracam się. Ojciec wpatruje się w odchodzącą Trish. Macha do niej ręką. Przestaje. Potem znów macha. Potem znów przestaje i macha ponownie. Domyślam się, że Trish odwraca się za każdym razem. W końcu ojciec przestaje na dobre i wzdycha, krzyżuje ramiona. Spogląda na mnie. Wygląda spokojnie, może nieco smętnie, ale jest bez wątpienia zdeterminowany. Przywołuje mnie do siebie gestem. Czas wracać, usiąść, przygotować się do wejścia na pokład. Już po wszystkim. Wyprawa dobiegła końca. Nie poruszam się. Znów do mnie macha. Nie zwracam na niego uwagi i odwracam się plecami. Po kilku chwilach jest już obok mnie. Na co się patrzysz?, pyta. Nie muszę mu nic mówić. Patrzy na mężczyzn niosących pudło z trumną Miriam na wózek elektryczny.

Czy to...?, pyta.

Tak sędzę, odpowiadam.

Twarz ojca czerwienieje. Oddech przyspiesza.

Nie rozumiem, mówi.

Co masz na myśli?

Nie wiem, odpowiada.

Mężczyźni – teraz już wszyscy – przenoszą pudło z trumną Miriam na taśmociąg ładujący bagaże. Ojciec opiera się dłonią o szybę. Co to wszystko znaczy?, pyta. Rozgląda się. W pobliżu jest kilka osób, które go obserwują. Powtarza nieco głośniejszym głosem: Co to wszystko znaczy? Coraz więcej pasażerów zwraca na niego uwagę, a niektórzy nawet wstają. Ojciec, niemal krzyżąc, powtarza: Co to wszystko znaczy? Wygląda jak żołnierz porzucony na polu bitwy. Mówię mu, żeby się uspokoił, na co reaguje gniewem – gniewem wymierzonym we mnie – i krzyczy: Nie uspokoję się, nie uspokoję się, dlaczego ty do cholery jesteś taki spokojny? Podchodzi do nas hostessa linii lotniczych – myślę, że to recepcjonistka, bo ma odblaskową kurtkę – a ojciec zwraca się do niej: Co to wszystko znaczy? Co to wszystko znaczy? Dlaczego nikt nic nie robi?

Ma zamiar podnieść głos, prawdopodobnie po to, żeby wykrzyknąć wściekle: Dlaczego nikt nic nie robi?, ale brakuje mu sił. Nie dotykam go, ale stoję za jego plecami. Zebrani wokół pasażerowie – i ci, którzy przyglądają się nam ze wszystkich kątów wokół bramki – żądają wyjaśnień, ale z pewnością nie usłyszą ich ode mnie. Hostessa nie wie, co robić. Pyta mnie, czy powinna do kogoś zadzwonić. Mówię jej, że wszystko jest pod kontrolą. Staję obok ojca. Stara się uspokoić oddech. Zamyka oczy i opuszcza głowę. Chodź, mówię, jestem tutaj. Wyciąga rękę i wracamy na nasze miejsca, tam gdzie leżą nasze torby.

Gdy siedzi już w fotelu, a jego różowe policzki zaczynają sinieć, przedstawiam się hostessie, która stoi teraz w recepcji i rozmawia przez walkie-talkie. Podaję jej nazwisko i nasze karty pokładowe. Wyjaśniam jej naszą sytuację. Pytam, czy moglibyśmy wsiąść na pokład pierwsi, przed innymi, aby uniknąć tłoku i zamieszania. Konsultuje się z inną hostessą i obie zgadzają się wpuścić nas na pokład pierwszych – jak najbardziej, mówią. Potem studiują uważnie nasze karty pokładowe. Wypowiadają głośno moje nazwisko, jakby coś im ono przypominało i rzeczywiście, mówią podekscytowane: W rękawie czeka na pana wiele zakupów. Zakupów?, powtarzam. Komputer, aparat fotograficzny i wiele innych rzeczy. No, tak, cudownie!, mówię. Zupełnie o tym zapomniałem! Znajdziemy kogoś, kto pomoże panu zanieść to wszystko na pokład, obiecują. Byłbym bardzo zobowiązany, mówię. Za kilka minut przyślemy panu kogoś z fotelem na kółkach, mówią, Doskonale, odpowiadam. Jestem bardzo bliski tego – bo wszystko między nami układa się jak najlepiej – żeby poprosić o podwyższenie klasy podróży. Nie chcę jednak nadwerężyć normalizacji stosunków.

Mówię ojcu, żeby przygotował się do podróży wózkem inwalidzkim. Pewnie nie dasz rady dojść tam na własnych nogach, mówię. Biedny tata, dodaję. Natychmiast unosi głowę, żeby na mnie spojrzeć, ale potem znów ją opuszcza.

Nadjeżdża mężczyzna z wózkiem inwalidzkim. Jest stosunkowo młody i stosunkowo jowialny. Wysoki i szczupły, z szerokimi jak skrzydła ramionami, sterczącymi czarnymi włosami i ciemnymi skośnymi brwiami. Wygląda, jakby właśnie zszedł z planu filmowego albo z castingu do filmu o Draculi. Tylko że ma na sobie odblaskową kurtkę i jest w dobrym humorze, choć wydaje się, że może być opóźniony w rozwoju, ale niezbyt mocno. Tak czy inaczej, jest w nim coś osobliwego, jakieś schorzenie czy przypadłość, ujawniające się, moim zdaniem, w jego jowialności. Pyta ojca, czy jest w stanie wstać i usiąść na wózku. Ojciec odpowiada: Oczywiście. Wstaje i siada na fotelu. Chłopak pchający wózek czeka, aż pozbięram wszystkie nasze rzeczy. Zarzuca sobie nawet podręczną teczkę ojca na szyję. Bardzo panu dziękuję za pomoc, mówię.

Cała przyjemność po mojej stronie, odpowiada. Jaki był powód pańskiej wizyty w Niemczech?

Chcieliśmy obejrzeć Nadrenię, mówię, pojechaliśmy obejrzeć Karola Wielkiego.

Karola Wielkiego?, powtarza.

Karl der Grosse, mówię.

Wspaniale, stwierdza, szkoda, że pogoda nie dopisała.

Pierwszego dnia naszej podróży po Nadrenii, w Walluf, upiłem się z królem Walluf. Nazywał się Hans. Jedliśmy z ojcem obiad w jego restauracji. Nie

wiedzieliśmy wówczas, do kogo ona należy, ale zjedliśmy duży i smaczny obiad bez żadnych filozoficznych kontrowersji. Walluf to wspaniała wioska położona tuż nad Renem. Zaparkowaliśmy samochód przed hotelem wychodzącym na rzekę i zameldowaliśmy się. Tego wieczoru w Walluf czynne były tylko dwie restauracje. Później przekonałem się, że obie należały do Hansa. Potem dowiedziałem się, że do Hansa należał każdy dom w Walluf, z wyjątkiem naszego hoteliku Zum Neuen Schwan. Był zniesmaczony, kiedy mu powiedziałem, gdzie się zatrzymaliśmy. Ojciec był już pijany i ja także byłem pijany. Zjedliśmy dobry obiad, więc postanowiliśmy wrócić do hotelu, żeby odpocząć przed porannym wyjazdem. Szliśmy w przepastnych ciemnościach, lecz zamiast pójść prosto do łóżek, przespacerowaliśmy się nad rzekę, podziwialiśmy ją i podziwialiśmy Moguncję leżącą po drugiej stronie. Ojciec ziewnął szeroko uszczęśliwiony i powiedział: Już mnie nie ma! Poszedł do swojego pokoju, a ja do swojego. Rozebrałem się, umyłem zęby i wskoczyłem do łóżka z książką. Jednak od razu zdałem sobie sprawę, że nie chce mi się spać. Chciałem znaleźć jakiś zadymiony bar pełen młodych ludzi i usiąść w rogu. Wróciłem do restauracji i zagałem do barmana. Był młody. Zapytałem go, czy jest tu gdzieś jakiś zadymiony bar, w którym można napić się piwa bez narażania się na szydercze spojrzenia – gdyż znajdowaliśmy się

w krainie wina – a on odpowiedział: Nie w Walluf, ale jest takie miejsce z bilardem w Eltville. Tam można palić i pić piwo. Jak daleko jest stąd do Eltville?, zapytałem. Niecałe pięć minut drogi taksówką, odrzekł. Jestem niemal pewien, że cała ta rozmowa odbywała się po niemiecku, co oznacza, że moje wspomnienia są tylko przybliżeniem. Możesz zamówić mi taksówkę?, zapytałem. W sali restauracyjnej, tuż za mną, siedział jakiś mężczyzna, który przerwał moją rozmowę z barmanem, mówiąc: Pojadę z tobą. To był Hans. Miał sześćdziesiąt parę lat. Miał na sobie czerwoną koszulę w kratę i dżinsy, a siwe włosy obcięte na jeża. Przed wyjazdem zapytałem barmana, czy mogę ufać Hansowi, na co ten odpowiedział: Hans jest właścicielem wszystkiego w tym mieście, jest tutaj najbogatszy. Jest królem Walluf?, zapytałem. Można tak powiedzieć, odpowiedział barman.

W knajpie w Eltville podawano kebab i zbierali się w niej wszyscy okoliczni taksówkarze, oczekujący na kursy. Ale można było napić się w niej piwa. Hans i ja usiedliśmy obok szafy grającej. Dobiegała z niej muzyka podobna do tej, jakiej słucha się po całym dniu spędzonym na nartach. Chryste, to miejsce jest okropne, powiedziałem. Hans wzruszył ramionami. Nie odzywał się przez niemal pół godziny. Nie odezwał się, póki nie usłyszał ode mnie, że podróżuję z ojcem, z którym zatrzymałem się w hotelu, który do niego nie należał.

Zauważyłem was wcześniej, mruknął, ciebie i twojego ojca. Dobrze ci się układa z ojcem?

Względnie dobrze, odpowiedziałem.

Mój syn mną pogardza, stwierdził.

Jesteś pewien?

Jestem. Nie rozmawia ze mną. Nigdy nie przychodzi do restauracji. Zawsze jest czymś zajęty z kolegami. Jego matka nastawiła go przeciwko mnie. Po półgodzinnym milczeniu z Hansem ucieszyłem się, że odzyskał głos, więc zaczęliśmy rozmawiać o jego stosunkach z synem i o moich stosunkach z ojcem, a ponieważ Hans rozmawiał ze mną otwarcie, ja również niczego przed nim nie ukrywałem. Nie wiem, ile z tej rozmowy do mnie trafiło, ani ile byłem w stanie przekazać, bo pod koniec byłem spity do nieprzytomności, ale pamiętam, że z całą pewnością zapytałem na końcu Hansa, ile lat ma jego syn. Spodziewałem się, że powie: trzydzieści pięć. Odparł: Siedem. Śmialiśmy się obaj, długo i głośno. Potem Hans przestał się śmiać, spoważniał, ucichł i znów zapadł się w siebie.

Kiedy wróciliśmy do Walluf, zacząłem rozglądać się – a było już dobrze po północy – za czymś do jedzenia. Na obiad zjadłem olbrzymi sznycel i olbrzymią sałatkę ziemniaczaną, ale umierałem z głodu. Jakieś dzieciaki stojące przy krawężniku zasugerowały, żebym pojechał do Moguncji. Tak też zrobiłem. Wsiadłem do wypożyczonego samochodu i wpisałem „McDonald’s”

do nawigacji satelitarnej. Byłem pijany. Byłem tak pijany, że poszedłem do hotelowego pokoju po butelkę wina, żebym miał co pić po drodze. McDonaldy były wszędzie. Tylko że było już dobrze po pierwszej i te najbliższe pozamykano. Żeby znaleźć otwartego McDonalda, zbliżałem się coraz bardziej do centrum Moguncji, pokonując wspaniały most. Znalazłem się w samym sercu miasta, jeżdżąc po ulicach, ciesząc się ciepłem nocy, pijąc wino z butelki i słuchając radia. W końcu znalazłem czynnego McDonalda i sprawiłem sobie ucztę. Restauracja była zamknięta, czynna była tylko część dla kierowców. Zamówiłem trzy burgery, koktajl mleczny, dodatkową porcję frytek, nuggetsy z kurczaka, a nawet sałatkę – na rano. Miałem zamiar wrócić do hotelu i zjeść wszystko w pokoju, ale doszedłem do wniosku, że jedzenie wystygnie po drodze. Sprawdziłem więc historię w nawigacji satelitarnej i jako cel podróży podałem dom mojej babki. Nie było do niego daleko. Trzy czy cztery kilometry. Zaparkowałem dokładnie tam, gdzie wcześniej. Wyjąłem po cichu – choć pewnie strasznie hałasowałem – jedzenie i wino z samochodu, wysiadłem i poszedłem do lasu naprzeciw domu babki. Usiadłem gdzieś i zjadłem wszystko. Do ostatniego kęsa. Położyłem się i zapatrzyłem w gwiazdy.

Kobieta, z którą spotykałem się przy Bedford Square, miała męża i dwoje dzieci. Pracowała

w British Museum i była profesorką archeologii, specjalistką od Bliskiego Wschodu, Egiptu, Turcji i Grecji. Często latała w pośpiechu do tych miejsc, żeby coś zweryfikować albo żeby się z kimś spotkać i przysyłała mi zdjęcia hotelowych pokoi tuż po wejściu do nich i po minucie – żeby mi udowodnić, jak szybko potrafi zrobić w nich bałagan. Uwielbiała rowery. Uwielbiała stare księgarnie. Urodziła się pod Newcastle, ale w wieku piętnastu lat przeniosła się do Londynu – uciekła z domu. Tak mi przynajmniej powiedziała. Może było inaczej, nie wiem. Do jej ulubionych miast należały Jerozolima, Damaszek, Sambuł, Kair i Ateny. Myślę, że jakaś część jej wyobrażała sobie przez długi czas, że byłaby w stanie istnieć poza Londynem, gdyby tylko mogła zamieszkać w którymś z tych miast. Ale ta jej część, która chciała się stąd wyrwać, musiała stawić czoło smutnej rzeczywistości, że życie, jakie chciała wieść w tych miastach, nie obejmowało jej rodziny, a ona sama nie była gotowa opuścić męża i dzieci, choć, jak mówiła, któregoś dnia na pewno to zrobi. Kiedy ją poznałem, rzeczywiście wyprowadziła się z Londynu i była gotowa na romans, ale tylko z mężczyzną mieszkającym w Londynie. Bez tempa życia w Londynie, bez londyńskiego napięcia, bez tłumów ludzi powoli traciła rozum. Kiedy mieszkała w mieście, mówiła, wychodziła czasem do centrum w godzinach szczytu, żeby oczyścić umysł. Schodziła

do stacji metra, żeby dać się porwać szaleństwu. Rzucić się do zatłoczonych wagonów, do których nie dałoby się wcisnąć szpilki – choć nigdzie się nie spieszyła. Umawiała się z kimś w pubie po drugiej stronie miasta tylko po to właśnie, by znaleźć się po drugiej stronie miasta. Innymi słowy, mówiła, jestem taka jak większość mieszkających w Londynie ludzi. Sposób, w jaki opowiadała o mieście, przypominał mi moje pierwsze najcieplejsze wrażenia z pobytu w Londynie, a kiedy byliśmy razem, znów zacząłem odczuwać dumę, że tu mieszkam. Przeniosła się wraz z rodziną do Wargrave, całkiem przeciętnej wioski niedaleko Reading. Mieszkali tam rodzice jej męża, a on chciał poświęcić więcej czasu karierze, która miała jakiś twórczy wymiar. Nigdy nie wywieriałem na nią presji. Nigdy nie pytałem, co robi jej mąż. Ale wiedziałem, że podziwia go i w niego wierzy. Wiedziałem też, że gdzieś w głębi duszy zdaje sobie sprawę, że jestem zaledwie w połowie takim mężczyzną, jakim był on, co stało się prawdopodobnie niezbędną dla niej wymówką na wypadek, gdyby ją przyłapano – a przyłapano ją – na zdradzie. Mogłaby wówczas wyjaśnić mężowi, że nie chodziło o jego braki jako mężczyzny czy inne niedoskonałości, że to nie one doprowadziły ją do wiarołomstwa, ale jej własna nikczemność. Była gotowa znienawidzić siebie tak intensywnie i gruntownie jak nikt na świecie. Zbliżała się do czterdziestki, jej dzieci miały dziesięć

i dwanaście lat i nadeszła pora – tak mi się przynajmniej wydawało – żeby znienawidzić się w sposób, do którego ją wychowano, by zostać znienawidzoną. Dosyć optymizmu i frywolności! Dosyć Londynu, dosyć księgarni, dosyć pubów, dosyć taksówek, dosyć nieszkodliwych flirtów, dosyć piękna, dosyć frenetyczności, dosyć już tego wszystkiego! Gdyby była tylko samolubna, gdyby jej romans był wyłącznie wynikiem samolubstwa lub nudy, wybrałaby z całą pewnością inną wersję swojego męża, ale taką, która mieszka w Londynie. Mimo to kiedy byliśmy razem, wyznawała, że przyjmuje wszystko bez reszty, że raduje się tym, co ma, że nie myśli o tym zbyt dużo i że pozwoli temu trwać tak długo, jak będzie to trwało. Nie ma obawy, że zakochamy się w sobie, mówiła. Ale nasz romans był intensywny. Trudność spędzania z tobą czasu polega na tym, powiedziała mi kiedyś, że widzi się twoje rozczarowanie wszystkim. *Jestem* rozczarowany wszystkim, rzuciłem w żartach.

Na spotkania często umawialiśmy się przy Bedford Square w porze lunchu, kiedy mogła na godzinę wyjść z muzeum. Kupowałem po drodze jakieś kanapki albo sałatkę z makaronem. To ona zawsze mówiła – przez cały czas. Miała interesującą, a nawet intrygującą pracę. Było dla mnie zupełnie oczywiste, że to, co uchodziło za znawstwo w jej dziedzinie było zupełnie inne od tego, co uchodziło za znawstwo w mojej. W jej

dziedzinie kompetencje dawało się udowodnić w najskromniejszy sposób, w najmniejszych dawkach zapierającej dech w piersiach erudycji, geniuszu, sceptycyzmu. Natomiast wszędzie indziej na świecie – na tym świecie, na którym mieściła się lub królowała moja praca – panował banał i uprzedzenia, a kompetencje udawadniało się megalomanią, uniwersaliami, impotencją i stereotypami języka opinii politycznej czy dziennikarskiej, marką korporacyjną, krytyczną myślą lub sztuką. Poznaliśmy się na konferencji w British Museum. Wygłosiła wykład, a ja podszedłem później, by zadać jej pytanie. Powiedziałem, że naprawdę podobało mi się to, o czym mówiła, a potem dodałem, że jej wykład nie był pierwszym, jaki słyszałem na poruszany przez nią temat i że czytałem o nim w książce, której tytuł podałem. Uwielbiam tę książkę, powiedziała. Napisał ją mój ojciec, rzuciłem. Mówi pan poważnie?, zapytała. Miała zamiar odwrócić się i powiedzieć o tym całej sali, wszystkim swoim współpracownikom i gościom, ale dotknąłem jej ramienia i poprosiłem: Proszę, proszę tego nie powtarzać, nie powinienem był o tym wspominać.

Osiem miesięcy później, a może dziewięć miesięcy później, krótko po tym, kiedy nasz romans dobiegł końca, dokładnie tak, jak przewidziała – z bólem i upokorzeniem dla wszystkich – pewnego wczesnego ranka wsiałem do pociągu i pojechałem do Wargrave.

Wiedziałem, gdzie mieszka, ale nie pojechałem tam po to, by ją odnaleźć czy stanąć do konfrontacji z jej mężem. Myślę, że pojechałem tam w odwecie, że samo pojawienie się tam było jak odwet, że chciałem zrobić coś nieprzyjemnego, bo byłem w nieprzyjemnym nastroju. Przyjechałem o świcie. Było zimno i mglisto. Działo się to zapewne wczesną wiosną, może w marcu lub kwietniu. Byłem jedyną osobą, która wysiadła w Wargrave, choć na peronie stało kilka osób, czekających na pociąg do Paddington albo do Twyford. Przez Wargrave przepływa Tamiza, która na tym odcinku prezentuje się bardzo ładnie. Miałem na sobie długi czarny płaszcz. Chodziłem po mieście. Nie ma tam zbyt wiele do zobaczenia. Jest parę przyjemnych pubów. Parę posiadłości. Zerkano na mnie podejrzliwie. Wszedłem do kafeterii i zjadłem śniadanie. Kiedy się ociepliło, poszedłem nad Tamizę i usiadłem pod drzewem jak włóczęga. Czy to możliwe, że tliło się we mnie jakieś nowe życie, życie pełne gróźb, występków, terroryzowania małych miasteczek przez składanie w nich wizyt zupełnie bez powodu? W porze lunchu poszedłem do pubu o nazwie St George and Dragon. Zamówiłem coś do jedzenia i usiadłem na zewnątrz. Wypiłem parę piw. W pubie zrobiło się tłoczno. Kiedy skończyłem jeść, podałem kelnerce nazwisko tej kobiety i zapytałem, czy tutaj przychodzi. Kelnerka odpowiedziała, że nie zna nikogo o takim nazwisku, a po kilku minutach podszedł do

mnie właściciel i zapytał, kogo właściwie szukam. Podałem mu nazwisko, więc kazał mi zaczekać. Rzuciłem za nim: To nic ważnego, to przyjaciółka z dawnych lat. Właściciel kazał mi czekać tak czy siak, nigdzie się nie oddalać i siedzieć na miejscu – wiedział dokładnie, kim jestem. Ponieważ już zapłaciłem, wstałem i odszedłem, ruszając pospiesznie na dworzec. Biegłem. Oglądałem się za siebie. Myślałem: Niech na tym dworcu będzie jakiś pociąg, kiedy tam dobiegnę. Ale nie było pociągu. Następny pociąg przyjeżdżał za trzydzieści minut. Chodziłem w tę i z powrotem. Wypatrywałem kryjówek. Bardzo chciałem być takim mężczyzną, który zaczekałby na męża kochanki w pubie, albo przynajmniej takim, który byłby na tyle groźny, żeby przeleźć przez płot i wypalić pół paczki papierosów w jej ogródku. Może powinienem był przyjechać w nocy? Wpatrywałem się w głąb Station Road, wypatrując, czy ktoś nadchodzi. W mojej głowie roiły się hamujące z piskiem opon samochody, gangi wargraverczyków z gazrurkami, kijami do krykieta, a nawet wiosłami. Ale nikt nie przyszedł.

Wargrave to naprawdę nudne miasteczko. Dziś bez wątplenia jest tak samo nudne jak wtedy, a ta kobieta nigdzie nie wyjechała. Od czasu do czasu sprawdzałem, co się z nią dzieje, więc wiem, że nadal pracuje w British Museum, że wciąż ma tam swój gabinet. Nie uciekła sama do Kairu ani do Jerozolimy,

by zamieszkać w przewiewnym apartamencie wychodzącym na hałaśliwe targowisko, by chodzić po piaszczystych zapyłonych wzgórzach w miękkim kapeluszu i brązowej bluzce. Nikt z Wargrave nie zdaje sobie sprawy, jak cierpi ta kobieta, mieszkając w tej dziurze, organizując spokojne angielskie przyjęcia, mówiąc ich językiem, chodząc w słoneczne dni do pubu nad Tamizą, objadając się powoli i zapijając się powoli na śmierć wraz z sąsiadami. Wsiadamy z ojcem na pokład samolotu. Pozostali pasażerowie stoją i tłoczą się przy bramce. Wpatrują się w nas. Nasz jowialny przyjaciel o barkach wampira pcha ojca ku wejściu do rękawa, a ja idę za nimi. Pokazuję nasze karty pokładowe i paszporty. Ojciec chce mi coś powiedzieć, ale zostaje wepchnięty raz dwa do rękawa. Jestem następny. Nie powinienem być tak niesprawiedliwy dla Wargrave. Niczym nie różni się od miejsca, do którego lecę. Niczym nie różni się, jeśli już o tym mowa, od Walluf.

Pomiędzy spotkaniem z Miriam w Kolonii a romanssem z archeolożką wybrałem się samotnie w podróż do zajazdu w Szkocji. Było to najgorętsze lato w Anglii od ponad stu lat. Londyn znajdował się w opłakanym stanie. Wszędzie śmierdziało. Nawet na Bedford Square. Zadzwoiłem więc do zajazdu i poprosiłem o pokój na jedną noc najprędzej jak to możliwe. Odpowiedziano mi, że wszystkie pokoje tego lata są zarezerwowane, chyba że zdecyduję się na

pobył przez minimum trzy noce. Podałem im nazwisko ojca, wytłumaczyłem, że jest ich regularnym gościem, że spędził w zajeździe swój miodowy miesiąc, że wracał tam z matką, a potem z nami. Kobieta w recepcji nie miała pojęcia o kim mówię, ale właścicielka, z którą mnie w końcu połączyła, przypomniała sobie i zaoferowała mi apartament, ich najlepszy pokój, w niedzielę w tygodniu, w którym dzwoniłem, pod warunkiem, że zapłacę pełną cenę. Ile wynosi pełna cena? Czterysta pięćdziesiąt funtów, odpowiedziała, oraz dodatkowo dwadzieścia funtów za śniadanie. W niedzielę rano poleciałem z Londynu do Edynburga i wynająłem samochód. Pojechałem na północ w kierunku Perth, ale nie autostradą, a potem skręciłem na wschód. W zasadzie bliżej miałbym z lotniska w Glasgow, ale korzystałem z niego przy dwóch poprzednich okazjach, więc zapragnąłem odmiany. Powietrze było chłodniejsze, choć nie zrobiło się zimno – w miastach, przez które przejeżdżałem, ludzie chodzili w szortach i klapkach. Zatrzymałem się po drodze, żeby kupić jedzenie, owoce czy lody. Był czerwiec, więc słońce stało wysoko na niebie przez cały dzień. Jechałem samochodem z otwartymi oknami. Kiedy drogi zaczęły się zwężać, a widok z pobocza stał się wspaniały i groźny, zjechałem na bok i stanąłem. A kiedy w końcu dotarłem do zajazdu, parking był pełen. Zameldowałem się. Zaprowadzono mnie do

pokoju. Potwierdziłem rezerwację kolacji. Miałem nadzieję, że dostanę nasz osłonięty stół tylko dla siebie – stół rezerwowany przez ojca z wielotygodniowym wyprzedzeniem – ale nie było na to najmniejszej szansy. Dostałem nieduży stoliczek pod oknem. W porządku, powiedziałem. Wziąłem prysznic, założyłem garnitur i zszedłem na dół do baru na kilka drinków i lekturę gazety. W barze było tłoczno. Goście przez cały dzień pływali po jeziorze, jeździli na rowerach po okolicy albo wędrowali po wzgórzach, a teraz jedli przekąski i rozmawiali o niewiarygodnie ciepłej pogodzie. Przeważająca większość z nich była emerytami. Przeważająca większość z nich była Anglikami. Wielu musiało być tutaj już od kilku dni, bo rozmawiali między sobą jak dobrzy znajomi. Jeden z nich zapytał, czy może zerknąć do gazety, którą skończyłem czytać, na co odpowiedziałem: A jak! Czuj się pan jak u siebie w domu! Byli uradowani, odkrywszy pomiędzy sobą Amerykanina, i nie mogli uwierzyć, że jestem zwykłym obcokrajowcem mieszkającym w Londynie, usiłującym uciec z miasta przed falą upałów. Miałem na sobie elegancki granatowy garnitur i białą koszulę. Kiedy się dowiedzieli, kim jestem, zapytali mnie – a ja im odpowiedziałem – w którym mieszkam pokoju i że mieszkam w nim na dodatek sam, więc doszli do wniosku, że pracuję w branży rozrywkowej, że wyglądam, jakbym pracował w branży rozrywkowej.

Po paru drinkach pozbierali się wreszcie i poszli na górę, żeby przebrać się do kolacji. Wyszedłem na dwór, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Był wieczór, jasny wieczór i w końcu zaczęło się ochładzać. Szedłem po pomoście, przy którym stały łódzie. Małe drewniane łódki rybackie z wiosłami. Były bardzo czyste i suche. Podszedł do mnie jakiś mężczyzna. Pracował w zajeździe. Stał przy mnie i obaj spoglądaliśmy na wodę i góry. Nie przypominam sobie, żebym widział tu kiedykolwiek łódzie, powiedziałem. Odpowiedział, że są tutaj od zawsze, tylko zazwyczaj jest za zimno lub warunki są zbyt niebezpieczne, żeby goście mogli z nich korzystać. Ten wieczór był jednak spokojny, ciepły i bezwietrzny, a na jeziorze nie było fal. Chciałbym popływać łódką przez kilka minut przed kolacją, powiedziałem. Spojrzał na zegarek i zapytał, o której będę jadł. O ósmej, odpowiedziałem. Więc ma pan dosyć czasu, stwierdził. Ile to kosztuje?, zapytałem. Odpowiedział, że nic. Staliśmy jeszcze przez kilka sekund, a potem zapytałem: Więc mogę wybrać, którą chcę? Oczywiście, odrzekł. Chowa łódki na noc, ale przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żebym sobie jeszcze popływał do ósmej, skoro mamy taki przyjemny, jasny wieczór. Wskoczyłem do jednej z łódek, a on odcumował ją i rzucił mi linę, życząc przy tym udanego, nawet jeśli krótkiego żeglowania. Chwyciłem za wiosła i odpłynąłem jakieś sto metrów, potem

dwieście. W pewnej odległości jezioro zakręcało wokół cypla i przyszło mi do głowy, że opłynę cypel i rzucę okiem na niewidoczną stąd część jeziora, a potem zawrócę i powiosłuję do zajazdu na kolację. Wiosłując, czułem jakieś romantyczne uniesienie na myśl o widoku za cyplem, choć nie miałem pojęcia, co tam zobaczę, i mogłem bezpiecznie założyć, że jezioro za cyplem jest takie samo jak tutaj. Zacząłem wyobrażać sobie scenerię za przesmykiem i wydało mi się, że słyszę muzykę, dobiegającą gdzieś z gór lub spomiędzy drzew, albo że muzyka, którą słyszę, przemienia się w drzewa i góry. Czułem, że muszę popłynąć za ten cypel, że to imperatyw, że nigdy nie poznam siebie, jeśli nie ujrzę całej reszty jeziora. Nie trzeba było wiele, żebym zdał sobie sprawę, że bliskość przesmyku to złudzenie. Wiosłowałem i wiosłowałem, ale nie byłem przez to bliższy celu. Uniosłem więc wiosła i dryfowałem przez chwilę w nieruchomej, czarnej, szklistej wodzie. Mężczyzna chowający łodzie na noc hałasował trochę. Patrzył na mnie, kiedy na niego spojrzałem, ale nie pomachał mi do siebie, więc odwrócił głowę. Nie czułem żadnego zapachu oprócz zapachu wody i drewna łodzi. Pochyliłem się i zamoczyłem dłonie. Woda była lodowata. Pochyliłem się jeszcze bardziej i zamoczyłem ręce po łokcie. Wyjąłem je z wody i sprawdziłem jej konsystencję między palcami, na dłoniach, na skórze rąk. Siedziałem tak przez chwilę,

pochylony nad burtą łodzi, wpatrując się we własne ręce, mocząc je w wodzie i przyglądając się, jak kapie z nich woda. Kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem, że pierwsi przybyli na kolację goście zgromadzili się przed restauracją na brzegu jeziora, żeby przekonać się, co robię. Nie miałem pojęcia, do jakich doszli wniosków. Wyprostowałem się i chwyciłem za wiosła. Wiosłowałem, a oni machali do mnie i machali.

[1] Grupa amerykańskich aktorów i piosenkarzy, skupiona początkowo wokół Humphreya Bogarta, a następnie wokół Franka Sinatry, spotykająca się nieformalnie w latach 50. i 60. XX w. [przyp. tłum.].

Podziękowania

Autor wyraża wdzięczność Thomasowi Lovegrove'owi i Adamowi Butlerowi, znanemu jako Vert, za ich pomoc.

Za materiały dotyczące Nadrenii i Karola Wielkiego autor jest wdzięczny Robertowi Bartlettowi, gdyż korzystał z jego dzieła *The Making of Europe: Conquest, Colonization and Cultural Change 950-1350*. Autor dziękuje również Alexowi Rossowi, autorowi książki *The Rest Is Noise*, z której zaczerpnął cytowane słowa kompozytorów.